

54

Egz. archiwalny IRL

105

PN

34/55

122

Leg. archiwalny IBL 54/55

CHŁOPI

TOM III



WŁ. ST. REYMONT



PISMA

WYDANIE ZBIOROWE ZUPEŁNE
ZE WSTĘPEM ADAMA GRZYMAŁY-SIEDLECKIEGO
I PORTRETEM AUTORA

TOM IV

CHŁOPI

TOM III



NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA == LUBLIN == ŁÓDŹ == POZNAŃ
KRAKÓW ===== G. GEBETHNER I SPÓŁKA

<http://rcin.org.pl>

433
Egz. archiwalny IBL
WŁ. ST. REYMONT

CHŁOPI

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

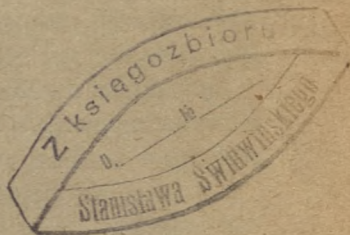
III

WIOSNA



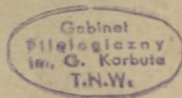
INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA

00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63



NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA = LUBLIN = ŁÓDŹ = POZNAŃ
KRAKÓW = G. GEBETHNER I SPÓŁKA

<http://rcin.org.pl>



907/4.

WSZELKIE PRAWA PRZEDRUKU I PRZEKŁADU ZASTRZEŻONE.

□□ DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI W KRAKOWIE. □□

<http://rcin.org.pl>

I.

Czas był wiosenny o świtaniu.

Kwietniowy dzień dźwigał się leniwie z legowisk mroków i mgieł, jako ten parob, któren legł spracowany, a nie wywczasowawszy się do ona, zrywać się ano musi nadedniem, by wnetki imać się pługą i do orki się brać.

Poczynają dzień.

Ale cichość była jeszcze całkiem drętwa, tyle jeno, co rosy kapaly rzęsiście z drzew pośpionych w mące nieprzejrzany.

Niebo, kiej ta płachta modrawa, przejęta wilgotnością i orosiła, przecierało się już ździebko nad ziemią czarną, głuchą i zgoła w mrokach zagubioną.

Mgły niby mleko wzburzone przy udoju zalewały łągi i pola nizinne. Kokoty zaczęły pisać na wyprzódki gdzieś po wsiach jeszcze nie widnych.

Ostatnie gwiazdy gasły kiej oczy, śpiączką morszone.

Na wschodzie zaś, jako zarzewie, roztlewające z pod ostyglych popiołów, jęły się rozżarzać zorze czerwone.

Mgły się zakolebały znagła, wzdęły i ruchający

ciężko, niby wody roztopów wiosennych, były w czarne pola, albo zasje, kieby dymy kadzielne, wionęły sinem przedziwem ku niebu.

Dzień się już stawał i przepierał z blednącą nocą, która przywierała do ziem grubym, przemoczonym kożuchem.

Niebo się rozlewało zwolna światłościami, zniżając się coraz barzej nad światem, że już kajś niekaj wydzieraly się na jaśnię czuby drzew, oprzędzone mgłami, a gdzie znów, na wyżach, jakieś pola szare, przesiąkłe rosą, wyleniały się z nocy; to stawy zamigotały pośleplemi lustrami, albo strumienie, kiej długachne, orosiące przędze, wlekły się wskroś mgiel rzędnych i świtów.

Dzień się już czynił coraz większy, zorze rozsącały się w martwe siności, że na niebie poczynały gorzeć, jakoby krwawe luny pożarów jeszcze niedojrzałych, i tak się galanto rozwidniało, iż ano bory wyrastały dokola czarną obręczą, a wielka droga, obsiadła rzędami topoli pochylonych, utrudzonych jakoby w ciężkim chodzie pod wzgórze, dźwigała się coraz widniej na światłość, zaś wsie, potopione w mrokach przyziemnych, wzyerały gdzie niegdzie pod zorze, kieby te czarne kamienie z pod wody spienionej i poniektóre już drzewa co bliższe srebrzyły się całe w rosach i brzaskach.

Słońca jeszcze nie było, czuło się jeno, że lada pacierz wylupie się z tych zórz rozgorzałych i padnie na świat, któren dolegiwał ostatków, ozwierał ciężko mgławicami zasnute oczy, poruchiwał się ździebko, przecykał zwolna, ale jeszcze się lenił w słodkim, odpoczywającym dośpiku, bo cichość padła barzej w uszach

dzwoniąca, jakoby ziemia dech przytuliła — jeno wia-
ter, jako to dychanie dzieciątka cichuści, powiał od la-
sów, aż rosy potrząsły się z drzew.

Aż z tej omdlałej szarości świtów, z tych sennych
jeszcze, omroczałych pól, jakoby w kościele rozmodlo-
nym i oniemiałym, kiedy dobrodziej ma wznieść na Pod-
niesienie Hostję Przenajświętszą — wystrzelił z nagłą
głos skowronkowy...

Wyrwał się gdziesik z roli, zatrzepotał skrzydłami
i jał świergotać, jako ta z czystego srebra sygnaturka,
jako ten wonny pęd wiośniany tlił się w bladym niebie, bił
w górę, głośniał, iż w onej świętej cichości wschodów
rozdzwaniał się na świat cały.

Wraz i drugie jęły się zrywać, skrzydelkami bić,
w niebo się drzeć i śpiewać zawzięcie a poranek głosić
wszemu stworzeniu czującym.

A po nich wnet i czajki zakwiliły jękliwie na mo-
czarach.

Boćki też wzięły klekotać rozgłośnie gdziesik po
wsiach, jeszcze nie rozpoznanych w szarościach.

Słońce zaś było już ino, ino...

Aż i ono pokazało się z za lasów dalekich, wychy-
lało się z przepaści i kieby tę ogromną, złocistą i rozgo-
rzałą ogniami patynę wnosily Boże, niewidzialne ręce
nad sennymi ziemcami i żegnając światłością świat, żywe
i umarłe, rodzące się i struchlałe, rozpoczynało świętą
ofiarę dnia, że wszystko jakby z nagłą padło w proch
przed majestatem i zamilkło, przywierając oczy niegodne.

I oto dzień się stał, jako to nieobjęte morze wesel-
nej światłości.

Mgły, kiej wonne dymy były z łąk ku rozzłoczonemu niebu, a ptactwo i stworzenie wszelkie uderzyło w wielki krzyk śpiewań, jakoby w ten pacierz serdecznych dziękczyniń.

Słońce zaś urastało wciąż, wynosiło się nad bory czarne, nad wsie nieprzeliczone, coraz wyżej i wielkie, gorejące, ciepłe, kiej to święte oko miłosierdzia Pańskiego, brało we władną i słodką moc panowanie nad światem.

W ten czas właśnie, na wzgórzu piaszczystem pod lasem, z pod dworskich stogów lubinowych, stojących wpodług szerokiej i wyboistej drogi, pokazała się stara Agata, powinowata czy krewniaczka Kłębów.

Powracała ona z żebrów, na któren to chleb Jezusowy była poszła jeszcze w kopania, a teraz-ci z nawrotem do Lipiec ciągnęła, jako ci ptakowie, zawždy wracający o wiośnie do gniazd swoich.

Stare to było, schuchrane, słabe i ledwie dychające, iż się widziała, jako ta wierzba przydrożna, pokrzywiona, spróchniała, co to się już ledwie tli i domiera w piachach; w łachmanach juści była, z kosturem dzia-dowskim w ręku, z tobołkami na plecach, obwieszona różańcami.

Wylazła z pod brogów o samym wschodzie i, śpiesznie drepcąc, podnosiła do słońca twarz szarą i wyschlą, jako te płone ugory zeszlóroczne; jeno jej siwe, zaczerwienione oczy rozbłyskiwały radością.

Jakże!... po długiej i ciężkiej zimie do swojej wsi rodzonej wracała, to biegła aż truchcikiem, że ino torbeczki wyskakiwały po bokach i dzwoniły różańce, ale

iż ją spierało, a zadychliwość raz wraz chwytala się bolących piersi, to musiała przystawać, wolnieć i już szła ciężko, z utrudzeniem, jeno temi głodnymi oczyma latając po świecie i pośmiechując się do tych pól szarych, w zielonawe mgły przysłonionych, do wsi wynurzających się zwolna z mgielnych topieli, do tych nagich jeszcze drzew, stróżujących nad drogami, lebo samotne stójki odbywających po polach, do całego świata!

Słońce się już było podniosło na parę chłopów, że dojrzał choćby i najdalsze kraje pól; wszystko błyszczało różaną rosą, czarne role połyskiwały się w słońcu, wody grały po rowach, skowronkowe głosy dzwoniły w chłodnem powietrzu, gdzie zaś, pod kamionkami tliły się ostatnie platy śniegów, żółte bazie na poniektórych drzewach trzęsły się kieby te bursztynowe paciorki, w zaciśkach zaś albo i pod nagrzanemi kałużami, z pośród rdzawych, zeszlórocznych liści, przedzierały się złotawe źdźbła traw młodych, gdzie znów patrzyły żółte oczy kaczeńców, wiaterek też wziął przygarniać leciuchno i roztrząsać wilgotne, rzeźwe zapachy pól, pławiących się leniwie w słońcu, a wszędy było tak wiośniano, rozlegle, jasno, chociaż i jeszcze ździebko szarawo, i taką lubością tchnęło, że już się dusza Agaty wyrывała, by lecieć, jako ten ptak, radością opity, niesie się z krzykiem w cały świat.

— Jezus mój! Jezusiczku kochany! — pojękiwała ledwie, przysiadując nieco i jakby zgarniając ten świat wszystek w roztrzęsione radością i wielce czujące serce.

Hej! zwiesna ci to szła przecież nieobjętymi polami, skowronkowe pieśni głosiły ją światu, i to słońce

święte, i ten wiater pieszczący, słodki a ciepły, kiej matczyne całunki, i to przytajone jeszcze dychanie ziemie, tęsknie czekających na plugi i ziarno, i to wrzenie wesela, unoszące się wszędy, i to powietrze ciepłe, orzeźwiające i jakoby nabrzmiałe tem wszystkim, co wnetki się stanie zielenią, kwiatem i kłosem pełnym.

Hej! zwiesna-ci to szła, jakoby ta jasna pani w słonecznem obleczeniu, z jutrenkową i młodą gębusią, z warkoczami modrych wód, od słońca płynęła, nad ziemiami się nieśla w one kwietniowe poranki, a z rozpostartych rąk świętych puszczała skowronki, by głosiły wesele, a za nią ciągnęły żórawiane klucze z klangorem radosnym, a sznury dzikich gęsi przepływały przez blade niebo, że boćki ważyły się nad łęgami, a jaskółki świegotały przy chatach, i wszystek ród skrzydlaty nadciągał ze śpiewaniem, a kędy tknęła ziemię słoneczna szata, tam podnosiły się drżące trawy, nabrzmiewały lepkie pęki, chlustały zielone pędy i szeleściły listeczki nieśmiało, i wstawało nowe, bujne, potężne życie, a zwiesna już szła całym światem, od wschodu do zachodu, jako ta wielmożna Boża wysłanniczka łaski i miłosierdzia czyniąca...

Hej! zwiesna-ci to ogarniała przyziemne, pokrzywione chaty, zaglądała pod strzechy miłosiernemi oczyma, budząc struchlałe, omroczone role serc człowiekowych, że dźwigały się z utrapień i ciemnic, poczynając wiarę na lepszą dolę, na obfitsze zbiory i na tę wyteśknionej szczęśliwości godzinę...

Ziemia się rozdzwaniała życiem, kieby ten dzwon umarły, gdy mu nowe serce uwieszają, serce ze słońca

uczynione, że bije górnice, dzwoni, huczy radośnie, budzi struchlałe i śpiewa takie rzeczy i sprawy, takie cuda i moce, aże serca biją do wtóru weselnego, aże same łzy leją się z oczu, aże dusza człowiekowa zmartwychwstaje w nieśmiertelnych mocach i klęczący ze szczęścia ogarnia sobą oną ziemię, ów świat cały, każdą grudkę napęczniałą, każde drzewo, każdego kamień i chmurę każdą, wszystko ano, co uvidzi i co poczuje...

Tak-ci to i czuła Agata, kusztykając zwolna i żrąc spragnionemi oczyma tę ziemię kochaną, tę ziemię świętą, że szła jak pijana.

Aż dopiero, gdy sygnaturka zaświegotowała na Lipieckim kościele, kiej ten ptaszek zwołujący na modlitwę, ocknęła stara znagła, padając na kolana.

...iżesz swoją świętą przyczyną sprawił, jakom powróciła...

...iżesz, Panie, pokazał miłosierdzie nad sierotą...

Mogła to mówić! kiej łzy, jako ten deszcz rześisty, zalały jej serce i splywały po wynędzniałej twarzy, że jeno mamrotała cosik, a tak się trzęsła w sobie, że ani weź naleźć różańca, ni tych słów pacierza, które się rozsuły po duszy palącą rosą, to porwała się z mocą i poszła, pilnie patrząc po polach i powiadając w głos jakie słowo modlitwy, przypominane znagła...

Że zaś dzień był już duży i mgły całkiem spadły, Lipce jawiły się przed nią jakby na dłoni. Leżały nieco w dole, nad ogromnym stawem, modrzącym się kiej lustro z pod białawej a leciuchnej przysłony, obsiadły wodę kręgiem niskich, szerokich chałup, co jak kumy, w sobie wielce podufałe, przysiadły w sadach jeszcze na-

gich, dymy kajś niekaj rwały się nad strzechami, gdzie zaś szyby przeblyskiwały w słońcu, albo bielily wskroś czarniawych sadów świeżo pobielone ściany.

Każdą chałupę mogła już dojrzeć zosobna. Młyn ano, którego belkotliwy turkot dochodził coraz żywiej, stał na kraju wsi, przy drodze, którą szła, a naprzeciw prawie, na drugim końcu, kościół wznosił wysokie, białe mury wśród drzew olbrzymich i grał oknami i złotym krzyżem na bani, a wpodle niego czerwienily się dachówki plebanji. Wokół zaś, jak jeno dojrzeć, stały sinym wiankiem lasy i rozlewały się pola nieprzejrzane, leżały wsie dalekie, wsie, kieby te szare liszki, przywarte do ziemi, a w sady pochowane; drogi kręto powyciągane, kamionki, rzędy drzew przechylonych, piaszczyste wydmy, rzadka porosłe jałowcami, i wąska przędza rzeczki, ciekącej polyskliwie i wlewającej się do stawu, między chałupami.

Bliżej zaś, dokoła wsi, wielgachnym kręgiem leżały Lipeckie ziemie, pokrajane w pasy, kieby te postawy zgrzebnego płótna, rozciągnięte pod wzgórze i poćwiartowane na działki. Pola wiły się i wydłużały przy polach, porozdzielane krętami miedzami, na których gęsto rozrastały się grusze rozłożyste, górzyły się kamionki cierniem obrosłe, w złotawem świetle ostro wyrzynały się szare i utyłane kiej ścierki ugory: to plachty zielonawe ozimin, to zeszłoroczne kartofliska czerniały, albo i już latosie podorówki, miejscami zaś, po dołkach siwiały wody i wlekły się, kiej to szkliwo roztopione; za młynem rozlewały się łąki rudawe, po których brodziły bociany raz wraz poklekujące, i kapuśniska tak jeszcze pod

wodą, że jeno grzbiety zagonów przemiękłych lśniły się kiej piskorze, czajki białobrzusze kołowały nad niemi, a po rozstajach stróżowały święte drzewa krzyżowe i jensze wyobrażenia Pańskie, zaś nad tym całym światem, zakląłym ździebko w miejscu, kędy wieś przywarła, wisiało rozgorzałe, złotawe słońce, pobrzmiwały skowronkowe śpiewania, rozlegały się niekiedy od obór tęskliwe ryki bydła, to gęsi gdziesik pokrzykiwały gęgliwie i leciały rozgłośne wołania ludzkie, a wraz i wia-ter tchnął lubym, ciepłym powiewem, zgarniając wszystkie te głosy, że ziemia stawała niekiedy w takiej cichości a zadumaniu, jakoby w tej świętej chwili rodów i poczynań.

Jeno na polach mało gdzie dojrzał robotę, tyle tylko, co zaraz pod wsią gmerało się kilka kobiet rozrzucających nawóz, że ostry, przenikliwie w nozdrzach wiercący zapach płynął smugą całą.

— Zaspały próżniaki czy co, dzień taki wybrany, a na rolę mało kto ciągnie... ziemia aż się prosi pługa!— mruzczała zgorszona.

I aby być bliżej jeszcze zagonów, zlazła z drogi na ścieżkę, ciągnącą się za rowem, gdzie już czerwone rzęsy stokrotek otwierały się do słońca i gęściej zieleniła się trawa.

Juści że tak pusto było na polach, aże dziw brał! Przecie dobrze baczyła, jako po inne lata, w tę porę to jeno się czerwieniło po zagonach od kiecek i aż się trzęsło od przyśpiewek i wrzasków dzieusznych; rozumiała też, jako przy takiej pogodzie najwyższy już czas do wywożenia gnojów, do podorówek, do siewów, a dzisiaj

co? Jeden, jedyny chłop, którego dojrzała gdziesik w pośrodku pól, siał cosik, szedł pochylony i zawracał, rozrzucający w półkole jakieś ziarno.

— Musi być, że groch sieje, kiej tak wcześnie... Dominikowej chłopaki, widzi mi się, bo akuratnie tam ich pola wypadają... A niech wama darzy i plonuje Bóg miłosierny, gospodarze kochane! — szeptała serdecznie.

Ścieżka była ciężka, nierówna, zawałona świeżymi kretowiskami, kamieniem, a miejscami błotna, ale nie zwracała na to uwagi, wpatrując się z lubością i rozczuleniem w każdy zagon, w każde półko zosobna.

— Księżę żyto, bujne, sielnie się ruszyło!... Prawda, kiej wędrowałam we świat, orał pod nie parobek, a dobrodziej siedzieli se gdzieś tutaj, baczę dobrze...

I znowu kusztykała, wzdychając ciężko i łzawo wlokąc oczyma.

— Cie, Płoszkowe żyto... musi być późne, albo i wymiękło ździebko.

Nachyliła się z trudem, dotykając drżącymi, starymi palcami wilgotnych ździebel i głaszcząc je z miłością, jakoby te włosy dziecińskie.

— Borynowa pszenica, sielny kawał! Juści!... bo to nie gospodarz pierwszy na Lipce?... ale cosik przyżółta, musiało ją przemrozić, czy co... ciężką zimę tu przeszła... — medytowała, spostrzegając po przyplaszczonych zagonach i wbitych w ziemię, obwalanych mulem źdźbłach ozimin, ślady wielkich śniegów i wód roztopowych.

— Wycierpieli się ludziska niemało, nabiedo-

wali! — westchnęła, przysłaniając oczy dłonią, bo na przeciw, od wsi, szły jakieś chłopaki.

— Juścić co Michał organistów z którymś organściakiem. Po wielkanocnym spisie do Woli idą kiej z tyłachnemi koszykami... Juści, że nie kto drugi.

Pochwaliła Boga, gdy nadeszli, rada wielce zagadać z nimi coś niecoś, ale chłopcy oburknęli pozdrowienie i przeszli prędko, rozgadani ze sobą.

— Dyc od tylich skrzatów baczę ich, a nie poznali mnie! — Markotność ją przejęła. — Cie! a skądby i taką dziadówkę pamiętały! Ale Michał wyrósł galanto, pewnikiem już dobrodziejowi przygrywa na organach...

Rozmyślała, wpatrując się znowu w drogę, że to wyszedł ze wsi Żyd jakiś, pchając przed sobą sporego cielaka.

— A od kogo to kupione? — zagadnęła.

— Od Kłębowej! — odparł, mocując się z białoczerwonym ciołkiem, któren się opierał, zawracał i pobe kiwał żałośnie.

— To ani chybi po granuli... juści... pognęła się była jeszcze przed żniwami... a może i po siwej... Sielny ciołek.

Obejrzała się za nim z gospodarską lubością, ale już ich nie było na dworze: ciołek wyrwał się z rąk, skoczył na pole i podniósłszy ogon, rwał ku wsi, na przelaj, a Żyd z rozwianym chałatem zabiegał mu drogę.

— W ogon go pocałuj, a poproś pięknie, to ci wróci... — szepnęła z kundertnością, przyglądając się gonitwie.

-- A i na Kłębowych morgach ni żywej duszy! —

zauważyła przytem, ale nie było już czasu na pomyślunki: wieś była już tak blisko, że poczuła zapach dymów i dojrzała po sadach wietrzące się pierzyny, to jeno ogarniała oczyma wieś całą i najgłębsza, wdzięczna radość zatrzęsła jej sercem, że to Jezus pozwolił dożyć tej zwiesny i powraca ją oto do swoich, powraca do rodzonych.

A przecież mogła zamrzeć zimą, między obcymi, chorzała bowiem ciężko, ale Jezus ją powrócił...

Dyć tem ano żywiła duszę przez długą zimę, tem się jeno krzepiła w każdej godzinie i tem się broniła od mrozów, nędzy i śmierci...

Przysiadła pod krzakami, aby się ździebko przygarnąć, nim wejdzie, ale miała to siły, kiej ją tak rozebrała radość, że każda kosteczka trzęsła się zosobna i serce tłukło się boleśnie, niby ten ptak duszony?

— Są jeszcze dobre i miłosierne ludzie, są... — szeptała, opatrując troskliwie torbecki. Jakże, uciulała sobie tyła, że musi starczyć na pochówek.

Przecie od dawnych już lat o tem jeno deliberowała i w to całą duszę kładła, że skoro śmierci porę Pan Jezus spuści, aby się to mogło stać we wsi swojej, w chałupie, na łóżku zasłanem pierzynami, pod rzędem obrazów, tak, jako umierały gospodynie wszystkie. Całe życie zbierała na chwilę oną świętą i ostatnią.

Miała ci już u Kłębów na górze skrzynię, a w niej pierzynę sporą, poduszki i prześcieradła i wsyпки nowe, a wszystko czyste, nieużywane zgoła, by nie marać, zawsze mieć gotowe, no i że nie było gdzie rozłożyć tej pościeli. Miała to kiej swoją izbę albo i łóżko? Kątem

zawždy, na barłogu jakim, to w obórcie, jak się zdarzyło, i kaj ludzie dobre pozwolili przytulić głowę. Nie cisnęła się ta ona nigdy naprzód, między możne i władne, nie wyrzekła na dolę, bo wiedząca była dobrze, że wszystko urządzenie na świecie z woli, Bożej pochodzi, a nie zmienić go człowiekowi grzesznemu.

— To se jeno tajnie, pocichuśku, przepraszając Boga za pychę, o tem jedynie marzyła, by mieć gospodarski pochówek, — o to jeno prosiła lękliwie...

Nie dziwota więc, że skoro się teraz przywlekła do wsi ostatkami sił, czując, że już ten czas ostatni przychodzi na nią, to wzięła sobie przypominać, czy aby czego nie przepomniała.

Ale nie, wszystko miała potrzebne — gromnicę niesła z sobą, co ją ano wyprosiła, stróżując jakiegoś umarlaka, i buteleczkę z wodą święconą miała, i nowe kropidło kupiła, i obrazik poświęcany Częstochowskiej, jaki musi mieć w ręku w skonania godzinie, i te kilkadziesiąt złotych na pochówek... a może i starczy na mszę świętą przy trumnie, ze światłem i pokropieniem choćby w kruchcie! Juści, że i myśleć nie śmiała, by ją ksiądz eksportował na cmentarz.

Gdzieby zaś to mogło być!... Nie kaźden gospodarz dostępuje takiego honoru i szczęścia, a przytem i wszystkich pieniędzy na to jednoby nie starczyło!

Westchnęła żałośnie, podnosząc się na nogi.

Dziwnie jednak zastała, kłuło ją w piersiach, kaszel męczył, że ledwie się mogła ruchać, odpoczywając co chwila.

— Żeby choć do sianokosów dociągnąć, albo i do

źniw pierwszych — marzyła, słodko przywierając oczyma do chałup coraz bliższych.

— A potem już się położę i zamrę ci, Jezu kochany, zamrę... — jakby się tłumaczyła lekliwie z tych grzesznych nadziei.

Ale wraz spadła na nią troska: kto to ją przyjmie do chałupy na ten czas skonania?

— Poszukam se dobrych i czujących ludzi, a może i jaki grosz przyobiecam, to się ładniej zgodzą... Juści! komu ta niewola kłopotać się cudzymi, a chałupę sobie mierzić.

Aby się to mogło stać u Kłębów, krewniaków, nawet pomyśleć nie śmiała.

— Tylachna dzieci, w chałupie ciasno, a to i drób teraz się lęgnie, i trza mu miejsca, i nie honor byłby dla takich gospodarzy, by pod ich dachem krewniackie dziadówki pomierały...

Rozmyślała bez żalu, wchodząc na drogę, biegnącą po grobli wyniesionej nieco, by chronić staw od wylewów na niskie łąki a kapuśniska.

Młyn stał pobok grobli, jeno tak nisko, że omączone dachy wystawały nieco nad drogą, trząsł się cały i z głuchym łoskotem pracował.

A zlewa staw świecił się ano, słońce wlekło się złotemi włosami po cichej, rozmodrzonej od nieba wodzie, na brzegach, obrosłych przychyłonemi ołchami, trzepały się z krzykiem gęsi, na drogach zaś, jeszcze nieco błotnych, dzieci przeganiały stadami, pokrzykując z uciechy.

Lipce ano siedziały z obu stron stawu jak przódzi,

jak zawdy chyba od początku świata, całe w sadach rozrosłych a w opłotkach.

Agata wlekła się z trudem, chyżo jeno biegając oczyma, a wszystko widząc. W młynarzowym domu, co stał odsunięty od drogi, a podobien się zdał choćby i do dwora jakiego, przez wywarte okna powiewały białe firanki, a sama młynarzowa siedziała przed progiem w pośrodku piskliwego stada gęsiąt żółciuchnych kiej z wosku, które przygarniała.

Pochwaliła stara Boga i przeszła cicho, rada, że jej nie poczuły psy, wylegujące się pod ścianami.

Przeszła most, pod którym woda z hukiem przewałała się na młyńskie koła; drogi stąd rozchodziły się kiej ręce, ogarniające cały staw.

Kolebała się w sobie przez chwilę, ale chęć obejrzenia wszystkiego przemogła i wzięła się na lewo, dłuższą nieco drogą.

Kuźnia, stojąca pierwsza zaraz z brzegu, była zamknięta i głucha; jakiś przodek od wozu i niecoś zarzewiałych pługów leżało pod ścianami okopconemi, ale kowala ani widu, jeno kowalowa, rozdżiana do koszuli, kopała grządkę w sadzie wzdłuż drogi.

Przystawała teraz przed każdą chałupą, wspierając się o niskie, kamienne płoty i przeglądając ciekawie obejścia, opłotki, wywarte sienie i okna. Psy ujadły za nią niekiedy, ale obwąchawszy i jakby snadź poznając swojaczkę, wracały legać na przyzby, w słońce.

A ona-ci teraz szła wolniuśko, krok za krokiem, ledwie dychając z utrudzenia, a barzej i z uciechy serdecznej.

Sunęła się tak cichuśko, jako ten wiaterek, który raz po raz powiewał po stawie i gmerał w rudych baziach olch, a szara była i niewidna kiej te płoty albo ta ziemia, miejscami już przesychnąca, albo zaś kiej ten chudy cień, od drzew nagich padający na ziemię, że jakby jej nikt i nie spostrzegł.

A radowała się całym sercem, że wszystko tak znajduje, jako i była zostawiła jesienią.

Śniadania musieli warzyć, bo kurzyło się z kominów, a gdzieś niegdzie z wywartych okien buchały zapachy gotowanych ziemniaków.

Choć to i dzieci krzykały tu i owdzie, albo i gęsi, stróżujące przy gąsienicach, podnosiły często strwożone gęgoty, a dziwnie cicho i pusto było we wsi.

Słońce się już ano podniosło na pół drogi do południa i siało kiej tem szczerem złotem i jęło się przegłądać w stawie, a nikt się jeszcze nie kwapił w pole, żaden wóz nie turkotał z opłotków, ni poskrzypywały pługi, ciągnięte na rolę.

— Na jarmarek musiały pojechać, albo co? — myślała, bacznie się jeszcze rozglądając po chałupach.

Wójtowe stodoły zółciły się nowym drzewem z pośród sadów bezlistnych, a Gulbasowa chałupa, obok stojąca, miała oberwane poszycie, że łaty dachu widać było kiej te żebra nagie.

— Wiatry zerwały, ale wałkoniowi nie chciało się naprawić! — mruzczała.

Wpódle zaś Pryczki siedziały w starej pokrzywionej chałupinie, z powybijanych szyb wzyerały słomiane wiechcie.

A oto i sołtysowa chałupa, szczytem do drogi, na starą modę.

Za nim tuż Płoszków dom, na dwie strony zamieszka-
kany.

Potem Balcerków posiedzenie: poznałaby nie wiem gdzie, bo dom był znaczny, że to dzieuchy popstrzyły wapnem szare ściany i pofarbowały ramy okien na niebiesko.

A tam znów, w szerokim, starym sadzie rozsia-
dły się Boryny, pierwsze gospodarze i bogacze Lipeckie. Słońce jeno grało w czystych szybach; ściany jaśniały jakby z nowa pobielone; obejście było obszerne, budynki w rząd stawiane, a proste i tak galante, że niejeden i chałupy takiej nie miał. Płoty całe i wszystko w takim porządku, kieby u jakiego Olendra na kolonjach a lepiej nie było.

A dalej dom Gołębiów.

I inszych, które wszystkie jako ten pacierz na pamięć wiedziała. Ale wszędy jednako było cicho i pusto, jeno w sadach czerwienily się pościele wietrzone i różny przyodziewek, a jeno gdzie niegdzie uwijały się porozdziewane do koszul kobiety, przy kopaniu grządek.

W zacisznych miejscach sadów kapuściane wy-
sadki już puszczały zielone warkocze z ognilych łbów, to zaś pod ścianami one lilje wyrastały w szarej ziemi blademi kłami, rozsady wschodziły pod przykrywą tarniowych gałązek, drzewa stały w nabrzmiąlych, lepkich pąkach, a wszędzie pod płotami burzyły się pokrzywy i chwasty różne i krze agrestowe obwiane były jasną, młodziuchną zielenią.

A choć to i najprawdziwsza zwiesna siała się prosto z nieba i tętniąca była w każdej grudce ziemi napęczniałej, a tak jakoś smutnie się widziało w Lipcach, cicho i dziwnie pusto.

— A chłopca to ni na lekarstwo nigdzie. Nic, jeno na sądy poszły, albo na zebranie je zwołały.

Tłumaczyła tak sobie, wchodząc do kościoła, otwartego naroścież.

Po mszy już było, dobrodziej spowiadał w konfesjonale, kilkanaścioro ludzi z dalszych wsi siedziało w ławkach w cichości a skupieniu, że jeno chwilami ciężkie wzdychy rwały się na kościół, albo to jakie słowo pacierza głośniejsze.

Od lampki płonącej, uwieszanej na sznurze przed wielkim ołtarzem, wlekły się pasma dymów niebieskawych ku wysokim oknom, przez które padało słońce; za szybami ćwierkały wróble, fruując niekiedy pod nawami ze źdźbłami w dziobach, a czasem jaskółki wpadały ze świegotem przez wielkie drzwi, pokolowały błędzając w cichościach i chłodach murów i uciekały chyżo na świat jasny.

Zmówiła jeno krótki pacierz, tak już było jej pilno do Kłębów, ale przed kościołem zaraz spotkała się oko w oko z Jagustynką.

— Jagata! — krzyknęła tamta z wydziwem niemalym.

— Dyć żywie jeszcze, gospodyni! żywie! — Chciała ją w rękę pocałować.

— A powiedali, żeście już nogi wyciągnęli gdzieś w ciepłych krajach... Ale wama ten letki chleb Jezu-

sowy na zdrowie nie poszedł, bo coś mi na księżą oborę patrzycie... — mówiła, szydliwie ją rozglądając.

— Wasza prawda, gospodyni... a tom ledwie już dowlekła kosteczki... dojdę se już pomaluśku a wrychle, dojdę...

— Do Kłębów śpieszycie?

— A gdzieżbym to szła. Krewniaki przecie...

— Radzi was przyjmą, torbeczki dygucie niezgorsze, a jakiś grosz też być musi w supelkach, to juści, że chętnie przypuszczą waju do krewniactwa.

— Zdrowi są? nie wiecie? — markotne jej były te przekpinki.

— Zdrowi... jeno Tomek, że słabował ździebko, to się teraz lekuje w kreminalu.

— Kłęb! Tomasz! Nie powiadajcie, bo mnie nie do śmiechu!

— Rzekałam, a dołożę, że nie sam siedzi, a z dobrą kompanją, bo z całą wsią... I morgi nie pomogą, kiej sąd przyskrzybnie drzwiami a okratuje.

— Jezus Marja Józefie święty! — jęknęła jako słup stając w zdumieniu.

— Bieźcież rychlej do Tomkowej, to się tam napasiecie nowinkami barzej drujkiemi niżli miód. Hi, hi! świętują se chłopcy aż miło! — zaśmiała się urągliwie, a złe jej oczy strzeliły nienawiścią.

Agata powlekła się ogłuszona, nie mogąc jeszcze uwierzyć w słyszane, spotkała kilka znajomych kobiet, które ją przywitały dobrem słowem, zagadując o tem i owem, ale jakby nie słyszała pogwary, rozdygotana w sobie strachem coraz zjadliwszym, że już z umysłu

przywalniała, by jeno opóźnić sprawdzenie tych nowin piekących. Długo siedziała pod sztachetami plebanji, bezmyślnie patrząc na księży dom. Na ganku stał bociek na jednej nodze i jakby naglądał psów, baraszkujących po żółtych uliczkach ogrodu, a Jambroży z dziewczką okładali nową darnią boki klombu, któren się już rudział kieby szczotką żelazną, temi młodemi chlustami kwiatów przeróżnych.

Dopiero wzmógłszy się na siłach, chyłkiem ruszyła w opłotki Kłębowego domu, stojącego tuż w rząd z plebanją.

Z dygotem juści szła, czepiając się płotów i latając przetrwożonemi oczyma po sadzie i chałupie, siedzącej w głębi, ale jeno krowy pod oknami chlipały głośno z cebratek, sień wywarta była naprzestrzał, że dojrzała maciorę z prosiętami, wylegujące się w błocie podwórza, i kury, pilnie grzebiące w gnoju.

Podjąwszy próżną już cebratkę, bo śmieiej byłć jej z czemścić w garści wejść, wsunęła się do wielkiej, mrocznej izby.

— Niech będzie pochwalony! — ledwie wykrztusiła.

— A na wieki! Kto tam? — ozwał się po chwili zajękliwy głos z komory.

— Dyc to ja, Agata! — Jezus, jak ją spierało pod piersiami!

— Agata! Widzieliście-no, moi ludzie! Agata! — gadała prędko Kłębowa, ukazując się na progu z pełną zapaską piszczących gąsiąt, stare zaś z sykiem i gęgotem dyrdały za nią. — No, to chwała Bogu! A powia-

dali ludzie, jakoście jeszcze na gody pomarli, nie wiada było ino kaj, że nawet mój zbierał się do kancelarji na przewiady. Siadajcież... strudzeni pewnikiem jesteście. Gęsi się ano lęgną...

— Pieknie się wywiedły, kiej ich aż tyła!

— A będzie kopa bez mała, przez pięciu. Chodźcie przed dom, bo trza ich podkarmić i przypilnować, aby stare nie stratowały.

Wybrała je starannie z zapaski na ziemię, iż zaroiły się kiej te żółciuchne pępuszki, a stare jęły radośnie gęgotać a wodzić nad niemi dziobami.

Kłębowa wyniesła na deseczce posiekanego jajka wraz z pokrzywami i kaszą i przykucnęła przy nich, pilnie bacząc, bo stare kuły w drobiazg, tratowały i kradły jedzenie, jak ino mogły, rejwach czyniąc krzykliwy.

— Siodłate wszystkie będą — zauważyła, siadając na przyzbie.

— Juści, a z wielkiego gatunku. Organiścina odmieniła mi jaja, że trzy swoje dawałam za jedno... Dobrze, iżeście już ściągnęli do chałupy... roboty tyła, że niewiada, gdzie przódzi pazury zaczepić.

— Zaraz się wezmę do roboty, zaraz... jeno mocy nieco nabierę... chorzałam i całkiem się wyzbyłam z sił... ale niechaj ino wydycham... to zaraz...

I chciała się podnieść, chciała iść... by się wziąć za robotę jaką, ale chudzina jeno się potoczyła na ścianę i z jękiem padła.

— Do cna, widzę, zwątleliście, nie do roboty już wama, nie! — rzekła ciszej, rozpatrując jej twarz siną, obrzękłą i dziwnie pokurczoną postać.

Zakłopotowała się tym oglądem i stropiła, że nie tylko wyreki mieć z niej nie będzie, ale gotów się jeszcze kłopot zawiązać.

Snadź przeczuła to Agata, bo się lekliwie, przeproszająco ozwała:

— Nie bójcie się, nie będę waju zawałała miejsca, ni cisnęła się do miski, nie, wydechne se ino i pójdę... chciałam jeno obaczyć wszystkich... popytać... ale se pójdę... — Łzy cisnęły się do oczu.

— Nie wyganiem was przecie, siedźcie, a wola wasza będzie iść, to se pójdziecie...

— A kaj to chłopaki? pewnikiem w polu z Tomkiem? — zapytała wreszcie.

— To nic nie wiecie? Adycь wszystkie w kremi-nale!

Agata jeno ręce spleła w niemym krzyku bóleści.

— Powiedziała mi już to słowo Jagustynka, jeno uwierzyć nie mogłam.

— Najczystsza prawdę wam rzekła, tak ci jest, tak!

Wyprostowała się na te wspominki, a po wynędz-niałej twarzy posypały się ciężkie łzy.

Agata patrzyła w nią, jak w obraz, nie śmiejąc już dopytywać.

— Mój Jezu! Sąd ci tu był we wsi ostateczny, kiej ano wzięli wszystkich i do miasta powiedli, ostatnia godzina, powiadam wam, że dziw, jako żywię jeszcze i ten dzień jasny oglądam! A to już jutro będzie całe trzy tygodnie, a mnie się widzi, jakby to wczoraj się stało.

Ostał jeno w chałupie Maciek, wiecie, i dzieuszyska, które teraz gnój powiezły w pole, i ja sierota nieszczęsna!

— A poszły! ścierwy... to własne dzieci tratują, jako te świnię! — krzyknęła naraz na gęsi: — Pilusie, pilu, pilu, pilu!

Nawoływała gąsięta, bo całym stadem, z matkami na czele, ruszyły w opłotki.

— Niech się zabawią, gap nikaj nie widać, przypilnuję bacznie.

— Ruchać się nie możecie, a gdzie wam za gąsiętami biegać!...

— Już me ździebko chorość odeszła, skorom jeno w te progi stąpiła.

— To pilnujcie... narządźę wama co jeść... a może mleka uwarzyć?

— Bóg wam zapłać, gospodyni, ale sobota to ci wiekopostna, to z mlekiem jeść mi się nie godzi... wrzątku dajcie jaki garnuszek, chleb mam, to se wdrobię i pojem galanto.

Jakoż Kłębowa wnet jej przyniesła osolonego wrzątku na miseczce, w któren stara wdrobiła chleb i pojadła zwolna, dmuchając w łyżkę, a Kłębowa zaś przysiadła w progu i, oganiając oczyma gąsięta, skubiące pod płotami, znowu powiedała:

— O las poszło. Dziedzic sprzedał go kryjomo przed Lipcami Żydom. Jeli go wnet rąbać! Krzywda była taka i sprawiedliwości znikąd, to i co miały począć? do kogo iść ze skargą? A do tego zawziął się na cały naród, że ni jednego komornika ze wsi do roboty nie zawołał. Zmówili się też i całą wsią poszli swojego

bronić, ile ino narodu było. Powiedali, że wszystkich karać nie pokarzą, jeśliby na to przyszło, ale nikt o tem nie pomyślał, bo jakże? za co to mieli karać? przecie o swoje jeno zabiegali. Poszli do poręby, pobili rębaczów, że po dobrej woli nie ustąpili, pobili dworskich i wszystkich ano z boru wygnali... Na swoim postavili, a po sprawiedliwości, bo póki z lasu nie wydzielą, co jest czyje, ruchać go nikt prawa nie ma. Ale się dużo przytem pomarnowało naszych, starego Borynę przywieźli z rozłupaną głową: Borowy-ci go tak uszlachtował, a tego-ci znowuj Antek Boryniak zakatrupił za ojca.

— Jezus! zakatrupił, na śmierć?!

— Na śmierć, a stary do dzisiaj ano choruje i bez rozumu zgoła leży, juści, on najbardziej ucierpiał, ale i drugi też niemało: Szymek Dominikowej miał przetrącony kulas, Mateusz Gołąb był tak pobity, że go aż przywieźć musieli, Płoszce Stachowi rozwalili łeb, a drugim dostało się też dosyć, że i nie spamiętać co i komu! Nikto się tem zbyt nie frasował, ni narzekał, bo swoje okazali, wrócili też bujno, ze śpiewami, kiej po tej wojnie wygranej, całą noc w karczmie z uciechy pili, a barzej pobitym gorzałkę do chałup nieśli.

A na trzeci dzień jakoś, w niedzielę, śnieg padał mokry i zrobiła się taka plucha od samego rana, iż trudno było nosa wyścibić na dwór. Zbieraliśmy się właśnie do kościoła iść, kiedy Gulbasowe chłopaki poczęły na wsi krzyżeć: »Strażniki jadą!«

Jakoż może w pacierz przyjechało ich ze trzydziestu, a z nimi urzędniki i cały sąd, rozłożyli się na plebanji. No, że już i nie wypowiem, co się działo, kiej za-

częły sądzić, wypytywać, zapisywać, a naród po kolei brać pod stróżę... Nikto się nie opierał, każdy pewny był swojego, a wszystkie kiej na spowiedzi przyświarczały i prawdę szczerą mówili. Dopiero pod wieczór skończyli i chcieli zrazu całą wieś, wraz ze wszystkimi kobietami brać, ale podniósł się taki krzyk a ten płacz dzieciński, że chłopcy się już za kołami oglądali... Dobrodziej musiał cosik przelożyć starszym, że nas poniechali, nawet Kozłowej, silnie wygrażającej wszystkim, nie wzięli, chłopów jeno samych zabrali do kreminatu, Antka zaś Borynowego w postronki przykazali wiązać!

— Jezus! w postronki przykazali wiązać!

— I związali, ale porwał ci je, kiej te nicie nadgnite, aż się przelękły wszystkie, bo wydał się, jakby mu dur do łba przystąpił, albo i zły opętał, a on stanął przed nimi, a w oczy im rzekł:

— Skujcie mię mocno w kajdany i pilnujta, bo wszystkich zakatrupię i sobie co złego zrobię...

Tak się ano zapamiętał, że mu ojca zabili, sam ano ręce podał w żelaza, sam nogi nastawił i tak go powieźli...

— Jezu mój miłościwy! Marja! — jęczała Agata.

— Widzę zawdy i do samej śmierci nie zabaczę, jak ich brali...

— Wzieni mojego z chłopakami... wzieni Płoszków...

— Wzieni Pryczków...

— Wzieni Gołębiów...

— Wzieni Wachników...

— Wzieni Balcerków...

— Wzieni Sochów...

— ...a tyła jeszcze drugich wzieni, że więcej niżli pięćdziesiąt chłopą popędzili do kreminalu...

Że i rozum ludzki nie poradzi wypowiedzieć, co się tutaj działo... jakie płacze się krwawiły, tych wrzasków lamentliwych... ni tych przekleństw strasznych.

A tu zwiesna nadeszła, śniegi rychło spłynęły, role podeschły, ziemia aż się prosi o obróbkę, czas na orki, czas na siewy, czas na wszystkie roboty, a robić niema kto!

Wójt jeno ostał, kował i tych kilku staruchów ledwie się ruchających, a z parobków jeden ino głupawy, Jasiak Przewrotny!

A tu i czas przychodzi rodów, że już poniektóre zległy, krowy się też ciela, łągi wszędzie, o chłopach też trza myśleć i podwozić im to pożywienie, to grosz jaki, albo i tę czystą koszulę, a roboty innej tyła, że już i niewiada, za co się przódzi brać, samym przecie nie uradzi, a najemnika dostać nie można po drugich wsiach, boć kuźden sobie przódzi obrobić musi...

— Nie puszczą ich to rychło?

— Bóg ta wie kiedy! Jeździł do urzędu ksiądz, jeździł i wójt i powiedają, że kiej śledztwa skończą, to ich popuszczają, że to sądy mają być później, ale już trzy niedziele przeszło, a jeszcze ni jeden nie wrócił. Rocho też we czwartek pojechał dowiadywać się.

— Boryna żywie to jeszcze?

— Żywie, jeno ledwie dycha i do rozumu nie przychodzi, jako ten klocek leży... Zwoziła Hanka doktorów, to znających się, nic nie pomaga...

— Juści, pomogą tam doctory, gdzie chto na śmierć chory!

Zmilkły, wyczerpane wspominkami. Kłębowa zapatrzyła się wskroś sadu, na daleką topolową drogę, wiodącą do miasta i popłakiwała zcicha, nos ciągiem ucierając...

Po tem zaś, krzątając się pilnie kiele narządzenia obiadu, opowiadała zwolna wszystko, co się stało we wsi przez zimę, a czego Agata zgoła nie wiedziała.

Aż stara rozpletła ręce i pochyliła się ku ziemi ze zgrozy i zdumienia, bo te nowinki kiej kamienie spadały na nią i przejmowały duszę taką zgryzotą i bólem, że chlipać cicho poczęła.

— Mój Boże, tam we świecie ciągiem myślałam o Lipcach, ale żeby takie sprawy się działy, to mi nawet i do rozumu nie przychodziło... a tom nawet póki życia długiego i nie słyszała o podobnem! Złe się tutaj osadziło na dobre, czy co?

— Juści, że jakby na to przychodziło!

— A może jeno dopust Boży za złość ludzką i grzechy!

— Pewnie, że nie inaczej. Pan Jezus karze choćby za takie śmiertelne grzechy, jako to Antka z macochą. Nowe zaś przewiny idą, stają się na wszystkich oczach!...

Już Agata bojała się rozpytywać o więcej, tylko podniosła roztrzęsioną rękę i jęła się śpiesznie żegnać, pacierz mamląc gorący!

— Niestety takie padło na cały naród i Boryna też leży bez duszy, a powiedają, — ściszyła głos, obzierając się strachliwie — jako Jagusia już się na do-

bre z wójtem sprzegła... Nie stało Antka, brakło Mateusza, brakło i drugich parobków, to dobry pierwszy z brzoza, byle jeno wygodził... O świecie, świecie! — jęknęła, załamując ręce ze zgrozy.

Stara się już nie ozwała, poczuła się zagnęta utrudzoną i tak przejętą temi nowinkami, że powlekła się do obórki wypoczywać.

Dopiero o samym zachodzie dojrzeli ją wlekącą się na wieś do znajomków, powróciła zaś, kiej już u Kłębów siedzieli przy wieczerzanych miskach.

Łyżka na nią czekała i miejsce, juści nie pierwsze, ale zawsze nie ostatnie, bo przy Kłębowej, jeno że pojadła mało wiele, kiej to dzieciątko przebiezne, pogadując zcicha o świecie, to o tych odpustowych miejscach, które była schodziła, aż się niemało temu nadziwowali.

Zaś kiej już noc zapadła, że nawet i zorze grające po szybach przygasły i wieś do cna ogłuchła, zapalili w izbie światło i jęli się zwolna do snu sposobić, wtedy Agata wyniesła swoje torbeczki pod światło, wyjmując zwolna różne różności, jakie przyniosła.

Otoczyli-ci ją zwartem kołem, tając przydechy i dziw jej nie zjadając rozgorzałemi oczyma.

A ona najpierw po obraziku poświęcanym rozdała każdemu, potem zaś sznury paciorków dziewczuchom, a tak pięknych, że ino grały farbami, wrzask się bez to uczynił w izbie, tak jedna przez drugą cisnęły się do lusterka, przymierzać, cieszyć się sobą i szyję wzdymać kiej te indory napuszone, a to i koziki sielne, prawdziwie misiarskie znalazły się dla chłopaków, i cała paczka machorki dla Tomasza, w ostatku i la Kłębowej wyjęła

fryzkę szeroką, wzburzoną i kolorową nicią obdzierganą, że gospodyni aż wręcz plasnęła z wielkiej kontentności...

I wszyscy radowali się niemało, nie raz i nie dwa oglądając te śliczności i ciesząc oczy podarunkami, a ona rada wielce, z niemałą lubością powiedała, co ile kosztuje i gdzie to kupione.

Długo w noc przesiedzieli, poredzając jeszcze o nieobecnych.

— Aż strach za grdykę łapie, tak cicho na wsi! — zauważyła wkońcu Agata, gdy przymilkli i opadło ich głuche, martwe milczenie. — Gdzie to po inne roki, w tym zwieszonym czasie, to aż się wieś trzęsła od wrzasków i śmiechów!...

— Bo jako ten grób otwarty widzi się cała wieś, że jeno kamieniem przywalić i krzyże postawić... że nawet pacierza nie będzie miał kto zmówić, ni na mszę dać... — potwierdziła smutnie Kłębowa.

— Prawda! Pozwolicie, gospodyni, tobym ano na górkę poszła, gości me bolą po drodze i oczy już śpić morzy.

— A śpijcie, gdzie wama do upodoby przylegnać, miejsca nie brakuje.

Stara wnet pobierała sakwy i jęła się w sionce skrobać po drabce, gdy Kłębowa zaczęła mówić za nią przez wywarte drzwi:

— Hale! małom nie zabaczyła wama powiedzieć, że wzielim waszą pierzynkę ze skrzyni... Marcycha chorzała w zapusty na krosty... ziąb był taki, przyodziać nie było czem... tośwa se pożyczyci od waju... pierzyna już wywietrzona i choćby jutro a zaniesie się ją na górę...

— Pierzynę... wasza wola... juści, kiej było potrza.. juści...

Chyciło ją tak cosik za gardziel, że urwała; do-wlekła się poomacku do skrzyni, przykucnęła i podniósłszy wieko, jęła śpiesznie drżącemi rękoma bładzić i ob-macywać swoje wiano śmiertelne...

Juści... pierzyny nie było... a nową całkiem osta-wiła... w czystem obleczeniu... ni razu nie używaną... dyć ją z tych należnych piórek po pastwiskach uścibała... byle mieć na tę ostatnią skonania godzinę...

A wzieni ją... wzieni...

Płacz ją taki chycił, żałościwości pełen, że dziw jej serce nie pękło.

I długo pacierz mówiła, łzami go polewając gorz-kiemi, długo płakała i boleśnie a cichuško skarżyła się Jezusowi kochanemu na krzywdę swoją...

Noc musiała już być duża, bo ano kury piac za-czywały na północek, albo i na odmianę.

II.

Nazajutrz była Palmowa Niedziela.

Jeszcze dobrze przed słońcem, ale już o dużym dniu, wyrzała z Borynowej chałupy Hanka, w welniak jeno przyodziana i jakąś chuścinę, że to ziąb był na świe-cie galanty.

Zajrzała aż za opłotki, na drogę czarniawą, ro-sami opitą, a gdzie niegdzie oszroniała. Pusto było jeszcze i ni znaku życia, świt jeno skrzył się suchy

i przyodziewał zmartwiałe czuby drzew w modre obleczenia, zaś resztki nocy czaiły się strachliwie pod płotami.

Powróciła na ganek i z trudem przyklękawszy, że to leda tydzień spodziewała się rodów, jęła mówić pacierz, błędząc po świecie zaspanemi oczyma.

Dzień zaś roznosił się zwolna białawą pożogą, zozre przecierały się kieby przez sito, brzaskami osypując wschodnią stronę, która podnosiła się coraz wyżej, niby ten złoty baldach nad promieniejącą już, ale jeszcze nie widną monstrancją.

Że zaś przymrozek był z nocy, to płoty, mostki, dachy i kamienie polśniewały szronem, a drzewa stały kiej chmury przebielone.

Wieś jeszcze spała w przyziemnych mrokach utopiona, że jeno poniektóre chałupy bardziej przy drodze wylupywały się nieco jaśnią bielonych ścian, zaś po omlonej gładzi stawu wlekły się długachne, czarniawe pasma prądów, jakoby szkliwa tężejące.

Młyn gdziesik hurkotał bez przestanku, a jakaś niewidna rzeczka mrowiła się po kamieniach cichuskiem, przytajonem bełkotaniem.

Kokoty piały już na umor i ptaszyny różne zgwarzały się zcicha po sadach, jakoby w tym pacierru społecznym, kiej Hanka przecknęła, śpik ją ano zmorzył i strudzone, niewywczasowane kości ciągnęły pod pierzynę, ale się nie dała, szronem przetarła oczy i znalazłszy to zagubione słowo pacierrza, poszła w podwórze, nagładać chudoby, a budzić śpiące.

Najpierw wywarła drzwi do wieprzka, któren usi-

łował na przednie kulasy się zwlec, ale, że spaśny był wielce, zwałił się na gruby zad i jeno chrząkającym ryjem wodził za nią, gdy mu żarcie przegarniała, dorzucając niecoś świeżego.

— Portki tak ciężą, że ci i na kulasy nie łączno; jak nic, ma na cztery palce stoniny. — Obmacala mu boki z lubością.

Otwarła potem do kur, porzuciwszy przed progiem, na przynętę, świńskiego jedzenia przygarścią, że sfruwały z grzęd skwapliwie, koguty zaś piąc wzięły rozgłośnie.

Gęsi, zawarte pobok, przyjęły ją gęganiem i sykami; wyгнаła precz gąsiory, iż wnetki wojnę uczyniły z kurami, a zaczęła wyciągać z pod matek, siedzących w gniazdach, jaja i przepatrywać je pod światło.

— Leda godzina kluć się będą — myślała, nasłuchując cichego, ledwie odczuteo dziobania w jajach.

Rychtyk i Łapa wylazł z budy, kiej szła ku stajni, przeciągnął się a ziewał, nie bacząc na syczące nań gąsiory.

— Hale! próżniaczysko, niby parob noc przesypia, coby stróżował!

Pies pomachał ogonem, szczeknął radośnie, buchnął przez kury, aż się pierze posypało, i dalejże drzeć się do niej, skakać do piersi, a polizywać ręce, że rada nierada, pogłaskała go po łbie.

— Drugi człowiek a tak czujący nie będzie, jako to stworzenie. Miarkuje jucha gospodarza! Wyprostowała się ździebko, wodząc oczyma po oszroniałych da-

chach, bo jaskółki, siedzące rzędem na kalenicy, zaświegotały pieściwie.

— Pietrek! Dzień ano kiej wól! — zakrzyczała, bijąc pięścią we drzwi stajni, a posłyszawszy mruczenie i odsuwanie zawory, wywarła drugie zaraz drzwi do obory.

Krowy leżały rzędem przed żłobami.

— Witek! A to śpi pokraka, kiej po weselu!

Chłopak się wraz przebudził, skoczył z pryczy i jął pośpiesznie wciągać portczyny i cosik mamrotać strachliwie.

— Przyrzuc krowom siana, by przejadły do udoju, i zaraz przychodź skrobać ziemniaki. A Łysuli nie dawaj, niech ją sama pasie — dodała twardo, bo była to krowa Jagusi.

— Tak ją pasą, aże krowa ryczy i z głodu słomę z pod siebie wyjada.

— A niech zdycha, nie moja strata! — szepnęła zawzięcie.

Witek jeszcze tam cosik mruknął, ale skoro wyszła, gruchnął się wpoprzek barłogu z obertelkiem w garści, byle jeszcze z pacierz zadrzemać.

Hanka zaś poszła jeszcze do stodoły, gdzie na klepisku okryte słomą leżały ziemniaki, przebierane do sadzenia, i zajrzała pod szopę, kędy składali wszelki sprzęt gospodarski. Łapa wyskakiwał przed nią, co chwila zbaczając do gąsiorów i wojnę z niemi czyniąc, aż wszystko obejrzawszy bacznie, czy jakiej szkody z nocy-niema, jak to czyniła co dnia, połaża do przełazu, wyrzeć w pola, na oziminy.

Zacząła znowu mówić przerwany pacierz.

Słońce też już wstało, wskroś sadów powiała wichura płomieni, że szrony się zaiskrzyły i rosy jęły skapywać z drzew; wiater też się poruszył i gmerał cichusko w gałęziach, skowronki dzwoniły coraz rzęśściej, a we wsi, na drogach, czynił się ruch, slychać było chlustanie wody przy nabieraniu ze stawu, wrótnie kajś niekajś darły się zardzewiałe, to gęsi gdziesik krzyczały i pies naszczekiwał, abo i głos ludzki rozbrzmiewał w porankowej cichości.

Wieś się budziła później ździebko, że to niedziela była i kaźden rad dłużej wylegiwał pod pierzyną spracowane kości.

Hanka na nic nie baczyła, zstępując w siebie, w te różne myśle, jakie ją oprzędły, że pacierz jeno wargami mówiła, daleko od niego duszą i cała we wspomnieniach utopiona.

Podniosła ciche, opite radością oczy na pola szerokie, zawarte ścianą dalekiego lasu, po którym rozlewały się płomienie wschodu, iż z pośród modrawych gąszczów wyblyskiwały bursztynowe, grubachne chojary; zaś wszystkie ziemie jakoby drgały w złotych, budzących brzaskach; ozime zboża, mokrą, zielonawą wełną otulały zagony, a kajś niekaj po brózdach lśniły się poniki wody, kiej te srebrne strużyny, niesły się z pól wilgotne, chłodne przydechy wraz z tą świętą cichością wiośnianą, w jakiej to rośnie wszystko, i na świat się jawi...

Nie za tem jednakże patrzała i nie tego.

Jawiły się ano w niej przypominki bied, głodu, krzywdy, Antkowe przeniewierstwa, bóle kiej góźdz ra-

niące i tych smutków i utrapień tylachna, że aż ją dziw brał, jako to poredziła przemóc i przemogła i doczekała się, że oto Pan Jezus przemienił wszystko na lepsze...

Przecie na gospodarce jest znowu, na ziemi.

A kto mocen jest wyrwać ją stąd? Któren poredzi!

Zmogła już tyła, przecierpiała bez te pół roku, że drugi człowiek bez całe życie nie przecierpi, to udźwignie, co ta na nią Panu Jezusowi spuścić się spodoba, wydzierży i doczeka się Antkowego ustatkowania i że te ziemie będą ich na wieki.

Trzy niedziele całe, a jej się widzi, jakoby to wczoraj się stało, kiej chłopcy szły na las...

Nie poszła z inszemi, bo ano w jej stanie, ciężko było i nieprzezpecznie...

Turbowała się jeno o Antka, bo zaraz jej rzekli, jako z narodem się nie złączył i nie poszedł; rozumiała, iż to na złość staremu zrobił, a może i la tego, by się w ten czas gdzie z Jagusią zwieść...

Żarło ją to, ale wypatrywać go przecie nie poszła.

Aż tu przed samym południem przylatuje Gulbsiak i wrzeszczy:

— Pobylim dworskich! pobylim! — i kiej wściekły pognał dalej.

Zmówiła się z Kłębową i poszły naprzeciw. Dominikowej chłopak nadbiegał i już zdala krzyczy:

— Boryna zabit, Antek zabit, Mateusz i drugie!... — zatrzepał rękoma, cosik zamamrotał i padł, że trza mu było nożem zęby otwierać, by wlać wody, tak go ścisnęło z utrudzenia.

A jej wtedy dusza ze strachu zakrzepła na ten lity kamień.

Szczęściem, że nim jeszcze chłopaka docucili, wywalili się z boru na drogę i powiedali, jak było, a może w pacierz sama już dojrzała przy ojcowym wozie Antka żywego: jako trup był siny, okrwawiony, zgęła nieprzytomny.

Juści, że ją płacz chwycił i boleść ozdierała, ale się przemogła, ile że ją ociec, stary Bylica, odciągnął na bok i cicho powiedział:

— Stary wnet zamrze, Antek o Bożym świecie nie wie, a w Borynowej chałupie nikogój, jeszcze się kował tam wniesie i nikt go już nie wygoni!...

Zmiarkowała rychło, że w dyrdy poleciała do chałupy, zabrała dzieci i co było na podorędziu ze szmat, resztę zaś zdała na Weronczyną opiekę i przeniosła się chybcikiem na dawne miejsce, po drugiej stronie Borynowej chałupy.

Jeszcze Borynę opatrywał Jambroży, jeszcze ludzie byli się nie rozeszli, jeszcze cała wieś wrzała uciechą, a gdzie jękami pobitych, a ona cichuśko się wniesła i osiadła na amen.

A stróżowała pilnie: toć Antkowy też był gront, a stary ledwie zipał i mógł leda pacierz wyciągnąć kulasy.

Wiadomo przecież, iż któren pierwszy dopadnie dziedzictwa i wczepi weń pazury, to i nielacno go odebrać i prawo za sobą będzie miał.

Co jej tam znaczyły kowalowe krzyki a groźby,

któremi jej bronił wstępu, srodze zgniewany, iż go uprzędziła!

Pytać się to miała kogój o przyzwolenstwo, chyciła się ziemi, a jak ta suka warowała i broniła swojego, pewna rychłej śmierci starego i że Antka wezmą, bo ją był o tem uprzędził Rocho.

To i komu się to miała oddać w opiekę? Kiej wiadomo, że jak się sam człowiek nie przyłoży, to mu i Pan Jezus nie dołoży.

Nie płaczem i skamlaniem dochodzi się swego, a jeno temi kwardemi, nieustępliwemi pazurami — wiedziała ci ona już o tem, wiedziała!

Więc choć i Antka wzieni, uspokoiła się rychło, bo co poredzisz przeciw doli, człowieku? czem się oprzesz, kruszyno?

Gdzie zaś to był i czas na długie lamenty i wyrzekania, kiej tylachne gospodarstwo wzięła na swoją głowę!

Przecie sama ostała, kiej ten kierz na rozdroźnem wywieisku, jeno że się nie cofnęła przed robotą, ni ludzi nie ulękła. A przeciwko niej była Jagna; byli kowalowie, zawzięci na nią, że niech Bóg broni; był wójt, kótorem był swoje zamysły na Jagnę powziął i bez to sielnie się nią opiekował; był nawet dobrodziej, rychtowany nasprzeciw przez Dominikową.

Tyle że jej nie przemogli, nie dała się niczemu, co dnia głębiej wrastając w ziemię i krzepciej dzierząc w garściach rządu, iż ledwie po dwóch niedzielach, a już wszystko szło jej wolą, rozumem a mocą.

Ona zaś ni dojadła, ni dospała, ni wypoczęła, ha-

rując nikiej ten wół w jarzmie od świtania do nocy późnej.

Jeno, że to niezwyčajna była ni takiej pracy, ni stanowienia o wszystkim swoją głową, a wielce z natury nieśmiała i przez Antka zahukana, to jej tak ciężko nieraz przychodziło, aż ręce opadały.

Ale krzepił ją strach, by z gospodarki nie wysadzili, a i ta zawziętość przeciw Jagnie.

Zresztą z czego ta jej moc szła, to szła, dość, że się nie dała, urastając we wszystkich oczach na niemały podziw i uważanie.

— A to przódzi się widziała, jako trzech nie zliczy, a teraz ci już za dobrego chłopą stanie — powie dały o niej co najpierwsze we wsi gospodynie, że nawet Płoszkowa i drugie rade przyjacielstwa z nią szukały, chętnie wspomagając dobrem słowem i czem jeno mogły.

Juści, że wdzięcznem sercem przyjmowała, nie stowarzyszając się jednak zbyt i nie ciesząc z ich łask, bo niełacno zapominała krzywd niedawnych.

Nie lubiła pleść bele czego, to i nie potrza jej było sąsiedzkich ugwarzań, ni tego w opłotkach wystawiania obmowy.

Mało to swoich miała frasunków, by się jeszcze cudzem turbować!...

Właśnie wspomniało się jej o Jagnie, z którą wiedła zażartą, milczącą i nieustępliwą wojnę, o Jagusi, której samo przypomnienie było jako to żgnięcie w serce, że i teraz poderwała się z miejsca, żegnając się śpiesznie a bijąc w piersi na dokończenie pacierza.

Zeżliła się jeszcze bardziej, iż w chałupie spali, a i w podwórzu było cicho.

Skrzyczała Witka, spędziła z barłogu Pietrka, dostało się przytem i Józce, że słońce na chłopca, a ona się wyleguje.

— Jeno z oka spuścić na ten pacierz, a wszystkie po kątach śpią!

Mamrotała, rozpalając ogień na kominie.

Wywiedła dzieci na ganek i wetknąwszy im po glonku chleba, przywołała Łapy, by się z niemi zaba-
wiał, a sama poszła zajrzeć do Boryny.

Ale na ojcowej stronie było jeszcze całkiem cicho, że ze złością huknęła drzwiami; nie przebudziło to Jagny, stary zaś tak samo leżał, jak go była ostawiła wieczorem: na pasiato-czerwonej pościeli leżała jego sina, obrosła twarz, wychudła i tak zmartwiała, że podobien się stał do onych świątków w drzewie rzezanych; otwarte szeroko oczy patrzyły przed się nieruchomo, nic zgoła nie widzące, głowę miał owiazaną szmatami, a rozwiedzione szeroko ręce zwisały martwo, kiej te nadrażbane gałęzie.

Poprawiła mu pościeli, strzepując pierzynę bardziej na nogi, że to gorąco było w izbie, a potem nalewała mu po ździebku do ust świeżej wody: pił zwolna, aże mu grdyka chodziła, ale się nie poruszył; leżał wciąż, kiej ta kłoda zwałona, jeno w oczach zaświeciło mu co-sik, jak kiedy rzeka z pod nocy się przetrze i rozblyśnie na jedno oczymgnienie.

Westchnąwszy nad nim żałośnie, trzasnęła znowu

trepem w wiaderko, ciskając rozsrożonemi oczyma po śpiącej.

Ale Jagusia i tak nie przecknęła; leżała ano na bok, twarzą na izbę, pierzynę snadź z gorąca zepchnąwszy do pół piersi, że ramiona i szyja leżały nagie, zrumienione i ździebko ruchające się w cichem dychaniu: przez rozchylone, wiśniowe wargi lśniły się jej zęby, kiej te paciorki najbielsze, a rozplecione włosy burzyły się po białej poduszce, spływając aż na ziemię, kiej ten len najczystszy, w słońcu wysuszony.

— Zedrzyć ci ino pazurami tę gębusię, a nie wynosiłabyś się urodą nad drugie! — szepnęła Hanka z taką nienawiścią, aż ją w sercu zakłuło i same palce się sprężyły do darcia, ale bezwolnie przyglądała sobie włosy i zajrzała w lusterko, wiszące na okiennej ramie; cofnęła się jednak prędko, dojrzawszy swoją twarz wynędzniałą, pokrytą żółtymi plamami, i zaczerwienione oczy.

— Niczem się nie umartwi, dobrze się nażre, w cieple się wyśpi, dzieci nie rodzi, to nie ma być urodna! — pomyślała z taką goryczą, że wychodząc, drzwiami, trzasnęła, aż szyby zabrzęczały.

Obudziła się wreszcie Jagna. Jeno stary leżał wciąż bez ruchu, wpatrzony przed siebie.

Leżał już tak całe trzy niedziele, od kiela go z lasu przywieźli. Czasem się jeno jakby budził, Jagny wołał, za rękę ją brał, cosik chciał rzec i znowuj drętwiał, nie przemówiwszy ni słowa jednego.

Już mu i Rocho przywoził z miasta doktora, któren go obejrzał, na papierku cosik przepisał, dziesięć rubli

wziął, leki też kosztowały niemało, a rychtyk pomogło tyle, co i te darmowe Dominikowej zamawiania.

Zrozumieli rychło, jako się już nie wylize, i ostawili go w spokojności. Wiadomo jest, że kiej kto na śmierć choruje, to żeby mu już nie wiem jakie leki a doktory zwoził, zamrzeć musi, a ma zaś ozdrowieć, i bez niczyjej pomocy ozdrowieje.

Więc mieli kole niego tyle już jeno starunków, co mu ta często odmieniali na głowie zmoczone szmaty, wody pić podając, albo i ździebko mleka, bo jeść nie mógł, że mu się to wszystko zwracało.

Miarkowali też ludzie, a najbardziej Jambroży, jako praktyk był wielki, iż jeśli Boryna do rozumu nie przyjdzie, to śmierć będzie miał letką i rychłą. Spodziewali się jej codzien i nie przychodziła; aż się już mierziło to długie czekanie, boć trza go było pilnować i jaką taką dawać opiekę.

Jagny to było psie prawo doglądać i przy nim dulczyć — cóż, kiej nie poredziła i godziny w chałupie wysiedzieć? Stary obmierzył jej do cna i ciążyła ta ciągła wojna z Hanką, która ją odsuwała od wszystkiego i pilnowała gorzej złodzieja — to i nie dziwota, że ciągnęło ją na świat, że chciało się jej lecieć na te ugrzane przypołudnia, pomiędzy ludzi, na wolność, to zdawała pilnowanie Józce i niesła się niewiada gdzie, iż nieraz dopiero wieczorami wracała...

Józka zaś tyle go jeno doglądała, co przy ludziach: skrzat był to jeszcze głupi a latawiec. Hanka więc i to musiała wziąć na swoją głowę i o chorego dbać, bo chociaż i kowalowie mało dziesięć razy na dzień zaglądali,

to jeno po to, by jej pilnować, czy czego z chałupy nie wynosi, a głównie czekali, iż może stary przemówi jeszcze i majątkiem rozporządzi.

Żarli się przytem, jako te psy kiele zdychającego barana, i przepierali z warkotem, kto pierwej chyci kłami za jelita i jaką sztuczkę la siebie wyszarpie; tymczasowie zaś kowal, co ino upatrzył, co mu tylko w pazury wpadło, to porywał, choćby i stary postronek albo kawał deski; z garści trza mu było wyrywać i na każdym kroku pilnować, że dzień nie przeszedł bez kłótni a srogich pomstowań.

Powiadają: kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje, i prawda, ale kowal umiał wstawać i o północy, lecieć choćby na dziesiątą wieś, jeśli jeno szło o dobry zarobek; chłop był chciwy na grosz i tak zabiegliwy, jak mało któren.

Oto i teraz, ledwie co Jagna z łózka wylazła i wełniaki na się wdziała, drzwi skrzypnęły i on się cicho wsunął, prosto idąc do chorego.

— Nie gadał czego? — Zajrzał mu zbliska w oczy.

— Dyc leży, jak leżał! — odburknęła, zbierając włosy pod chustkę.

Bosa jeszcze była, w koszuli, ździebko rozespana i taka urodna, a jakowemś prażącym ciepłem buchająca i lubością, że powiódł po niej zmrużonemi ślepiami.

— Wiecie — przysunął się tuż do niej — organista wygadał się przede mną, że stary musi mieć sporo gotowego grosza, bo jeszcze przed Godami chciał dać chłopu z Dębicy całe pięćset rubli; o procenta się jeno

nie zgodzili. Muszą te pieniądze być schowane gdzie w chałupie... Uważajcie pilnie na Hankę, bo jakby chyliła przed nami, jużby ich ludzkie oko nie zobaczyło... Moglibyście zwolna, kryjomo przepatrywać wszystkie kąty, jeno by nikt się nie pomiarkował... Słuchacie to?

— Coby zaś nie! — okryła ramiona zapaską, bo jakby ją obmacywał temi złodziejskimi ślepiami.

Przeszedł się kołujący po izbie i niby od niechcenia zaglądał za obrazy, wyszukując przytem pilnie, gdzie popadło.

— Macie to klucz od komory? — Łypnął ślepiami na małe, zawarte drzwi.

— A wisi na Pasyjce pod oknem.

— Dłutał mu pożyczyl, będzie już z miesiąc, a teraz mi potrzebne i nikaj go naleźć nie mogę. Myślę, co tam w rupieciach zarzucone...

— Szukajcie sami, ja go wama nie wyślípam.

Odstąpił od drzwi, bo rozległ się w sieni głos Hanki, klucz na miejscu powiesił i za czapkę wziął.

— To jutro poszukam... pilno mi bieżyć do dom... Rocho przyjechał?

— Ja to wiem? Spytajcie Hanki!

Postał jeszcze ździebko, poskrobał rudych wąsów, a oczy to mu, jak te złodzieje, latały po kątach; zaśmiał się cosik do siebie i poszedł.

Jagna zrzuciła zapaskę i jęła się ślania łóżka i drugich uprzętań, rzucając niekiedy przyczajone spojrzzenia na męża, i tak zawždy chodziła po izbie, by się nie natknąć na jego oczy, wciąż rozwarte.

Juści, że był jej obmierzły, bojała się go i niena-

widziała całą mocą za wszystkie krzywdy doznane, a ile razy ją wołał i brał w swoje rozpalone i lepkie ręce, zamierała z obrzydzenia i strachu, tak śmiercią wiało od niego i trupem, ale pomimo wszystkiego, może jeno ona jedna najszczerzej pragnęła, by wyzdrowiał.

Teraz-ci dopiero miarkowała, co straci, skoro go nie stanie; przy nim gospodynią się czuła, słuchali jej wszyscy, a drugie kobiety czy dzieuchy, rade nierade, uważać ją i ustępować pierwszego miejsca musiały — jakże! Borynową przecie była — Maciej zaś, chociaż w domu był kąśliwy kiej pies i dobrego słowa nie dał, ale przed ludźmi wielce dbał o nią i strzegł, by jej kto nie śmiał nie poszanować.

Nie rozumiała ona tego przódzi, dopiero kiej Hanka zwała się do chałupy i górę nad nią brać zaczęła, odsuwając od panowania, poczuła swoje opuszczenie i krzywdy.

Nie o gront jej szło przecież — co jej tam były majątki?... tyle stała o nie akuratnie, co o łońskie lato, a chociaż już się zwyczaiła do rządów i rada była wielce wynosić się a puszyć bogactwem i rozpierać na swoim, to i za temby nie płakała, bo u matki było jej też niezgorzej — ale jedno ją ano gnębiło boleśnie, że przed Hanką ustępować musi, przed Antkową kobietą: to ją przypiekało do żywego, budząc złość i chęć robienia nasprzeciw.

Juści, że ją i matka podmawiała, kował rychtował codziennem podjudzaniem, bo sama z siebie, toby może rychło ustąpiła. Tak ją już mierziły te wojny, że nieraz chciała wszystko ciepnąć i przenieść się do matki.

— Ani się waż! siedź, póki nie zamrze! waruj swojego! — nakazywała srogo stara.

To i siedziała, choć cnilo się jej nieopowiedzianie — jakże? całe dni nie było do kogo gęby otworzyć, ni pośmiać się z kim, ni wybiec do kogo...

A w domu pojękiwał stary, była Hanka, zawsze gotowa do kłótni, szła ciągle wojna, że już zgola było nie do wytrzymania.

U matki też było nie sposób wysiedzieć.

To latała z kądzielą po chałupach — ale mogła to i tam wytrzymać, kiej we wsi były same kobiety, rozkisle, rozplakane, rozwrzeszczane, jako te dni marcowe, a wszędy, jako ta nieustająca litanja, wyrzekania, a ni-kaj żadnego parobka, choćby na lekarstwo!

Ze już ni miejsca, ni rady dać sobie nie mogła.

Do tego zaś często, coraz częściej nawiedzały ją wspominki o Antku.

Prawda, jako pod sam koniec, nim go wzięli, wielce ku niemu ochłodła i te spotykania już były jeno strachem i męką; na ostatku zaś ukrzywdził ją jeszcze tak bardzo, aż dusza pęczniała żalem na przypominki... ale miała wyjść do kogo, wiedziała, że tam, pod brogiem, o każdym zmierzchu czeka na nią i wypatruje... że jest ktosik, któremu lubo się słuchać... To choć się trzęsła z trwogi, by nie wypatrzyli, choć i on nieraz skrzyczał za długie czekanie, ochotnie biegła, zapominając o całym świecie, gdy ją przygarnął do siebie krzepko, niby ten smok ognisty, i brał, ni pytając o przyzwolenstwo... Ni w myśli postalo opieranie, kiej ścisnął, aż ją mdliło w dołku, i takim warem przejmował.

Nieraz do północkska zasnąć nie mogła, chłodząc rozpaloną całunkami twarz o zimną ścianę, wzburzona do dna i pełna w kościach onych słodkich, prążących ogniem wspominań!

A teraz jest, jak ten kolek, sama, nikt jej nie podpatruje, nikt nad nią prawa nie ma, ale i do nikogo się nie wydziera, nikt już jej tam za przełazem nie czeka, i nikt nie przyniewala...

Że wójt za nią chodzi, podskubuje, słodkie słówka prawi, do plotów przyciska, do karczmy na poczęstunek ciągnie i radby ją dla siebie zniewolił, to ino bez to mu przyzwala, że cknę się jej wielce i niema z kim drugim się pośmiać, ale tak mu do Antka, kiej psu do gospodarza!

I przez złość to jeszcze robi la całej wsi i la tamtego.

Sposponował-ci on ją i sponiewierał na ostatku! Jakże — całą noc i cały dzień przesiedział w chałupie, przy starym, nawet spał na jej łóżku, krokiem się prawie z izby nie ruszał, a jej jakby nie dojrzał, choć wciąż stawała przed nim, jak ten pies, skamląc oczyma o znielowanie.

Nie spojrział na nią, ojca jeno widział a Hanke i dzieci, psa nawet.

To może i bez to już do cna straciła serce do niego, i całkiem się w niej przemieniło naprzeciw, bo kiej go brali w kajdany, wydał się jakimś drugim, obcym zgoła i tak obojętnym, że nie potrafiła go żałować, a nawet ze skrytą radością przyglądała się Hance, jak ta włosy

rwiała, lbem tłukąc o ścianę i wyjąc, niby suka za topionemi szczeniętami.

Cieszyła się mściwie z jej udręki, odwracając z odrazą oczy od jego twarzy strasznej, jakoby wpół obłąkanej.

Tak się wtenczas obcym stał dla niej, że nawet nie umiałyby go sobie teraz przypomnieć, jak człowieka raz jeden widzianego.

Ale temci lepiej baczyła tamtego Antka, tamtego z dni miłowań i szałów, z dni schadzek i przytulań, całunków i uniesień... tamtego, ku któremu teraz, w nie-spasane często noce wydzieriała się jej dusza i rozprężone udręką serce krzyczało żalem i tęsknicą nieopowiedzianą.

Do tamtego... z tamtych dni szczęścia rwiała się Jagusina dusza, ani wiedząc, kędy jest i żywie-li on gdzie we świecie szerokiem...

Ano i teraz snuł się jej przez pamięć jako ten sen luby, z którym się ciężko rozstawać, kiej znowu rozległ się wrzaskliwy głos Hanki.

— Kiej pies odarty, tak się wydiera i dunde-ruje! — szepnęła, rozbudzona z przypominków.

Słońce już bowiem zaglądało, rozczzerwienając mroczną izbę, ptaki radośnie ćwierkały w sadzie, podnosiło się ciepło, bo z dachów, kieby szklanemi paciorkami spływał przymrozek, a przez wywarte okno wraz z wietrzykiem porannym buchał krzyk gęsi, trzępiących się w stawie.

Krzątała się po izbie kiej szczygieł, z cichą przyspiewką, boć to niedziela była i czas nadchodził szy-

kowania się do kościoła z palmami, już owe pędy łozy czerwonej, pokryte srebrzystymi kotkami, stały w dzbanku od wczoraj, pomdlałe nieco, że to im wody zapomniała nalać. Poczęła je właśnie troskliwie cucić, gdy Witek wrzasnął przez drzwi:

— Gospodyni kazali, byście swoją krowę napaśli, aż z głodu ryczy!

— Powiedz, że wara jej do krowy mojej! — odkrzyknęła w cały głos, nasłuchując, co tamta wyszczekuje na odzew.

— A pyskuj, póki ci gęba nie ustanie: nie dowiedziesz me dzisiaj do złości!

I jęła najspokojniej wybierać ze skrzyni ubiory, rozkładając je po łóżku, rozpatrując, w jakieby się przyodziać do kościoła; naraz, kiej ta chmura padnie na słońce, iż się wszystek świat przyciemni, tak-ci i w niej dziwnie pomroczało. Pocóż się to przybierać będzie i stroić? dla kogo?

La tych babskich ślepiów, zazdrośnie taksujących każdą jej wstążkę i potem za to obnoszących ją na ozorach?

Odbiegła strojów z niechęcią i, siadłszy w oknie, czesała jasne, bujne włosy, smutnie spozierając na wieś, w słońcu już całą i w topliwych rosach połyskującą; domy kajś niekaj przebielewały się ze sadów i słupy niebieskich dymów buchały w górę, zaś na drodze, po drugiej stronie stawu, całkiem przysłoniętej drzewami, przechodziły niekiedy kobiety, bo widziała czerwień wełniaków, odbitą we wodzie i jak się przesuwwały wskroś mdlejących już cieniów drzew nadbrzeżnych; potem gęsi

przeplýwały białemi sznurami, że się wydawało, jakoby plynęły wskroś modrej topieli nieba odbitego, ostawiając za sobą te czarniawe, półkoliste kręgi, kiej węże ci-cho pelznące; to chybotliwe jaskółki przewijały się ni-ziutko, lyskając białemi brzuchami, a gdziesik znowu, u wodopojów, krowy porykiwały lub pies naszczekiwał.

Zagubiła wnet pamięć tych rzeczy, topiąc oczy w górze, wysoko, gdzie na modrem niebie pasły się stada chmur, białym, wełnistym barankom podobne, bo gdzie-sik z pod nich, w wysokościach ciągnęło jakieś niedoj-rzane ptactwo, że jeno krzyk długi a jękliwy rozsypywał się nad ziemią rzewliwie, aż ją od tych głosów sparło cosik pod piersiami, a nagła, zdawna już czająca się tęsknica ścisnęła serce, że wodziła przygasłemi oczyma po rozruchanych drzewach, po wodzie, kaj i owe chmury zdały się płynąć, zanurzone w niebieskościach, po wszyst-kim świecie, nic jeno nie rozpoznając z poza wezbranej tęskności, że lzy ważne pociekły po zbladłych policzkach, kieby te paciorki lśniące rozerwanego rózańca, i suly się wolno jedna za drugą i gdziesik, na samo dno duszy spływały.

Mogła to zmiarkować, co się jej stało?

Jeno czuła, iż ją cosik rozpiera, podrywa i ponosi, że oto poszłaby na kraj świata, gdzie oczy poniesą, gdzie jeno powiedzie ta tęskność niezmożona. I płakała tak bezwolnie i prawie bezboleśnie, jako to drzewo, obciążone kwiatem w wiosniane poranki, kiej słońce przygrzeje a wiatry zakolebią, rosi obficie, wpiera się w ziemię, nabrzmiewa sokami rodnemi, a kwietne gałę-zie ku niebu podaje...

— Witek! a poproś pięknie tej dziedziczki na śniadanie! — wrzasnęła znowu Hanka.

Jagna, kieby przecknęła, otarła lzy, doczesła włosów i poszła śpiesznie.

W Hancynej izbie już wszyscy siedzieli przy śniadaniu. Z michy kurzyły się ziemniaki, właśnie je była Józka omaszczała śmietaną przesmażoną z cebulą, gdy reszta już bodła łychami, wlepiając łakome ślepie w jadło.

Hanka wzięła pierwsze miejsce w pośrodku przed ławą, na której jedli, Pietrek siedział wkońcu, a pobok niego przykucał na ziemi Witek, Józka zaś pojadła stojący, pilnując dokładania, a dzieci siedziały pod kominem przy niezgorszej miseczce, oganiając się łyżkami przed Łapą, któren kiedy niekiedy pojadał razem z niemi.

Jagna miała swoje miejsce od drzwi, naprzeciwko Pietrka.

Jedli zwolna, spozierając niekiedy z pod łbów.

Darmo Józka trzepała trzy po trzy i Pietrek rzucał jakie słowo, a wkońcu i Hanka zagadywała, tknięta jej zapłakanemi, smutnemi oczyma, Jagusia ni pary z gęby nie puściła.

— Witek, a któren ci takiego guza nabił? — pytała Hanka.

— Zwalilem się o złób! — Rozczerwienił się kiej rak i potarł bolące miejsce, porozumiewawczo spoglądając na Józkę.

— Przyniosłeś to już gałązek z palmami?

— Zaraz polecę, ino zjem — tłumaczył się, śpiesznie dojadając.

Jagna położyła łyżkę i wyszła.

— Znowuj bąk ją jakiś ukąsił! — szepnęła Józka, dolewając barszczu Pietrkowi.

— Nie kaźden umie trajkotać tak ciągiem, jak ty. Doiła to już krowę?

— Zabrała szkopek, to pewnie poszła do obory.

— Hale, Józia, trza dla siwuli makuchu ugotować.

— Już siarę odpuszcza, próbowałam dzisiaj.

— Odpuszcza, to leda dzień się ocieli...

— Ciolka będzie miała! — rzekł Witek, podnosząc się od jadła.

— Głupi! — szepnął pogardliwie Pietrek, popuszczając ździebko obertelek, że to był niezgorzej podjadł, i zapaliwszy od główki papierosa, wyszedł razem z chłopakiem.

Kobiety w milczeniu wzięły się do roboty. Józka zmywała naczynia, a Hanka słała łożka.

— Pójdziecie do kościoła z palmami?

— Idź z Witkiem, Pietrek też może, niech jeno konie obrzędzi; ja ostanę, przypilnuję ojca i może Rocho wróci akuratnie i co nowego przyniesie od Antka...

— Nie powiedzieć to Jagustyńce, żeby jutro przyszła do ziemniaków? co?

— Juści, same nie wydołamy, a na gwałt trza je przebierać.

— A i gnój jużby rozrzucić!

— Pietrek jutro na południe ma skończyć wywózkę, to od obiadu weźmie się z Witkiem do rozrzucania; co czasu zbędzie, to i ty pomożesz...

Wrzask gęsi podniósł się przed oknami, wpadł zadyszany Witek.

— Że to nawet gąsiorom spokoju nie dajesz!

— Szczypać me chciały, tom się ino obraniał!

Rzucił na skrzynię cały pęk wilgotnych jeszcze od rosy złotawych różeg, osypanych bażkami. Józka jęła je układać, związując czerwoną wełną.

— Bociek to kujnął cię w czoło? — spytała go pocichu.

— Juści, że nie kto drugi, nie wydam me ino... — Obejrzał się na gospodynię, wybierającą ze skrzyni święteczne szmaty. — A to ci powiem, jak było... Wy-patrzyłem, że na noc przed gankiem ostaje... podkradłem się późną nocą, kiej już wszyscy na plebanji spali... i jużem go brał... a choć me kujnął... byłbym spencerkiem go okręcił i wyniósł... kiej psy me zwietrzyły... znają me przecie, a tak docierały zapowietrzone, że musia-łem uciekać, jeszcze mi nogawice ozdarzy... ale nie da-ruję...

— A jak się ksiądz dowie, żeś mu wziął boćka?

— A kto mu to powie?... A odbierę mu, bo 'mój.

— A kaj go schowasz, by ci nie odebrali?

— Już ja taki schówek umyśliłem, że i strażniki nie zwąchają... A potem, kiej przepomną, sprowadzę go do chałupy i powiem, com se nowego znęcił i oblaska-wił — rozpozna to kto, Józia? Ino me nie wydam, to ci jakich ptaszków przyniosę, albo i młodego zajączka.

— Chłopak to jestem, bym się ptaszkami bawiła? Głupi, przebierz się zaraz, to razem pójdziem do ko-ścioła.

— Józia, dasz mi ponieść palmę? co?

— Zachciało mu się!... dyć ino kobiety mogą nieść do poświęcania.

— Przed kościołem ci oddam, ino przez wieś...

Prosił tak gorąco, aż przyobiecała, zwracając się prędko do wchodzącej właśnie Nastki Gołębianki, już wyszykowanej do kościoła i z palmami w ręku.

— Nie miałaś czego o Mateuszu? — zagadnęła Hanka po przywitaniu.

— Tyle jeno, co wójt wczoraj przywiózł: jako zdrowszy.

— Wójt akuratnie tyle wie co nic, albo i wymyśli, czego nie było.

— To samo pono i dobrodziejowi mówił.

— A o Antku to i słowa rzec nie umiał.

— Pono Mateusz siedzi z drugimi, Antek zaś osobno.

— I... tak jeno szczeka, żeby się miał z czem do chałup zamawiać...

— Był to z tem i u was!

— Co dnia zachodzi, ale do Jagusi; ma z nią jakieś sprawy, to się schodzą i przed ludźmi uredzają w opłotkach.

Powiedziała ciszej, z naciskiem, wyglądając oknem, bo w sam raz Jagna schodziła z ganku, wystrojona sielnie, z książką w ręku i z palmami. Długo patrzyła za nią.

— Spóźnita się, dzieuchy: ludzie już całą drogą walą.

— Nie przedzwaniiali jeszcze.

Ale wraz i dzwony się ozwały hukliwie, nawołując w dom Pański, i bimbały wolno, długo i rozgłośnie. Że w jaki pacierz, a wszyscy poszli z chałupy do kościoła.

Hanka ostała sama, nastawiła obiad, przyogarnęła się nieco i, zabrawszy dzieci, siadła z niemi na ganku, by je wyczesać i przeiskać, że to w tygodniu nie starczyło nigdy czasu.

Słońce podniosło się już dość wysoko i ludzie ze wsząd zbierali się do kościoła, co trocha wysypując się z opłotków, że po drogach, niby te maki, czerwieniały się kobiece przyodziewy i brzmiały pogwary z krzykami dzieci, zabawiających się ciskaniem kamieni po wodzie i za ptakami; niekiedy wozy turkotały, pełne ludzi z drugiej wsi, to chłopcy jakieś, snadź obce, przechodziły, pochwalając Boga, aż zwolna wszyscy przeszli i opustoszałe drogi pomilkły.

Hanka, wyiskawszy dzieci do czysta, zaprowadziła je na słomę przed doły, by się same zabawiały, zajrzała do parkocących garnków i wróciła na dawne miejsce, modląc się półgłosem na koronce, że to na książce nie umiała.

Dzień już się podnosił ku południowi, cichość zgoła świąteczna ogarniała wieś, że nikaj głosów żadnych nie było, tyle jeno, co te wróble ćwierkania i święgoty jaskółek, lepjących gniazda pod okapami. Czas był ciepły, pierwsza wiosna ledwie co trąciła ziemię i tknęła drzew; niebo wisiało młode, przemodrzone i dziwnie lyskliwe; sady stały bez ruchu, ku słońcu podając gałęzie, nabite spęczniałymi pąkami, zaś olchy, staw brzeżące,

niby w cichuśkim dychaniu poruchiwały żółtymi baziemi, a pędy topól rdzawe, lepkie i pachnące, a jakoby miodem ciekące, otwierały się na światło, niby te dzioby piskłące...

Pod chałupami dogrzewało galantó, że już muchy wylazły na ogrzane ściany, a czasem i pszczoła się pokazywała, z brzękiem padając na stokrotki, patrzące z pod płotów, albo się pilnie nosiła po krzaczach, co niby zielone płomienie buchały młodemi listkami.

Ale z pól i od borów zawiewał jeszcze ostry, wilgotny wiatr.

Msza już musiała być w połowie, bo w cichem i jakoby wrzącem wiosną powietrzu prężyły się głosy śpiewów dalekich, organowe grania i czasem, jako ten deszcz rzęśisty, rozsypywały się w mdlejące dźwięki dzwonek.

Czas snuł się wolno i cicho, bo kiej słońce stanęło najwyżej, to nawet ptaki zamilkły, jeno że wrony, czające się złodziejsko za gąsieniami, przewijały się nisko nad stawem, krzyk niecąc gąsiorów; bociek też raz jeden zaklekotał gdziesik i przeleciał blisko, że ino jego cień wielgachny poniósł się po ziemi.

Hanka modliła się żarliwie, bacząc na dzieci, a i do starego zaglądnąc niekiedy.

Ale cóż, leżał jak zawsze, bez ruchu i przed się zapatrzony.

Domierał se tak zwolna, dochodził swojego czasu po ździebku, z dnia na dzień, jako to zboże kłosne, w słońcu pod ostry sierp dojrzewające... Nie rozpoznawał nikogo, bo nawet wtedy, kiej Jagny wołał i za ręce

ją brał, w inszą stronę patrzył; Hance się jeno wydawało, co na jej głos poruchuje wargami, a oczy mu chodzą, jakby chciał cosik rzec...

I tak było wciąż bez przemiany, aż płacz chwycił patrzących.

Mój Jezu, kto by się był tego spodziewał! Taki gospodarz, taki mądrała, taki bogacz, że trudno znaleźć drugiego, a teraz ci leży, niby to drzewo piorunem rozłupane, gałązków zielonych jeszcze pełne, a już śmierci na pastwę wydane...

Nie pomarł przecie i nie żywie, jeno wszystek już w rękach boskiego miłosierdzia.

O doło człowiekowa, doło nieustępliwa!

O boskich przeznaczeń mocy, która się jawisz, kiej się nikt nie spodzieje, czy w dzień biały czy też w noc ciemną, a jednako kruszynę ludzką mieciesz w gorzkiej śmierci strony!...

Dumała nad nim żałośnie, pogładając ku niebu, westchnęła raz i drugi, skończyła koronkę i wziąć się musiała do południowych udojów, bo wzdychy wzdychami, a robota pierwsza przed wszystkim.

Kiej wróciła z pełnemi szkopkami, już wszyscy byli w chałupie. Józka powiedała, o czem ksiądz mówił z ambony i kto był w kościele; gwarno stało się w izbie i na ganku, że to kilka rówieśnic z nią przyszło, i społecznie łykali te kotki poświęcane, chroniące pono od bólów gardzieli.

Śmiechu było niemało, że to niejedna przelknąć nie mogła i zakrztusiła się, aż wodą popijając, albo ją

musiano pięścią grdykać w plecy, by łacniej przeszło, co Witek z wielką uciechą robił.

Jagna jeno nie wróciła na obiad; widzieli ją idącą z matką i kowalami. A ledwie co wstali od misek, kiej wszedł Rocho. Rzucili się witać radośnie, bo bliskim im się stał, niby ten dziaduś rodzony, a on się witał cicho, każdemu coś rzekł i w głowę całował, ale gdy mu podano jeść, nie jadł: strudzony był srodze i troskliwie obzierał się po izbie. Hanka warowała jego oczu, a nie śmiejąc pytać.

— Widziałem się z Antkiem! — rzekł cicho, nie patrząc na nikogo.

Zerwała się ze skrzyni; strach ją przejął i za serce ścisnął, że słowa nie mogła wykrztusić.

— Zdrowy całkiem i dobrej myśli. Choć strażnik nas pilnował, rozmawiałem z nim dobrą godzinę.

— W tych żelazach siedzi? — wykrztusiła strachliwie.

— Cóż znowu!... zwyczajnie, jak i drudzy!... nie jest mu tam tak źle, nie bójcie się.

— Bo Kozioł rozpowiadał, jako tam biją i do ściany przykuwają.

— Może tak i bywa gdzie indziej... za co inszego... ale Antka nie tknęli, powiadał.

Spletła ręce z radości, a uśmiech, kiej słońce, przemknął po niej.

— A na odchodnem zapowiedział, byście, na nic nie bacząc, wieprzka zabili jeszcze przed świętami, bo i on chce święconego zażyć.

— Głodzą go tam chudziaka, głodzą! — jęknęła zawodliwie.

— Kiej ociec mówili, że jak się podpasie, to przedadzą — zauważyła Józka.

— Mówili, ale kiej Antek przykazują zabić, to jego teraz wola pierwsza po ojcowej — podniosła ostry, nieustępliwy głos.

— I jeszcze mówili, abyście na roli kazali robić wszystko, co potrzeba, na nic się nie oglądając. Powiedziałem, jako tu sobie zmyślnie poczynacie.

— Rzekł to co na to? powiedział?

Radość ją warem oblała.

— To mi powiedział, że jak zechcecie, poredzicie wszystkiemu...

— A poredzę, poredzę! — szepnęła z mocą i oczy jej rozblęły nieustępliwą wolą.

— Cóż tu u was nowego?

— A nic, jak było... Puszczą go to rychło? — zapytała z dygotem trwogi.

— Może zaraz po świętach, może ździebko później, jak śledztwo skończą... A to się przewlecze, że to wieś cała, tyle ludzi... — odpowiadał wymijająco, nie patrząc jej w oczy.

— Pytał się to o chałupę, o dzieci, o... mnie..., o wszystkich?... — zaczęła trwożnie.

— Pytał, juści, kolejno powiadałem.

— I... o wszystkich we wsi?...

Strasznie się jej wiedzieć chciało, zali o Jagnę też pytał, cóż, kiej nie śmiała zagadać otwarcie, a ubocznie zaś, tak, by nie miarkując niczego, sam się wygadał,

długo się biedząc, nie potrafiła, że i sposobny czas przeszedł, bo się już rozniosło po wsi o jego powrocie, i wkrótce, jeszcze przed nieszporama, zaczęły się schodzić kobiety, ciekawe wielce posłyszeć nieco o swoic'u.

Wyszedł do nich przed dom i, siedząc na przyźbie, rozpowiadał, co się był o każdym zosobna wywieział, i choć nic złego nie mówił, a to babskie ciche chlipanie jęło się wzmacać w gromadzie, gdzie zaś i płacz głośny, a gdzie i słowo żałośliwe się wyrwało...

A potem zaś na wieś poszedł, wstępując do każdej prawie chałupy, a widział się jako ten świętek z ową białą brodą i wzniesionemi oczyma, któren wszędy niósł te słowa pociechy, a kaj wstąpił, to jakby jasnością napełniały się izby, a w sercach zakwitwały nadzieje i dufność krzepiła chwiejne, ale i lzy rześiściej płynęły i odnowione wspomnienia ciężej przygniatały i żałośliwość tęskliwiej wstawiała...

Bo prawdę była rzekła wczoraj Kłębowa do Agaty, iż wieś stała się podobna do grobu otwartego; prawda, bo niby po zarazie widziało się w Lipcach, kiej to większą część narodu wywiezą pod mogiłki, albo zaś i wtedy, kiej to wojna przetratuje a chłopów wybije, że jeno po chałupach opustoszałych ostają babie lamenty, dziecińskie płacze, wyrzekania, i te wzdychy, i ta żywa a silnie boląca pamięć krzywd.

Że już i nie wypowiedzieć, co się w umęczonych duszach działo!

Trzecia niedziela się kończyła, a Lipce jeszcze się nie uspokajały, naprzeciw zaś, bo ciągiem wzrastało poczucie krzywdy i niesprawiedliwości, to i nie dziwota,

jako o każdym świtaniu, kiej przecknęli jeno ze śpiku, w każde przypołudnie i na odwieczrze każdym — w chałupach, czy na dworze, gdzie się jeno naród kupił, nieustannie i lamentliwie, niby ten pacierz dziadowski, rozlegały się wyrzekania i żądza odemsty pleniła się w sercach, kiej to djabelskie, złe zielsko, że same pięści się zaciskały i krwawe, zawzięte słowa rwały się piorunami.

To juści, że Rochowe słowa, kiej ten kijaszek, jakim niebacznie rozgrzebią przytajony ogień, iż płomień znowu siłą wybucha, to jedno sprawiły, co we wszystkich wszystkich pamięć krzywd wywlekły przed oczy, iż nawet małb kto poszedł na nieszpory, zbierali się jeno po opłotkach, po drogach stowarzyszali, to do karczmy szli, poredzając, płacząc a pomstując...

Jedna Hanka spokojniejszą się uczuła i tak rada mężowej pochwały, tak nią skrzepiona na duszy i pełna nadziei, żadna roboty i pokazania, że poradzi wszystkim, iż nie sposób tego wypowiedzieć.

Skoro się rozeszły kobiety, wraz też przysła kowalowa posiedzieć przy chorym, Hanka zaś z Józką udały się do chlewu wieprzka oglądać.

Wypuściły go na podwórze, ale że świntuch był spasiony, to uwalil się zaraz w gnojówce i ani chciał się ruszyć.

— Nie dawaj mu już dzisiaj jeść, niech się oczyści.

— Akuratnie i zapomniałam dać, mu po południu...

— To i dobrze na ten raz, trzaby go jutro sprawić. Wołałaś Jagustynki?

— Przyjść obiecała jeszcze dzisiaj, na odwieczerzu...

— Odziej się i bieżyj do Jambroża, niech jutro choćby i po mszy, a przychodzi ze statkami oporządzić wieprzka.

— Będzie to mógł, kiej dobrodziej zapowiadał, co jutro dwóch księży przyjedzie słuchać spowiedzi?

— Czas znajdzie!... wie, że gorzałki żałować nie będę, a on jeno poradzi galanto szlachtować i mięso sprawić. Jagustynka też pomoże.

— Tobym raniusko jechała do miasta po sól i przyprawę...

— Zachciało ci się przewietrzyć!... nie potra: wszystkiego dostanie u Jankła, sama tam zaraz pójdę i przyniesę.

— Józka! — krzyknęła jeszcze za nią — a gdzie to Pietrek z Witkiem?

— Pewnikiem poszli na wieś, bo Pietrek wziął skrzypice.

— Spotkasz ich, to przypędź, niechby z szopy ko-ryto przynieśli przed chałupę, trza je będzie rankiem wyparzyć.

Józka rada, że mogła się wyrwać na wieś, pognęła do Nastki, by spólnie poszukać Jambroża.

Ale Hanka nie wybrała się do karczmy, zaraz bowiem przywłókł się jej ociec, stary Bylica, więc dała mu podjeść nieco, opowiadając radośnie, co był Rocho przy-

wiół od Antka, i nie skończyła wszystkiego, kiej wpadła z krzykiem Magda:

— Chodźcie prędej, ojcu cosik jest!

Jakoż Boryna siedział na kraju łóżka, rozglądając się po izbie. Hanka przypadła ku niemu trzymać, aby nie zleciał, a on wodził oczyma po niej, wlepiając je naraz we drzwi, którei właśnie kowal wchodził niespodzianie.

— Hanka!

Powiedział wyraźnie i mocno, aż struchlała w sobie.

— Dyć jestem. Nie ruchajcie się ino, doktor wzbrania — szeptala zestrachana.

— Co tam na świecie?

Głos miał rozbity, obcy jakiś.

— Zwiesna idzie, ciepło... — jąkała.

— Wstali to?... czas w pole...

Nie wiedzieli, co rzec, spoglądając na siebie; ino Magda ryknęła płaczem.

— Swojego bronić! nie dajta się, chłopcy!

Krzyczał, ale słowa mu się rwały, jął się trząść i gibać w Hanczynych ręku, że kowalowie chcieli ją wyręczyć; nie popuściła jednak, mimo, że już mdlały jej ramiona i grzbiet. Patrzali w niego z trwogą, czekając, co powie.

— Jęczmionaby siać pierwsze... Do mnie, chłopcy!... ratunku!... — krzyknął naraz strasznie, wyprężył się i padł wtył, oczy mu się zwarły, zarzęział.

— Umiera!... Jezus!... umiera!... — wrzeszczała Hanka, targając nim z całej mocy.

A Magda wnet zapaloną gromnicę wtykała mu w bezwładną rękę.

— Księdza, prędzej, Michał!...

Ale nim kowal wyszedł, Boryna otworzył oczy, puszczając z rąk gromnicę, że się potrzaskała w kawałki.

— Już mu przeszło, szuka czegoś...

Szeptał, nachylając się nad nim, ale stary odepchnął go dość silnie i zawołał zupełnie przytomnie:

Hanka, wypraw tych ludzi.

Magda z płaczem rzuciła się do niego, ale snadź jej nie poznał.

— Nie chcę... nie potrza... wypędź... — powtórzał uporczywie.

— Choć do sieni ustąpcie, nie sprzeciwiajcie się... — błagała.

— Wyjdz, Magda, ja się z tego miejsca nie ruszę — wycedził nieustępliwie kowal, miarkując, że stary chce coś tajnego Hance powiedzieć.

Dosłyszał to stary i uniósłszy się, tak groźnie spojrzał, wskazując mu ręką drzwi, że się wyniół, kiej ten pies kopnięty, z przekleństwem skoczył do płaczącej na ganku Magdy, ale zagnała przycichł, rozejrział się i wpadł do sadu i przebrawszy się chyłkiem pod szczytowe okno, przywarł pod niem nasłuchiwać, bo jak raz tam dotykały głowy łóżka, że przez szyby można było posłyszeć coś niecoś.

— Siądź przy mnie...

Rozkazał stary po jego wyjściu.

Juści że przysiadła na brzeżku, ledwie płacz powstrzymując.

— W komorze znajdziesz nieco grosza... schowaj, by ci go nie wydarli...

— Gdzie?

Trzęsa się już ze wzruszenia.

— We zbożu...

Mówił wyraźnie, odpoczywając po każdym słowie, a ona, tłumiąc strach jakiś, cała była w jego oczach, świecących dziwnie.

— Antka broń... pół gospodarki sprzedaj, a nie daj go... nie daj... twoje...

Nie skończył już, posiniał i zwałił się na pościel, oczy mu przygasły i zasnuły się mgłą, belkotał jeszcze cosik i jakby próbował się podnieść.

Hanka zakrzyzczała ze strachu, przybiegli wnet kowalowie, cucili, wodą zlewali, ale już nie oprzytomniał, i jak przódzi leżał drętwy, nieruchomy, z otwartymi oczyma, daleki od tego, co się przy nim działo.

Długi czas przesiedzieli przy nim, kobiety płakały cicho, a nikt nie rzekł i słowa; zmierzch już zapadał, izba pogrążała się w cieniach, kiej wyszli społem na dzień dogasający, że już jeno w stawie tliły się resztki zórz zachodnich.

— Co wama powiedział? — zagadnął ostro przestępując jej drogę.

— Słyszeliście.

— Ale co później mówił?

— Co i przódzi, przy was...

— Hanka, nie doprowadzajcie me do złości, bo będzie źle...

— Tyle się waszych grózb bojam, co tego psa...

— I wtykał wam cosik w garście... — dorzucił podstępnie.

— A co, to jutro za stodołą znajdziecie... — szydziła urągliwie.

Rzucił się ku niej i możeby doszło do czego gorszego, żeby nie Jagustynka, która nadeszła na ten czas i po swojemu zaraz rzekła:

— Tak se zgodliwie, po przyjacielsku poredzacie, że się po całej wsi roznosi...

Sklął ją, co wlażło i poniósł się na wieś.

Noc wkrótce zapadła ciemna, chmurzyska przysłoniły niebo, że ni jeden gwiazdny migot się nie przedzierał, wstawał wiatr i miewał zwolna drzewinami, iż poszukiwały głucho i smutnie: szło znowu na jakąś odmianę.

W Hancynej izbie było jasno i dość gwarno, ogień trzaskał na kominie, wieczerza się dogotowywała, kilka starszych kobiet z Jagustynką na czele pogadywały różności, Jóźka zaś z Nastką i z Jaśkiem Przewrotnym siedziały na ganku, bo Pietrek wyciągał na skrzypicach taką nutę żalną, aż się im na płacz zbierało; jeno Hanka nie mogła usiedzieć na miejscu, wciąż rozmyślając nad Borynowemi słowami, a co trocha zaglądając na drugą stronę...

Ale cóż?... nie sposób teraz było w komorze szukać: Jagna siedziała w izbie, układając świąteczne szmaty we skrzyni.

— Pietrek, a przestań, przecież to już prawie wielki poniedziałek, a ten dudli a dudli, grzech!

Zgromiła, tak roztrzęsiona w sobie, że jej się płakać chciało. Juści że przestał i wszyscy przyszli do izby.

— O tym dziedzicowym bracie, głupim Jacku, mówimy! — objaśniała któraś.

Nie mogła jednak wyrozumieć, o czym mówią, gdyż psy zaczęły coś głośno szczekać w opłotkach, aż znowu wyjrzała, podszczuwając jeszcze. Łapa rzucił się zajadle w sad...

— Huzia go, Łapa!... Weź go Burek!... Huzia!...

Ale psy zmiłkły nagle i powróciwszy, skamlały radośnie.

I nie jeden raz tego wieczoru było tak samo, że wstało w niej jakieś strachliwe podejrzenie.

— Pietrek, a zawrzyj wszystko na noc, bo musi być, ktośik tu penetruje, a swój, że psy nie chcą docierać.

Rozeszli się wnet wszyscy, i wkrótce śpiak ogarnął cały dom, jeno Hanka poszła jeszcze sprawdzić, czy drzwi pozawierane, a potem długo stała pod ścianą, trwożnie nasłuchując...

— We zbożu... to juści w którejś z beczek... By ino me kto nie ubiegł!...

Zimny pot strachu ją oblał, i serce gwałtownie zakołatało.

Prawie że nie spała tej nocy.

III.

— Józia, rozpal na kominie i co jest garnków zbierz, nalej wodą i przystaw do ognia, ja polecę do Żyda po przyprawę.

— A śpiesznie, bo Jambroża ino patrzeć.

— Nie bój się, równo z dniem nie przykuszyka, kościół musi pierwej obrządzić.

— Hale, przedzwoni i wnet się zjawi, bo Rocko mają go zastąpić.

— Zdążę jeszcze, a krzyknij-no na chłopaków, by rychlej wyskrobali koryto i przywlekli je na ganek. Jagustynka przyjdzie, to niechby pomyśla cebrzyki, beczki też trza wynieść z komory i zatoczyć do stawu, niech odmiękną; jeno nie zabacz kamieni nakłaść, by ich woda nie wzięła. Dzieci nie budź, niech se śpią robaki, przestroniej będzie... — nakazywała ostro Hanka i przyokrywszy się zapaską na głowę, wysunęła się śpiesznie na wczesny i galanto rozkisły poranek.

Dzień, co się był dopiero stał, chmurny, mokry i przykrym ziąbem przejęty; siwe mgły dymiły z przemiękłej ziemi, opadając drobnym i zimnym dżdżem, oślizgłe drogi siwiły się opite wodą, a poczerniałe chałupy ledwie co były widne w szarudze, a przemiękłe drzewiny, skurczone, jawiły się kajś niekaj dygotliwym cieniem, kieby z tych skłaczonych, szklitych mgieł uczynione, i naglądały w staw ledwie siniejący, że jeno z pod skołtunionych przysłon grażył się drżący, cichy bulgot kropel, bijących nieustannie w wodę, a wszędy

szła plucha, że świata bożego ledwie dojrzał i pusto było jeszcze.

Dopiero kiej sygnaturka jęła pojękiwająco przedzwaniać, zaczerwieniły się gdzie niegdzie przyodziewy kobiet, przebierających się suchszemi miejscami do kościoła.

Hanka przyśpieszała, rachując, że może się z Jambrozym spotka już na skrócie przed kościołem, ale nie wyszedł jeszcze, jeno, jak co dnia o tej porze, kręcił się przed stawem ślepy koń księdzowy, ciągnąc na płozach beczkę, przystawał wciąż i utykał na wybojach, jeno węchem zmierzając ku wodzie, bo parob był właśnie przykucnął od pluchy w opłotkach i kurzył papierosa.

I wraz też przed plebanję zajeżdżała bryczka w spaśne kasztanki, z której wysiadał tłusty i czerwony ksiądz z Łaznowa.

— Spowiedzi słuchał będzie, a to i dobrodzieja ze Słupi jeno co patrzeć.

Pomyślała, obzierając się napróżno za Jambrozym, że wnet ruszyła pobok kościoła, drogą barzej jeszcze błotną, bo obsadzoną rzędami wielgachnych topoli, ale tak potopionych w szarudze, że jakby za szybą zapoconą majaczyły ruchającemi się cieniami; minęła karczmę i wzięła się na prawo roztaplaną, polną dróżką.

Miarkowała, iż zdąży jeszcze odwiedzić ojca i z siostrą pogwarzy, z którą się już była całkiem pojednała od czasu przeprowadzki do Boryny.

Siedzieli wszyscy w chałupie.

— Bo to Józka pytlowała wczoraj, że ojciec stąbują — zaczęła wstępnie.

— I... by nie pomagał, to się wyleguje pod kożuchem, i stęka, i chorobą się wymawia — odparła chmurnie Weronka.

— Ziąb tu u ciebie, że jaże po lystach liże.

Wzdrygnęła się, bo jakoż chałupa przeciekała kiej przetak i maziste blocko pokrywało podłogę.

— A bo to jest czem palić! Któż to przyniesie sushu? Mam to siły bieżyć do lasu tyli świat i dygować na plecach, kiej tyle inszej roboty, że niewiada za co pierwszej ręce zaczepić! Uradzę to sama wszystkiemu!

Westchnęły obie na swoje sieroctwo i opuszczenie.

— Kiej Stacho był, to się zdało, że nic w chałupie nie stoi, a skoro go brakło, to widno dopiero co chłop znaczy. Nie jedziesz do miasta?

— Juści, że chciałabym najprędzej, ale Rocho się dowiedział, co dopiero we święta będą do nich puszczali, to w niedzielę się zbierę i powiezę chudziakowi niecoś święconego.

— Poniesłabym i ja mojemu niejedno, ale cóż mogą? tę skibkę chleba?

— Nie frasuj się, narządę więcej, by la obu starczyło, i razem powieziemy.

— Bóg ci zapłać za dobrość, w porę to choćby odrobkiem odplacę.

— Ze szczerego serca dawam, nie za odrobek. Kumałam ci się niezgorzej z biedą i wiem, jak ta suka gryzie, pamiętam... — szepnęła żałośnie.

— Człowiek całe życie przyjacielstwo z nią trzyma, że chyba do grobu przed nią uciecze. Miałam niecoś zapasnego grosza; myślałam: na zwiesnę kupię ja-

kiego prosiaka, podkarmię i na kopania przyrosłoby kilka złotych. Stachowim dać musiała kilkanaście złotych, tu grosz, tam dwa, i kiej ta woda wyciekło wszystko, a nowego się nie złoży. Tyleśmy się dorobili, że z gromadą trzymał!...

— Nie powiadaj bele czego, po dobrej woli poszedł z drugimi, swojego się dobijać, i wy tam jaką morgę lasu mieć będziecie...

— Będzie!... nim słońce wzejdzie, oczy rosa wyje: któren pieniądz ma, temu duda gra, a ty biedaku har-dluj głodem i ciesz się, że jeść kiedyś będziesz!...

— Braknie ci to czego? — spytała nieśmiało.

— A cóż to mam? Tyle, co Żyd, albo młynarz na borg dadzą! — zawołała, rozwodząc ręce z rozpaczą.

— Nie poredzę ci, żebym i z duszy chciała: nie na swoim jestem i sama oganiać się muszę kiej od psów i pilnować, by mnie nie wyciepnęli z chałupy... że już nieraz i rozum odchodzi z turbacji!

Wspomniała się jej noc dzisiejsza.

— Zato Jagusię o nic głowa nie zaboli: nie taka głupia, używa se dowoli...

— Jakże?

Podniosła się, niespokojnemi oczyma ogarniając siostrę.

— Nic wielkiego, jeno to, że się nażyje dobrego po grdykę; stroi się, po kumach spaceruje i święto se robi co dnia. Wczoraj, na ten przykład, widzieli ją z wójtem w karczmie, w alkierzu siedzieli, a Żyd ledwie nadążył donosić półkwatki... Nie taka głupia, by starego żalowała... — dorzuciła przekąśliwie.

— Wszystko swój koniec ma! — szepnęła ponuro Hanka, naciągając zapaskę na głowę.

— Ale co się naużywa, tego jej nikto nie odbierze: mądra jucha...

— Łacno o rozum temu, któren się na nic nie ogląda! Hale, wieprzka dzisiaj szlachtujemy, zajrzyj na odwieczerzu, pomożesz... — przerwała te gorzkie wywody Hanka i wyszła.

Zajrzała do ojca na drugą stronę, do dawnej swojej izby: stary ledwie był widny w barlogu, jeno postękiwał zcicha.

— Ociec, co to wama jest?

Przykucnęła przy nim.

— Nic córuchno, nic, tyle, że me febra trzęsie i w dołku okrutnie ściska...

— A bo tu ziąb i wilgoć, kiej na dworze. Wstańcie i przyjdźcie do nas, dzieci przypilnujecie, bo wieprzka bijemy. Jeść się wama nie chce?

— Jeść!... juści ździebko... bo to zapomniały mi wczoraj dać... jakże... i sami jeno ziemniaki ze solą... a to Stacho w kryminale... Przyjdę, Hanuś, przyjdę... — pojękiwał radośnie, gramoląc się z barlogu.

Hanka zaś, pełna myśli o Jagnie, które ją bodły, kiej te noże ostre, poleciała śpiesznie do karczmy, czynić zakupy.

Juści, że już teraz Żyd nie żądał zgóry pieniędzy, a jeno skwapliwie odważał i odmierzał, czego zechciała, jeszcze podsuwając pod oczy coraz to nowe la zachęty.

— Niech Jankiel daje, co mówię!... nie dzieckom,

wiem, po co przyszłam i czego mi potrza! — zgromiła go wyniośle, nie wdając się w rozmowę.

Żyd się jeno uśmiechał, bo i tak nabrała za kilkanaście złotych, jako że gorzalki wzięła więcej, aby już i na święta starczyło, a przytem chleba pytlowego, parę rządków bułek, śledzi coś z mendel, a nawet wkońcu dobrała małą buteleczkę araku, że ledwie mogła udźwignąć toból.

— Jagna może używać, a ja to pies? haruję przecie kiej wól!

Myślała tak, wracając do domu, ale żał się jej zrobiło wydatku zbędnego, iż gdyby nie wstyd, byłaby arak odniosła Żydowi.

W chałupie już zastała niemały rwetes przygotowań. Jambroży nagrzewał się przed kominem, wiodąc swoim zwyczajem przekpinki z Jagustynką, tęgo zajęta wyparzeniem statków, aż para zappełniła całą izbę.

— Czekałem na was, by przedzwonić pałą po łbie świniuchowi!

— Żeście to pośpieszyli tak rychło!

— Rocho me zastępuje w zakrystji, Walek księży zakalikuje organiście, a Magda kościół podmiecie. Narychtowałem wszystko, by ino wama zawodu nie zrobić! Księża dopiero po śniadaniu wezmą się do spowiedzi. Ale też ziąb dzisiaj, jaże kości truchleją! — wykrzyknął żałośnie.

— Zęby w ogniu suszą i na ziąb narzekają! — zdziwiła się Józka.

— Głupia: na wnętrzu zimno, jaże mi ten drewniany kulas stergnął.

— Zaraz naszykują wama rozgrzywkę. Józia, namocz duchem śledzie.

— Dajcie, jakie są, jeno sporo gorzałką zalać, to galanto sól wyciągnie.

— A wy zawdy po swojemu, by o północku w kieliszki zadzwonili, wstaniecie radzi na pijatykę — zauważyła złośliwie Jagustynka.

— Prawda wasza, babciu, ale widzi mi się, że wama cosik ozór skiełczał i radzibyście go też w gorzałce pomoczyć, co? — śmiał się, zacierając ręce.

— Jeszczebyś me, stary zbuku, nie przepił.

— Ludzi coś mało ciągnie do kościoła — przerwała im Hanka, wielce nierada tym przymówkom do gorzałki.

— Bo wczas, jeszcze się zlecą, w dyrdy bieżyć będą, wytrząchać grzechy.

— I polenić się, co nowego posłyszeć i świeżych grzechów nabrać...

— Od wczoraj już się dzieuchy szykowały — pisnęła skądciś Józia.

— Juści, bo im przed swoim dobrodziejem wstyd — dogadywała stara.

— Babciu, wam byłby już czas sięść na pokutę w kruchcie i te paciorki prząść, a nie ogadywać drugich!

— Poczekam, byś siadł wpodle, kuternego!

— Mam czas, pierwej waju pięknie przedzwonię i łopata oklepię...

— Nie tykajcie me, bom zła! warknęła cicho.

— Kijaszkciem się zastawię i nie ugryzecie, a zębów szkoda, ile że ostatnie...

Jagustynka cisnęła się ze złością, ale nie odrzekała, bo i właśnie Hanka nalewała kieliszek, przepijając do nich, a Józka podała śledzia, którego otrzaskał o drewno nogi, ze skóry ołupił, na wąglikach przypiekl i ze smakiem zjadł.

— Dosyć zabawy! do roboty, ludzie! — zawołał naraz, zrzucając kozuch, zakasał rękawy, poostrzył jeszcze na oselce noża, wziął z kąta tęgą pałę od rozcierania ziemniaków la świń i ruszył żwawo na dwór.

Wszyscy też poszli za nim w podwórze, on zaś z Pietrkiem wywodził z chlewu opierającego się silnie wieprzka.

— Nieckę na krew, a prędko! — krzyknął.

Przynieśli wnet, wieprzek czochał się o węgiel i pokwikiwał zcicha.

Stali kołem, w milczeniu patrząc w jego białe boki i tłusty, obwisły brzuch, a moknąc galanto, bo deszcz mżył coraz gęstszy i mgły zwały się na sad. Łapa jeno naszczekiwał, obiegając dokoła. Jakieś kobiety przystawały w opłotkach i kilkoro dzieci wieszało się na płotach, ciekawie naglądając.

Jambroż się przeżegnał, pałę nieco wziął za się i jał zachodzić wieprzkowi z boku. Naraz przystanął, rękę odwiódł, przechylił się bokiem tak mocno, jaże mu guzik pod szyją puścił u koszuli, naprężył się i kiej nie huknie w wieprzkowy łeb między uszy, aż świńtuch z kwikiem padł na przednie nogi, a potem kiej mu nie poprawi już obu rękoma, że zwałił się na bok, wierzgając kulasami, wtedy mu w mig przysiadł na brzuchu, nożem błysnął i aż po osadę wbił w serce.

Postawili niecki, krew chlusnęła, kiej z sikawki, aż na ścianę chlewa, i jęła z bulgotem splywać, parując, niby wrzątek.

— Pódzi, Łapa! widzisz go: juchy mu się chce, post przecie! — ozwał się wreszcie, odganiając psa i dysząc ciężko. Zmęczył się był nieco.

— W ganku oparzycie?

— Do izby wniesę koryto, przecież trza go uwieścić do rozbierania.

— W izbie ciasno, myślałam.

— Macie drugą stronę, ojcową, tam dużo miejsca, staremu to nie przeszkodzi... ino prędzej, bo nim ostygnie, łacniej mu szerść puści! — rozkazywał, obdzierając mu tymczasem ze grzbietu szczecinę co dłuższą.

A w parę pacierzy wieprzek już oparzony, obrany ze szczeciny, wymyty, wisiał w Borynowej izbie, rozpięty na orczyku, przywiązany do belki.

Jagny nie było: poszła zaraz zrana do kościoła, ani się spodziewając, co ma nastąpić; jeno stary jak zwykle na łóżku leżał wpatrzony gdziesik nieprzytom-nemi oczyma.

Zrazu sprawiali się cicho, często obzierając się na chorego, ale że się nie poruchiwał nawet, zabaczyli wnet o nim, mocno zajęci wieprzkiem, któren nie zawiódł przewidywań, bo słoninę na grzbiecie miał grubą dobrze na sześć palców i sielne sadło.

— Zaśpiewalim mu, przewieźlim, czas go już gozalką skropić! — wołał Jambroży, myjąc ręce nad korytem.

— Chodźcie na śniadanie, znajdzie się czem przepić.

Juści, że nim się zabrał do ziemniaków z barszczem, wypił z niezgorszą przylewką, ale przy jadle siedział krótko, wnet się zabierając do roboty i wszystkich poganiając, zwłaszcza Jagustynkę, z którą pospolnie robił, że to zarówno się znała na soleniu i przyprawie mięsa.

Hanka też pomagała, co ino mogła, Józka zaś rada czepiała się bele czego, by ino przy wieprzku ostawać i w chałupie.

— Pomagaj gnój nakładać, niech prędko wywożą, bo widzi mi się, że dzisiaj nie skończą próżniaki! — krzyczała na nią.

Z żalem juści niemalym leciała w podwórze, całą złość wywierając na chłopaków, że ciągiem słychać było jej jazgoty — bo i jakże!... wyganiała ją, kiej w chałupie czyniło się coraz gwarniej, bo co trocha wpadała jaka kuma, zamawiając się bele czem, po sąsiedzku, a ujrzawszy wiszącego wieprzka, rozwodziła ręce i dalejże w głos wydziwiać, że taki wielgachny, taki spaśny, jakiego nie miał i młynarz, albo organista.

Hanka była tem wielce rozradowana, puszyła się sielnie, że szlachtuje świniaka, i choć było jej nieco żal gorzałki, trudno, skoro musiała, jak to było we zwyczaju u gospodarzy przy takim święcie, częstowała, chleb z solą podając na przegryzkę i rada słuchając tych słówek przypochebnych i ugwarzając się niemało, bo to ledwie jedna za próg, już drugie w sieniach trepy z błota obijały, wstępując niby po drodze do kościoła

i na te krótkie Zdrowaś — że kiej na odpust walily, a dzieci się też sporo plątało po kątach i do okien zaglądać, aż je nieraz Józka musiała rozganiać.

Bo to i we wsi czynił się ruch nadspodziewanie, coraz więcej ludzi człapało po drogach, to wozy z drugich wsi raz po raz turkotały, że nad stawem, kieby w procesji, wciąż się czerwieniły babskie przyodziewy, naród bowiem ciągnął do spowiedzi, nie bacząc na złe drogi, ni na dzień plaksiwy, przykry a tak zmienny, iż co kilka pacierzów padał deszcz, to ciepły wiater przewalał się po sadach, albo zaś nawet sypały śnieżne krupy grube, kiej pęczak, a przyszedł i taki czas, że słońce przedarło się z chmur i kieby złotem posuło świat — jak to zresztą zwyczajnie bywa na pierwszą zwiesnę, kiej czas podobien się czyni w matyjaśności do dziewczki poniektórej, której to posobnie i śmiech, i płacz, i we-sele, i żalście biją do głowy, a sama nie miarkuje, co się z nią wyprawia.

Juści, że ta u Hanki nikto na pogodę nie baczył, i robota a pogwary szły, jaże się rozlegało. Jambroży się zwijał, poganiał drugich, przepkinki wedle zwyczaju wiódł, ale że musiał co parę pacierzy do kościoła zaglądać, czy tam wszystko sprawnie idzie, to na ziąb narzekał i o rozgrzewkę wołał:

— Pousadzałem dobrodziejów, narodem ich ob-waliłem, że do południa się nie ruszą.

— Hale, Łaznowski proboszcz długo nie strzyma: powiadali, że mu gospodyni ciągiem porcelenę podawać musi!

— Babciu, pilnujcie nosa, poniechajcie księży!

Nie lubił tego.

— A o tym ze Słupi też powiadają, że zawdy przy spowiedzi flaszuchnę z pachnącem w garści trzyma i nos se przytyka, bo mu ano naród śmierdzi, że po każdym wypowiedzianym złe powietrze chustką rozgania i wykadza...

— Zawrzyjcie gębę: wara wam od księży! — wybuchnął ześlony.

— Rocho są w kościele? — podjęła śpiesznie Hanka, również wielce nierada pyskowaniom Jagustynki.

— Siedzą od samego rana, do Mszy służył i co potrza obrządza.

— A kajże to Michał?

— Poszedł z organiściakiem do Rzepek, po spisie.

— Gęsią orze, piaskiem sieje i niezgorzej im się dzieje! — westchnął Jambroży.

— Jeszczeby! już najmniej jak za każdą duszę zapisaną jajko dostają...

— A za kartki do spowiedzi osobno przecie bierze po trzy grosze z duszy. Co dnia widzę, jakie torby dygują z różnościami. Samych jajów sprzedała organista w zeszłym tygodniu coś dwadzieścia i dwie kopy — rzekła Jagustynka.

— Kiej nastał, to pono piechty przyszedł z jednym węzełkiem, a terazby go i we cztery dworskie wozy nie wywiózł.

— Organista zgórą dwadzieścia roków w Lipcach siedzi, parafja duża, pracuje, zabiega, grosza szczędzi, to się i dorobił — tłumaczył Jambroży.

— Dorobił się! Drze z narodu, jak ino może, a nim co komu zrobi dobrze, w garście cudze patrzy, po trzydzieści złotych od pochowku bierze za to, co ta pobecz po łacińsku i na organach poprzebiera.

— Zawdy uczony jest we swoim i nieraz dobrze musi się nagłować!

— Juści, że nauczny, kaj cieni beknąć, a kaj grubiej i jak wycyganiać.

— Jenszyby przepił, a ten syna na księdza kieruje.

— To i honor będzie miał niemały i profit! — dogadywała stara zajadle.

Przerwali w najlepszym miejscu, gdyż Jaguś wpadła, stając naraz w progu kiej wryta.

— Dziwujesz się wieprzkowi? — zaśmiała się Jagustynka.

— Nie mogliście to po swojej stronie szlachtować! Izbę mi całkiem zapaskudzą — wykrztusiła, w ponsach cała stając.

— Masz czas, to se wymyjesz! — odrzekła zimno, z naciskiem, Hanka.

Jaguś cisnęła się naprzód kieby do klótni, ale dała spokój, zakręciła się jeno po izbie, wzięła różańce z pasyjki, a przyokrywszy rozbabrane łóżko jakąś chuściwą, wyszła bez słowa, choć wargi trzęsły się jej ze złości utajonej.

— Pomoglibyście, tyle roboty! — powiedziała jej w sieniach Józka.

Wywarła na nią gębę w takiej złości, że nawet słów nie można było rozeznać, i poleciała jak wściekła.

Witek za nią wyrzwał i mówił, jako prościutko do kowala się poniesła.

— A niech se idzie: poskarży się ździebko, to jej ulży!

— Wojować wama znowuj przyjdzie! — zauważyła ciszej Jagustynka.

— Moiście, dyć jeno wojną żyję! — odparła spokojnie, choć trwożna była, boć rozumiała, że musi tu lada chwila przylecieć kowal i bez srogiej kłótni się nie obędzie.

— Ino ich patrzeć! — szepnęła ze współczuciem Jagustynka.

— Nie bójcie się, wytrzymam, nie ustraszą me — ozwała się z uśmiechem.

Jagustynka aż głową pokiwała z podziwu nad nią, spoglądając porozumiewawczo na Jambroża, którego właśnie składał robotę.

— Zajrzę do kościoła, południe przedzwonię i zaraz na obiad wrócę! rzekł.

Jakoż wrócił rychło, opowiadając, że już księża przy stole siedzą, że młynarz przysłał ryb cały więcierz, i że po obiedzie będą jeszcze spowiadali, gdyż siła narodu czeka.

Po prędkim i krótkim obiedzie, jeno tego zakropionym, bo Jambroż wyrzekał żałośliwie, jako gorzałka za słaba do tak przesłoniałych śledzi, wzięli się znowu do roboty.

Właśnie był Jambroży ćwiertował wieprza i obrzynał mięsiwo na kielbasy, a Jagustynka, rozłożywszy

połcie na stole, uczynionym ze drzwi, narzynała słoninę, troskliwie ją przesalając, gdy wleciał kowal.

Widno mu było z twarzy, że ledwie się hamował.

— Nie widziałem, żeście aż tyłego wieprzka sobie kupili! — zaczął z przekąsem.

— A kupiłam i szlachtuję, widzicie!

Strach ją ździebko przejął.

— Sielny wieprzak, daliście ze trzydzieści rubli.

Oglądał go pilnie.

— A słoninę to ma grubą, że szukać! — zaśmiała się stara, podsuwając mu pod oczy poleć.

— I... niecałe trzydzieści dałam, niecałe! — odpowiedziała z prześmiechem Hanka.

— Borynowy wieprzek! — wybuchnął naraz, nie mogąc już powstrzymać złości.

— Jaki to zmyślny: nawet po ogonie rozpozna czyj! — szydziła stara.

— Niby jakim prawem żeście zarznęli — krzyczał wzburzony.

— Nie wykrzykujcie, bo tu nie karczma, a takim prawem, że Antek przez Rocha przykazał go zarznąć.

— Cóż tu Antek ma do rządzenia? jego to?

— A juści, że jego!

Skrzepla już w sobie, nabrała mocy do walki.

— Do wszystkich należy!... drogo wy za niego zapłacicie!

— Nie przed tobą bedziem zdawać sprawę!

— Ino przed kim! Do sądu pójdzie skarga.

— Cichoście, przywrzycie pysk, bo chory tu ano leży, a jego to wszycko...

— Ale wy będziecie jedli.

— Pewnie, że wama nie dam i powąchać.

— Pół świni dacie i piekła wam robić nie będę — szepnął łagodniej.

— I jednego kulasa przez mus nie dostaniecie.

— To po dobroci dacie tę oto ćwierć i poleć słoniny.

— Antek każe wam dać, to dam, ale bez jego przykazu ni kosteczki.

— Wściekła się baba!... Antków to wieprzek czy co? — złość go znów ponosiła.

— Ojcowy, to jakby było Antkowy, bo skoro ociec chorzy, to on tu rządzi za niego i jego głową wszycko stoi. A potem będzie, jak Pan Jezus da...

— W kreminalu niech se rządzi, jak mu pozwolą... Smakuje mu gospodarka, powloką go w kajdanach na Sybir i tam se będzie gospodarzył! — wykrzyknął spieniony.

— Wara ci od niego!... może i powleką... jeno, że i tak nie ogryziesz tych zagonów, byś latego i gorszym jeszcze Judaszem stał się la narodu! — mówiła groźnie, roztrzęsiona nagłym strachem o męża.

Kowalowi aż kulasy zadygotwały i ręce jęły drżeć i trzepać się po odzieniu, taką chęć poczuł za gardziel ją chycić, powlec po izbie i skopać, ale się jeszcze zdzierzył: ludzie byli — jeno ciskał w nią rozsróżonemi ślepiami, słowa nie mogąc wykrztusić. Ale ona się nie ulęka, biorąc nóż do krajania mięsa i bystro a urągliwie patrząc w niego, aż przysiadł na skrzyni, papierosa skręcał i czerwonymi ślepiami izbę oblatywał, rozwa-

żając cosik w sobie i kalkulując, bo wstał rychło i rzekł dobrotliwie:

— Chodźcieno na drugą stronę, rzeknę coś waju na zgodę.

Otarłszy ręce, poszła, pozostawiając wywarte na oścież drzwi.

— Nie chcę się z wami prawować i klócić — zaczął, zapalając papierosa.

— Bo nic ze mną nie zwojujecie!

Uspokoila się znowu.

— Mówił co jeszcze ociec wczoraj?

Łagodny już był, uśmiechał się do niej.

— Ni... leżał cicho, jako i dzisiaj leży...

Podejrzliwa czujność w niej wstała.

— Wieprzak fraszki, małe ptaszki, zarzynajcie go sobie i zjedźcie, wasza woła... nie moja strata. Człowiek nieraz plecie, czego potem żałuje. Nie pamiętajcie, com rzekł! O ważniejszą sprawę idzie... Wiecie, powiadają na wsi, jako ociec mają mieć sporo gotowego grosza gździesik w chałupie schowanego... — Przerwał, wwiercając się oczyma w jej twarz. — Opłaciłoby się poszukać, broń Boże śmierci, to jeszcze się kaj zapodzieją, albo kto obcy złapie.

— A powie to, kaj schował!

Głęboką nieprzenikliwość miała w oczach.

— Wamby wyśpiewał, byście go ino mądrze za język pociągnęli.

— Niech ino mu rozum przyjdzie, popróbuję wypytać...

— Byście mądrą byli i język za zębami trzymali,

to o tem, gdyby się pieniądze znalazły, mozem ino na spółkę wiedzieć. Znalazłby się większy grosz, toby było łatwiej i Antka wykupić z kreminału... a poco drugie wiedzieć mają?... Jagna ma dosyć zapisu... i możnaby też na proces mieć, by jej te morgi wyprawować... A Grzeli mało to posyłali do wojska! — szepnął, nachylając się do niej.

— Prawdę mówicie... juści... — jąkała, strzegąc się, by z czem się nie wyrwać.

— Rachuję, że musiał kaj w chałupie schować... jak uważacie?

— Wiem to, kiej mi o tem ni słówkiem nie naciął?...

— O zbożu wam cosik wczoraj prawil... nie baczycie to? — podsuwał.

— Juści, że o siewach wspominał.

— I o beczkach cosik powiadał — przypominał, nie spuszczać z niej oczu.

— Jakże! boć w beczkach stoi zboże do siewu! — zawołała, niby nie rozumiejąc.

Zaklął zcicha, ale się teraz utwierdzał coraz bardziej, że ona coś wie; wyczytał to z jej twarzy zamkniętej i z oczu zbyt przyczajonych i trwożnych.

— A com waju zawierzył, nie rozprowadajcie...

— Pleciuch to jestem, któremu pilno z nowinkami po kumach?...

— Dyć przestrzegam ino... Ale pilnujcie dobrze, bo skoro już raz staremu zaświtało we łbie, to może mu się lada pacierz całkiem rozwidnić...

— No... niechby przyszło do tego co rychlej!...

Obrzucił ją lepkiemi ślepiami raz i drugi, posku-
bał wąsów i wyszedł, odprowadzany jej oczyma, pełnemi
przytajonej szydliwości.

— Judasz, ścierwo, zbój!

Buchnęła nienawiścią, postępując za nim parę
kroków; boć to nie po raz pierwszy ciska jej w oczy
groźby i strachania, że Antka na Sybir pošłą i do tacek
przykują.

Juści, że nie całkiem wierzyła, rozumiejąc, iż głów-
nie przez złość pyskuje, aby ją przetrwożyć i bez to-
laoniej z chałupy wygrzyć.

Ale mimo tego, żarła ją trwoga o niego niemiała.
Przewiadywała się też nieraz i kaj jeno mogła, co go
może za kara spotkać, miarkując ze smutkiem, iż cał-
kiem na sucho ujść mu nie ujdzie.

— Po prawdzie, że ojca rodzzonego bronił, ale bo-
rowego zakatrupił, to juści pokarać go muszą, jakże...

Mówili co rozważniejsi, że się nijakiej prawdy do-
bić nie mogła, bo kuźden inszą wywodził. Adwokat
w mieście, do którego ją ksiądz z listem pošłał, powie-
dział, jako może być różnie: i całkiem źle, i niezgorzej,
trza jeno pieniędzy na sprawę nie skąpić i cierpliwie
czekać. We wsi zaś najbardziej ją trwożyli, że to kowal
podmawiał swoje wymysły i wszystkich podrychtowy-
wał.

Nie dziwota też, że i teraz jego słowa kamieniami
padły na duszę. Nogi pod nią truchlały przy robocie,
mówić nie mogła, tak ją strach zatykał, a do tego zaś
i Magda po jego odejściu przyleciała i siadła przy cho-

rym, oganiając go niby od much, których nie było, a śledząc wszystko baczniemi ślepiami.

Ale snadź jej to wrychle obmierzło, gdyż się w robocie pomagać ofiarowywała.

— Nie trudź się, uredzim sami, mało się to w chałupie naharujesz!

Odradzała Hanka takim głosem, że Magda dała spokój, pogadywała jeno niekiedy a lękliwie, że to już z samego przyrodzenia nieśmiała była i milcząca.

A jakoś na samem odwieczерzu zjawila się znowu Jaguś, ale wespół z matką.

Witały się kieby w najlepszej zgodzie żyły i tak przyjacielsko a przychlibnie, aż to Hankę tknęło i chociaż odpłacała im tem samem, nie żałując dobrych słów, ni nawet gorzalki, miała się jednak na baczności. Ale Dominikowa odsunęła kieliszek.

— Wielki tydzień! Gdzieżbym to gorzalkę piła!

— Nie w karczmie i przy okazji, toć nie grzech! — usprawiedliwiała Hanka.

— Człowiek chętnie se folguje i rad zawždy sposobnością wymawia...

— Przepijcie gospodyni do mnie, ja to nie organista! — wykrzyknął Jambroż.

— Niech ino szkło brzęknie, to was zarno grzysi ponoszą — mruknęła Dominikowa, zabierając się do opatrzenia głowy chorego.

— Cie... komu sygnaturka sprawia, że bije się pięścią pokutnie, a drugiemu zaś flaszkowy pobrzęk to czyni, że wpodłe za kieliszkiem maca...

— Leży se ten chudziaczek, leży, i o bożym świecie nie wie! — zawołała żałośnie nad Boryną.

— I jadł kielbasy nie będzie i gorzalki nie posmakuje! — ciągnęła tym samym sposobem, a wielce szydliwie Jagustynka.

— Wama ino prześmiechy na pamięci! — zestrofowała ją gniewnie.

— A cóż to? płakaniem biedy se odejmę. Tyla mojego, co się pośmieję.

— Kto sieje zło, niech se smutki zbiera i pokutę odprawuje!...

— Niedarmo powiadają, że Jambroż, choć przy kościele służy, a gotów sięby i z grzychem pokumać, by jeno pofolgować i użyć! — rzekła wyniośle Dominikowa, obrzucając go srogimi oczyma.

— Przeciwić się dobremu i ze złem kumać potrafi, któren jeno nie baczy, jaką potem weźmie zapłatę — dodała ciszej, jakby grożąc.

Milczenie padło na izbę. Jambroż zakręcił się gniewnie, ale zdzierzał w sobie ostrą odpowiedź, boć wiedział, że i tak każde jego słowo znał będzie dobrodziej najpóźniej jutro po mszy; niedarmo Dominikowa przesiadywała ciągiem w kościele... A i reszta zwarzyła się też pod jej sowiemi ślepiami; nawet nieustępliwa Jagustynka przymilkła trwożnie.

Jakże, cała wieś się jej bojała; już pono niejeden poczuł na sobie moc jej złych ślepiów, niejednego już pokręciło albo rozchorzał, gdy nań urok rzuciła.

Pracowali w cichości z pochylonemi trwożnie twarzami, że jeno jej biała gęba, sucha i poradlona, kieby

z blichowanego wosku, nosiła się po izbie. Nie odzywała się również, zabierając się z Jagną do pomagania tak ostro, że Hanka wzbronić nie śmiała.

Ze zaś Jambroża odwołał księży parobek do kościoła, ostały jeno same, pilnie układając mięso i półcie w cebrzyki a beczkę.

— Po tej stronie w komorze będzie chłodniej la mięsa, mniej się w izbie pali... — zarządziła stara, wraz zataczając statki z Jagusią.

Tak się to prędko stało, że nim się Hanka mogła sprzeciwić, nim pomiarkowała, już one powtaczały do komory, więc srodze rozeźlona zaczęła śpiesznie przenosić na swoją stronę, co ino pozostało, przywołując Józkę i Pietrka do pomocy.

O samym zmierzchu, gdy już zapalili światło, zabrali się pośpiesznie do robienia kielbas, kiszek i onych grubaśnych salcesonów. Hanka siekała mięso z jakąś ponurą wściekłością, tak była jeszcze wzburzona.

— Nie zostawię w tamtej komorze, żeby zechlała albo wyniesła! Niedoczekanie twoje! To ci fortelnica! — szepnęła wreszcie przez zęby.

— Rano, pocichuśku, jak pójdzie do kościoła, przenieść wszystko do swojej komory i będzie po krzyku. Nie odbije wam przecie! — radziła Jagustynka, szprycując mięso w długachne flaki, że się skręcały po stole, kiej te węże czerwone a tłuste i co trochu rozwieszała je na żerdce nad kominem.

— Niech spróbuje! Zmówiły się i z tem przyleciały!

Nie mogła się uspokoić.

— Nim Jambroz wróci, kielbasy będą gotowe... — zagadywała stara.

Ale Hanka zmiłkła, zajęta pracą, a głównie rozmyślaniami, jakby odebrać półcie owe i szynki.

Ogień trzaskał na kominie i tak się galanto buzoowało, że w całej izbie było czerwono, w garach parkotały gotujące się różności, z których czyniono kiszki, a dzieci cosik trwoźnie gaworzyły nad nieckami z krwią.

— Laboga, jaże me mdli od tych smaków! — westchnął Witek, pociągając nosem.

— Nie wywączuj, bo możesz co oberwać! Krowy ano pój, siano zakładaj i sieczkę na noc zasypuj... Późno już! Kiedy to obrzędzisz?...

— Pietrek zaraz przyjdzie, sam przecie nie uredzą...

— A kajże to poszedł?

— Nie wiecie?... pomaga sprzątać na drugiej stronie!...

— Co? Pietrek! ruszaj bydło obrzędzać!

Krzyknęła naraz Hanka w sień z taką mocą, że Pietrek w ten mig poleciał w podwórze.

— A przyłóż kulasów i sama se izbę wyporządź!... widzisz ją!... dziedziczka jakaś, rączków se szczędzi, parobkiem się wyręcza! — wołała rozzłoszczona do ostatka, wywalając jednocześnie na stół z garnka dymiącą się wątrobę i dutki, gdy jakiś wóz zaturkotał i dzwonek zajęczał na dworze.

— A to ksiądz z Panem Jezusem jedzie do kogoś!... — objaśniał Bylica, akuralnie wchodząc do izby.

— Któżby zachorzał? nie słyhać było!...

— Za wójtową chałupę pojechali! — krzyknął przez okno zadyszany Witek.

— Ani chybi do któregoś z komorników...

— A może do waszych, do Pryczków, tam ano siedzą...

— Hale! zdrowe były: takim ścierwom nic się złego nie stanie — szepnęła Jagustynka, ale chociaż w niezgodzie żyła z dziećmi, a w ciągłych procesach, zadrżała:

— Przewiem się nieco i zaraz przyletę...

Wybiegła śpiesznie.

Ale kawał wieczoru się przewlekło i Jambroży zdążył z nawrotem, a ona nie powróciła; właśnie był stary powiadał, iż księdza wzywali do Agaty, Kłębowej krewniaczki, co to w sobotę z żebrów przyciągnęła.

— Jakże? nie u Kłębów to siedzi?

— U Kozłów, czy ta u Pryczków pono się przytuliła na skonanie.

Tyle jeno o tem przerzekli, zajęci wielce robotą jeszcze i bez to opóźnianą, że Józka, a to i sama Hanka, ciągiem odbiegały roboty, by lecieć w podwórze do wieczornych obrządków.

Wieczór się ciągnął zwolna i przykrzył się wielce a dłużył, że to i ciemnica zwała się na świat, iż pięści nie dojrzał, deszcz zaczął ziębiący, wiatr ciepłał się raz po raz o ściany i tratował sady, że drzewiny z szumem tłukły się w ciemnościach, a niekiedy buchał w komin, aż głównie wyskakiwały na izbę.

Prawie przed samą północą skończyli, a Jagustynka jeszcze nie wróciła.

»Plucha i blocko, to się jej nie chciało po omacku utykać!« — myślała Hanka, wyzierając na dwór przed spaniem.

Juści, czas był taki, że psa żalby na świat gonić, wiejba, aż dachy trzeszczały, chmurzyska opite deszczem, bure i napęczniałe przewalały się po zmętniałem niebie, a nikaj w wyskościach ni jednej gwiazdy, ni też ogniowego migotu w chałupach, zgoła przepadłych w nocy. Wieś już dawno spała, wiater jeno hulał po polach i barował się z drzewami, a wody stawu przegamiał ze świstem.

Zaraz poszli spać, już nie czekając.

Jagustynka zaś dopiero nazajutrz rano się zjawiła, ale mroczna, kiej ten dzień przybłocony, wiejny i zimny; ugrzała jeno w chałupie ręce i zaraz poszła do stodoły, przebierać ziemniaki, już tam z dołów na kupę zwalone.

Robiła prawie w pojedynkę, bo Józka odbiegała często nakładać gnój, któren od świtania wywoził śpiesznie Pietrek, niemało już dzisiaj skrzyczany od Hanki, że to wczoraj się lenił i nie zdążył; poganiał też tego, na Witka hukął, konie batem prażył i jeździł, aż błoto się otwierało.

— Wałkoń jucha, na bydłatkach tera się odbija! — rzekła stara, ciskając na gęsi, bo się przywiedły całem stadem na klepisko i nuż szczypać ziemniaki a przykry gęgot czynić. Zagadnęła potem do niej Józka: nie odezwiała się, siedząc kiej ten mruk i pilnie kryjąc pod nasuniętą na czoło zapaskę oczy zaczerwienione jakoś.

Hanka zrazu jeno raz jeden zajrzała do nich, cza-

tując w izbie na wyjście Jagny, by wtedy zabrać mięso do swojej komory i spenetrować zarazem beczki ze zbożem, ale jakby na złość Jagna ni krokiem nie ruszała się z chałupy, że już nie mogąc wstrzymać, zaglądała do chorego, to zamówiwszy się o coś, wlaźła do komory.

— Czegoj szukacie? dyć wiem, gdzie co jest, to wama pokażę! — wołała Jagna, idąc za nią, że trzeba było wychodzić, ledwie co wraziwszy ręce we zboże, a pieniądze mogły być głębiej, na spodzie...

Zrozumiała też rychło, że tamta jej stróżuje, więc po niewoli dała spokój, odkładając swoje zamysły na sposobniejszą porę.

»Trza się wziąć do szykowania podarunków« — pomyślała, żałośnie przyglądając się kielbasom, rozwieszonym na drążku; we zwyczaju bowiem było u Borynów i co pierwszych gospodarzy, iż któregoś świnię zaszlachtował, ten zaraz nazajutrz rozsyłał w podarunku najbliższemu krewniakom, albo z którymi przyjaciółstwo trzymał, po kielbasie, lebo czego inszego po kawale.

— Jłści, łącno nie jest, ale dać musisz, powiedziałyby, co żałujesz... — rzekł naraz Bylica, utrafiając w sam raz w żałośliwe strapienia.

Więc chocia serce ściszał żal, jęła rychtować na talerzach i miseczkach z ciężkiem westchnieniem, zmieniając nie po raz jeden zbyt krótkie kawałki na dłuższe, to przydając niektórym po kawale kiszki, to znowu odbierając, aż wkońcu, zmęczona i rozboląta, przywołała Józki.

— Przyodziej się pięknie i rozniesiesz po ludziach...

— Jezus, tylachna wszystkiego!...

— Cóż poredzić, kiej trzeba! Sam Maciek stłoczy, ale sam nie wyskoczy! Te dłuższe nieś stryjnie najpierw: zbójem na mnie patrzy, pyskuje, ale niema rady; to ci z miseczkom wójtom; łajdus on, ale z Maciejem żyli w przyjacielstwie i może być w czem pomocny; cała kiszka, kielbasa i kawał boczku la Magdy, la kowali. Niech nie szczekają, że sami zjadamy ojcowego świ- niaka; juści, całkiem im tem pyska nie zatka, ale przy- czepkę będą miały mniejszą... Pryczkowej tę tu kielbasę: harda, wynośliwa, pyskata, ale z przyjacielstwem szła pierwsza... Klębowej ten ostatni...

— Dominikowej to nie ślecie?

— Później się da, po południu... juści, że trzeba... z taką to jak z tem łajnem: nie porusz i jeszcze zdala obchodź. Noś posobnie, ino nie zagaduj się tam z dzie- uchami, bo robota czeka.

— Dajcie i Nastce, one takie biedne, nawet na sól nie mają... — prosiła cicho.

— Niech przyjdzie, to dam niecoś. Ociec, la We- ronki zabierzecie, miała wczoraj zajrzeć...

— Młynarzowa ją przed wieczorem wezwała sprzątać pokoje, bo pewnikiem goście do nich zwałą na święta.

I długo jeszcze jąkał nowinki, ale Hanka, wypra- wiwszy Józkę, przyodziła się nieco cieplej i pobiegła po- magać Jagustyńce, a poganiać chłopaków.

— Czekalim na was z kolacją — zaczęła, zdzi- wiona milczeniem starej.

— I... najadłam się tam patrzeniem, jaże me jeszcze dzisiaj w dołku gniecie...

— To Agata pono zachorzała?

— Juści, u Kozłów se dochodzi sierota.

— Jakże, nie u Kłębów leży?

— Krewniakiem przyznają, któremu niczego nie potrza, albo i z pełną garścią przychodzi; na inszych, choćby rodzonych, piesków się ano spuszcza...

— Co wy też! przecie jej nie wyгнаły!

— Hale, przywlekła się do nich w sobotę i zaraz w nocy zachorzała... Powiedają, że Kłębowa wziena jej pierzynę i prawie naga we świat puściła...

— Kłębowa! Nie może być, taka poczciwa kobieta, cheba płotki pletą.

— Swojego nie mówię, ino co mi w uszy wlało...

— I u Kozłowej leży! A któżby się spodział, że taka litościwa!

— Za pieniądze to i ksiądz litościwy. Kozłowa wzięła od Agaty dwadzieścia złotych gotowego grosza i za to mają ją przetrzymać u siebie do śmierci, bo stara liczy, że lada dzień zamrze. Ale pochówek osobno, a stara se nie dzisiaj to jutro dojdzie, niedługo jej czekać... nie...

Zmilkła naraz, usiłując napróżno powstrzymać chlipanie.

— Cóż to wama, chorzyście? — pytała Hanka ze współczuciem.

— Tyle się już ludzkiej biedy najadłam, że me wkońcu do cna rozebrało. Człowiek nie kamień, broni się przed sobą, choćby tą złością na cały świat, ale się

nie obroni: przyjdzie taka pora, co już nie zdierży więcej i w ten piasek dusza mu się rozsypie żaloszny.

Zaniesła się płaczem i długo się trzęsła, nos głośno wycierając, aż znowu jąła mówić boleśnie, że te jej słowa, kiej lzy gorzkie i pałące, kapwały na Hanczyną duszę.

— I niema końca tej ludzkiej marnacji. Siadłam przy Agacie, kiej już ksiądz odjechał, aż tu przylatuje Filipka z za wody, z krzykiem, że jej najstarsza kończy... Poleciałam juści... Jezus, w chałupie żywy mróz siedzi... Okna wiechciami pozatykane... jedno łóżko w chałupie, a reszta w barłogu, kiej psy się gnieździ... nie pomarła dzieucha, ino ją tak z głodu sparło... ziemniaków już brakło, pierzynę już przedali... każdą kwartę kaszy wymodlają u młynarza, nikt nie chce zborgować i pożyczyć do nowego... bo i kto?... Poratunku niema, Filip przecież w kreminale z drugimi... Ledwem wyszła od nich, powieda Grzegorzowa, że Florka Pryczkowa zległa i pomocy potrzebuje... Łajdusy to i krzywdziciele moi, choć dzieci rodzone... zaszłam, nie czas krzywdy pamiętać... No, i tam niezgorzej bieda kły szczyrzy; drobiazgu pełno, Florka chora, grosza jednego w zapasie niema i pomocy znikąd... grontu przecie nie ugryzie... jeść niema kto uwarzyć, pole odłogiem stoi, choć zwiesna idzie... bo Adam jak drugie w kreminale... Chłopaką urodziła zdrowego kiej krzemień, żeby się jeno odchowwał, bo Florka wyszła kiej szczapa i tej kropli mleka w piersiach niema, a krowa dopiero na ocieleniu... I wszędzie tak źle, a u komorników to już trudno wypowiedzieć... Ni komu robić, ni gdzie zarobić, ni gro-

sza ni poratunku znikąd... Mógłby już to Jezus sprawić, by choć letką śmiercią pomarły, nie męczyłby się naród co najbiedniejszy.

— A komuż się to we wsi przelewa? wszędzie bieda i ten skrzybot serdeczny.

— Hale, i gospodarze turbacje niemałe mają... jeden się frasuje, czemby lepszem kichy nadzieć, a inszy, komuby na większy present pieniądz rozpozyczył... ale żaden się nie poturbuje o biedotę, chciaby ta pode płotem zdychała... Mój Boże, w jednej wsi siedzą, przez miedzę, a nikomu to śpiku nie psuje... Juści, kaźden Jezusowi ostawia starunek o biedotę i na zrządzenie boskie zwala wszystko, a sam rad przy pełnej misce brzuchowi folguje i choćby ciepłym kożuchem uszy odgradza, by imo skamlania biedujących nie posłyszeć...

— Cóż poredzić? któryż to ma tylachna, by wszystkim biedzie zaradził?

— Kto nie ma chęci, ten wie, jak wykręci! Nie do was piję, nie na swoim siedzicie i dobrze wiem, jak wam ciężko, ale są takie, coby mogły pomóc, są: a młynarz, a ksiądz, a organista, a drugie...

— By im kto podsunął o tem, to możeby się zlitowały... — tłumaczyła.

— Kto ma czujną duszę, ten sam dosłyszcy wołanie cierpiących, nie potrza mu o tem z ambony krzykiwać! Moiście wy, dobrze one wiedzą, co się z narodem biednym dzieje, boć tą biedą ludzką się ano pasą i na niej tłuszcją... Młynarzowi to żniwo teraz, chociaż do przednówka daleko: procesjami ludzie ciągną po mąkę i kaszę, za ostatni grosz, na bórg za odrobek albo dobry

precent, a choćby pierzynę Żydowi sprzedać, a jeść trza kupić...

— Prawda, darmo nikto nie da...

Przypomniała sobie własne, niedawne nędze i westchnęła ciężko.

— Przesiedziałam do późna przy Florce, kobiet się też naschodziło i powiadały, co się we wsi dzieje, powiadały...

— W imię Ojca i Syna! — krzyknęła naraz Hanka, zrywając się na równe nogi, bo wiatr tak ano trzasnął wrótniami, że dziw się nie rozleciały. Wywarła je z trudem, mocno podparwszy kółkami.

— Wieje sielnie, jeno ciepły jakiś, by deszczu nie sprowadził.

— Już i tak wóz się w polu po sękle zarzyna.

— Parę dni dobrego słońca i wnet przeschnie, zwiesna przecie.

— Zeby choć zacząć sadzić przed świętami!

Przegadywały niekiedy, pilnie zajęte, aż i całkiem przycichły, jeno pacanie przebieranych ziemniaków słychać było, że to drobne rzucały na jedną kupę, a nadbutwiały na drugą.

— Będzie czem podpaść maciorę i la krów też starczy na picie...

Ale Hanka jakby nie słyszała, przemyśliwając wciąż, jakby się do tych ojcwych pieniędzy dobrać najsprawniej, że tylko niekiedy spoglądała przez wrótnie na świat, na drzewiny rozciapane i szamocące się z wichurą. Postrzępione, sine chmurzyska przewalały się po niebie, kiej roztrzęsione snopy, a wiater jeszcze się

wciąż wzmagał i tak jakości podwiewał z dołu, iże poszycie na chałupie jeżyły się niby szczotka. Ziąb przytem ciągnął wilgotny i srodze przejęty nawozem, któren wybierali z gnojowiska. W podwórzu zaś było prawie pusto, jeno niekiedy przebiegały rozczapierzone kury, poganiane przez wiater, gęsi siedziały w zaciszu pod płotem na gąsietach, cicho piukających, a co parę pacierzy podjeżdżał ostro Pietrek z pustym wozem, zakręcał dookoła, stawał rychtyk naprost klepiska, zabijał ręce, koniem podrzucał kłak siana i nakładszy wespół z Witkiem gnoju, podpierał wóz na wybojach i ruszał w pole.

Czasami znów Józka wpadała z krzykiem, zaczerwieniona, zdyszana, przejęta tem roznoszeniem kielbas, i trajkotała.

— Zaniesłam wójtom, teraz poletę do stryjecznych... W chałupie siedzieli, izby już białą na święta, tak dziękowali, tak dziękowali...

Rozповідаła szeroko, choć niktó jej za język nie ciągał i znowu leciała na wieś, niosąc ostrożnie w chustkę białą owiązane miseczki z podarunkami.

— Trajkotó dzieucha, ale zmyślna — zauważyła Jagustynka.

— Juści co zmyślna wielce, jeno że do psich figłów i gdzieby się zabawić...

— Cóż chcecie?... skrzat to jeszcze, dzieciuch...

— Witek, obacz-no, kto tam wszedł do chałupy! — zawołała naraz Hanka.

— Kowal poszli dopiero co!

Tknięta jakimś złem przecuciem, pobiegła prosto na ojcowską stronę; chory leżał jak zwyczajnie

nawznak, Jagna cosik szyla pod oknem, w izbie nie było więcej nikogo.

— A kajże się to Michał podział?...

— Muszą być gdziesik, szukają klucza od wozów, którego byli kiejs pożyczili Maciejowi — objaśniała, nie podnosząc oczu.

Hanka zajrzała do sieni, nie było go; zajrzała na swoją stronę: jeno Bylica siedział z dziećmi przy kominie i wystrugiwał im wiatraczki; nawet w podwórzu szukała; nikaj ni znaku po nim, więc już prosto rzuciła się do kemery, choć drzwi były przyparte.

Jakoż kował stał tam przy beczce z rękoma po łokcie we zbożu i pilnie w niem grzebał.

— W jęczmieniu toby klucz chowali? co? — wyrzuciła zdyszana, ledwie zapiąc ze wzburzenia i stając groźnie naprzeciw.

— Patrzą, czy nie spleśniały, czy aby zda się do siewu... — jąkał, zaskoczony niespodzianie.

— Nie wasza sprawa!... Pocioście tu wleźli? — krzyknęła.

Wyjął niechętnie ręce i ledwie hamując wściekłość, zamruczał:

— A wy pilnujecie me, kiej złodzieja...

— Niby to wiem, pocóżeście tu przyszli, co? Hale, do cudzej kemery wlaził będzie i penetrował po beczkach, kłódki może będziecie ukrećać, do skrzyń otwierać... co? — wrzeszczała coraz głośniej.

— Nie powiadałem wama wczoraj, czego nam szukać potrza...

Wysilał się na spokój.

— Przede mną cyganiliście, jedno by mi piaskiem oczy zasypać, a robicie drugie. Przejrzałam już wasze Judaszowe zamysły, przejrzałam...

— Hanka, stul pysk, bo ci go przymknę! — zaryczał złowrogo.

— Spróbuj, zbóju jeden! tknij me choć palcem, a takiego wrzasku narobię, że pół wsi się zbiegnie i obaczy, coś ty za ptaszek! — groziła.

Rozejrzał się dobrze po ścianach i ustąpił wreszcie, klnąc siarczyście.

Popatrzeni sobie w oczy zbliżeni i z taką mocą, że by mogli, na śmierćby się przebodli temi rozgorzałymi ślepiami.

Hanka aż wodę piła, długo nie mogąc się opamiętać po tem wzburzeniu.

— Trza je naleźć i schować przepiecznie, bo niechby ich dopadł, ukradnie — rozmyślała, wracając do stodoły, ale naraz zawróciła z pół drogi.

— Siedzisz w chałupie, stróżujesz, a obcych do komoty puszczasz! — krzyknęła zgóry na Jagnę, otwierając drzwi.

— Michał nie obcy; ma takie prawo, jak i wy! — wcale się nie ulękała jej krzyku.

— Szczekasz kież ten pies, zmówiłaś się z nim dobrze, ale bacz, że niech jeno co z chałupy zginie, to jak Bóg w niebie, do sądu podam i ciebie wskażę, żeś pomagała... Zapamiętaj to sobie!... — wrzeszczała rozszonona.

Jagna skoczyła z miejsca, chwytając w garść co było na podorędziu.

— Bić się chcesz! bij! popróbój ino, to ci te cacaną gębusię tak sprawię, aż się czerwona oblejesz i rodzona matka cię nie pozna!...

Dunderowała, zajadle krzykając nad nią, co tylko ślina i złość na język stoczyła.

I nie wiada zgoła, na czymby się to skończyło, bo już pazury rozczapierzały, drąc się coraz bliżej, gdyby nie Rocho, którego akuratnie w samą porę nadszedł, że Hanka przywstydzona jego patrzeniem, ochłonęła nieco i zmilknęła, zatrzaszkując jeno za sobą drzwi z całej złości.

Jagna zaś ostała na izbie, ruchać się nie mogąc z przerażenia; wargi jej latały, niby we febrze i serce kołatało, lzy posypały się kiej groch. Aż wkońcu oprzytomniała; rzucając w kąć magłownicę, ścisowaną w garści, buchnęła się na łóżko, w boleściwym, nieutulonym płaczu roztrzęsiona.

Hanka tymczasem opowiadała Rochowi, o co im poszło.

Słuchał cierpliwie jazgotliwych i szłochem przepłatanych powiadań, a nie mogąc z nich wiele wymiarować, przerwał ostro i jął ją surowo gromić, odsunął nawet podawane jedzenie i wielce rozgniewany po czapkę sięgał.

— Już mi we świat iść przyjdzie i nigdy Lipiec na oczy nie oglądać, kiejście tacy. Złemu to wszystko na pociechę, albo Żydowinom, co się ze swarliwości a głupoty chrześcijańskiego narodu prześmiewają! Jezus mój miłosierny, to mało bied, mało chorób, mało głodowań, to się jeszcze w pojedynek za lby biorą i złością dokładają.

Zadyszał się tą przemową, Hankę zaś przejęła taka żalność i strach, by w gniewie nie odszedł, że pocałowała go w rękę, przepraszając z całego serca...

— Byście wiedzieli, co z nią już wytrzymać ciężko, na złość wszystko robi, a na moją szkodę. Przecież z krzywdą naszą tu siedzi... jakże, tyłaehna gruntu ma zapisane... A nie wiecie to, jaka jest?... co to wyprawiała z parobkami... jaka... (— nie, nie potrafiła wypomnieć o Antku —)... a teraz już się pono z wójtem zmawia...— dodała ciszej. — To juści, że skoro ją dojrzę, to się jaże we mnie gotuje ze złości, iż prostobym nożem pchnęła...

— Pomstę ostawcie Bogu! ona też człowiek i krzywdy czuje, a za swoje grzechy ciężko odpowie. Powiadam wam: nie krzywdźcie jej!

— To ja ją krzywdzę?

Zdumiała się wielce, nie mogąc wymiarkować, w czym się Jagnie krzywda dzieje.

Rocho przegryzał chleb, wodząc za nią oczyma, a cosik medytując, wreszcie pogładził dziecińskie głowiny, tulące mu się do kolan i zabierał się do wyjścia.

— Zajrzę do was którego dnia wieczorem, a teraz wama jeno rzeknę: Poniechajcie jej, róbcie swoje, a resztę Pan Jezus sprawi...

Pochwalił Boga i poszedł na wieś.

IV.

Rocho włókł się wolno drogą nad stawem, raz, że wiatr tak w niego siepał, iż ledwie się na nogach utrzymał, a po drugie, jako strapiony był wielce tem wszyst-

kiem, co się we wsi działo, to jeno raz po raz wznosił rozpalone oczy na chałupy, przemyślał ważnie i wzdychał żałośnie. Tak źle się bowiem działo w Lipcach, że już zgoła gorzej nie mogło.

Zaś nie to było najgorsze, że niejeden głodem przy-
mierał, że choroby się krzewiły, że się kłócili barzej i za-
łby brali, że nawet śmierć wybierała swoje gęściej, niżli
po inne roki — takusieńko było i łoni, i drzewiej; do tego
się już był naród wezwyczaił, rozumiejąc dobrze, jako
inaczej być nie będzie... Złe i o wiele gorsze było całkiem
co inszego — oto, że ziemia stojąca odłogiem, bo nie
miał w niej kto robić...

Zwiesna już szła całym światem wraz z tem ptac-
twem, ciągnącem do łośskich gniazd, na wyżnich miej-
scach podsychały role, wody opadły i ziemia się prawie
prosiła o pługi, o nawozy i o to ziarno święte...

A któż miał iść w pole, kiej wszystkie robotne ręce
były w kreminalu!... Przecie prawie same kobiety ostały
we wsi, a nie ich to moc, ni głowa poredzić wszyst-
kiemu.

A tu na niejedną przychodziła pora rodów, jak
to na zwiesnę zwyczajnie, a tu krowy się cielily, drób
się łągl, maciory się prosiły, w ogródkach też czas był
zasiewać i wysadki sadzić, ziemniaki trza było przebie-
rać z dolów przed sadzeniem, wodę z pól spuszczać, gnój
wybierać i wywozić — to choć urób kulasy po łokcie,
a bez chłopa nie wydolisz... A tu jeszcze trza obrządzać
inwentarz, rznąć sieczkę, poić, drwa rąbać, lebo i z lasu
wieść, a tylachna inszej, codziennej roboty, choćby na
ten przykład z dzieciskami, których było wszędzie, kiej

maku, że Jezus! gnatów już nie czuły, krzyże im ano drętwiały na odwieczerzy z utrudzenia, a i połowy nie było zrobione — bo kaj to jeszcze te ze wszystkich najpierwsze — polne roboty?...

A ziemia czekała; wygrzewało ją młode słońce, suszyły wiatry, przejmowały nawskrós te ciepłe i płodne deszcze, stężały owe mgliste i nagrzone noce zwiesnowe — że trawy już puszczały zieloną szczotką, oziminy podnosiły się w chyżym roście, skowronki przedzwaniały nad zagenami, boćki brodziły po łągach, kwiaty też kajś niekaj buchały z moczarów ku niebu polyskliwemu, ku niebu, co się codnia, niby ta płachta jasna i obtulna, podnosiło coraz wyżej, że już coraz dalej sięgały tęskliwe oczy, aż po owe wręby wsi i borów, nie-dojrzanych w zimowych mrokach; cały świat przecykał z martwego śpiku i przeżył się a przystrajał do zwiesnowych godów wesela i radści...

Zaś wszędy po sąsiedztwach, kaj jeno okiem do- sięgnąć, robili tak pilno, że całe dni, deszcz był, czy pogoda, rozlegały się wesołe przyśpiewy i kukania, po polach błyskały pługi, ruchali się ludzie, konie rżały i wozy turkotały wesoło, a jeno lipeckie role stały puste, ciche, zgoła obumarłe i jako ten smętarz żalosne...

A kiedy na dobitkę jeszcze te ciężkie strapienia o uwięzionych...

Mało jeśli co dnia nie ciągnęło do miasta po kilkoro ludzi z węzłkami, a i z tym płonem skamłaniem, by wypuścili niewinowatych.

Hale! będzie ta kto miał miłosierdzie nad pokrzyw-

dzenym narodem, jeśli on sam sobie sprawiedliwości nie wydrze!...

Źle się działo, tak źle, że nawet obce ludzie, z drugich wsi, zaczęli już miarkować, jako krzywda Lipiec jest krzywdą wszystkiego narodu chłopskiego. Jakże, jeno małpa małpie zajdy szarpie, a człowiek za człowiekiem powinien trzymać, by i jemu na taki sam koniec nie przyszło.

Więc i nie dziwota, jako drugie wsie, choć ta przódzi koty darły z Lipcami o granice i różne szkody sąsiedzkie, albo i z czystej zazdrości, że to Lipczaki wynosiły się hardo nad wszystkie, a wieś swoją uważały za najpierwszą, teraz poniechali sporów, otrząchając z siebie zawziętość, bo często chłop jakiś z Rudek, to z Wólki, to z Dębicy, a nawet i z Rzepeckiej szlachty nie jeden przebierał się do Lipiec na kryjome przewiady.

Zaś w niedzielę po sumie, albo jak wczoraj przy zjeździe do spowiedzi, rozpytywali się pilnie o uwięzionych, srożąc przytem twarze, siarczyście klnąc, a zároveň z Lipeckimi pięście zaciskając na krzywdzicieli, i wielce się litując nad dołą pękrywdzonego narodu.

Właśnie był teraz nad tem Rocho medytował, postanawiając zarazem jakieś przedsięwzięcie ważne, gdyż jeszcze barzej zwolnił kroku, często przystawał, chroniąc się od wiatru za grubsze drzewa i jakby nic dookoła nie widzący, we świat peglądał daleki...

A widniej się jakoś zrobiło i cieplej, jeno ten uprzykrzony wiaćer wzmagał się z godziny na godzinę, że jeden szum niósł się całym światem i już co cieńsze drzewiny pokładały się z jękiem, trzepiąc gałęziami po sta-

wie, snopki ano wrywał z dachów i co kruchsze gałęzie odzierał, a wiał już teraz górą i z taką mocą, że wszystko się ruchało: i sady, i płoty, i chałupy, i pojedyncze drzewa, aż się zdało jako z nim w jedną stronę lecą, a nawet to blade słońce, co się z poza rozwalonych chmur wysupeło, wydało się również uciekającym po niebie, zawlekanem kieby piaskami rozwianemi, zaś nad kościołem jakieś stado ptaków z rozczapierzonymi skrzydłami, nie mogąc się uporać z pędem, dały się nieść wicherze i ze strachliwym krzykiem rozbijały się o wieżę i rozchwiane drzewa.

Ale wiater, choć był przykry i nieco szkodliwy, sielnie też przesuszał role, bo już od rana galanto zbiełaly zageny, a drogi ociekały z wody...

Rocho długo stojał w medytacji onej, o Bożym świecie zapomniawszy, aż poruszył się znagła, doszły go bowiem z wichurą jakieś swarliwe głosy.

Rozejrzał się bystro: po drugiej stronie stawu, przed soltysową chałupą, w opłotkach, czerwienila się kupa kobiet z jakimiś ludźmi w pośrodku...

Pośpieszył tam z ciekawością, coby się stało, nie wiedząc.

Ale dojrzawszy zdała strażników z wójtem, skrecił w najbliższe opłotki, a stamtąd jał się ostrożnie przebierać sadami ku gromadzie, nie lubił jakoś leżć w oczy urzędom.

Gwar zaś był coraz wrzaskliwszy, kobiet wciąż przybywało, dzieci też całą hurmą zbiegały ze wszystkich strom, cismąc się do starszych, a poszturchując między sobą, aż ciasno się uczyniło w opłotkach i wywalili

się na drogę, nie bacząc na błoto, ni na rozkolebane drzewa, siekące gałęziami. Jazgotali cosik spółnie, to jakieś osobne głosy się wydzierały, ale coby, nie mógł wymiarkować, bo wiatery porywał słowa. Dojrzał jeno przez drzewa, że Płosczkowa rej wiodła: gruba, spaśna, z rozczwienioną gębą, wykrzykiwała cosik najgłośniej i tak zajadle podjeżdżała pięściami pod wójtowy nos, że się ten cofał, a reszta przytwierdzała jej wrzaskiem, kiej to stado indorów rozwścieczonych. Kobusowa zaś uwiłała się po bokach, próżno chcąc się przedrzeć do strażników, nad którymi co chwila trzęsły się zaciśnięte pięście, a gdzie niegdzie już i kij, albo utytlana mietlica...

Wójt cosik tłumaczył, drapiąc się frasobliwie po głowie, a powstrzymując na sobie babski napór, że strażnicy wysunęli się ostrożnie z kupy nad staw i poszli ku młynowi; wójt ruszył za nimi, odszczekując się niekiedy, a grożąc chłopakom, bo zaczęli frygać za nim błotem.

— Czego chcieli? — pytał Rocho, wchodząc między kobiety.

— Czego! aby wieś dała dwadzieścia wozów i ludzi do szarwarku, by w ten mig jechali naprawiać drogę w lesie... — objaśniała go Płosczkowa.

— Jakiś większy urząd ma przejeżdżać tamtędy, i bez to przykazują zawozić wyrwy...

— Powiedzielim, że wozów, ni koni nie damy.

— Któż to pojedzie?

— Niech pierwwej puszcza naszych chłopów, to im drogę narządzą.

— Dziedzicaby zaprzęgly!

— Sameby się wzięły do roboty, a nie penetrowały po chałupach!

— Ścierwy, ukrzywdzicie! — wołała jedna przez drugą, a coraz głośniej.

— Jeno dojrzałam strażników, zaraz mnie cosik niedobrego tknęło...

— Przecie z wójtem już od rana naradzały się w karczmie.

— Nachlały się gorzałki i dalej-że chodzić po chałupach, a ludzi pędzić do roboty...

— Wójt dobrze wie, powinien był w urzędzie przełożyć, jak jest w Lipcach — ozwał się Rocho, próżno chcąc przekrzyczeć wzburzone głosy.

— Hale, dobrze on z nimi trzyma!

— I pierwszy na wszystko naprowadza.

— A o to jeno stoi, z czego ma profit — zakrzyczały znowu.

— Namawiał, aby dać tamtym po mędlu jajek z chałupy, albo po kurze, to poniechają i drugie wsie do szarwanku wygonią.

— Tych kamienibym dała!

— Kijaszkim przyłożyła!

— Cichocie, kobiety, by was nie skarali za ubliżenie urzędowi!

— Niech karzą, niech wezmą do kozy, do oczu stanę choćby największemu urzędowi i wypowiem wszystko, w jakim to ukrzywdzeniu żyjemy!...

— Wójtaby się bojała!... Figura zapowietrzona!... Tyle mi znaczy, co ta kukła do strachania wróbli!... Nie pamięta o tem, że chłopcy go wybrały, to i one

mogą z tego urzędu zesadzić!... — wrzeszczała Płoszkowa.

— Karaćby jeszcze mieli!... A nie płacim to podatków, nie dajem chłopaków w rekruty, nie robim, co ino każą!... Mało im jeszcze, że nam chłopów pobrali!...

— A niech się zjawią, wnet jakaś bieda pada na kogoś.

— Psa mi ano we żniwa w polu ustrzelili!...

— Mnie zaś do sądu podali, że się sadze zapalili!...

— A mnie to nie, żem tu łcni len suszyła za stołcą?

— A jak to sprawy Gulbasiaka, że kamieniem na nich puścił!...

Krzyczały wspólnie, ciżbiąc się do Rocha, aż uszy zatykał od wrzasku.

— Adyc przyciszcie się! Gadaniem nic nie porodzi! Cichoście!... — wołał.

— To idźcie do wójta i przedstawcie, albo wszystkie tam pociągniem z mietłami!... — darła się zawzięcie Kobusowa.

— Pójdę, ino już się rozejdźcie!... Przecież tyle roboty ma każda w chałupie... już ja przedstawię do brzel!... — prosił gorąco, bojąc się powrotu strażników.

Że zaś w tę porę przedzwonili południe na kościele, to się zaczęły zwolna rozchodzić, rajcując głośno i przystając przed chałupami.

Roch zaś prędko wszedł do sołtysowego domu, gdzie był teraz mieszkał, nauczał bowiem dzieci w pu-

stej izbie Sikorów, na drugim końcu wsi, za karczmą. Sołtysa nie było doma, podatki powióżł do powiatu.

Opowiedziała mu zaraz Sochowa, spokojnie, po porządku, jak to było.

— By jeno z tych wrzasków nie wyszło co złego!... — zauważyła wkońcu.

— Wójtowa wina. Strażniki robią, co im przykazali, on zaś wie, jako we wsi ostały same prawie kobiety, że w polu nie ma kto robić, a nie dopiero na szarwarki jeździć. Pójdę do niego, niech załagodzi sprawę, by sztrafów nie kazali płacić!...

— To wszystko patrzy, jakby się na Lipcach mściły za las!... — powiedziała.

— Któżby?... dziedzic?!... Moiście wy! a cóż on ma do urzędów?...

— Zawždy pan z panem łacniej się zmówi, w przyjacielstwie żyją, a mścić się na Lipcach zapowiadał!...

— Boże! że to i dnia spokojnego niema!... Cięgiem coś nowego!...

— By ino gorsze już nie przyszło!... — westchnęła, składając ręce, jak do pacierza.

— Zleciały się, kiej srcki, a pyskowały, że niech Bóg broni!...

— Jakże, ten się drapie, kogo swędzi!...

— Wrzaskiem nie poradzi, jeno nową biedę można sprowadzić!...

Rozdrażniony był i zestrachany, by znowu na wieś co złego nie padło.

— Wracacie to do dzieci?

Podniósł się był z ławy.

— Rozpuściłem swoją szkołę, święta; a podругie, że muszą w chałupach pomagać, tyle wszędzie roboty!...

— Byłam rano za najemnikami na Woli, po trzy złote obiecywałam od orki, jeśćbym dała i ni jednego nie namówiłam. Każden swoje przódzi obrabia: gdzie mu to dbać o kogo! Obiecują przyjść za niedzielę, albo i dwie!...

— Jezu! że to człowiek ma ino te dwie i słabe ręce!... — westchnął ciężko.

— Pomagacie wy i tak narodowi, pomagacie!... Kiejby nie wasz rozum i to serce dobre, to już nie wiada, coby się z nami wszystkiemi stało!...

— Bym to mógł, co chcę, nie byłoby biedy na świecie! nie!

Rozwiódł ręce w onej niemocy ciężkiej i wyszedł śpiesznie do wójta. Jeno że tam nierychło doszedł, wstępując po chałupach.

Wieś się już uspokoila nieco; jeszcze tam kajś, w poniektórych opłotkach pyskowały co najzawziętsze, ale większość rozeszła się szykować warzę obiednią, a po drogach jeno wiater hulał, jak przódzi, i drzewinami mictał.

Ale wnetki po przypołudniu, mimo wachury uprzykrzonej, zaroiło się wszędy od ludzi, że w obejściach, po ogrodach, przed chałupami, w sieniach i izbach zawrzało, kiej w ulach od roboty i nieustających jazgotów babich — boć to przecie ino same kobiety się zwijały a dziewczyniska, zaś trafił się chłopak, to jeszcze taki

z koszulą w zębach, a najwyżej do pasionki przydatny, gdyż co starsze wraz z ojcami siedziały.

Zwijali się żwawo, jeszcze popędzając do pośpiechu, że to wczoraj, z powodu zjazdu księży do spowiedzi, dziadoskie świętko se zrobili, przesiadując prawie dzień cały w kościele, a dzisiaj znowu zabałamucili przez strażników.

A tu i święta nadchodziły, wielki wtorek już był na karku, toć i roboty przybyło i różnych turbacyj nie-mało — to kiele chałup trza było porządki czynić, to dzieci obszyć, siebie też ździebko obrządzić, do młyňa wieźć, o święconem pomyśleć i tyle jeszcze inszych różności, że już w każdej chałupie głowily się ciężko gospodynie, jak tu wszystkiemu zaradzić, a przepatrywały pilnie komory, coby karczmarzowi przedać, albo do miasta wywieźć na ten grosz potrzebny. Nawet już kilka kobiet pojechało zaraz po obiedzie, wioząc cosik pod słomą na przedanie.

— By was tam gdzie drzewo nie przywaliło! — ostrzegął Rocho Gulbasową, przejeżdżającą właśnie taką mizerną koniną, że ledwie szła pod wiatr.

I skręcił zaraz do jej chałupy, dojrzwawszy, że dziewczyny, wylepiające szpary, nie mogą sięgnąć nad okna. Pomógł im w tem i jeszcze wapno w szafłu rozrobił do bielienia ścian i galanty pendzel wyrychtował ze słomy.

I polazł dalej.

U Wachników gnój wywoziły na pobliskie pole, ale tak sprawnie im to szło, że połowa wytrząchała się z desek po drodze, a dzieuchy we dwie konia za uzdę cią-

gnęły, bo słuchać pono nie chciał. Wszedł tam Rocho, gnój na wozie oklepał, jak się należało, i konia batem złoił, iż ciągnął posłusznie, kiej dziecko...

U Balcerków znowu Marysia, ta, co po Jagnie Borynowej za najgladszą była we wsi uważana, siała groch tuż za plotem w czarną i sielnie znawożoną ziemię; jeno, że się ruchała, kiej mucha w smole, okręcona na głowie w chustkę i w ojcowej kapocie do ziemi, by jej kiecki nie rozwiewało.

— Nie śpiesz się tak, jeszcze wydolisz!... — zaśmiał się, wchodząc na zagon.

— Jakże... kto groch sieje w wielki wtorek — za garniec zbierze worek! — odkrzyknęła.

— Nim dosiejesz, już ci pierwszy wzejdzie! Ale za gęsto, Maryś, za gęsto... niechby wyrósł, to zwije się w kołtuny i położy!

Pokazywał, jak siać z wiatrem, bo głupia, nie zmiarkowała się, siejąc, jak popadło.

— A Wawrzon Socha mi powiedział, jakoś do wszystkiego sposobna! — rzekł od niechcienia, idąc wpodług bródzłą pełną błota.

— Mówiliście to z nim?... — wykrzyknęła, przystając nagle, by tchu złapać.

Szczerwieniła się strasznie, ale bojała pytać.

Rocho się jeno uśmiechnął, ale odchodząc, powiedział:

— We święta mu powiem, jak się to sielnie przypinasz do roboty!...

Zaś u Płoszków, stryjecznych Stacha, dwóch chłopaków podorywało tuż przy drodze kartoflisko: jeden

poganiał, drugi niby to orał, a skrzaty były oba, ledwie nosem ogona końskiego sięgające i przez żadnej mocy, to juści, że pług im chodził kiej chłop napity, a koń co trocha do stajni zawracał, prały go też wciąż na spółkę i kłęły, swarząc się między sobą.

— Poredzim, Rochu, poredzim, imo bez te ścierwy kamienie pług wyskakuje, a i kobyła ciągnie do żróbka... — tłumaczył się z płaczem starszy, kiej mu Rocho odebrał pług i rznął skibę założną, przyuczając zarazem trzymania kobyły.

— Teraz już całe staję podórzem do nocki!... — wykrzykiwał zuchowato, rozglądając się strachliwie, czy kto nie dojrzał Rochowej pomocy, a gdy stary poszedł, przysiadł wnet na pługu od wiatru, jak to ociec robili, i zakurzył papierosa.

A Rocho szedł dalej po chałupach, miarkując, gdzie może być w czym pomocny.

Przyciszał klótnie, spory łagodził, doredzał, a gdzie było potrza, i w robocie, choćby najcięższej, pomagał, bo jak u Kłębów drzew narąbał, widząc, że Kłębowa nie mogła poradzić sękatemu pniakowi, a Paczesiowej wody przyniósł ze stawu; gdzie znowu rozswawolone dzieci do posłuchu napędzał...

A zauważył, że się kajś zbytnio smucą i wyrzekają — żarty stroił ucieczne i te prześmiechy... Z dzieuchami też rad o pancowych sprawach radził i chłopaków wspominał; z kobietami pogadywał o dzieciach, o kłopotach, o sąsiadkach i o tem wszyćkiem, w czym jeno babi gatunek pociechę najduje — byle jeno naród ku lepszym myślom doprowadzić...

A że człowiek, był mądry, pobożny, we świecie niemało bywały, to wiedział zaraz z pierwszego spojrzenia, co rzecz i komu, jaką przypowiadką wyrwać duszę smutkowi, komu był potrzebny śmiech, komu wspólny pacierz, albo to twarde, mądre słowo, lub i pogroza...

Taki zaś dobry był i społecznie czujący, że choć i nieproszony, a niejedną nockę przesiedział przy chorych, krzepiąc swoją dobrością nieboraków, że go już nawet więcej uważali, niżli dobrodzieja...

Aż wkońcu to się już narodowi począł widzieć jako ten świętek Pański, po zagrodach roznoszący Boże zmiłowanie a pociechy.

Hale! mógł to zaradzić biedzie wszystkiej? mógł to przeprzeć dołę i przekarmić głodne, uzdrowić chore, albo wystarczyć swojemi za brakujące ręce?...

Nad moc jednego człowieka się trudził, pomagając i broniąc narodu — jeno że la wszystkiej wsi było to jedną okruszyną, tem, jakoby kto w spiekkocie wargi spragnione rosą odwilżał, pić nie podając!...

Jakże! wieś przecież była ogromna, samych chałup stało ponad pięćdziesiąt, i ziemi do obróbki leżał szmat wielgachny, i lewentarza do obrządków, a i gąb do przeżywienia czekało co niemiara.

A zaś to wszystko, od czasu wzięcia chłopów, trzymało się więcej boską Opatrznością, niżli ludzkiemi zabiegami, więc i nie dziwota, że z dniem każdym więcej się mnożyło bied, potrzeb, skamlań i turbacyj...

Rocho dobrze to wszystko czuł i wiedział; ale dopiero dzisiaj, chodząc od chałupy do chałupy, dojrzał, jaki to upadek wszędy się wkrada...

Mało bowiem, że pola leżały odłogiem, że nikt nie orał, nie siał, nie sadił, boć co tam w roli paprali, za dziecińską zabawę starczyło — ale już ruinę i opuszczenie widać było na każdym kroku: płoty się ano waliły miejscami, gdzie zaś przez odarte dachy krokwie iłaty wylażyły, to oberwane wrótnie zwisały, kiej przetrącone skrzydła, trzepiąc o ściany, a niejedna chałupa się wypinała; daremnie prosząc podpory.

A wszędy wody gnily pod chałupami, błoto po kolana i nieporządki pod ścianami, że przejść było niełacono, a na każdym kroku taka marnacja, że aż za serce ściskało; toć często krowy porykiwały z głodu i konie prosto w gnój obrastały, bo nie było komu oczyścić.

I tak się działo ze wszystkim, że nawet cielaki, utytlane w błocie kiej świnię, łaziły samopas po drogach, statki gospodarskie niszczały na deszczu, pługi rdza zjadała, w półkoszkach wylęgiwały maciory, a co się zaś pochyliło, co oberwało, co nadłamane padło — już tak ostać ostawało, bo któż to miał co podjąć? któż naprawiać? kto złemu zaradzić i gorszemu zapobiec?... Kobiety?...

Ależ tym chudzinom ledwie już sił i czasu starczyło na to, co najpilniejsze! Juści, niechby chłopcy wrócili, a w mig byłoby inaczej...

Czekali też na ich powrót, jak na zmiłowanie Pańskie, czekali z dnia na dzień, krzepiąc się tą nadzieją...

Ale chłopcy nie powracali i ni sposobu było się dowiedzieć, kiej ich puszcza. Więc tymczasowie jeno zły miał uciechę i profit z tej marnacji narodu, z tych kłyż-

nień, swarów a bitek, z tego umęczenia serc w biedzie a żalnościach...

Już siwy zmierzch zasiewał świat, kiej Rocho wyszedł z ostatniej za kościołem chałupy, od Gołębiów, i powlókł się do wójta na drugi koniec wsi...

Wiater wciąż hurkotał, ciskając się coraz barzej, a tak miecąc drzewinami, że nie było przezpiecznie iść, bo raz po raz leciały na drogę odłamane gałęzie.

Stary też, zgarbiony, przemykał pod samemi płotami, ledwie widny w tej dziwnej szarości zmierzchu, kieby ze startego na proch szkła uczynionego.

— Jeśli do wójta idziecie, we młynie pono; w chałupie go niema! — Jagustynka zjawiała się przed nim niespodziewanie.

Zawrócił ku młynowi bez słowa, nie cierpiał bowiem tego pleciucha.

Dopędziła go wnet i drepcząc pobok, zaszepiała prawie w same uszy:

— Zajrzyjcie do moich Pryczków, abo i do Filipki... zajrzyjcie!...

— Bym co pomógł, to zajrzę...

— Tak skamlały, abyście do nich zajrzeli... przyjdźcie!... — gorąco prosiła.

— Dobrze, jeno przódzi muszę z wójtem pomówić.

— Bóg zapłać!

Pocałowała go w rękę roztrzęsionemi wargami.

— A wam co?

Zdumiał się, bo zawsze byli z sobą jakby we wojnie.

— Coby zaś, jeno na każdego przychodzi taki

czas, że jako ten pies zgoniony a bezpański, rad, kiej go pocziwa ręka pogłaszcze... — szepnęła Izawa, ale nim znalazł dla niej to dobre słowo, odeszła śpiesznie.

A on i we młynie wójta nie znalazł; ze strażnikami pono do miasta pojechał — powiedział młynarczyk, zapraszając na odpocznienie do swojej izdebki, gdzie już dosyć siedziało lipeckich bab i chłopów z drugich wsi, oczekując na swoją kolej mielenia. Byłby tam Rocho chętnie posiedział dłużej, ale Tereska, żołnierka, siedząca z inszemi, przysiadła wnet do niego i jęła nieśmiało a cichuśko wypytywać o Mateusza Gołębia.

— Byliście u chłopów, toście i jego musieli widzieć... a zdrowy? a dobrej myśli? a kiej go puszcza?... — przycierała, w oczy mu nie spoglądając.

— A jak się ma wasz we wojsku? zdrowy? rychło wraca?... — spytał wkońcu również cicho, uderzając ją srogimi oczyma.

Szczerwieniła się i uciekła na młyn.

Pokiwał głową nad jej zaślepieniem i poszedł, chcąc cosik przelożyć a ostrzec przed grzechem, ale na młynicy, choć się paliły lampki, w tym roztrzęsionym kurzu mącznym i mroku, nie mógł jej odnaleźć: schowała się przed nim. Młyn zaś tak turkotał, wody z takim krzykiem nieustannym wałyły na koła, a wiatery, kieby temi największemi worami rypał raz po razie we ściany i dachy, że wszystko było w takim dygocie i roztrzęsieniu, jakby leda mgnienie rozlecieć się miało, aż Rocho dał spokój szukaniu i zaraz poszedł do tych nieboraczek.

Tymczasem noc się już stała zupełna; wskroś roz-

kolebanych drzew trzęsły się gdzie niegdzie zapalone światła, jako te ślepie wilcze, ale na świecie było dziwnie jasno, że dojrzał chałupy pokryte w sadach, a nawet pól mogły sięgnąć oczy, niebo zaś wisiało wysokie i ciemne, granatowe, prawie czyste, bo ino kajś niekaj jakby śniegiem przyprószone, i gwiazdy się coraz rzęsiściej wysypywały, tylko wiater nie ścichał, a naprzeciw, mocy jeszcze nabierał większej i całym światem już się przewalał.

I wiał tak bez mała całą noc, że mało kto poredził oczy zmrużyć choćby na pacierz, gdyż chałupy srodze przewiewał, drzewa chlastały po ścianach i szyby gnietły, a tak we ściany rypał i tłukł, kieby temi barami, iż myśleli nieraz, co całą wieś wyrwie i po świecie roztrzęsie.

Uspokoilo się dopiero nad ranem, ale ino co kokoty przepiały na świtanie i pomordowany naród zasnął, grzmoty jęły huczeć i przewalać się nad światem, a lyskawice zamigotały krwawemi postronkami, potem zaś deszcz spadł ulewny. Nawet powiadali, że pioruny gdzieśik były nad borami.

Ale dobrym już rankiem całkiem się uspokoilo, deszcz przestał i ciepło prosto buchało z pól, a ptaki jęły świegotać radośnie, a choć słońce się nie pokazało, jednak miejscami rozrywały się niskie, białawe chmury i niebo galantno modrzało. Mówili, że na pogodę idzie.

Zaś we wsi lament powstał i krzyki, bo się pokazało tyle szkód po wichurze, że i nie zliczyć: na drogach leżały pokotem połamane drzewa, kawały dachów, płoty, iż nie można było przejechać.

U Płoszków zwałiło chlewy i wszystkie gęsi przynietło. I tak w każdej chałupie pokazała się jakaś szkoda, że wszystkie opłotki zaroily się kobietami, a biadania i płacze sypały się jako ten deszcz rześisty.

Właśnie i Hanka wyszła na świat, by obejrzyć gospodarstwo i sprawdzić szkody, gdy na podwórze wpadła Sikorzyna.

— A to nie wiecie?... Stachom rozwałiło chałupę!... cud Boski, że ich nie pozabijało! — wrzeszczała już zdaleka.

— Jezus Marja!...

Zmartwiała z przerażenia.

— Przyleciałam po was, bo oni tam prosto przez rozum, płaczą ino...

Hanka, chwyciwszy jeno zapaskę na głowę, w dyrdy pobiegła, ludzie zaś, rychło zwiedziawszy się o nieszczęściu, gęsto ciągnęli za nią.

Jakoż prawda się okazała: z chałupy Stachowej zostały tylko ściany, ino barzej jeszcze pogięte i w ziemię wbite; dachu nie było całkiem, tyle, że jakieś nadłamane krokwie chwiały się nad szczytem; komin też się zwałił, że ostał z niego niewielki osztych, kiej ten ząb wypróchniały sterczący; ziemię dokoła zaścierały portargane snopki a rupiecie potrzaskane.

Weronka zaś siedziała pod ścianą na kupie zwalonych rzeczy i, ogarniając rękoma rozplakane dzieci, ryczała w głos.

Przypadła do niej Hanka, ludzie też kołem otoczyli, pocieszając, ale nie słyszała nic i nie widziała, zanosząc się coraz cięższem szlochaniem.

— O sieroty wy biedne, sieroty nieszczęśliwe!... —
jęczała boleśnie, że niejednej lzy się puszczały z żalu.

— I gdzie się podziem nieszczęśliwe? kaj głowy
przytulim? kaj pójdziem?!... — krzyczała bez pamięci,
przytulając dzieci.

A stary Bylica, skurczony i siny, kiej trup, obcho-
dził wciąż rumowiska i kury zganiał do kupy, to krowie,
uwiązanej do trześni, klak siana podrzucał, albo przy-
kucal pod ścianą, gwizdał na psa i patrzył na ludzi, kiej
ten głupi...

Myśleli, że rozum do cna stracił.

Naraz poruszyli się wszyscy, rozstępując a chyląc
pokornie do ziemi, bo proboszcz ano nadszedł niespo-
dziewanie.

— Ambroży dopiero co powiedział mi o tem nie-
szczęściu. Gdzież Stachowa?

Odsłonili ją, w bok się odsuwając, ale ona nic nie
dojrzała przez płacz.

— Weronka, dyć sam dobrodziej przyszli! —
szepnęła jej Hanka.

Zerwała się wtedy, a spostrzegłszy księdza przed
sobą, rymnęła mu do nóg, wybuchając płaczem jeszcze
jękliwszym i barzej zawodzącym.

— Uspokójcie się, nie płaczcie!... cóż poradzić?...
wola Boża... no, mówię: wola Boża! — powtórzył, ale
tak wzruszony, że sam ukradkiem lzy ocierał.

— Na żebry przyjdzie nam iść, na żebry, w cały
świat!

— No, nie krzyczcie, dobrzy ludzie nie pozwolą

wam zginąć i Pan Bóg was w czem innym zapomoże. Nie potłukło was? co?

— Bóg jeszcze laskaw!

— Cud się stał prawdziwy.

— Mogło co do jednego wydusić, jak te gęsi Płoszkowej.

— Że i żywa noga mogła nie wyjść! — powiadały jedna przez drugą.

— A w inwentarzu macie jaką stratę? co? W inwentarzu mówię!

— Bóg jakoś ustrzegł, w sieni było wszystko, a ona w całości ostała.

Ksiądz zażywał tabakę, rozglądając łzawemi oczyma tę kupę rumowisk, która jeno ostała z chałupy, boć dach się zwałił do cna i razem z sufitem runął do środka, że przez wygniecione szyby widać było tylko kupy połamanego drzewa i przegniłej słomy z poszycia.

— Macie szczęście, bo mogło wszystkich przygnieść... no, no!

— A niechby przygniotło, niechby nas wszystkich zabiło, to jużbym na ten upadek nie patrzała, to jużbym tego biedowania i marnacji nie dożyła... O Jezu mój, Jezu! Bez niczegoostałam z temi sierotami... A kaj się teraz podzieję? co pocznę? — zaryczała znowu, drąc się za włosy rozpacznie.

Ksiądz rozłożył bezradnie ręce, przestępując z nogi na nogę.

— Suszej będzie! — szepnęła któraś nieśmiało, podsuwając mu kawał deski, bo w błocie po kostki sto-

jał, przestąpił na nią i, zażywając tabaki, rozmyślał, co by tu powiedzieć na pocieszenie.

Hanka zajęła się gorliwie siostrą i ojcem, a reszta cizbiła się przy dobrodzieju, wlepiając w niego oczy.

Ze wsi nadchodziło coraz więcej kobiet i dzieci, że ino blocko chlupało pod trepami, a przyciszone, trwożliwe głosy poszemrywały w zwiększającej się kupie, to płacz dzieciński, albo Weronczyne, słabnące już szlochanie, zaś na twarzach, ledwie widnych z pod nasuniętych na czoło zapasek, żal się tał i leżała troska chmurna, jako to niebo, wiszące nad głowami, a nie po jednym policzku łzy skapywały gorące...

Ale w sobie byli wszyscy spokojni, z poddaniem się znosząc ten dopust Boży. Jakże? gdyby tak kuźden człowiek jeszcze cudze biedy brał w serce, toby mu na swoje mocy nie starczyło, a przytem: odrobi to, kiej się już złe stanie? zapobieży?...

Ksiądz naraz przystanął do Weronki i rzekł:

— A najpierw to panu Bogu powinniście podziękować za ocalenie...

— Juści, prawda, i choćby prosię przedam, a na mszę zaniesę...

— Nie potrzeba, schowajcie pieniądze na pilniejsze potrzeby, ja i tak zaraz po świętach Mszę odprawię na waszą intencję.

Ucałowała mu gorąco ręce i za nogi oblała w serdecznem dziękczynieniu na dobrość i miłosierdzie, on zaś przeżegnał ją, błogosławiący, i za głowę ścisnął, a dzieci, tulące mu się z piskiem do kolan, przytulił pocciwie i kiej ten najlepszy ociec popieszczał...

— Tylko dufności nie traćcie, a wszystko się na dobre obróci. Jakże to było?

— Jak? Poszlim spać zaruteńko z wieczora, bo gazu nie było w lampce, a i dREW brakowało na opał. Wiało juści sielnie, aż chałupa trzeszczała, ale się nic nie bojałam, bo nie takie wichry przetrzymała. Nie spałam zrazu, tak cugi przez izbę wiały, ale musiałam potem zadrzemać. Aż tu naraz kiej nie huknie, kiej się nie zatrzęsie, kiej cosik nie rypnie w ściany! Jezus!... myślałam, że wszystek świat się przewala. Skoczyłam z łózka i ledwie com dzieci zgarnęła w naręczce, a tu już wszystko trzeszczy, łamie się, na głowę leci... ledwiem co do sieni zdążyła i chałupa się za mną zapadła... Jeszczem i myśli nie zebrała, kiej i komin obalił się z hukiem... Na dworze zaś tak wiało, że na nogach trudno było ustoić, i wiater roznosił poszycie. A tu noc, do wsi kawał drogi, wszyscy śpią i ani sposób, by krzyki posłyszeli... Do dołu ziemniaczanego wciągnęłam się z dziećmi i tak do świtania przesiedzielim.

— Opatrzność Boska czuwała nad wami. Czyjaż to krowa przy trześni?

— A dyć moja to, moja żywicielka jedyna!

— Mleczna będzie, grzbiet jak belka, kłęby wysokie... Cielna?

— Leda dzień powinna się ocielić.

— Przyrowadźcie ją do mojej obory, zmieści się, do trawy może tam postać... Ale gdzie się wy podziejecie?... mówię: gdzie?...

Naraz pies jakiś zaczął szczekać i na ludzi rzu-

cać się zajadle, a kiej go odegnali, w progu usiadł i przeraźliwie zawył.

— Wściekł się, czy co? czyj to? — pytał ksiądz, chroniąc się ździebko za baby.

— Dyc to Kruczek, nasz... juści, żał mu szkody... czujący piesek... — jękał Bylica, idąc go przyciszać.

A ksiądz pochwalił Boga na pożegnanie, skinął na Sikorzynę, by szła za nim, i wyciągnąwszy obie ręce do kobiet, cisnących się je całować, odchodził zwolna.

Widzieli, że długo z nią na drodze o czemś rozprawiał.

Naród zaś babski, ugwarzywszy się ździebko i naużalawszy nad pokrzywdzoną, jął się rozchodzić dość śpiesznie, przypominając sobie zmagła o śniadaniach i pilnych robotach.

Przy rumowisku ostała jeno sama rodzina i właśnie medytowali, jakby tu co niebądź wydobyć z zawalonej izby, gdy powróciła zadyszana Sikorzyna.

— A to do mnie się przenieście, na drugą stronę, kaj Rocho dzieci nauczał... Juści komina braknie, ale wstawicie cyganek i waju wystarczy... — rzekła prędko.

— Moiście, a czemu to wama za komorne zapłacę!

— Niech was o to głowa nie boli. Znajdziecie jaki grosz, zapłacicie, a nie, to przy robocie jakiej pomożecie, albo prosto i za Bóg zapłać siedźcie. Pustką przecież ta izba stoi! Z duszy serca proszę, a ksiądz ten papierek wama przysyła na pierwsze wspomnienie!

Rozwinęła jej przed oczyma trzy ruble.

— Niech mu Bóg da zdrowie! — wykrzyknęła Weronka, całując ten papierek.

— Poczciwy, że drugiego nie naleźć! — dodała Hanka.

— Krowie na księżej oborze też będzie niezgorzej! juści... — stary powiedział.

I zaraz zaczęły się przenosiny.

Chałupa Sikorów stała tuż przy dróżce, na skrawku do wsi, może o jakie dwa stajania od Stachów, zaraz też jęli tam przenosić pozostałą chudobę i co się jeno poradziło naprędce wydostać z pod rumowisk ze statków i pościeli. Hanka aż parobka swojego przyzwalała do pomocy, a wkońcu i Rocho nadszedł, rażno zabierając się do pomagania, że nim przedzwonili południe, Weronka już była osiedlona na nowem pomieszkaniu.

— Komornica teraz jestem, dziadówka prawie! Cztery kąty i piec piąty, ani obrazu nawet, mi jednej całej miski! — wyrzekała gorzko, rozglądając się.

— Obraz ci jaki przyniesę, a i statków co ino najdę zbędnych. Stacho wróć i chałupę przy ludzkiej pomocy rychło podźwigną, że nie останiesz tak długo... — uspokajała ją Hanka pocziwie. — A kaj to ociec?

Chciała go zabrać do siebie.

Stary ostał przy rumowiskach, w progu ano siedział, opatrując bok pieskowi.

— Zbierajcie się ze mną, u Weronki na nowem ciasno, a u nas przecie znajdzie się la was kąć jakiś.

— Nie pòde, Hanuś... juści... останę... urodziłem się tutaj, to i zamrę.

Co się go naprosiła, co mu się naprzekładała, nie chciał i nie.

— W sieni se legowisko wyszukuję... juści... a jeśli każesz... to do waju jeść przyjdę... dzieci ci za to przypilnuję... juści... Pieska ino zabierz, bok mu skaleczyło... juści... stróżować ci będzie... czujny wielce.

— Zwałą się ściany i jeszcze was przygniecie! — prosiła, przekładając.

— I... dłużej przetrzymają niżli człowiek niejeden... Pieska weź...

Nie nalegała już więcej, skoro nie chciał. Po prawdzie, i u niej było ciasno, a ze starym nowy kłopotby był.

Przykazała Pietrkowi wziąć Kruczka na postronek i do chałupy prowadzić.

— Stanie za Burka, którego gdziesik uciekł. Niezgóła dopiero! — krzyknęła niecierpliwie, gdyż Pietrek nie mógł dać rady psu.

— Głupi... gryzł tu będzie... tam zreć co dnia dostaniesz... juści, a w ciepłe się wyleżysz... Kruczek! — napominał go stary, pomagając brać na sznurek.

— Pobiegła przodem, by jeszcze na odchodnym zajrzeć do siostry.

Zdziwiła się, zastawszy w izbie kilka kobiet i Weronkę, znowuj rozplakaną.

— A czem to sobie u was zasłużyłam na tyle dobrości? czem? — biadolila.

— Niewiela mozem, wszędy bieda, ale co przynieśli, bierzcie, bo ze szczerego serca dajem — przemówiła Kłębowa, wtykając jej w garść spory węzelek.

— Takie nieszczęście was spotkało!

— Nie z kamienia przecie naród i kuźden z biedą się zna.

— I przez chłopą jesteście, jak drugie.

— To w taką porę waju ciężej niżli inszym.

— I barzej was Pan Jezus doświadcza... — powiadały wraz, składając przed nią węzeczki, bo ano społecznie się zmówiły i naniesły jej, co ino która mogła: to grochu, to krup jęczmiennych, to mąki...

— Ludzie kochane, gospodynie, matki rodzone! — szlochała rzewliwie, oblapiając się z niemi tak gorąco, aż się wszystkie popłakały.

— Są jeszcze dobre na świecie, są!... — myślała Hanka z rozczuleniem.

A tu i organiścina wtaczała się we drzwi, bochen chleba dźwigając pod pachą i kawał słoniny w papierze.

Hanka, nie czekając już na jej przemowę, że to południe akuratnie przedzwaniiali, śpiesznie poleciała do chałupy.

Jasno było na świecie, słońce się nie pokazywało, ale mimo to dzień posiewał dziwnie przesłonecznioną widność; niebo wisiało wysoko, niby ta modrawa płachta, zrzadka jeno pozarzucana białymi chustami strzępiastych chmur, dołem zaś role rozlewały się w roztocz nieobjętą, widną kiej na dłoni, pozieleniałą miejscami, a gdzie płową od rżysk i ugorów, strugami wód lyskającą, jakby temi szybami.

Skowronki wyśpiewywały rozgłośnie, a z pól, od borów, z niebieskawych dali, całym światem płynęło

rzeźwe, wiośniane powietrze, przejęte ciepłą wilgocią i miodnym zapachem topolowych pąków.

A po drogach wsi roilo się od ludzi: ściągali w opłatki gałęzie i drzewa, przez wichurę wyłamane.

W powietrzu zaś było tak cicho, że drzewiny, jakby obwiane jeno puchem pierwszej zieleni pąków, ledwie się poruchiwały.

Nieprzeliczona chmara wróbli kotłowała się przy kościele, że czarno było, jakby od sadzy, na klonach i lipach rozłożystych, aż wrzask i ogłuszający świergot rozchodził się na całą wieś.

Zaś nad wygładzonym, lśniącym stawem krzyczały gąsiorzy, stróżujące gęsiąt i klepały ostro kijanki, gdyż prano w wielu naraz miejscach.

A wszędy był rajwach, pośpieszna robota, przekrzyki między chałupami, chmary dzieciaków i czerwieniejących po sadach kobiet.

Sienie i izby stały na przestrzał wywarte, po płotach suszyli przeprane dopiero co szmaty, wietrzyli po sadach pościele, ściany bielono tu i owdzie, psy wojnę czyniły ze świniami, bobrującemi po rowach, a kajś znowu krowy wynosiły rogate lby z za ogrodzeń, porykując tęskliwie.

Niejeden też wóz wyjechał do miasteczka po święteczne zakupy. A zaraz z południa nadjechał długim wasągim stary handlarz Judka ze swoją Żydowicą i bachorem.

Jeździli od chałupy do chałupy, przeprowadzani przez pieski, sielnie docierające, a mało skąd Judka wychodził z pustemi rękoma, bo nie był okpis, jak karcz-

marz, albo i drugie, płacił niezgorzej, a nawet, jak komu na przednówku było dobrze, to na niewielki procent wygodził. Mądry był Żyd, znał wszystkich we wsi i wiedział, jak do kogo przemówić, to i raz po raz ciągał na wóz ciołaka, albo zboża jakiego ćwiartkę wynosił, a Żydowica osobno na swoją rękę handlowała, znosząc jajka, koguty, to jakąś wypierzoną kokoszkę, albo i tego płótna półsztuczek, że to głównie na zamianę wycyganiała za owe fryzki, a wstążki, a tasiemki, a szpilki, i cały ów kram do przystrajania, na którego babski gatunek zawždy łakomy, a co w wielgachnem pudle nosiła z sobą, kusząc niem co łakomsze...

Zajeżdżały właśnie przed Borynów dom, gdy Józka przypadła z piskiem:

— Hanuś, kupcie czerwonej tasiemki!... a i tej brezyłji do jajek potrza farbowania... nici też zabrakło! — prosiła skamłaco Hanki.

— Jutro pojedziesz do miasta, to nakupisz, co potrzeba.

— A nawet w mieście taniej i tak nie ocyganiają! — upewniała, rada też jeździć, że już bez nakazu wyleciała do handlarzy, krzycząc, iż niczego im nie potrza, i nic nie przedadzą.

— A spędź kury, by się jaka do żydowskiego woza nie zaprzęła! — krzyknęła za nią Hanka, wyglądając przed dom.

Tereska żołnierka skręcała właśnie w opłotki, jakby uciekając przed Żydowicą, która za nią cosik wykrzykiwała.

Wpadła do izby, słowa nie mogąc przemówić a ją-

kając się jeno i czerwieniąc okrutnie, a tak jakoś strapiona, że aż łzy zasiwiły się u jej rzęs długich.

— Co to wam Teresko? — spytała wielce rozciekawiona.

— Abo te oszukańce dają mi tylko piętnaście złotych, a wełniak całkiem nowy! Tak mi potrzeba pieniędzy, że dziw się nie skręczę...

— Pokażcie... a drogi? — łakoma była na przyodziewę.

— Choćby ze trzydzieści złotych! Wełniak nowiuśki, ma całe siedm łokci i pół piędzi, samej czystej wełny wyszło na niego więcej niżli cztery funty... farbierzowi też płaciłam.

Rozwinęła go na izbie, że zabłysnął i zamigotał kiej tęcza i grał farbami, aż oczy trza było mrużyć.

— Śliczności, nie wełniak! Wielka szkoda, ale cóż?... sama potrzebuję grosza na święta. Nie możecie to poczekać do przewodów?

— Hale, kiej mi choćby w tej godzinie potrzeba!

Zwijiała prędko wełniak, odwracając twarz, jakby zawstydzona.

— Może wójtowa kupi... łatwiej u nich o grosz.

Wzięła go raz jeszcze oglądać, a do boku przy mierzać i z westchnieniem żalu oddała.

— Swojemu chcesz posłać pieniądze do wojska?

— Juści... pisał... skamle, że mu bieda... Ostajcie z Bogiem!

I prawie pędem wybiegła z chałupy, a Jagustynka, rozcierająca w cebratce ziemniaki la maciory, zaczęła się śmiać na całe gardło.

— Przyparliście ją, że dziw kiecki nie zgubiła z pośpiechu! Pieniędzy jej potrzała Mateusza, nie chłopca.

— To one się tak znają! — zdumiała się wielce.

— Cielakobski! jakbyście w lesie siedzieli...

— Skądże to mam wiedzieć?

— A dyć Tereska co tydzień lata do Mateusza i jak pies dni całe waruje pod kreminalem, a zanosi mu, co ino może.

— Bójcie się Boga!... nie ma to swojego chłopca?

— Wiadomo, ale tamten we wojsku, daleko i nie wie, czy wróci, a kobiecie samej się cni, Mateusz zaś był blisko, na podorędziu, i chłopakiej smok. Cóż to ma sobie żałować?!...

Hance przyszedł na myśl Antek z Jagną. Głęboko się zamedytowała.

— A jak Mateusza wzięni, skompaniła się z jego siostrą, z Nastką, nawet siedzi w ich chałupie i razem już do miasta latają. Nastka niby to do brata, a głównie by Szymkowi Dominikowej się przypominać...

— Że to wy wiecie o wszystkim! no, no!

— Na oczach głupie szyćko robią, to przejrzyć łatwo. Wełniak sprzedaje ostatni, by Mateuszowi święta sprawić! — szydziła złośliwie.

— No, no, co się to nie wyrabia z ludźmi!... I mnieby trza jechać do Antka.

— Tyli świat drogi, w waszym stanie, jeszcze się pochorujecie... Nie może to Józka, albo kto drugi? — Ledwie się wstrzymała, by Jagny nie wymienić...

— Sama pójdę, da Bóg, że mi się nic nie stanie.

Rocho mówili, że we święta będą puszczała do niego, pojedę... Ale, trzaby już te beczki poprzekładać na drugą stronę.

— Trzeci dzień słonieją, juści że nie zawadzi; zaraz tam pójdę.

I poszła, ale jeszcze rychlej wróciła zmieszana jakoś, oznajmiając, że mięsa z połowę brakuje.

Porwała się do komory Hanka, poleciała za nią Józka i stanęły wystraszone nad cebrzykiem, deliberując, kaj się mogło podziąć.

— To nie psia robota: wyraźnie znać odkrojenie nożem... złodziej obcy też nie przyszedł po parę funtów... To Jagusina sprawka! — zawyrokowała Hanka, rzucając się zajadle do izby, ale Jagny nie było, jeno stary leżał jak zawždy z wytrzeszczonemi ślepiami.

Dopiero Józce się przypomniało, jako Jaguś, wychodząc rano z domu, cosik kryła pod zapaską, ale myślała, iż to jakiś stroik, któren sobie szykowała na święta, wespół z Balcerkówną.

— Do matki wyniesła... Komu smakuje, nie pyta czyje...

Ale na te słowa Jagustyunki, Hanka zakrzyczała w złości:

— Józka! wołaj Pietrka!... trza tę resztę przenieść do mojej komory.

W mig też przenieśli; chciała przy tej okazji beczki ze zbożem przetoczyć na swoją stronę, by w nich swobodnie przeszukać, ale poniechała: za wiele ich było i mogliby o tem donieść kowalowi.

I już całe popołudnie jak pies warowała na Jagnę,

i gdy ta nadeszła o zmierzchu, wsiadła zaraz na nią zgóry o mięso.

— A zjadłam!... tak moje, jak i wasze, to urznięłam kawał i zjadłam! — odpowiedziała hardo i mimo że już prawie cały wieczór Hanka nie dawała jej spokoju, dunderując zawzięcie, nie odezwała się więcej ani słowa, jakby z rozmysłem drażniąc. Nawet przyszła na kolację, jakby nigdy nic, i z uśmiechem w oczy jej poglądała.

Hanka dziw się nie wściekła ze złości, że to jej przemóc nie poredziła.

Przez to już cały wieczór dopiekała wszystkim o bele co, spać nawet wcześniej wyganiając, że to jutro Wielki Czwartek i trza się będzie brać do porządków.

I sama też legła rychlej niżli zazwyczaj, ale długo w noc nie zasnęła i, posłyszawszy zajadłe naszczekiwania piesków, wyjrzała na dwór.

U Jagny jeszcze się świeciło.

— Późno, gazu szkoda, za darmo go nie dają! — warknęła w sieni.

— Palcie i wy, choćby całą noc! — odpowiedziała jej przez drzwi.

Tak się znowu zeźliła, że dopiero po pierwszych kurach zadrzemała.

A wczesnym rankiem, na samem świtaniu, Józka, choć śpioch był największy, pierwsza się zerwała z łóżka, przypominając jazdę po zakupy i biegnąc budzić chłopaków, żeby komie szykowali, a nawet potem hardo się postawiła, kiej Hanka przykazała Pietrkowi założyć do wozu gniadą.

— Ja w deskach i ślepią kobyłą nie pojedę! — wrzeszczała z płaczem. — Cóżem to dziadówka, by mnie w gnojnicach wozili? Wiedzą przecie w mieście, czyjam córka! Ociechy nigdy na to nie pozwolili...

Narobiła tyle piekła, że postawiła na swoim i wyjechała bryką i parą koni, z parobkiem na przednim siedzeniu, jak to gospodynie zazwyczaj jeździły.

— A czerwonego kup, a złocistego i jakie ino będą papiery! — wołał za nią Witek z ogródka, gdzie już równo ze świtaniem rozbijał na zagonikach pecyny i spulchniał ziemię, gdyż Hanka jeszcze dzisiaj zamierzała tam posiać rozsadę. A gdy gospodyni dłużej się nie pokazywała z chałupy, leciał na drogę i z drugimi chłopakami grzechotał pod płotami, że to od rana dzwony umilkły, jak to było we zwyczaju w kuźden Wielki Czwartek.

Pogoda się ustalała podobna wczorajszej; smutniej jeno było jakoś na świecie i jakby ciszej. W nocy przyszedł ziąb, to ranek podnosił się osiwiwały rosami, przemglony a chłodny, że już na dużym dniu, a jeszcze świegotwały jaskółki, na dachach pokulone, i rozgłośniej krzyczały gęsi, wypędzone na staw, ale wieś, skoro jeno rozedniało, wstała odrazu na równe nogi.

Jeszcze do śniadań było daleko, a już powstał rwetes i krętanina, dzieci zaś, wypędzane z chałup, by nie przeszkadzały, nosiły się po drogach, grzechocąc a klekotając w kołatki.

Nawet mało która poszła na mszę, odprawiającą się dzisiaj bez grania i dzwonięcia.

Szła już bowiem ostatnia para, by się zabierać

do porządków świątecznych, a głównie do wypieku chlebów i zaczyniania na placki a owe wymyślne kukielki, to też prawie w każdej chałupie okna i drzwi stały szczelnie poprzywierane, by ciast nie zaziębić, buzowały się ognie, a z kominów biły dymy w pochmurzone niebo.

Po oborach zaś ryczały inwentarze, żłoby ogryzając z głodu, świnie pyskały w ogródkach, drób się walał po drogach, a dzieci robiły, co chciały, za lby się wodząc i po drzewach łażąc za wroniami gniazdami, gdyż nie było komu przeszkodzić, bo wszystkie kobiety tak się zajęły rozcynianiem i toczeniem bochenków, otulaniem w pierzyny dzież i niecek z ciastem, wsadzaniem do pieców, że jakby o całym świecie zapomniały, tem się jedynie frasując, by zakalec nie wlaźł do placków, albo się nie spaliły.

A wszędzie szło to samo: u młynarza, u organistów, na plebanji, u gospodarzy czy komorników, bo żeby najbiedniejszy i choćby na bóróg albo za tę ostatnią ćwiartkę, a musiał sobie narządzić jakie takie święcone, żeby chocia raz w rok, na Wielkanoc, podjeść se dowolu mięsiwa i onych smakowitych różności.

Ze zaś nie wszędzie mieli szabaśniki do wypieku, to w sadach między chałupami gęsto krążyły dzieuchy z naręczami szczap, a niekiedy ukazywały się nad stawem kobiety umączone, rozbabrane i kieby na procesji owe feretrony, ostrożnie dźwigające wielgachne stolnice i miecki pełne placków, ponakrywanych poduszkami.

Nawet w kościele szła robotą: parobek księży zwoził z lasu świerczaki, a organista, wespół z Rochem i Jambrozým jał przystrajać grób Pana-Jesusowy.

A nazajutrz, w piątek, robota się jeszcze wzmogła tak bardzo, że nawet mało kto dojrzał organistowego Jasia, któren z klas na święta przyjechał i spacerował po wsi, w okna jeno zaglądnając, gdyż ani sposobu zajrzeć było do kogo, ni z kim pogadać.

Jakże, ani wleźć do której chałupy, bo wszędzie przejścia i nawet sady stały zawałone szafami, łózkami a sprzętem przeróżnym, że to izby bielili dzisiaj na gwałt, szorowali podłogi, a przed domami myli do czysta obrazy, powystawiane pod ściany.

Wszędy zaś taki gwałt panował i krętanina, że w dyrdy biegali, poganiając się jeszcze do pośpiechu i wrzawę czyniąc coraz większą, dzieci nawet pędząc do zgartywania błota w obejściach i wysypywania złotym piaskiem opłotków.

A że wedle starego obyczaju od piątku rana aż do niedzieli nie godziło się jeść ciepłej warzy, więc głodowali ździebko na chwałę Pańską, poprzestając na suchym chlebie i ziemniakach pieczonych.

Juści, iż przez te dni takusieńko kaj indziej działo się i u Borynów, tyle jeno różnie, że więcej było rąk i z groszem skrzybot mniejszy, to i rychlej pokończyli przygotowania.

W piątek, już o samym zmierzchu, Hanka wespół z Pietrkiem skończyła bielenie izb i chałupy, więc zaczęła się śpiesznie myć i przyogarniać do kościoła, bo już szły drugie kobiety na złożenie do grobu Ciała Jezusowego.

Na kominie huczał duży ogień i w grapie, którą dwojgu ciężko było podjąć, gotowała się cała świńska

noga, naprędce wczoraj przywędziona, w mniejszym zaś saganie kiełbasy parkotały, że po izbie chodziły takie wiercące w nozdrzach smaki, aż Witek, strugający cosik wpośród dzieci, raz po raz nosem pociągał i wzdychał.

A pod kominem, w samym świetle ognia, siedziały zgodnie Jagna z Józką, zajęte pilnie kraszeniem jajek, a każda swoje zosobna chroniła i kryjomo, aby się barzej wysadzić. Jagusia najpierw myła swoje w ciepłej wodzie i wytarte do sucha dopiero znaczyła w różności roztopionym woskiem, a potem wpuszczała we wrzątek bełkocący we trzech garnuszkach, w których je kolejno zanurzała. Żmudna była robota, bo wosk miejscami nie chciał trzymać, albo jajka w rękach się gnietły lub pękały przy gotowaniu, ale wkońcu naczyniły ich przeszło pół kopy i nuż dopiero okazywać sobie i przechwalać się piękniej kraszonemi!

Kaj się ta było Józce mierzyć z Jagusią! Pokazywała swoje, w piórkach żytnich i cebulowych gotowane, żółciuchne, białemi figlasami ukraszone i tak galante, jak mało któraby potrafiła, ale ujrzawszy Jagusine, gębę ozwarła z podziwu i markotność ją chyciła. Jakże, to aż mieniło się w oczach, czerwone były, żółte, fioletkowe i jak lnowe kwiatuszki niebieskie, a widać było na nich takie rzeczy, że prosto nie do uwierzenia: koguty piejące na płocie; gąski na drugim syczały na maciory, uwalone w błocie; gdzie znów stado gołębi białych nad polami czerwonemi, a na inszych wzory takie i cudeńka, kiej na szybach, gdy zamróż je lodem potrzęsie.

Dziwowali się temu, oglądając raz po raz, a kiej Hanka powróciła z Jagustynką z kościoła, też wzięła

patrzyć, ale nic nie rzekła, jeno stara, przejrzawszy wszystkie, szepnęła w zdumieniu:

— Skąd się to bierze u ciebie?... no, no...

— Skąd?... a samo tak z głowy pod palce przychodzi!

Uradowana była!

— Dobrodziejowiby parę zanieść!

— Świecił jutro będzie, to mu podam, może weźmie...

— Takie śliczności, że dobrodziej nie widzieli!... zdziwiają się wielce! — mruknęła urągliwie Hanka, gdy Jagna poszła na swoją stronę, bo już późno było.

Na wsi też długo w noc siedzieli tego wieczora.

Chmurno było na świecie i ciemno, choć spokojnie; młyn jeno turkotał zawzięcie, a po chałupach prawie do północkska świeciło się w oknach, że kładły się światła na drogi, a kajś niekaj aż na stawie się trzęsły wraz z wodą: majstrowali ano świąteczne przyodziewy i kończyli jeszcze roboty.

Sobota zaś przyszła całkiem ciepła i mgłami rzadkiemi otulona, ale tak jakoś weselnie było na świecie, że naród chociaż po ciężkiej pracy wczorajszej, żwawo się podnosił do nowych utrudzeń i turbacyj.

A przed kościołem wnet się zatrzęsło od przekrzyków i biegów, bo jak to było we zwyczaju odwiecznym, w każdą Wielką Sobotę, zebrali się zaraz rankiem, chociaż żur i grzebać śledzia, jako tych najgorszych trapieli przez wielki post. Nie było parobków ni starszych, to zmówiły się na to same chłopaki, jeno z Jaśkiem Prze-

wrotnym na czele, porwali gdziesik wielki garnek z żurem, do którego jeszcze dołożyli różnych paskudności.

Witek dał się namówić i poniósł garnek na plecach w siatce od serów, drugi zaś chłopak włókł pobok na postronku śledzia, wystruganego z drzewa. Żur ze śledziem szły w parze, przodem, a za nimi całą hurmą reszta, grzechocąc, kołatając a wrzeszcząc, co ino gardzieli starczyło. Jasiak wiódł wszystkich, bo chociaż głupawy był i niemrawa, ale do psich figłów głowę miał i sprawność. Obeszli w procesji cały staw i koło kościoła skręcali już na topolową drogę, kaj się to miał odbyć pochówek, gdy wtem Jasiak wałnął łopatą w garnek, że rozleciał się w kawałki, a żur z onemi różnościami polał się po Witku.

Uciecha zapanowała, że aż przysiadali na drodze, ale Witek się zeźlił i prosto z golemi rękoma rzucił się na Jaśka, pobił się i z drugimi; aż wyrwawszy się, poleciał z rykiem do chałupy.

Dołożyła mu jeszcze Hanka od siebie za zniszczony całkiem spencerek i w las pognąła po borowinowe gałązki i wąsy zajęcze.

Jeszcze się z niego ześmiał Pietrek, a i Józka nie pożałowała, pilnie wysypując szerokie opłotki, aż do drogi, piaskiem, przywiezionym z pod cmentarza, bo tam był najzółciejszy; wysypała też cały zajazd przed gankiem i ścieżkę pod okapem, że jakby opasała chałupę w żółtą wstęgę.

A w Borynowej izbie już się wzięli szykować święcone.

Izba była wymyta i piaskiem wysypana, okna czy-

ste i ściany a obrazy omiecione z pajęczyn, Jagusine zaś łóżko pięknie chustką przykryte.

Hanka z Jagusią i Dominikową, choć nie mówiły prawie z sobą, ustawiły pod szczytówem oknem, wpodle Borynowego łóżka, duży stół, nakryty cieniuską, białą plachtą, której wręby oblepiła Jagusia szerokim pasem czerwonych wystrzyganek. Na środku, z kraja od okna postawili wysoką pasyjkę, przybraną papierowemi kwiatami, a przed nią, na wywróconej donicy baranka z masła, tak zmyślnie przez Jagnę uczynionego, że kiej żywy się widział: oczy miał ze ziarn różańcowych wlepione, a ogon, uszy, kopytka i chorągiewkę z czerwonej, postrzępionej wełny. Dopiero zaś pierwszym kołem legły chleby pytlowe i kołacze pszenne, z masłem zagniatane i na mleku, po nich następowały placki żółciuchne, a rodzynkami kieby temi gwoździami gęsto ponabijane; były i mniejsze, Józine i dzieci, były i takie specjały z serem, i drugie jajeczne, cukrem posypane i tym maczkiem słodziuskim, a naostatku postawili wielką michę ze zwojem kielbas, ubranych jajkami oblupanemi, a na brytwance całą świńską nogę i galanty karwas głowizny, wszystko zaś poubierane jajkami kraszonemi, czekając jeszcze na Witka, by ponatykać zielonej borowiny i temi zajęczemi wąsami opleść stół cały.

A tyle co skończyły, sąsiadki jęły zwolna znosić swoje na miskach, nieculkach a donicach i ustawiać je na ławie pobok stołu, gdyż ino w kilku chałupach co przedniejszych gospodarzy zbierać się ze święconem ksiądz nakazywał, że mu to czasu brakowało chodzić po wszystkich.

Lipce miał najbliżej, to święcił naostatku, nieraz już o samym zmierzchu.

Porozchodziły się bez dłuższej pogwary, by zdążyć jeszcze do kościoła na uroczystość poświęcenia ognia i wody, zalewając przedtem ogniska w chalupach, by je znowu rozniecić tym młodym, poświęconym ogniem.

Poleciała na to i Józka, zabrawszy dzieci z sobą.

Ale siedzieli dość długo, bo dopiero w samo południe powracały kobiety, ostrożnie przysłaniając i chroniąc świece, zapalone w kościele.

Józka przyniosła wody całą flaszkę i ogień, którym zaraz Hanka rozpałała drwa przygotowane i pierwsza też wody święconej popiła, dając kolejnie wszystkim — od chorób gardzieli pono strzegła — a potem skropiła nią inwentarz i drzewiny rodne w sadzie, że to się przyczyniało do urodzajów i dawało bydłatom letkie łągi.

A później, widząc, że ni Jagna, ni kowalowa nie pomyślała o starym, umyła go w ciepłej wodzie, przyczesła jego skołtunione włosy i przewlekła mu koszulę i pościele. Boryna dozwalał z sobą robić wszystko, nie poruszywszy się ani razu; leżał jak zawsze wpatrzony przed siebie i martwy jak zawsze...

Zaraz z południa zrobiło się na wsi jakby święto, jeszcze tu i owdzie doganiali grubszej roboty, ale już głównie zajęli się przyodziewkiem świątecznym, czesaniem, myciem i szorowaniem dzieci, że nie z jednej chalupy wydierały się krzyki obronne.

I wypatrywali niecierpliwie księdza, któren przyje-

chał ze dworów dopiero przed zmrokiem i zaraz zjawił się na wsi, w komżę ubrany.

Michał organistowy niósł za nim miednik z wodą święconą i kropidło.

Hanka wyszła go przyjmować aż na drogę.

Śpieszył się, wpadł prędko do chłupy, odmówił modlitwę, pokropił dary Boże i zajrzał w siną, obrosłą twarz Borynową.

— Bez zmiany? co?

— A juści, rana się prawie zagoiła, a im nic nie lepiej.

Zażył tabaki, powlókł oczyma po kupiących się przy progu i w sieniach.

— Gdzie to ten chłopiec, który mi sprzedał bociana?

Józka wypchnęła z pod komina na środek zawstydzonego Witka.

— Naści dziesiątkę, udał ci się: tak kury goni z ogrodu, że ni jedna nie zostaje!... A jutro które do mężów idą?

— Z pół wsi się wybiera!

— To dobrze, byle tylko zgodnie i cicho, a na rezurekcję przychodzić, o dziesiątej zacznę, mówię: o dziesiątej! A śpijcie w kościele, to Ambrożemu każe wyprowadzić! — dodał groźnie, wychodząc powoli.

Ruszyli z nim całą gromadą, odprowadzając do młynarzów.

A Witek, pokazując Józce miedzianą dziesiątkę, szepnął ze złością:

— Niedługo będzie mój bociek księżu kury płoszyl, nie!...

Rozbiegli się we dwie strony, bo gospodyni wracała na ganek.

Ściemniało się zwolna, zmierzch cichuśko sypał się na ziemię, zatapiając sady, domy i pola okólne w modrawym, ledwie przejrzanym mącie, bieleły kajś niekaj ściany z przypadłych do ziemi chałup i trzęsły się wskroś sadów zapalone światła, górą zaś, na niebie jasnym, wyrzynał się blady sierp młodego miesiąca.

Świąteczną cichością osnuła się wieś i mrokiem, w kościele, wyniesionym nad chałupami, zagorzały wszystkie okna i z otwartych wielkich drzwi biła szeroka smuga światłości.

Wkrótce zaturkotały pierwsze wozy, zajeżdżając przed cmentarz, i ludzie z dalszych wsi nadchodzić poczęli gromadami, z chałup lipeckich też raz po raz wychodzono do kościoła, bo często z wywieranych drzwi padała w noc struga światła, topiąc się w omroczałym stawie, i tupoty a przyciszone pogwary mrowiły się w ciepłym i cmglonym powietrzu. Pozdrawiali się na drogach, nie dojrawszy w nocy, i niby ta rzeka, wzbierając a zwolna a bezustannie, ciągnęli na rezurekcję.

U Borynów, na gospodarstwie, do pilnowania ostawały ino psy, stary Bylica i Witek, któren pilnie majstrował wespół z Maćkiem Kłębowym kogutka, co to z nim mieli pójść po dyngusie.

Hanka wyprawiła najpierw Józkę z dziećmi i parobka; sama później miała nadejść. Ubrana już była, ale ociągała się z wyjściem, jakby na coś oczekując, że

wciąż wystawała w ganku i stróżowała na drodze. Dopiero gdy Jagna poszła z kowalową i dosłyszała kowala, idącego z wójtem ku kościołowi, wróciła do izby, przykazując cosik pocichu staremu. Stał na straży w oplotkach, a ona wsunęła się na palcach do ojcowej komory... Po dobrej półgodzinie wyszła stamtąd, coś pilnie zapinając stanik; oczy jej gorzały i ręce się trzęsły.

Nagadała czego nikt nie pojął i poszła na rezurekcję.

V.

Na drogach było pusto i ciemno, w chałupach gasy światła i przechodzili już ostatni ludzie, jeno na kościelnym placu stały gęstwą wozy z wyłożonemi końmi, że tylko tupoty a parskania roznosiły się w mroku, a pod dzwonnica czerniały dworskie powozy.

Hanka jeszcze raz w kruchcie cosik pomajdrowała kiele stanika i, spuściwszy chustkę na plecy, jęła się ostro przepychać do przednich ławek.

Kościół już był jakby nabity, ściźbiony naród kłębił się i wrzał, niby woda, z poszumem pacierzy, wzdychań, kaszlów a pozdrawiań, i kołysał się od ściany do ściany, aż się do tego naporu kolebały chorągwie, w ławki pozatykane, i te świerczaki, któremi umaili ołtarze i ściany wszystkie.

Ledwie co się przepchała do swojego miejsca, kiej proboszcz wyszedł z nabożeństwem, i wraz też jęły się z gęstwy rwać głośne wzdychy i te ręce szeroko rozwo-

dzone. Klękali kornie, cisnąc się coraz barzej, że wnet cały naród był na kolanach, ramię przy ramieniu, dusza przy duszy, jako to pole nasadzone głowami, że ino w tym rozkołysanym ździebko, człowieczym łanie oczy się mrowiły, połyskliwie kiej motyle niesąc się ku ołtarzowi wielkiemu, na figurę Jezusa zmartwychwstałego, któren stojał nagi, skrwawiony, ranami pokryty, i w płaszcz czerwony jeno przycedziany z chorągiewką w ręku.

Cicheść zngała objęła kościół, jakby tego zwiesnowego przypołudnia, kiej to słońce przypiecze pola, wia-ter ustanie i przygięte zboża se kłosami gwarzą, a jeno gđziesik wysoko, pod niebem modrem, skowronkowe pie-śni słodko podzwaniają...

Rozmadlali się zwolna, że wargi się wszędy trzę- sły i pacierze ze wzdychaniami szemrały cichuško a rzę- siście, kiej ten deszczyk, trzepiący po liściach; głowy po- chylały się coraz niżej, czasem jęk wyrwał się skądciś, to czyjeś rozmodlone ręce wychynęły prosząco ku ołta- rzowi, albo i płacz zakwilił pisklęcy, żaloszny, z tej ciżby, co jak krze przyziemne tuliła się trwożnie w cieniach naw wyniosłych i mrocznych, niby bór odwieczny, bo chociaż na ołtarzach gorzały światła, gęsty mrok zalegał kościół, że to oknami, a głównie przez wielkie drzwi wywarte, noc się cisnęła czarna i zaglądał blady sierp księżyca z za chmury.

Jeno Hanka nie mogła się przyłożyć do pacierza, trzęsła się w sobie, tak załękniona, jakby to jeszcze tam była, w komorze ojcowej.

Dreszcz ją przejmował, czuła na rękach sypkie

zimno zboża i raz po raz ścisnęła ramiona, aby poczuć między piersiami wtulony węzelek.

Tak ją roztrzęsała radość i strach jakiś zarazem, że często różaniec wysuwał się z palców, zapomniała słów modlitwy, wodząc rozpalonemi oczyma po ludziach, a nie dostrzegając nikogo, choć pobok siedziała Józka, Jaguś z matką i drugie.

W ławkach, stojących z boku ołtarza, modliły się na książkach dziedziczki z Rudki, z Modlicy i dziedzicówny z Wólki, a dziedzice stały we drzwiach zakrystji, poredzając cosik; na stopniach ołtarza stała zdaleka młynarzowa i organiścina, sielnie wystrojone. Zasia przed kratą, tam, kaj było miejsce la najpierwszych gospodarzy lipeckich, które zawsze stróżę trzymali w czas nabożeństwa, baldach nosili nad dobrodziejem i pod ręce go wiedli na procesjach, klęczały teraz gęstą ławą chłopcy z drugich wsi, że ledwie było można dojrzeć między nimi wójta, sołtysa i ten czerwony łeb kowalowy.

Nie jedne kobiece oczy się tam niesły, wypatrując tęskliwie swoich... ale nadarmo: były tam chłopcy z Dębicy, z Woli, z Rzepek, z całej parafji, jeno lipeckich nie dojrzał, jeno tych najpierwszych dzisia nie stało. Zatrzepotały się też dusze kobiece, kiej ptaki spłoszone, że niejedna głowa z płaczem do ziemi przywarła, niejednen jęk żaloszny rwał się z gęstwy, a bolesne przypominki sieroctwa żywym ogniem zapiekły.

Jakże, największe święta w całym roku, Wielkanoc, i tyła obcego narodu się zebrało, a na wszystkich twarzach, choć ździebko przychudłych z postu, radość się rozlewa, puszą się ano, paradują strojami, rozpierają

w kościele, kieby dziedzice, toczą hardo oczyma, zajmują pierwsze miejsca, a tamte, lipeckie mizeraki cóż teraz czynią, co? W ciemnicach ano o głodzie i chłodzie krzywdę gorzką gryzą, i żalem się pasą, i tęsknicą...

La wszystkiego stworzenia dzień radości nastaje, jeno nie dla nich... chudziaków pokrzywdzonych... Wszystkie społem do chałup powrócą radośnie zażywać świąt, odpoczynku, jadła, zwiesnowego słońca, przyjacielskich ugwarzeń, jak Pan Bóg przykazał, jeno nie te opuszczone lipeckie sieroty...

Same, rozbolełe, chyłkiem rozejdą się do pustych domów i ze łzami przegryzać będą ten placek świąteczny, a z tęsknicą i turbacjami społem do snów legną...

Jezus mój, Jezu! rwały się żalne, przyduszone skowity dokola Hanki, aż przecknęła, dojrzawszy naraz znajome twarze i oczy łzami przeszkłone... Nawet Jaguś zwiesiła głowę nad książką i na białe karty lała ciężkimi łzami, aż ją matka szturchaniem przywozowała do opamiętania, hale! poredziła się utulić, kiej właśnie Antek jawił się w pamięci tak żywo, że, jak wtedy w Boże Narodzenie, słyszała głos jego gorący i zdało się jej, iż wpodkle kłęczą, cisnąc głowę do jej kolan... to żal ją ścisnął za serce i same łzy się polały z nagłej tęskności...

Szczęściem, co dobrodziej w tę porę rozpoczął kazanie i rumor się czynił na kościele, gdyż powstawali z kłęczek, cisnąc się jeszcze barzej ku ambonie i zadzierając głowy w górę, ku księdzu, któren o Męce Pańskiej powiadał i o tem, jak go to paskudne Żydowiny ukrzyżowały, że to świat przyszedł zbawić, że sprawiedliwość chciał dawać pokrzywdzonym, że za biedotą się upomi-

nał. Tak rzewliwie owe krzywdy Pańskie na oczy przywodził, jaże się gorąco robiło i niejedna pięść chłopska zwierala się na' odemstę, a babi naród w głos szlochał, czyniąc sprawę wedle nosów.

Długo nauczał, wykładając wszystko dokumentnie, jaże kajś niekaj oczy kleiły się śpikiem, a po kątach już na dobre drzemali, ale pod koniec zwrócił się prosto do narodu i wychylony z ambony, jał sielnie wytrząchać pięściami a krzyczeć, jako co dnia, co godzina i na każdym miejscu Jezus umęczon jest przez grzechy nasze, zabit przez złość, bezbożności a nieposłuszeństwo prawom boskim, jako kaźden człowiek krzyżuje Go w sobie, nie pomnąc na Jego rany ni krew świętą, wylaną dla naszego zbawienia!

Ryknął-ci na to cały naród, i płacze, szlochania, kiej wicher rozniosły się jękiem wstrząsającym po kościele, aż przestał mówić. Dopiero kiej przycichli, zaczął znowu, ale już radośnie i krzepiąco, o Zmartwychwstaniu Pańskiem powiadać. O onej zwieśnie, jaką Pan w dobroci swojej czyni co rok człowiekowi grzesznemu i czynić będzie aż do owej pory, kiej Jezus powróci znowu na świat, by sądzić żywe i pomarłe, by harde poniżyć, grzeszne w ogień piekielny na wiek wieków spychać, a sprawiedliwe po prawicy swojej sadzać w chwale wiekuistej! Jako przyjdzie ten czas, iż wszelka niesprawiedliwość ustanie, wszelka krzywda weźmie zapłatę, a płakania cierpiących ustana i zło panować nie będzie...

I tak gorąco to mówił, tak pocziwie, że kaźde słowo, kiej słodkość, lało się w serca i kieby słońce rozpałało w duszach, że dziwna błogość przejmowała

wszystkich, jeno lipeckie ludzie zatrzęsły się z żalu, i przypomnienia krzywd tak boleśnie ścisnęły dusze, jaże ryknęli wraz z płaczem, krzykiem, szlochaniem i walili się krzyżem na podłogę, tym jękiem żalnym, tym skrzybotem serdecznym wołając o zmiłowanie i poratunek!...

Zakotłowało się w kościele, płacz się podniósł powszechny i krzyki, ale wnet pomiarkowali drudzy i jęli podnosić lipeckie kobiety, usadzać je a krzepić dobremi słowy, a dobrodziej pocziwy, ocierając łzy rękawem, wołał, że Pan Jezus doświadcza tych, których miłuje, iż chociaż zawinili, kara rychło się skończy, by jeno dufali w miłosierdzie Pańskie, a lada dzień powrócą wszystkie chłopy...

Uspokoili się po tych słowach, ulżyło im galantostwo i dufność wstąpiła w serca.

A gdy wnet potem ksiądz zaintonował u ołtarza pieśń Zmartwychwstania, kiej organy wtórem huknęły z całej mocy, kiej dzwony zaśpiewały na cały świat, a dobrodziej z Przenajświętszym Sakramentem jał zstępować ku narodowi, w sinym obłoku kadzideł i dzwonnej wrzawie, pieśń buchnęła ze wszystkich gardzieli, zakolebała się ciżba, palący wicher uniesienia osuszył łzy i porwał dusze, iż naraz, społem, kiej ten bór człowieczy, rozchwiany i śpiewający jednym, ogromnym głosem, ruszył procesją za proboszczem, któren monstrancję dzierzył przed sobą, że jakoby słońce złociste, słońce promieniące rozgorzało nad głowami, płynąc zwolna skroś gęstwy nieprzeliczonej, wskroś światła jarzących, w kadzielnym dymach ledwie dojrżane, śpiewaniami opowite

i przez oczy wszystkiego narodu i przez serca wszystkie z miłością niesione...

Obchodzili kościół we środku a wolniusko, noga za nogą, cisnąć się w strasznej ciasnocie i śpiewając z całej mocy, a organy wciąż grały, a dzwony bezustannie bily...

Allejuja! Allejuja! Allejuja! Huczał kościół, aż mury się trzęsły, śpiewały serca wszystkie i gardziele, a te głosy płomienne i ogniem nabrzmiałe, niby żar-ptaki, rwaly się z krzykiem wesela ogromnym, kołowały pod sklepieniami, kiejby poślepte w upale, i w noc wiośnianą płynęły, na słońca się gdziesik niesły, we wszystek świat, kaj jeno uniesieniem dusze człowiecze sięgają...

Prawie przed północkiem skończyło się nabożeństwo, i ludzie jęli się śpieszno na świat wywalać. Tylko Hanka ostała jeszcze, bo się tak rozmodliła gorąco, tak ją ano słowa księże przejęły otuchą, a te śpiewy radosne, nabożeństwo i pamięć tego, czego to dzisiaj dopięła, tak ją ukrzepiły, iż całą radość składała pod Jezusowe nogi, zapomniawszy w pacierzu o całym świecie. Dopiero Jambroży brząkaniem kluczków przyniewolił ją do wyjścia z pustego już kościoła.

Że nawet i ten strach o Antka, któren od tyła czasu żył w niej i skowyczał za leda powodem, jakby w niej pomarł nagle, tak bardzo poczuła się spokojna i dufna w sobie.

Rozglądała się za swojemi, posuwając się wolno ku domowi, gdyż wozy toczyły się nieprzerwanym łańcuchem i ludzie szli całemi kupami bokiem drogi, ledwie dojrzanej, bo księżyc już zaszedł i ciemno było na świe-

cie, bure chmurzyska ciągnęły górą, co trocha przesłaniając te granatowe pola nieba, kaj się jarzyły gwiazdy dalekie.

Noc szła ciepła, cicha i od ros obfitych wilgotnawa, z pól pociągał mięciuchny wiaterek, przejęty surowizną ziemią i mokradel, a po drogach roznosiły się miodne zapachy topoli i brzoźek. Ludzie mrowili się w cieniach wsi, że ino kajś niekaj zamajaczyły głowy na jaśni powietrza nieprzysłonionego; wszędy rozlegały się kroki a głosy, pieski też zajadłej docierały z opłotków, a po chałupach tu i ewdzie rozbłyskiwały światła.

Hanka, opatrzwszy po drodze stajnie i obory, poszła do chałupy. Już się tam kładli spać.

— Niech jeno wróci a gospodarzy, to ni słówkiem mu przypomnę przeszłe. — Postanawiała, rozdzielając się do snu. — A jeżeli znowuj się z nią sprzęgnie? — pomyślała naraz, dosłyszawszy Jagusię, wracającą na swoją stronę.

Legła w pościel, nasłuchując czas jakiś. Na wsi było cicho, jeno z dróg dalekich trzęsły się ostatnie turkoty wozów i głosy zamierające w pustych oddalach.

— Bogaby nie było, ni sprawiedliwości na świecie! — szepnęła groźnie, ale zbrakło jej sił do rozmyślań, bo śpiak ją zaraz z miejsca zmorzył.

.

Nazajutrz bardzo późno obudziły się Lipce.

Dzień się już rozwierał, kiej to modre oko, jeszcze bielmem śpiaku zasnutę ale już widne do cna i polyskujące, a wieś spała w najlepsze.

Nie kwapili się zrywać z barłogów, choć dzień ci

to szedł Pańskiego Zmartwychwstania. Słońce wyniesło się zarno od wschodu i zagrało w stawach a rosach, i płynęło po bladym, wysokim niebie, jakby śpiewając wszemu światu ciepłem a światłością Alleluja!

Niesło się ogromne i promienne wskroś mgieł przyziemnych, wskroś sadów, i chałup, i pól, że ptaki zaśpiewały radośnie, wody dzwoniły weselnym bełkotem, bory zaszumiały, wiatr powiał, zatrzęsły się młode liście, a ziemia zadrgała, że gęste runie zbóż zakolebały się cichusko i rosy kiej lzy posypały się na ziemię.

Hej! wesoly dzień nastał! Chrystus nam zmartwychwstał! Alleluja!

Zmartwychwstał On, umęczony i lutą złością zabił! Powstał-ci znowu w żywe, z ciemności, z mrozów, z pluch się wyniósł Najmilszy! Śmierci srogiej się wydarł, zmógł niezmożone ku człowiekowemu szczęściu i oto w ten czas wiosniany, w tę porę rodną unosi się nad ziemią, w tem słońcu przenajświętszem utajony, i rozsiewa wokół wesele, budzi omdlałe, ożywia martwe, wznosi przygięte, jałowe zapładnia.

Alleluja! Alleluja! Alleluja!...

Tem ci to świat wszystek się rozlegał onego dnia pańskiego.

Jeno w Lipcach było ciszej i smutniej, niżli po inne roki w tę porę.

Zaspali galant, bo już o dużym dniu, kiej słońce wciągało się nad sady, dopiero ruch się czynił po chałupach, skrzypiały wierzeje i rozczochrane głowy wyglądały rozziwane na świat Boży, którego stał w słońcu,

skowrołkowemi świergotami dzwoniący i młodą zieleń przytrząśnięty.

I u Borynów zaspali. Jedna Hanka, co się ździebko poraniła, by obudzić Pietrka do szykowania konia i bryki, sama zaś zajęła się przygotowaniem święconego. Józka tymczasem z niemalym piskiem pucowała dzieci, sama się też we świąteczne szmaty przyodziewając, a pod studnią na podwórzu Pietrek z Witkiem domywali się do czysta; tylko stary Bylica zabawiał się z pieskiem na ganku, często nosem pociągając, czy już krają kielbasy.

Wedle zwyczaju, nie rozpalono ognia w kominie, kontentując się zimnem święconem. Właśnie je była Hanka przynosiła z ojcowej izby, rozdzielając po talerzach, że każdemu porówny wypadało po kawale kielbasy, szynki, sera, chleba, jajek i placka słodkiego.

Dopiero kiej się i sama ogarnęła, zwołała wszystkich do jada i nawet poszła po Jagusię; przyszła ci zaraz sielnie zestrojona i tak piękna, że kiejby zorza się widziała, a modre oczy niby gwiazdy jarzyły się z pod lnowych, gładko przyczesanych włosów. Ale wszyscy zároveň byli w szmatach świątecznych, że ino grały w oczach wełniaki i gorsety, a i Witek, choć bosy, w nowym był spencerku ze świecącymi guzikami, co je był uprosił od Pietrka, którego dzisiaj wystąpił w całkiem nowej przyodziewie: w granatowym żupanie i portkach pasiastych żółto-zielonych, wygolił się do czysta, włosy obciął jak długie, równo nad czołem i koszulę na czerwoną wstążkę zawiązał, że skoro wszedł, zdumieli się przemianą, a Józka jaże w ręce zaklaskała:

— Pietrek ci to? a toby cię rodzona nie poznali!

— Burkową skórę zrzucił i parobek kiej świeca...—
zauważył Bylica.

Prześmiechnął się ino parob, tocząc oczyma za Jagusią, a robiąc grdyką, gdyż Hanka, przeżegnawszy się, przepijała gorzałką do każdego i niewoliła zasiadać do stołu. Zajęli ławki, że nawet Witek, choć nieśmiało, przysiadł na kraju.

I pojadali zwolna, w cichości smakując święconego, że to bez tyle tygodni niezgorzej się wypościli. Kielbasy czujne były, czosnkiem dobrane przyprawione, gdyż po izbie rozniosły się zapachy, jaże psy się wierciły między ludźmi, skamlając żałośnie.

Nikto się nie ozwał, póki pierwszego głodu nie zapchali, tego pracując, że ino, w onej uroczystej cichości spożywania, glamania się rozchodziły, przysapki a bulgoty gorzałki, bo Hanka nie żałowała nikomu, sama jeszcze przyniewalając do picia.

— Rychło to pojedziem? — ozwał się pierwszy Pietrek.

— Zaraz choćby, po śniadaniu.

— Jagustynka chciała się z wami zabrać do miasta — wtrąciła Józka.

— Przyjdzie na czas, to pojedzie; czekać nie będę.

— Obroków to wziąć?

— Na jeden popas, wieczorem wrócimy.

I znowuj jedli, aż niejednemu ślepie wylaziły z onej lubości, twarze czerwieniały i sytność rozpierała serca gorącym i głęboką radością. Wolniuśko pojadali, nadziejąc się z rozmysłem, by jaknajwięcej zmieścić i jaknajdłużej czuć w gębie smakowitości. Dopiero kiej Hanka

się podniosła, wzięli się też dźwigać od nich z dobrą już wagą w kałdunach, a Pietrek z Witkiem, czego byli nie-dojedli, do stajni ponieśli z sobą.

— Szykujże zaraz konie! — zarządziła Hanka i, przyrýchtowawszy la męża toboł święconego, co go ledwie unieśła, odziewać się jęła do drogi.

Już ano konie czekały przed chałupą, kiej wpadła zadyszana Jagustynka.

— Mało co nie czekałam na waju!...

— Toście już po święconem? — westchnęła ża-łośnie, pociągając nosem.

— Znajdzie się jeszcze la was, siadajcie, przegry-ziecie co niebądź...

* Juści, nie potrza było wygłodzonej biedoty przy-niewalać, przypięła się do jądla, kiej wilk, i zmiatała co ino było na podorędziu.

— Pan Jezus wiedział, na co świętucha stwo-rzył! — szepnęła, podjadłszy nieco. — Jeno to dziwna, że choć mu za życia w błocie legać pozwalają, to po śmierci radzi go w gorzałce moczą! — prześmiewała po swojemu.

— Pijcie na zdrowie a prędko, bo czas nagli.

I może w pacierz pojechały. Hanka już z bryki na-kazywała Jóźce, by nie zapominała o ojcu, tak, że dziew-czyna zaraz nadrobiła różności na talerz i ponieśła. Nie ozwał się na jej zagadywania, ni nawet spojrzal na nią, ale co mu wetknęła w zęby, zjadł chciwie, patrząc wciąż martwym wzrokiem, jak zawdy. Możeby nawet i więcej pojadł, ale Jóźce się przykrzyło i poleciała na dwór pa-trzeć, jak prawie z każdej chałupy wyjeżdżały lub wy-

chodziły kobiety z tobołkami, że kilkanaście wozów toczyło się do miasta i nad rowami ciągnęły rzędem kobiety, czerwono przyodziane, z węzełkami na plecach.

A kiej się rozwiały ostatnie turkoty, padła na wieś dziwnie smutna cichość i pustka; dzień się powlókł wolno, głuche milczenie zaległo drogi, ni gwarów zwyczajnych w taką porę, ni śpiewań, ni ludzi, tyle jeno, co tam nieco dzieci uwijało się nad stawem, śmigając kamieniami na gęsi.

Słońce szło w górę, jasnością zalewając świat, ciepło się podnosiło, że już muchy brzęczały po szybach, jaśkółki zapamiętałe chlustały wskroś przejrzystego powietrza, staw mienił się w ogniach, drzewa zaś, kiejby spławione w zieleni, polśniewały świeżyzną, rozlewając miodne zapachy; z pól ogromnych, opłyniętych niebieskością, bił niekiedy chłodnawy, ziemią przejęty ciąg i skowronkowe śpiewania; wszystek świat tchnął zwieszoną, cichą lubością, a od wsi, ledwie widnych w dalekościach, słoneczną pożogą przemglonych, niesły się czasami jędrne krzykania i huki pistoletowych strzelań!

Jeno w Lipcach było pusto i żałobnie, kiejby po pogrzebie, tyle co wypuszczone do picia bydło laziło kiej chciało, cochając się o drzewa i porykując ku polom zielonejacym. Pustką zarówno stały opłotki, jak i sienie powywierane, jeno miejscami na słonecznej stronie wygrzewali się pod białymi ścianami, gdzie zaś dziewczyny czesały się w oknach otwartych, a staruchy, rozsiadłe na progach, przeiskiwały dzieci.

I tak oto przechodziły godziny cichości sennej i smutnej, niekiej wiater zatrzęsł drzewinami, że poszu-

miały cichuśko, wążąc się ku chatom i lękliwie jakby po-
glądając w puste izby, to wróble stado z wrzaskiem prze-
nosiło się z sadu na drogę, albo zaszarpały się krótkie
krzyki dzieci, odganiających wrony od kurczątów.

Mój Jezu, nie tak było przódzi w ten dzień, nie
tak!...

Słońce się już wspinało ku południowi, nad ko-
miny, kiej Rocho przylazł do Borynów, zajrzał do cho-
rego, pogadał z dziećmi i zasiadł w ganku na słońcu.
Poczytywał cosik na książce i bacznie wodził oczyma
po drogach. A wkrótce nadeszła kowalowa z dziećmi,
i odwiedziwszy ojca, przysiadła na przyźbie.

— Wasz w domu? — zapytał Rocho po długiej
chwili.

— Gdzie zaś!... do miasta zabrał się z wójtem.

— Cała wieś tam dzisiaj.

— Juści, pocieszą się nieco święconem, chudziaki.

— Wyście to z matką nie pojechali? — pytał
Jagny wychodzącej.

— A cóż tam po mnie! — wyszła w opłotki, spo-
glądając tęsknie na pola.

— Nowy welniak ma dzisiaj! — szepnęła z wes-
tchnieniem Magda.

— Po matuli, nie poznajecie go to, co? A i ko-
rale wszystkie zawiesiła i bursztyny te wielgachne też
po matusi! — pouczała ją Józka żałośnie. — Jeno
chustkę na głowie ma swoją...

— Prawda, łylnachna szmat ostało po nieboszcz-
kach, to nama ich tknąć nie pozwolił, a jej wszystko od-
dał i paradyje se teraz...

— Hale, jeszcze kiejś wyrzekła przed Nastką, co są zleżale i śmierdzą...

— Żeby jej tak zapachnęło to lajno djabelskie!

— Niech jeno ociec ozdrowieją, zarno upomnę się o korale, pięć sznurków ostało długich kiej bicze i jak groch największy!

Magda się już nie odezwała; westchnąwszy ciężko, zaczęła iskać najmłodsze dziecko. Józka się też zaraz poniesła na wieś, Witek pod stajnię majstrował jeszcze cosik kiele kogutka, dzieci zaś baraszkowały razem z pieskami przed gankiem, pod okiem Bylicy, która czuwał nad niemi kiej kokosz, a Rocho jakby ździebko zadrzemał.

— Skończyliście polne roboty?

— Tyle jeno, że ziemniaki wsadzone i groch posiany.

— U drugich i tyła nie zrobione!

— Zdążą jeszcze; powiedali, co puszcza chłopów na przewcdy.

— Któż to taki wiedzący powiadał?

— A różni mówili w kościele! Kozłowa zbiera się iść prosić dziedzica...

— Głupia, dziedzic to ich więzi, czy co?

— By się wstawił, to możeby puścili...

— Wstawiał się już nieraz i nie pomogło...

— Żeby ino chciał, ale nie chce przez złość la Lipiec, mój powiada... — urwała nagle, pochylając zmieszaną twarz nad dziecińską głową, trzymaną między kolanami, że Rocho napróżno czekał jakiegoś słowa.

— Kiedyż się tam Kozłowa wybiera? — pytał ciekawie.

— A zaraz po południu iść mają...

— Tyle wskórają, co się przelecą i powietrza innego zachwyca.

Nie odrzekła, gdyż w opłotki skręcał z drogi pan Jacek, dziedziców brat, o którym powiadali, że głupawy był nieco, bo zawsze ze skrzypkami się nosił, na rozstajach pod figurami grywał i tylko z chłopami przestawał. Szedł przygięty, ze skrzypicą pod pachą, z fajeczką w zębach, chudy, wysoki, z żółtą bródką i rozbieganymi oczyma. Rocho wyszedł naprzeciw. Musieli się znać, bo poszli razem nad staw i długo tam siedzieli na kamieniach, cosik cicho poredzając, że już dawno przedzwonili południe, kiej się rozeszli. Rocho wrócił na ganek, ale był jakiś osowiały i markotno patrzył.

— Schuchrało się panisko, że ledwiem go poznał! — ozwał się Bylica.

— Znaliście go? — ściszył głos, oglądając się na kowalową.

— Jakżeby... Niemało dokazywał za młodu, niemało... Kat-ci był la dzieuch... we Woli nie jednej nie przepuścił... dobrze baczę, w jakie to cuganty jeździł... jak se używał... baczę... — pojękiwał stary.

— Wziął za to ciężką pokutę, ciężką! Toście i najstarsi we wsi, co?

— Jambroży musi być starszy, bo jak ino baczę, on zawdy był stary.

— Sam rozpowiada, co śmierć o nim zapomniała! — wtrąciła kowalowa.

— Kostucha ta o nikim nie zabaczy, jeno tego ostawia se, by lepiej skruszał, bo kwardy, juści... wycygania się jak może... juści... — jąkał cicho.

Zamilkli na długo.

— Baczę, kiej to w Lipcach wszystkiego piętnastu gospodarzy siedziało — zaczął znowu Bylica, wyciągając nieśmiało palce ku tabace Rochowej.

— A teraz siedzi czterdziestu! — podsunął mu tabakierkę.

— I nowe już czekają na działy, urodzi rok, czy nie, a naród zawsze jednako plonuje, juści... a ziemi nie przybywa... jeszcze niecoś lat, a zbraknie la wszystkich... — Kichał rzęsiście.

— A bo to już dzisiaj we wsi nie ciasno! — rzekła kowalowa.

— Prawda, a kiej się chłopaki pożenią, to już la ich dzieci nie ostanie i po morgu, juści...

— To we świat iść muszą! — zauważył Rocho.

— Z czem to pójdą? z gołemi pazurami ten wia-
ter zagrabiąć?

— A Niemcy ano na Słupi wykupiły dziedzica i teraz się stawiają... po dwie włóki na osadę — mówił Rocho dość smutnie.

— Juści... powiadali o tem... hale Niemcy naród inwszy, uczony i zasobny, handlują wespół z Żydami, a krzywdą ludzką se pomagają... a niechby tak po chłopsku z gołemi palicami chytały się ziemie, toby i trzech siewów nie przetrzymały... i co do jednego wykupiły... W Lipcach ciasno, duszą się ludzie, a tamten ma ty-lachna pola, że ugorem prawie leży... — wskazał dwor-

skie ziemie za młynem, wzgórzem pod las biegnące, kaj czerniały lubinowe stogi.

— Na podlesiu?

— Rychtyk przyległe do naszych, w sam raz do wykupna, ze trzydzieści gospodarstw tamby wymierzył, juści... ze trzydzieści... ale bo to dziedzic przeda, kiej mu pieniędzy nie potrza?... bogacz taki...

— Hale! bogacz a kręci się za groszem kiej pi-skorz za błotem, że już od chłopów pożyczka i kaj ino może. Żydy go przyduszają o swoje, co na las dały, podatki winien, dworskim nie płaci, jeszcze ordynarji na Nowy Rok należnej nie dostały, wszędzie winien, a skąd to weźmie oddać, kiej boru zabronił urząd ciąć, póki się z chłopami nie ugodzi? Nie wysiedzi on długo na Woli, nie! Powiadali, co się już za kupcami ogląda... — roz-gadała się niespodzianie kowalowa, ale kiej Rocho chciał ją więcej pociągnąć za język, zacięła się jakoś i zbywszy go bele czem, dzieci zwołała i do dom poszła.

— Sporo musi wiedzieć od swojego, jeno się boja popuścić... Juści że przyległe ziemie rodne, łąki dwuko-śne, juści... — rozmyślał głośno stary, wpatrzony w pod-laskie pola, kaj widać było za stogami dachy zabudo-wań folwarcznych, jeno że Rocho nie słuchał, bo doj-rzawszy Kozłową, stojącą nad stawem z kobietami, po-szedł do nich prędko.

— Hi... hi... zmogły dziedzica... Mój Jezu, a poży-wiłyby się chłopcy niezgorzej... Juści... druga wieśby sta-nęła, rąk nie zbraknie ni głodnych na ziemi... juści... — rozmarzał się Bylica, dyrdając za dziećmi, bo jaże na drogę się wytoczyły.

Na nieszpory zaczęli dzwonić.

Słońce się już przetaczało ku borom i drzewa poczęły kłaść długie cienie na drogi i staw, a przedwieczerna cichość tak przywalała świat, że słyhać było dalekie jeszcze dudnienie wozów, krzyki ptactwa na ogorzelskich i ciche, przejmujące granie organów w kościele.

Że zaś powracały już niektóre z miasta, zaklekotały od trepów wszystkie mostki, tak biegli, nowin posłuchać.

Zaś po nieszporych, o samym zachodzie, dobrodziej pojechał drogą do Wólki. Jambroży powiedział, że do dworu na bal, a zaraz po jego wyjeździe organisty z całym domem walili w goście do młynarzów; Jasio wiódł matkę sielnie zestrojoną i wesoło pozdrawiał dzieuchy, wyzierające z opłotków.

Zmierzch się roztrząsał cichy po ziemiach, słońce zaszło i zorze się rozlewały coraz szerzej, że z pół nieba stanęło w krwawych ogniach, kieby tem żarzewiem przy-sypane, wody się krwawo zatliły i szyby rozgorzały, od miasta zaś coraz więcej nadjeżdżało wozów i coraz rozgłośniej wrzały krzyki przed domami.

Hanki jeno nie było widać, ale mimo to przed chałupą gwarno było i wesoło; dzieuch rówiesnych naszło się do Jóźki, że kiej te szczygły świergotliwe obsiadły przyzbę i ganek, zabawiając się prześmiejchami z Jaśkiem przewrotnym, którego przyleciał za Nastusią, choć go ta już całkiem odpędzała od siebie, na kogo innego racnąjąc. Jóźka ugaszczała je, jak ino mogła, plackiem jajecznym a kiełbasą.

Nastusia rej wiedła jako najstarsza i że to najbardziej się przekpiwała z chłopaka, co to był niezgóła, a siarczystego parobka chciał udawać. Stojął właśnie przed wszystkimi, w pasiastych portkach, w nowym spencerku i w kapelusie na bakier, ujął się pod boki, a ze śmiechem powiadał:

— Musita o mnie stoić, bo sam jeden parobek we wsi!

— Nie bój się: za krowami dyrdać ma kto jeszcze!

— Pokraka jedna, do skrobania ziemniaków sposobny!

— Dzieciom nosy obcierać! — wrzeszczały jedna przez drugą, rozgłośnym śmiechem wybuchając, ale Jasiak się nie stropił, strzyknął śliną przez zęby i rzekł:

— O takie głupie skrzaty nie stoję!... Gęsi wama paść jeszcze!

— Sam Ioni za krowim ogonem tańcował, a tera parobka udaje...

— I co dnia portki gubił, tak przed bykiem uciekał.

— Ożeń się z Magdą od Jankla, ta ci pasuje w sam raz.

-- Żydowskie bachory niańczy, to i tobie nos będzie umiała ucierać.

— Albo z Jagatą, to ją na odpusty poprowadzisz — rzucały w niego szydliwie.

— A jakbym do której z wódką posłał, toby się do Częstochowy ofiarowała i wszystkie piątki suszyła z radości! — odpowiedział.

— A pozwoli ci to matka, kiejś w chałupie po-

trzebny do mycia garnków i macania kur — zawołała Nastka.

— Bo się ozgniewam i pójdę do Marysi Balcerkówny!

— Idź: już tam Marysia czeka na cię z pomie-
tlem, albo czemś gorszem...

A niech cię jeno dojrzy, to zaraz pieski pospuszcza.

— I nie zgub czego po drodze! — śmiała się N-
stus, pociągając go ździebko za portki, bo miał wszystką
przyodziewę kiejby na wyróst.

— Po dziadku dodziera buciarów.

— Kamiziele ma ze wsypy, co ją to świnię podarły.

Leciały słowa kiej grad wraz ze śmiechem; śmiał
się zarówno i skoczył, by Nastkę wpół ująć, ale mu któ-
raś podstawiła nogę, że runął jak długi pod ścianę, nie
mogąc powstać, bo go wciąż popychały.

— Dajta mu spokój, jakże... — przyciszała Józka,
pomagając mu wstać, bo choć niedojda, gospodarskim
był synem i jej powinowatym przez matkę.

A potem zabawiali się w ślepą babkę.

Jaśka na nią obrały i, zawiązawszy mu oczy, usta-
wiły go wprost ganku, rozbiegając się naraz z krzykiem
na wsze strony, kiej wróble. Pogonił za nimi z rozcza-
pierzonymi rękoma, natykając się co trocha na płoty
i ściany; kierował się za śmiechami, ale nie łacno którą
przychwyił, bo śmigaly kole niego kiej jaskółki, potra-
cając w przelocie, że zatętniało przed chałupą, jakby kto
stado żrebaków przeganiał po grudzi, a piśki, wrzawa,
śmiechy się zatrzęsły, aż na całą wieś się rozlegało.

Mrok już gęstniał, zorze się dopalały i zabawa

trwała w najlepsze, kiej naraz w podwórzu buchnął wrzask kurzy.

Józka poleciała tam w te pędy.

Witek stał pod szopą, chowając cosik za siebie, a Gulbasiak przywarował za pługami, że mu ino leb się bielił.

— Nic, Józia... nic... — szeptał pomieszany.

— Kuręście dusili... pióra jeszcze ano lecą...

— Inom kogutowi trochę z ogona wyrwał, bo mi potrzała mojego ptaka. Ale nie nasz kogut, nie, Józia! Gulbasiak skądciś przyniósł... swojego...

— Pokaż! rozkazała surowo.

Cisnął jej pod nogi napół żywego ptaka, całkiem oskubanego z piór.

— Pewnie, że nie nasz! — rzekła, nie mogąc rozpoznać. — Ale pokaż swojego cudaka.

Wyniósł na jaśnie już całkiem gotowego kogutka: z drzewa był wystrugany i oblepiony ciastem, w które powtykano piórek, że kiej żywy się widział, bo i leb z dziobem miał prawdziwego, na patyk nadziany.

Na desce se stał czerwono ukraśzonej, a tak zmyślnie przyręchtowanej do maluśkiego wozika, że skoro Witek zaruchał długim dyszelkiem, kogut jął tańcować i skrzydła rozkładać, do tego zaś zapiał Gulbasiak, jaże się kury z grzęd odezwały.

— Jezu, a tom póki życia takiego cudaka nie uwidziała! — przykucnęła pobok.

— Dobry jest, co? Utrafilem, Józia, co? — szeptał z dumą.

— Sameś to wystroił? ze swojej głowy?

Dziw ją rozpierał.

— A sam! Jędrak mi jeno koguta żywego przy-
niósł... a sam, Józia...

— Moiście wy, a to kiej żywy się rucha, choć
z drewna. Pokaż go dzieuchom!... dopiero to będą wydzi-
wiać!... Pokaż, Witek!

— Ni, jutro pójdziemy po dyngusie, to obaczą.
Jeszcze sztachetków brak kiele niego, żeby nie sfrunął.

— To opatrz krowy i do izby przychodź robić,
widniej ci będzie...

— Przyjdę, jeno jeszcze na wsi cosik sprawię...

Wróciła przed dom, ale dziewczyny już skończyły
zabawę i zaczęły się rozchodzić, bo noc się robiła, świa-
tła zapalali po domach, gwiazdy się też kajś niekaj po-
kazywały, a chłód wieczorny zaciągał z pól.

Już wszystkie kobiety powróciły z miasta, a Hanka
nie nadjeżdżała.

Józka narządziła sutą wieszczerę: barszcz na kiel-
basie i ziemniaki tłusto omaszczone. Zaczęła ją poda-
wać na ławę, gdyż Rocho czekał, dzieci jeść skamlały,
a Jagna raz po raz zaglądała do izby, kiej Witek wsu-
nął się cichuśko i zaraz przykucnął przed dymiącemi mi-
chami. Dziwnie był czerwony, mało jadł i łyżką po zę-
bach dzwonił, tak mu się ręce trzęsły, a nie dojadłszy do
końca, poleciał.

Złapała go Józka z podwórzu, przed chlewem, jak
nabierał w połę świńskiego żarcia z cebratki, a ostro
nastawała: co mu się stało?

Wykręcał się, jak mógł, wycyganiał, ale wkońcu
prawdę powiedział:

— A to odebrałem dobrodziejowi swojego boćka!

— Jezus, Marja! a nie dojrzał cię kto?

— Nie, dobrodziej pojechali, psy poszły zjeść, a boćki w ganku stały! Maciuś to wypatrzył i przyleciał powiedzieć! Kapotą Pietrkową go przydusiłem, by me nie kujnął i ponieśliem do schowka! Ino pary z gęby nie puść, moja złociuska! Za parę niedziel przywiedę go do chałupy, obaczysz, jak paradował na ganku będzie, a nikt go przecie nie rozpozna. Nie wydaj me ino!

— Hale! kiej cię to z czem wydałam? Dziw mi jeno, żeś to się ważył, Jezu!

— Swoje odebrałem. Pedziałem, co nie daruję i odebrałem... Potom go pewnie łaskawił, żeby drugie uciechę miały, juści!... — szepnął i poleciał gdzieś w pole.

Niezadługo jawił się z nawrotem i zasiadł przed kominem wraz z dziećmi do wykończania kogutka.

A w izbie zrobiło się jakoś sennie i smutno. Jaguś poszła na swoją stronę, zaś Rocho siedział przed domem razem z Bylicą, którego już Żydy wozili, tak go śpik morzył.

— Idźcie do domu, bo tam na was czeka pan Jacek! — szepnął mu Rocho.

— Na mnie czeka... pan Jacek... dyć lecę... na mnie?... no... no — jękał zdumiony, całkiem wytrzeźwiałszy i poszedł.

A Rocho na przyźbie ostał, pacierz szeptał, wpatrzony w noc, w owe nieprzejrzane dalekości nieba, kaj się aż trzęsło od gwiazdnych migotów, dołem zaś, nad

ziemiami wynosił się już srodze rogaty miesiąc i bódl ciemności.

W chałupach światła gasły posobnie, kiej oczysnem zwierane; milczenie, przejęte cichuśkiem dygotaniem listeczków i głuchym, dalekim belkotem rzeczki, rozlewało się dokoła. Tylko jeszcze u młynarzów gorzały okna i zabawiali się do późna.

W izbie Borynów już przycichło, spać wszyscy legli, gasząc światło, że ino koło garnków z wieczerzą ustawionych w kominie, żarzyły się węgle, a świerszcz poskrzypiwał gdzieś w kącie, ale Rocho wciąż siedział na dworze, oczekując na Hankę, aż dopiero koło samego północkska zadudniły kopyta na moście koło mlyna i wkrótce wtoczyła się bryka.

Hanka była dziwnie smutna i milcząca, że dopiero kiej zjadła wieczerzę i parobek poszedł do stajni, odważył się pytać:

— Widzieliście męża?

— Całe popołudnie z nim przesiedziałam! Zdrowy jest i dobrej myśli... kazał was pozdrowić... I drugich chłopów też widziałam... mają ich puścić, jeno nikto nie wie, kiedy... U tego, co ma na sądach Antka bronić, też byłam...

Nie mówiła tego, co jej kamieniem zaciężyło na sercu, a jeno takie różności drugie, Antka się nie tyczące, aż rozplakała się nagle i choć przysłoniła twarz rękoma, lzy pociekły przez palce.

— Przyjdę rano... odpocznijcie sobie: strząśliście się mocno... by wam nie zaszkodziło.

— A niechbym już raz zdechła i więcej nie cierpiała! — wybuchnęła.

Pokiwał głową i wyniósł się bez słowa, jeno przed chałupą pieski cosik rozszczekane gniewnie przyciszał, do budy zapędzając.

Ale Hanka, choć się zarno do dzieci przyłożyła, usnąć nie mogła mimo utrudzenia. Jakże!... toć Antek ją przyjął, kiej tego psa uprzykrzonego... Święcone ze smakiem jadł, te kilkanaście złotych wziął, nie pytając skąd miała, i nawet się nie uzałił nad jej umęczeniem daleką drogą!...

Opowiadała mu, co i jak się robi w gospodarce — nie pochwalil, a naprzeciw niejednemu ze złością przyganiał... O całą wieś rozpytywał, a o dzieciach ni wspomniał... Szła ku niemu z tem sercem wiernem i kochającym, utęskniona wielce łask jego; żoną mu przecie ślubną była i matką jego dzieci, to jej nawet nie przyhołubił, nie pocałował, nie zatroskał się o jej zdrowie... Kiej obcy się widział i kiej na obcą sobie spoglądał, nie bardzo słuchając jej rozpowiadań, że już wkońcu i mówić nie mogła, żal ją dusił, łzy zalewały, to jeszcze krzyknął, by mu z bekami nie przyjeżdżała! Jezus kochany, dziw, że trupem nie padła... To za tę ciężką służbę kole jego dobra, za pracę nad siły, za te cierpienia wszystkie — nic w zapłacie: ni jednego słowa łaski, ni jednego słowa pociechy!

— Jezu, wejrzyj miłościwie, wspomóż, bo nie zdzierzę! — jęczała, cisnąc głowę w poduszki, by dzieci nie rozbudzić, a każda kostka w niej zosobna się

trzęsła płakaniem, żalnością, poniżeniem i strasznym poczuciem krzywdy!

Nie mogła sobie popuścić duszy tam przy nim, ni potem z powrotem przy ludziach, więc teraz dopiero oddawała się rozpaczy, teraz pozwalała męce rozdzierać serce i łzom gorzkim płynąć.

Zaś nazajutrz, w świąteczny poniedziałek, dzień się podnosił jeszcze jaśniejszy, barzej jeno skąpany w rosach i modrawych omgleniach, ale i barzej rozsloneczniony i jakiś zgoła weselszy. Ptaki śpiewały rozgłośniej, a ciepły wiatr przeganiał po drzewinach, że szemrały jakby pacierzem cichuśkim; ludzie zrywali się raźniej, wywierając drzwi a okna, na świat Boży lecieli spojrzeć, na sady przytrzaśnięte zielenią, na te nieobjęte ziemie, zwiesną oprzędzone, całe rosami skrzące, w słońcu radosnem utopione, na pola, kaj już oziminy wiatrem kolebane, niby płowe, pomarszczone wody ku chałupom spływały.

Myli się przed domami, przekrzyki się niesły wskroś sadów, kajś już dym walił z komina, konie rżały po stajniach, skrzypiały wierzeje, wodę czerpali ze stawu, bydło szło do picia, krzyczały gęsi, a kiej dzwony uderzyły i ogromne, niebosiężne głosy jęły huczeć i rozlewać się na wieś, na pola, na bory dalekie, wzmogły się jeszcze krzyki, a serca żywiej i weselej zabiły.

Chłopaki już latały z sikawkami, sprawiając sobie śmigus, albo przyczajone za drzewami nad stawem lały nietylko przechodzących, ale każdego, kto ino na

próg wyjrzał, że już nawet ściany były pomoczone i kałuże siwiły się pod domami.

Zawrzały wszystkie drogi i obejścia, wrzaski, śmiechy, przegony narastały coraz barzej, bo i dzieuchy gziły się niezgorzej, lejąc się między sobą i ganiając po sadach, że zaś ich dużo było i dorosłych, to wnet dały radę chłopakom, rozganiając ich na wszystkie strony, a tak się rozswawolili, że nawet Jaśka Przewrotnego, którego się z sikawką od gaszenia pożarów zaczynał na Nastkę, dopadły Balcerkówny, wodą zlały i jeszcze do stawu zepchnęły na pośmiewisko...

Ale ozgniewany za despekt, iż to dzieuchy górę nad nim wzięły, przyzwał w pomoc Pietrka Borynowego i tak się zmyślnie zasadzili na Nastkę, aż ją dostali w pazury i pod studnię zawlekli, a tak srodze splawili, jaże wniebogłosy wrzeszczała... Zaś potem, dobrawszy jeszcze Witka, Gulbasiaka i co starszych, chycili Marysię Belcerkównę i taką jej kąpiel sprawili, aż matka z kijem leciała na pomoc; przyparli też gdziesik Jagnę i tego utyłali, nawet Józce nie przepuszczając, choć się prosiła i z bekiem leciała na skargę do Hanki.

— Skarży się a rada, oczy się jej skrzą do figłów!

— A i mnie zapowietrzone do żywej skóry dojęły! — użalała się wesoło Jagustynka, wpadając do chałupy.

— Niby te obwiesie komu przepuszczają! — białoliła Józka, przewłócząc się w suche szmaty, ale mimo strachu wyszła potem na ganek, bo aż dudniało na drogach od przeganiań i wieś się trzęsła wrzaskami: chłopaki dziw nie oszalały z uciechy, chodzili całą hurmą,

zaganiając, kto się napatoczył pod sikawki, aż sołtys musiał rozganiać swawolników, bo niesposób się było pokazać z chałupy.

— Wama cosik niezdrowo po wczorajsem? — szepnęła Jagustynka, susząc plecy przed kominem.

— Juści, trzęsie się we mnie i ciągiem me kopie, mgli me przytem...

— Połóżcie się. Trzaby się wam napić maciórkowego naparu! Strzęśliście się wczoraj! — zafrasowała się bardzo, ale że zapachniała kiszka przysmażona, siadła wraz z drugimi do śniadania, łakomie wypatrując większego kawałka.

— Pojedzcie i wy, gospodyni: głodzeniem zdrowiu nie pomoże...

— Kiej mi się mierzi-mięso; arbaty se zgotuję.

— Na przepłókanie flaków niezgorsze, ale byście się gorzalki przegotowanej z tłustością i korzeniami napili, rychlejby pomogło...

— Juści, zmarlakaby postawiły takie leki!... — zaśmiał się Pietrek, któren wziął miejsce kole Jagusi, w oczy jej zaglądał, podając usłużliwie, na co jeno spojrziała, i ciągiem ją zagadując, ale że go zbywała beczem, jał rozpytywać Jagustynkę o Mateusza, o Stacha Płoszkę i drugih.

— Jakże, widziałam wszystkich, spólnie se siedzą, a pokoje mają dworskie zgoła, wysokie, widne, z podłogą, jeno że z tą żelazną pajęczyną w oknach, by się im na spacer nie zachciało. A przekarmiają ich też niezgorzej. Grochówkę im przynieśli w południe, spróbowałam: kieby na starym bucie zgotowana i smarowi-

dłem od woza omaszczona. Na drugie zaś prażonych jagiel im postawili... no, Łapaby kulas na nie podniósł, a nie powąchał nawet. Za swoje się żywią, któren zaś nie ma grosza, pacierzem se to jadło doprawia — opowiadała urągliwie.

— Rychło zaczną puszczać?

— Powiedały, że już na przewody niektóre wróca! — szeptęła ciszej, obzierając się trwożnie na Hankę, a Jagnę jakby coś podrzuciło z miejsca, że uciekła z izby, jeść nie skończywszy, stara zaś o Kozłowej zaczęła mówić.

— Próżno wróciły i z niczem, przetrzęsły się jeno po kielbasach i dworowi się napatrzyły! Powiedają, że czemś innem pachnie niżli chałupa!... Dziedzic im powiedział, co nikomu poradzić nie może, bo to sprawa komisarza i urzędu, a kiejby nawet mógł, teżby się nie wstał za żadnym Lipczakiem, boć przez nich sam jest szkodny najbarzej! Wicie, że to las mu sprzedawać wzbronili, a kupce go teraz po sądach włóczą. Kłął pono siarczyście i krzyczał, że kiej on przez chłopów ma iść z torbami, to niech całą wieś zaraza wytraci!... Kozłowa już z tem od rana po chałupach lata i pomstą odgraża.

— Głupia, co mu ta zrobi pogrozą!

— Moiście, a bo to wiada, kiej kto komu miętkie miejsce wymaca, że i najlichszy... — urwała, porywając się podtrzymać Hankę, lecącą na ścianę.

— Laboga! By to prędzej nie przyszło przed czasem — szeptęła wystraszona, ciągnąc ją do łóżka, bo jej w rękę zemgłała, pot kroplisty wystąpił na jej twarz, żółtemi plamami okrytą. Leżała ledwie dychając, stara

zaś octem wycierała jej skronie i dopiero kiej chrzamu pod nos nakładła, Hanka oprzytomniała, otwierając oczy, zgudka ją jeno chyciła.

Rozeszli się do obrządzań gospodarskich, Witek tylko ostał i, upatrzywszy sposobną porę, jął prosić gospodyni, aby go puściła z kogutkiem.

— A idź, przyodziewy jeno nie sciarachaj i sprawuj się dobrze! Psy uwiąż, by za wami na drugie wsie nie pceciały! Kiedyż pójdzieta?

— A zarno po kościele.

Jagustynka wraziła głowę przez okno i zapytała:

— Kaj to psy, Witek? Wynieslam im jeść, wołam i ni jednego!

— Prawda, dyć i w oborze rano nie były! Łapa! Burek! na tu! — nawoływał, wybiegając przed dom, ale się nie odezwały.

— Musiały na wieś polecieć, bo suka Kłębów się goni... — objaśnił.

Nikomu do głowy nie przyszło myśleć, kaj się psy podziały — zwyczajna przecie rzec. Dopiero po jakimś czasie Józka posłyszała gdzieś w podwórzu jakby glu-che skamlenie, a nic tam nie znalazłszy, pobiegła w sad, myśląc, że to Witek się rozprawia z jakimś psem obcym. Zdziwiła się, nie dojrzawszy nikogo: sad był pusty i to skomlenie ucichło; ale powracając, natknęła się na Burka: leżał nieżywy pod szczytową ścianą — łeb miał rozwalony.

Narobiła takiego wrzasku, że się wszyscy zlecieli.

— Burek zabity! Złodzieje pewnie!

Trwoga powiała nad nimi.

— A dyć nie co insze, w imię Ojca i Syna! — krzyknęła Jagustynka, dojrzwawszy naraz kupę ziemi wywalonej i dół wielki pod przyciesiami.

— Podkopali się do ojcowej komory!

— Jama, że koniaby przewlókł!

— A zboża pełno w dole!

— Jezu, a może tam jeszcze są zbóje! — zakrzyzczała Józka.

Rzucili się na Borynową stronę, Jagusi już nie było, stary ino leżał twarzą do izby, w komorze zaś, zawdy mrocznej, widno było, światło buchalo dziurą, że łącno dojrzeli jako wszystko było pomieszane, kiej groch z kapustą, zboże powysypywane zalegało ziemię razem ze szmatami pościąganemi z drągów; nawet motki przędzy i wełna leżały potargane i zwichlone. Nie sposób było na razie zmiarkować, czego brakowało.

Ale Hanka odrazu pomiarkowała, że to kowalowa być musi robota; gorąc ją przejął na myśl, iż kiejby się jeden dzień opóźniła, znalazłby pieniądze i zabrał... Nachyliła się nad dołem, kryjąc przed ludźmi kumentność, a sprawdzając cosik sobie za stanikiem.

— Czy aby nie brak czego w oborze? — rzekła, niby tknięta podejrzeniem.

Na szczęście, nic nigdzie nie brakowało.

— Dobrze były drzwi pozawierane! — ozwał się Pietrek i skoczył naraz do ziemniaczanego dołu, odwa-
lił z wejścia ocipkę wielgachną i wyciągnął stamtąd Łapę
skowyczącego.

— Juści, że złodzieje go tam wrzucili, ale to dzi-
wne, pies zły i dał się...

— I nikt w nocy nie słyszał szczekania!

Dali znać o sprawie sołtysowi, rozniosło się też mi-
giem po wsi, że w dyrdy lecieli oglądać, wyrzekać a de-
liberować. Sał zapelnil się ludźmi, cisnęli się kiej do kon-
fesjonału, kuźden głowę wtykał do dołu, powiadał swoje
i Burka pilnie oglądał.

Zjawił się i Rocho, a uspokoivszy rozplakaną
i wrzeszczącą Józkę, która każdemu zosobna opowia-
dała, jak to było, poszedł do Hanki, leżącej znowu na
łóżku, ale jakoś dziwnie spokojnej...

— Zląkłem się, byście tego zbytnio do serca nie
wzięli! — zaczął.

— I... niczego chwała Bogu nie wziął... zapóźnil
się... — przyciszyła głos.

— Miarkujecie kto?...

— Dałabym głowę, że kował.

— To chyba na cosik upatrzonogo polował?

— Juści... jeno, że mu się wypsnęło, do waju tylko
mówię...

— Juści, za rękę trzaby złapać, albo świadków
mieć... No, na co się to człowiek waży la grosza!...

— Nawet przed Antkiem się nie wygadajcie, moi
drodzy! — prosiła.

— Wiecie, zem nie skory do zwierzeń, a łacniej
przecież zabić człowieka, niżli go urodzić. Znałem go, że
krętać, ale o taką rzeczby nie posądził.

— Jego stać na najgorsze, znam ja go dobrze...

Wójt nadszedł z sołtysem i wzięli oglądać szcze-
gólowo, wypytuując się Józki o wszystko.

— Żeby Koziół nie siedział, myślałbym, co to jego sprawka... — szepnął wójt.

— Cichoście, Pietrze, bo Kozłowa ku nam zmierzają — trącił go sołtys.

— Spłoszyli się, że nic pono nie unieśli.

— Pewnie strażnikom trzaby dać znać... nowa robotą, djabli nadali, że człowiek świąt nawet zażyć spokojnie nie może...

Sołtys naraz się schylił i podniósł żelazny, okrwawiony pręt.

— Temci zakatrupili Burka!

Żelazo przechodziło z rąk do rąk.

— Pręt, z jakiego zęby do bron kują.

— Mogli ukraść choćby i z kuźni Michałowej.

— Kuźnia już od piątku zawarta.

— Kowala trza wypytać, czy mu nie zginęło.

— Tak mogli ukraść, jak mogli przynieść z sobą, wójt to wama mówi, a kowala w chałupie niema, co zaś robić, moja to sprawa z sołtysem! — podniósł głos, krzycząc, by się nie tłoczyli po próżnicy i do dom szli.

Nikto się go nie ulęknął, jeno że czas się było zabierać do kościoła, to wnet się porozchodzili, bo już i ludzie z drugich wsi nad płotami ciągnęli gęsiego i wozy coraz częściej dudniły na moście.

A kiej się do cna wyludniło, wsunął się do sadu Bylica i nuże dopiero oglądać swojego pieska, cucić go a przemawiać do niego cichuško.

Dom też opustoszał, do kościoła poszli, Hanka jeno w łóżku ostala, pacierze se przepowiadając, a myśląc

o Antku, że zaś cicho się zrobiło, bo stary dzieci powiódł na drogę, zasnęła kwardo.

Już ano stanęło przypołudnie, galancie przygrzane i tak cichuśkie, jaże śpiewy narodu rozchodziły się z kościoła i brzęczały po szybach, już i przedzwonili na Podniesienie, a ona ciągiem spała. Zbudził ją dopiero turkot wozów, pędzących po wybojach, bo jak to było we zwyczaj w drugie święto Wielkanocy, po sumie, ścigali się, którego pierwej dopadnie swojej chałupy, że ino migwały przez drzewa bryki, zapchane ludźmi i konie, prane batami. Ścigali się tak siarczyście, że chałupa się trzęsła i wrzawa turkotów i śmiechów wichrem przeleciała.

Chciała się podnieść, obaczyć, ale domowi wracali i Jagustynka, krzątając się kiele obiadu, jęła opowiadać, jak zważyło się tylachna narodu, co i połowa nie miała miejsca w kościele, że wszystkie dwory zjechały, a po sumie dobrodziej zwoływał gospodarzy do zakrystji i cosik z nimi uradzał, Józka zaś znowuj rozpowiadała o dziedziczkach, jak to były wystrojone.

— Wiecie, a to panienki z Woli to ci takie kupry dźwigają na zadzie, jakby te indory, kiej se ogony rozczapierzone postawią.

— Sianem se te miejsca wypychają, lebo gałganami — pojaśniała stara.

— A w pasie wcięte kiej osy, batemby je poprzećcinał, że ani poznać, kaj te brzuchy dziewają... Zbliskam wypatrywała.

— Kaj? a pod gorsety wypychają. Powiadała mi jedna dwórka, co za pokojową była w Modlickim dworze, jak to poniektóre dziedziczki się głodzą i pasami na

noc ściągają, by ino nie pogrubić. Taka moda dworska, aby każda pani cieniuską się wydawała, niby tyczka, na zadzie jeno wydęta.

— We wsi inaczej, boć z chudych przekpiwają się parobki.

— Zaśby nie! dzieucha musi być kiej lepa, rozrosła wszędzie taka, co to jak się człek do niej przyprze, to jakby do pieca gorącego... — powiedział Pietrek, wpa-trzony w Jagusię, wystawiającą garnki z komina.

— Widzisz go, pokrakę, wypróżnował się, podjadł se mięsem i jakie mu to już smaki na ozór przychodzą!— zgromiła go Jagustynka.

— Jak taka się przy robocie ruchu, to dziw się jej wełniak nie rozpęknie...

Chciał jeszcze cosik trefnego dodać, ale Dominikowa przyszła opatrywać Hanke i wygonili go z izby.

Obiad też zaraz podawali na ganku, gdyż ciepło było i słonecznie. Młoda zieleń polśniewała, trzających się cichusko na gałązkach i gmerząc kiej motyle, ptasie świegoty roznosiły się ze sadów.

Dominikowa zakazała Hance ruszać się z pościeli, a że zaraz po obiedzie nadeszła Weronka z dziećmi, do łózka przystawili ławę i Józka naniesła święconego i flachę gorzałki z miodem, bo Hanuś, choć z trudem nieco, ale godnie, po gospodarsku, podejmowała siostrę i sąsiadki, które wedle zwyczaju jęły posobnie przychodzić w goście, użalać się nad nią, gorzałki pociągać, słodkim plackiem wolniusko się delektować i różności sąsiedzkie rozpowiadać, głównie zaś o tym podkopie pod komorę trajkotać.

Zasie domowi przed chałupą się wygrzewali, poradzając z ludźmi, jacy wciąż do sadu szli, a srodze medytowali nad jamą jeszcze niezawaloną, gdyż wójt wzbronił do czasu przyjazdu pisarza i strażników.

Właśnie Jagustynka była rozповідаła o tem, nie wiada już dzisiaj po raz który, kiej z podwórza wywalili się chłopaki z kogutkiem. Witek ich wiódł, wystrojony sielnie, w butach nawet i kaszkiecie Borynowym, srodze na bakier nadzianym, a pobok w kupie szedł Maciuś Kłębów, Gulbasiak, Jędrak, Kuba, Grzeli z krzywą gębą syn i drugie. Kije mieli w rękach i torbeczki przez plecy, Witek zaś tulił pod pachą skrzypice Pietrkowe.

Wywiedli się na drogę z paradą i najpierwej ruszyli do dobrodzieja, bo tak po inne roki parobki poczywały. Śmiało weszli do ogrodu, przed plebanję, ustawili się wrząd, wysuwając przed się kogutka. Witek zagrał na skrzypicy, Gulbasiak jął kręcić cudakiem i pisać, a wszyscy, rypiąc kijami i nogami do wtóru, wraz zaśpiewali piskliwie:

Przyszliśmy tu po dyngusie!
Zaśpiewamy o Jezusie,
O Jezusie, o Maryje —
Dajcie nam co, gospodynie!...

I długie śpiewali, a coraz śmielej i rozgłośniej, aż wyszedł dobrodziej i po dziesiątku im rozdał, kogutka pochwalił i z łaską ich odpuścił...

Witek jaże spotniał ze strachu, czy o boćka nie zagada, snadź go jednak wśród drugich nie rozpoznał, ale na pokoje odszedł, przysyłając jeszcze przez dziewczynę

słodzińskiego placka, że huknęli mu śpiewką na podziękę i do organistów pociągnęli.

Potem zaś już chałupy nawiedzali wraz z całą chmarą dzieci rozwrzeszczanych i tak się cisnących, że musieli obraniać kogutka przed naporem, gdyż każde piórek chciało tykać i kijaszkiem zaruchać.

Witek ich prowadził, rej wiodąc i na wszystko mając czujne oko, nogą znać dawał, by zaczynać, a smykkiem rządził, kaj nutę wyciągać cieniuską, a kaj grubą; jemu też oddawali gościńce. A z taką paradą się wodzili i tak szumnie, jaże na całą wieś roznosiły się śpiewania i przygrywki skrzypicy, a ludzie wielce się dziwowali, że to skrzaty ledwie odrosłe od ziemi, a poczynają sobie niby parobki.

Pod zachód się już miało, poczerwieniałe ździebko słońce przetaczało się nad bory, a po niebie modrem rozwłóczyły się białe chmurki, kiej te nieprzeliczone stada gęsi, wiater się też ruchał kajś górą, chwiejąc czubami ordzawiałych topoli, a we wsi czyniło się coraz rojniej i gwarliwiej: starsi poredzali przed chałupami, zasiedając progi, dzieuchy gziły się nad stawem, lub ująwszy się w pól, chodziły kolebiąco, piesneczki zawodząc, iż kiej kwiaty makowe lebo nasturcji, roiły się między drzewinami, we wodzie się odbijając niby w lustrze, dzieci latały z dyngusiarzami, zaś jeszcze insi w pola szli miedzami.

Na nieszpór już przedzwaniiali, kiej gruba Płoszkowa, odwiedziwszy przódzi Borynę, wchodziła do Hanki.

— Byłam u chorego. Jezu, a to leży, jak leżał...

Zagadywałam: ani spojrział na mnie. Słońce mu świeci na łóżko, to je palicami zagrabia, jakby w garście chciał ująć i kiej to maluśkie dzieciątko w niem grzebie! Prosto plakać, co się to z człowieka zrobiło! — rozpowiadała, siadając przy łóżku, ale przepiła jak i drugie, sięgając do placka. — Jada to teraz, bo widzi mi się potłuścił?

— Już niezgorzej, że może mu ku zdrowiu idzie!...

— Chłopaki poszły z kogutkiem do Woli! — zatrajkotała Józka, wpadając, ale dojrzawszy Płoszkową, wyniesła się przed dom do Jagusi.

— Józka, bydło czas obrządzać! — zawołała.

— Pewnie, komu święta to święta, a brzuch zawdy o głodzie pamięta! Byli z kogutkiem i u mnie... sprawny ten wasz Witek! i ze ślepiów mu dobrze patrzy.

— Juści, co do figlów pierwszy, do roboty jeno go trza kijem napędzać!

— Moiście, a dyc ze służbą wszędy jednaka bieda! Młynarzowa się przede mną uskarżała na swoje dziewczki, że pół roku utrzymać nie może.

— Prędko się tam dorabiają dzieciaków... Świeży chleb pomaga!

— Chleb jak chleb, ale to czeladnik sprawi, to synek, ten z klas, do domu zajrzy, a powiadają, że i sam młynarz żadnej nie przepuści... to i trudno dziewczki dotrzymać do roku. Co prawda, to i służba hardziej... Mój ano chłopak do pasionki, że to chłopaków w domu brak, za psa me uważa i każe se mleka na podwieczorek podawać! Słyszane to rzeczy!

— Parobka mam, to mi nie nowina, czego im się zachciewa, ale godzić się na wszystko muszę, bo pój-

dzie se we świat w największą robotę i cóż pocznę przez niego w tylim gospodarstwie!

— Żeby go wama tylko nie odmówiła która — rzekła ciszej.

— Wiecie to co? — zatrwożyła się niemało.

— Doszło me cosik z boku... może cyganią, to nie rozpowiadam. Hale, gadu gadu, a z czem to ja przyszłam? — Obiecały się przyjść niektóre, ugwarzym się sieroty, przyjdźcie i wy... jakże Borynowejby nie było, kiej co najpierwsze się zbierą.

Przypochlebiała, ale Hanka wymówiła się słabością, po prawdzie, bo już poczuła się ździebko napitą.

Płoszkowa, wielce markotna odmową, Jagnę poszła zapraszać.

Ale i Jagusia się wymawiała, że to już kajś indziej z matką się obiecały...

— Poszlibyście, Jagna, cknij się wama za chłopami, a do Płoszkowej ani chybi co Jambroży zajrzy, albo któren z dziadków i zawzdy chocia portkami zaleci... — szepnęła Jagustynka z pod chałupy.

— A wy to po swojemu, tem słowem kieby nożem żgacie...

— Wesoło mi, tom rada kuźdemu, czego mu potrzeba! — szydziła.

Jaguś ciepnęła się ze złością i na drogę wyszła, bezradnie wodząc oczyma po świecie i ledwie płacz wstrzymując. Juści, że się jej strasznie cknęło!

Cóż, że święta czuć było wszędzie, że ludzie się roili, że śmiechy i krzyki trzęsły się nad wsią, że nawet po szarych polach czerwieniały kobiety i piesneczki kajś

niekaj dzwoniły?... — jej było smutnie i tak cicho czegoś, że już wytrzymać nie mogła. Od samego rana tak ją coś rozpierało i ponosiło, że po znajomych latała, po drogach, w pole wychodziła i nawet coś ze trzy razy się przeobłączyła, na darmo wszystko, nie pomogło: rwało ją coraz bardziej, by gdzieś lecieć, coś zrobić, szukać czegoś...

Że i teraz się poniesła aż na topolową drogę i szła zapatrzona w czerwoną kulę słońca, spadającego nad bory, szła przez te progi cieniów i lśnień, które zachód rzucił przez drzewa.

Chłód mroków ją owionął, a ciche, nagrzane dychanie pól przejmowało nawskroś lubym dygotem; od wsi gonily słabnące gwary, a skądś zawiewał zawodliwy głos skrzypicy i czepiał się serca, kiejby ta złotemi rosami brzęcząca pajęczyna, jaże rozsunęła się w ciuchskim trzepocie topoli, w mrokach, co już pełzały brózdami i czaiły się w krzaczach tarnin.

Szła przed siebie, ani wiedząc, co ją niesie i dokąd.

Wzdychała głęboko, czasami ręce rozwodząc, czasami przystając bezradnie i tocząc rozpalonemi oczyma, jakby zaczepki dla udręczonej duszy szukała, ale szła dalej, przędąc myśli wiotkie i nikłe, jako te świetliste nici na wodzie, że nie uchycisz, bo zmacą się i przepadną od cienia ręki. Patrzała w słońce, nie widząc niczego, topole, co rzędami pochylały się nad nią, zdały się jej jako zamglone przypomnienia... Siebie jeno mocno czuła i to, że ją rozpiera aż do bólu, do krzyku, do płaczu, że ją ponosi gdzieś, iż czepiłaby się tych ptaków, lecących pod zachód, i na kraj świata pofrunęła. Wzbierała

w niej jakaś moc paląca i tak rzewliwa, że lzy przysła-
niały oczy i ogień się po niej rozlewały; rwała lepkie,
pachnące pędy topoli, chłodząc niemi rozpalone usta
i oczy...

Czasem przysiadła pod drzewem i skulona,
wsparty twarz na pięściach, zapadała w siebie bez pa-
mięci, cisnąc się jeno do pnia i prężąc... i ledwie dysząc...

Jakby i w niej wiosna zaśpiewała swoją pieśń
upalną, że burzyło się w niej i cosik poczynało, jako
w tych ziemiach rodnych, ugorem leżących, poczyna się
o wiosnie, jako w tych drzewinach, opitych mocą rostu,
śpiewa i jako wszędy się rozpręża, kiej pierwsze słońce
przygrzeje...

Dygotała w sobie, paliły ją oczy, zaś omdlałe nogi
stulały się bezwolnie i ledwie ją niesły. Płakać się jej
chciało, śpiewać, tarzać po runiach zbóż mięciuchnych
i chłodnemi rosami operlonych, to brała ją szalona chęć
skoczyć w ciernie, przedzierać się wskroś szarpiących
gąszczów i poczuć dziki, luby ból przepierań i szamotań.

Zawróciła naraz z powrotem i, dosłyszawszy głosy
skrzypicy, pobiegła ku nim. Hej, tak zakręciły się w niej,
taką zawrotną lubością przejęły, że w tanyby się puściła,
w ścisk karczmy rozhukanej, w tumult, w pijatykę nawet,
że choćby w samo zatracenie, hej!...

Drózką od cmentarza, do topolowej, całą w czer-
wonych ogniach zachodu, szedł ktosik z książką w ręku
i pod białemi brzózkami przystawał.

Jasio to był, organistów syn.

Z za drzewa chciała popatrzeć na niego, ale ją
dojrzał.

I uciec nie poredziła, nogi jakby się ziemi czepiły, i oczu nie mogła oderwać od niego; zbliżał się z uśmiechem, zęby mu grały w czerwonych wargach, smukły był, rosły i białe na gębie.

— Jakbyście mnie Jaguś nie poznali?

Aż ją w dołku ścisnęło od tego głosu.

— Cobym ta nie poznała!... jeno pan Jaś taki tera galanty, taki inszy...

— Pewnie, lata idą... Byliście u kogo na budach?

— Tak sobie ino chodziłam, święto przecie. Nabożna? — tknęła nieśmiało książki.

— Nie, o krajach dalekich i o morzach!

— Jezu! o morzach! A te obraziki też nie święte?

— Zobaczcie! — podsunął jej pod oczy książkę i pokazywał.

Stali ramię w ramię, bezwolnie wpierając się w siebie biodrami, a tykając głowami nisko przychyłonymi. Pojaśniał ją niekiedy, wtedy podnosiła na niego oczy podziwu pełne, nie śmiejąc dychać ze wzruszenia, a cisnąc się coraz barzej, by lepiej dojrzeć, gdyż słońce opuściło się już za bory.

Naraz wstrząsnął się cały i odsunął żdziebko.

— Mroczeje, czas do domu! — szepnął cicho.

— A to pódźmy!

Szli w milczeniu, nakryci prawie cieniami drzew. Słońce zaszło, modrawe mroki trzęsły się na pola, zórz dzisiaj nie było, jeno przez grubachne pnie topoli widniał na niebie złocisty rozlew, świat przygasał.

— I to wszystko prawda, co tam pokazane? — przystanąła.

— Wszystko, Jaguś, wszystko.

— Jezu, takie wody wielgachne, takie światy, że uwierzyć trudno.

— Są, Jaguś, są! — szeptał coraz ciszej, zaglą-
dając jej w oczy z tak bliska, że wstrzymała oddech,
dreszcz ją przeszedł i podała się piersiami naprzód, cze-
kała, iż ją obejmie i do pnia przyprze, jaże ramiona się
jej ozwały i gotowa się była dać, ale Jasio odsunął się
śpiesznie.

— Muszę iść prędzej, dobranoc Jagusi! — i po-
leciał.

Z dobrym pacierz przestojała, nim się poredziła ru-
szyć z miejsca.

— Urzekł me, czy co! — myślała, wlekąc się ocię-
żale, mąt jakiś miała w głowie, ciągotki ją rozbierały.

Wieczór się robił, światła błyskały tu i owdzie
a z karczmy roznosiło się granie i przytłumione roz-
mowy.

Zajrzała przez okno do izby rozświetlonej: pan
Jacek stał w pośrodku i rznął na skrzypkach, zaś przed
szynkwasem kolebał się Jambroży, krzykliwie cosik roz-
powiadał komornicom, często po kieliszek sięgając.

Naraz ktosik ją wpół krzepko ujął, że krzyknęła,
kurcząc się i wydzierając.

— Przydybałem cię i nie puszcę... napijem się
ździebko... pódzi... — szeptał wójt, nie zwalniając z pa-
zurów i pociągnął ją bocznymi drzwiami do alkierza.

Nikto nie dojrzał, bo już prawie ciemno było na
świecie i mało kto przechodził drogą.

Wieś już przycichała, milkły gwary i pustoszały

opłotki, naród rozchodził się po chałupach, dobiegały święta i dni słodkich wczasowań, powszednie jutro stajało za progiem i w mrokach ostre kły szczyrzyło, że niejedną duszę lęk ścisnął i turbacje obsiadły na nowo...

Posmutniała wieś i przygluchła, jakby do ziemi barzej przywierając i tuląc się w sady oniemiałe, jeszcze tam kajś niekaj siedzieli na przyźbach, dojadając święcone i zcicha gwarząc, gdzie zaś spać się rychlej wybierali, pieśnie pobożne przyśpiewując.

Tylko u Płoszkowej rojno było i gwarno: zeszyły się były sąsiadki, a obsiadłszy ławy, poredzały godnie między sobą. Wójtowa na pierwszym miejscu siedziała, zaś pobok pękata, wyszczekana Balcerkowa swojego dowodziła; była i chuda Sikorzyna, była i jazgocząca ciągiem Borynowa, stryjeczna chorego, była i kowalowa z najmłodszym przy piersi, ugwarzająca się z pobożną, cichą soltysową i drugie były, co najpierwsze we wsi.

Siedziały napuszone i odęte, kiej kwoki w barłogu, a wszyćkie we świątecznych sutych wełniakach, w chustkach, lipecką modą po pół pleców opuszczonych, w czepcach kiej koła bieluchne a rzęsiście skarbowane nad czołami, we fryzkach po uszy nastroszonych, na które tyle koralu nawiesiły, ile która miała. Zabawiały się galanto, gęby zwolna czerwieniały i kumentność rozpierała, poprawiały pilnie wełniaków, by się nie przygnietły i już jęły do się przysiadać coraz bliżej a ciszej poredzać, biorąc się wzajem na ozory.

A kiej kowal się jawił, powieadał, co prosto z miasta wraca, na dobre się rozweseliły. Chłop był wyszczekany jak mało któren, że zaś był już ździebko napity, to jał

wycyganiać takie rzeczy do śmiechu, jaże za boki się brały; izba się zatrzęsła, on zaś śmiał się najgłośniej, jaże ten jego rechot słyhać było u Borynów.

Długo se używali, bo coś trzy razy Płoszkowa po gorzałkę posyłała do Żyda.

Zaś u Borynów jeszcze siedzieli przed chałupą. Hanka wstała i otulona w kożuch, gdyż ziąb wziął po zachodzie, była z drugimi.

Póki dnia starczyło, Rocho im czytał z książki, że nieraz Hanka, rozglądając się, przykazywała cicho Józce:

— Wyjrzyj-no na drogę...

Ale nikogoj nie było i czytał, póki wieczór nie zamroczył ziemi, a potem powiadał jeszcze różności, gdyż strodze się rozciekawili. Noc ich okrywała, iż ledwie się znaczyli na białej ścianie chałupy; wieczór się stawał ciemny i chłodny, gwiazdy nie wzeszły, głucha cichość ogarniała świat, jeno co woda belkotała kajściś i psy warczały.

Zbili się w kupę, że Nastuś z Józką, Weronka z dziećmi, Jagustynka, Klębowa i Pietrek prawie u nóg Rochowych przysiedli, a Hanka nieco zboku na kamieniu.

Rozpowiadał o całym polskim narodzie historje różne, to przypowieści święte, to cudeńka takie o świecie, że ktoby je ta pojął i zapamiętał!

Zasłuchali się, nie ważąc odsapnąć, ni poruszyć się z miejsc i całą duszą pijąc te słowa miodne, jak wyschła ziemia pije dżdże rosiste i ciepłe.

On zaś, prawie niewidny la oczu, uroczystym, cichym głosem powiadał:

— »Po zimie zwiesna przychodzi każdemu, któren jej czeka w pracy, modlitwie a gotowości«.

— »Dufajcie, bo pokrzywdzone zawsze górę wezmą«.

— »Ofiarną krwią i trudem trza posiewać człowieczą szczęśliwość, a któren posiał, wszędzie mu i czas żniwny miał będzie«.

— »Ale kto jeno o chleb powszedni zabiega, do stołu Pańskiego nie siądzie«.

— »Kto ino wyrzeka na złe, nie czyniąc dobra, ten gorsze zło rodzi«.

Długo powiadał, a tak mądrze, że nie spamiętać, i coraz ciszej a rzewliwiej, że zaś go noc całkiem okryła, to się zdawało, jakoby ten głos święty z ziemi wychodził, albo że to głos pomarłych pokoleń Borynowych, co w noc tę Zmartwychwstania Bóg je na świat odpuścił i prawią teraz ze zmurszałych ścian, z drzew pochyłych, z gęstej nocy, ku przestrodze a opamiętaniu rodzonych.

Dusze się wszystkie ważyły na tych słowach, bijących w serca jak dzwon i niesły się w omroczone utęsknienia, w niepojęte dziwy marzeń.

Nikto nie dosłyszał nawet, że psy zaczęły w całej wsi ujadać, ktoś krzyczał na drogach i zadudniały biegany.

— Podlesie się pali! — zawrzeszczał jakiś głos przez sad.

Wybiegli na drogę.

Prawda była: dworskie budynki na Podlesiu stały

w ogniu, płomienie kiej czerwone krze wybuchały z ciemności.

— A słowo ciałem się stało! — szepnęła Jagu-
stynka, Kozłową wspominając.

— Kara Boska przychodzi.

— Za naszą krzywdę! — krzyżowały się w ciemno-
ściach głosy.

Drzwi chałup trzaskały, ludzie w dyrdy a napół
odziani wpadali na drogi, a coraz większą kupą cisnęli
się na most przed młynem, skąd widać było najlepiej, że
może w jakiś pacierz cała wieś już się stłoczyła.

Pożar zaś urastał co chwila, folwark stał na
wzgórzu pod lasem, więc chociaż o parę wiorst od Li-
piec, widać było jak na dłoni wzmaganie się ognia. Na
czarnej ścianie lasu roily się ogniste jęzory i wybuchały
krwawe, skłębione chmury. Nie było wiatru i ogień wy-
nosił się coraz wyżej, budynki płonęły kiej smolne
szczapy, czarne dymy waliły słupami, a krwawy, zwich-
rzony blask rozlewał się w ciemnościach rzeką ognistą
i chwiał się już nad borem.

Przeraźliwe ryki rozdarły powietrze.

— Wołownia się pali, nie uratują wiele, bo jedne
drzwi.

— Stogi się teraz zajmują!

— Już stodoły w ogniu! — wołali strwożeni.

Ksiądz nadbiegł, kowal, sołtys, a wkońcu i wójt
skądś się zjawił, ale choć pijany, że ledwie się trzymał
na nogach, zaczął wrzeszczeć i wyganiać ludzi, by na
pomoc lecieli dworowi.

Ale nikt się z tem nie śpieszył, a jeno zły pomruk zerwał się w ciźbie:

— Niechaj chłopów puszczą, to polecą ratować!

I nie pomogły klątwy ni groźby, ani nawet proboszczowe płaksiwe błagania: naród stał nieporuszony i w ogień ponuro patrzył.

— Psiekrwie, paroby dworskie! zakrzyczała Kobusowa, pięścią grożąc.

Że tylko wójt wraz ze soltysem i kowalem pojechali do ognia i to z gołemi rękoma, gdyż ani bosaków, ni wiader nie pozwolili zabierać z chałup:

— Kijami tego, któren ruszy! Na stracenie ścierwę! — zawrzeszczały jak jedna.

A cała wieś się już zebrała, do najmłodszych, co je rozkrzyczane na rękę przyhuśtywali i kłębili się wielką, ponurą ciźbą, że mało kto się odzywał, a i to szeptem, paśli jeno chciwe oczy i wzdychali, bo w każdym sercu krzewiły się przytąjone srogo radoście, że to za lipeckie krzywdy Pan Bóg dziedzica ogniem pokarał.

Do późna w noc się paliło, a nikto do dom nie poszedł: czekali cierpliwie końca, że to już jedno morze ognia przewalało się nad folwarkiem i biło spiętrzonemi falami w niebo, zapalone snopki z dachów i gonty roznosiły się krwawym deszczem, a od czerwonych łun, co jak ogniste płachty wiewały w ciemnościach, zrumieniły się czuby drzew i dachy młynicy, zaś staw jakby kto potrząsł bładem żarzewiem.

Turkoty wozów, krzyki ludzi, ryki, straszna groza zniszczenia biły z pożaru, a wieś wciąż stała, jakby ten

żywy mur w ziemię wrosły, a pasący oczy i dusze odemstą...

Zaś od karczmy rozlegał się ochryply głos pijanego Jambroża:

»Da Maryś moja, Maryś!
Da dobre piwo warzysz!«

VI.

Na taką dziwną wieść Hanka aż się uniesła z pościeli, że Jagustynka przychwyciła ją jeszcze w porę i do poduszek przygnietła.

— Dyc się nie ruchajcie, nie pali się nikaj!

— Bo taką rzecz powiedzieli, jakby im we łbie zamroczyło; przemyjcie sobie ciemię święconą wodą, to wama dur przejdzie.

— Nie, Hanuś, rozum swój mam i prawdę rzekłem, jako pan Jacek od wczoraj siedzi wraz ze mną... juści... — jękał Bylica, przyginając się do kichania po tęgiem zażyciu.

— Widać już do cna osłupiał! Obaczcie, czy nie wracają, dziecko mi zagłodzą.

— Od kościoła nikogój jeszcze nie widno! — objaśniła po chwili Jagustynka, znowu zabierając się do uprzątnięcia izby, posypując ją piaskiem.

Stary kichał zawzięcie raz po razie, że aż na ławie przysiadł.

— Trąbicie, kiej w mieście na rynku!

— Bo krzepka tabaka pana Jackowa, całą paczkę mi dał... całą...

Rano jeszcze było, oknem zazierało jasne i ciepłe słońce, drzewa się w sadzie chwiały od wiatru, zaś przez wywarte drzwi do sieni cisnęły się pogięte gęsie szyje i czerwone, syczące dzioby, a całe stado utaplanych w błocie i piszczących gąsiąt skrabalo się na próg wysoki. Naraz pies gdziesik zawarczał, że gęsi podniosły krzyk, a kwoki, siedzące na jajach, gdakać poczęły strachliwie i sfruwać z gniazd.

— Adyć chociaż do sadu wypędźcie, może się trawą zabawią.

— Wypędzę, Hanuś i od gap przypilnuję...

Wnet przycichło w izbie, jeno szum drzew dochodził ze dworu i kolebały się ździebko światy, wiszące u czarnego pułapu.

— Co tam chłopaki robią? — zapytała Hanka po długiej chwili.

— Pietrek orze ziemniaczysko pod górką, a Wittek we wałacha bronuje zagony pod len na szańskim dołku.

— Mokro tam jeszcze?

— Juści, trepy całkiem więzną, ale po zbronowaniu rychlej przeschnie.

Nim się też ziemia wygrzeje do siewu, może już wstanę...

— O sobie teraz pamiętajcie, a roboty wama nikt nie ukradnie!

— Wydojone to krowy?

— Samam doiła, bo Jaguś pod oborą szkopki ustawiła i gdziesik poszła.

— Nosi się ciągiem po wsi, jak ten pies, że żadnej

pomocy, ni wyręki. Hale, powiedzcie Kobusowej, że zagony pod kapustę dam i Pietrek gnój od niej wywiezie i zaorze, ale po cztery dni odrobku z jednego! Przy sadzeniu ziemniaków odrobiłaby połowę, a resztę we żniwo.

— Kozłowa też chciałaby zagon pod len na odrobek.

— Tyla odrobi, co pies napłacze. Niech se kaj indziej szuka, dosyć się łoni naszczekała przed całą wsią na ojca, że ją ukrzywdził.

— Jak wam do upodoby, wasz gront to i wasza wola! Filipka tu wczoraj podczas waszych rodów zachodziła, o ziemniaki.

— Za pieniądze chciała?

— Odrobiłaby; tam grosza w chałupie nie poświęci, głodem przymierają.

— Z pół korczyka do jedzenia zaraz niech weźmie, a potrza jej więcej, to dopiero po sadzeniu, boć nie wiada, wila ostanie. Przyjdzie Józka, to odmierzy, choć robotnica z Filipki, no!... zbywa jeno...

— A z czego to nabierze mocy? Nie doje, nie dośpi, a co rok rodzi.

— Marnacja, mój Jezu, żniwa jeszcze za górami, a przednówek za progiem.

— Za progiem! W chałupach już siedzi a za brzucho ściska, że ledwie zipią.

— Wypuściliście to maciorę?

— Legła pod ścianą, ale prosiaki śliczne, okrągłuchne, kiej te bułeczki.

Bylica stanął we drzwiach i zająkał:

— Gęsi pod jangrestami ostawiłem. A to przy-

szedł, niby pan Jacek we święto i powiada: »Wprowadzę się do ciebie, Bylica, na komorne i dobrze zapłacę... Myślałech: przekpiwa se z chłopą, jako u panów zwyczajnie, i rzekę: »Grosza mi potrza i pokoje wolne mam!« Zaśmiał się, dał mi paczkę peterburki, chałupę obejrzał i mówi: »Wy możecie tu wysiedzieć, to i ja poradzę, a chałupę zwolna wyporzadzim, że za dwór starczy!«

— Cie, taki szlachcic, dziedziców brat! — dziwiła się stara.

— Zrobił se legowisko pobok mojego i siedzi. Wychodziłem, to na progu papierosa kurzył i wróble ziarnem przynęcał.

— A cóż to jadł będzie?

— Garnuszki ze sobą sprowadził i arbatę ciągiem warzy a popija...

— Nadarmo tego nie robi, cosik w tem być musi, że taki pan...

— A jest, że do cna ogłupiał! Człowiek kaźden zawdy zabiega i turbuje się o lepsze, a taki pan chciałby mieć gorzej? Nic inszego, jeno rozum stracił — mówiła Hanka, unosząc głowę, gdyż w opłotkach rozległy się głosy.

Wracali już z kościoła od chrztu. Przodem Jóźka niesła dziecko w poduszce, chustą przykrytej pod stróżą Dominikowej a za niemi walili wójt z Płoszkową, w kumy proszeni, ztyłu zaś kusztykał Jambroży, nie mogąc nadążyć.

Ale nim próg przestąpili, Dominikowa odebrała dziecko i przeżegnawszy się, jęła z niem, wedle starego

obyczaju, obchodzić cały dom, na węglach jeno przystając i przy każdym zosobna mówiąc:

— Na wschodzie — tu wieje...

— Na północy — tu ziębi...

— Na zachodzie — tu ciemno...

— Na południu — tu grzeje...

— A wszędy strzeż się złego, duszo ludzka, i jeno w Bogu miej nadzieję.

— Niby nabożna, a taka guślarka z Dominikowej! — śmiał się wójt.

— Pacierz pomaga, ale i zamawianie nie zaszkodzi, wiadomo! — szepnęła Płoszkowa.

Szumno weszli do izby. Stara rozpowiła dzieciątko, i jak je Pan Bóg stworzył, nagusieńkie i kiej rak czerwone, matce do rąk podała.

— Prawego chrześcijanina, któremu Rocho na imię przy chrzcie świętym dano, przynosim wam, matko. Niech się zdrowo chowa na pociechę!

— I niechaj z tuzin Rochów wywiedzie! Tęgi parobek: krzyczał, że nie trza go było szczypać przy chrzcie, a sól wypluwał, jaże śmiech brał...

— Bo idzie z rodu, któren się gorzałki nie wyprzysięgał — ozwał się Jambroży.

Chłopak piszczał i majdał kulasami na pierzynie, Dominikowa przetarła mu wódką oczy, usta i czoło i dopiero go Hance przystawiła do piersi. Przypiął się kiej smok i ścichnął.

Hanka dziękowała serdecznie kumom, całując się ze wszystkimi, a przepraszając, że chrzciny nie takie, jak być powinny Borynowego dziecka.

— Urodzicie za rok czwartego, poprawim sobie wtedy i odbijem! — żartował wójt, ocierając wąsy, bo już kieliszek szedł ku niemu.

— Chrzcziny bez ojca, to jakby grzech bez odpuszczenia — ozwał się niebacznie Jambroży.

Rozpłakała się na to Hanka, aż kobiety jęły do niej przepijać na pocieszenie i w ramiona brać, że utuliwszy żalście, zapraszała, by się do jadła brali, gdyż jajecznicza na kielbasie już pachnęła z michy.

Jagustynka czyniła przyjęcie, bo Józka przyśpiwywała dzieciątku, usypiając je w dużej niecce, że to u starej kołyski biegunów brakowało.

Długo skrzybotały łyżki, a nikt słowa nie wypuścił.

Że zaś dzieci do sieni się naszło i coraz to głowiny do izby wtykały, wójt rzucił im przygarść karmelków, iż z piskiem a bijatyką wytoczyły się przed dom.

— Nawet Jambroż zapomniał języka w gębie! — zaczęła Jagustynka.

Bo se pocichu miarkuje, że chłopakowi gospodarkę trza szykować i dzieuchę.

— Gront — ojcowy to kłopot, a dzieucha — kumów.

— Nie zbraknie tego nasienia, nie! Proszą się z niem i by kto wziął, dopłacają.

— Musi być, co wójtowej ckni się do małego; widziałam, jak wietrzyła na płocie przyodziewę po swoich nieborakach!

— Pono na jesień wójt obiecują sprawić chrzcziny!

— Przy takim urzędzie, a o czem potra, nie zapominają!

— A bo smutno w chałupie bez dziecińskich wrzasków! — rzekł poważnie.

— Prawda, że i utrapień z niemi niemało, ale i wy ręka jest i pociecha...

— Specjały! I na złocie straci, kto je przepłaci! — mruknęła Jagustynka.

— Pewnie, że bywają i złe, za nic mające ojców, kwarde, ale jaka mać, taka nać, to się zbiera, co się zasiało! — westchnęła Dominikowa.

Rozsrożyła się Jagustynka, czując, że to jej przy mawia.

— Łacno wam prześmiewać z drugich, że macie takich dobrych chłopaków, co to i oprzędą, i wydoją, i garnki pomyją, jak najsprawniejsze dzieuchy.

— Bo w pocziwości chowane i w posłuszeństwie.

— Prawda, same nawet pysków nastawiają do bicia! Wypisz, wymaluj — podobne do swojego ojca! Juści jaka mać taka nać, prawdęście rzekli; a że pamiętam, coście zamłodu z chłopakami wyprawiali, to mi nie dziwota, co Jagusia do was się całkiem udała, bo takusieńka jako i wy: niechby kolek, bele w czapie na bakier, zechciał... nie odmówi z pocziwości — syczała jej nad uchem, aż tamta pobladła, chyląc głowę coraz niżej.

Jagna właśnie sień przechodziła, zawołała jej Hanka, wódką częstując: wypila i, nie patrząc na nikogo, na swoją stronę poszła.

Wójt schmurniał, napróżno oczekując, że powróci.

Rozmowy jakoś nie szły, nasłuchiwał i chodził

oczyma kryjomo za nią, gdy znowu się ukazała i na podwórze przysła.

I kobietom odechciało się pogwary; stare jeno się żarły rozwścieklonemi ślepiami, zaś Płoszkowa porzdzała zcicha z Hanką. Jeden Jambroży nie przepuszczał flaszce i, choć nikt nie słuchał, plótl cosik i wycyganiał niestworzone rzeczy.

Wójt się naraz podniósł i niby za dom się wyniósł, a chyłkiem, przez sad na podwórze poszedł. Jagusia siedziała na proggu obory, dając pić po palcu srokatemu ciołkowi.

Obejrzał się trwożnie i, pchając jej za gors karmelki, szepnął:

— Naści, Jaguś, przyjdź o zmierzchu do alkierza, to dam ci cosik lepszego.

I nie czekając odpowiedzi, do izby śpiesznie powracał.

— Ho! ho, ciołek wam się zdarzył, dobrze go przedacie — mówił, rozpinając kapot.

— Na chowanie pójdzie, bo to z dworskiego gatunku.

— Profit będzie pewny, ile że młynarzowy byk już do niczego. Ucieszy się Antek z takiego przychowku.

— Mój Jezu! kiej on go obaczy? kiej?

— Niezadługo, ja to wama powiadam, to wiercie.

— Dyć wszystkich z dnia na dzień czekają.

— Mówię, że leda dzień się zjawią, cosik się ta przecie z urzędu wie...

— A najgorsze, co pola nie chcą czekać.

— Jak się w porę nie obsieje, to straszno myśleć o jesieni!

Wóz jakiś zaturkotał. Józka, wyrzawszy za nim, powiedziała:

— Proboszcz z Rochem przejechali!

— Ksiądz po wino do mszy się wybierał — objaśniał Jambroży.

— Że to Rocha wziął na probanta, nie Dominikową! — drwiła stara.

Nie zdążyła się odciąć Dominikowa, bo kowal wszedł i wójt podniósł się do niego z kieliszkiem.

— Spóźniłeś się, Michał, to gońże nas teraz!

— Prędko was, kumie, zgonię, bo tu już po was lecą...

Co jeno domówił, wpadł zadyszany sołtys.

— A chodźcie, Pietrze, pisarz ze strażnikami na was czekają.

— Psiachmać, że to ni pacierza spokojności! Hale cóż, urząd pierwszy...

— Odprawcie ich prędko i powracajcie.

— Abo to chwaci czasu; o pożar na Podlesiu i o wasz podkop będą penetrowali...

Wybiegł wraz z sołtysem, a Hanka, wpierając oczy w kowala, rzekła:

— Przyjdą opisywać, to im rozpowiecie wszystko, Michale.

Skubał wąsy i wbił ślepie w dzieciaka, niby się to mu przypatrując.

— Cóż to im powiem?... tyła, co i Józka poredzi!

— Dzieuchy przecie do urzędników nie wysłę,

nie przystoi, a powiecie, że ile wiadomo z komory niczego nie wynieśli, czy zaś co inszego nie zginęło, to już... Bogu jednemu wiadomo... i... — strzepnęła pierzynę, pokaszlując, by nie pokazać mu twarzy szydliwej, ale on się jeno ciepnął i wyszedł.

— Świędlerz jucha! — prześmiechnęła się leciuchno.

— Że krótkie były, to się jeszcze urwały! — narzekał Jambroż, po czapkę sięgając.

— Józka, urznij im kielbasy, niech se chrzciny w domu przydłużą.

— Gęś to jestem, bym suchą kielbasę ćkał?

— Podlejcie se gorzałką, byście nie wyrzekali.

— Mądre ludzie powiadają: rachuj kaszę, kiej ją sypiesz do garnka, paliców przy robocie nie oglądaj, ale kieliszków przy poczęstunku nie licz...

— Kaj grzysi przydzwaniają, tam pijak do mszy służy!

Przegadywali, nie szczędząc gorzałki, ale nie wyszły i dwa pacierze, kiej sołtys jał oblatywać chałupy i wołać, by się wszyscy schodzili do wójta przed pisarza i strażników.

Ozgniewało to Płoszkową, że ująwszy się pod boki, pysk na niego wywarła:

— A mam gdziesik... za pazuchą... wójtowe przykazy! Nasza to sprawa? prosilim ich? czas mamy la strażników, co? Nie psy jesteśmy, co na leda gwizd do nogi się zlatują! Potrzeba im czego, niech przyjdą i pytają! Jedna droga! Nie pójdziemy! — zawrzęszczała,

wybiegając na drogę do gromadki wylękłych kobiet, zbierających się nad stawem.

— Do roboty, kumy, w pola, kto ma sprawę do gospodyń, powinien wiedzieć, kaj nas czekać. Hale, nie-doczekanie ich, byśmy na bele przykaz rzęcały wszystko i szły wystawać pod drzwiami, kiej psy, trąby jedne! — krzyczała, srodze zaperzona.

Gospodynią była po Borynach pierwszą, to posłuchały jej, rozlatując się kiej spłoszone kokoszki, że zaś już większość w polach robiła od rana, pusto się zrobiło na wsi, dzieci jeno kajś niekaj bawiły się nad stawem i staruchy wygrzewały się pod słońce.

Juści, że pisarz się zeźlił i sielnie skłął sołtysa, ale rad nierad musiał poleźć w pola. Długo uganiłi się po zagonach, rozpytując ludzi, czy kto czego nie wie o pożarze na Podlesiu. Rychtyk to samo powiedali, co i on wiedział, bo ktoby się to wydał z tem przed strażnikami, co la siebie tai?

Czas jeno stracili do południa, nałazili się po werstepach i zabłocili po pasy, gdyż role były jeszcze miejscami przepadziste, a nadarmo.

Tak byli tem rozgniewani, że skoro przyszli do Boryny opisywać ów podkop, starszy kłął na czem świat stoi, a natknąwszy się w ganku na Bylicę, z pięściami do niego skoczył i krzychał:

— Ty, mordo sobacza, czemu to nie pilnujesz, że ci się złodzieje podkopują, co! — i już od maci jął mu wywodzić.

— A pilnuj sobie, od tegoś postanowiony, ja nie

twój parobek, słyszysz! — odciął z miejsca stary, do żywego dotknięty.

Aż pisarz ryknął, by pysk stulił, kiej z osobą urzędową mówi, bo do kozy pójdzie za hardość, ale stary się rozwściekił na dobre. Prostował się hardo i groźny, miotający oczyma, zachrypiał:

— A tyś co za osoba? Gromadzie służysz, gromada ci płaci, to rób, coć masz przez wójta nakazane, a wara ci od gospodarzy! Widzisz go, łachmytek jeden, pisarek jakiś! Odpasł się na naszym chlebie i będzie tu ludźmi pomiatał... i na ciebie się znajdzie większy urząd i kara...

Wójt z sołtysem rzucili się go przyciszać, bo srożył się coraz barzej i już kole siebie za czemś twardem macał drżącemi rękoma.

— A zapisz me do strafu, zapłacę i jeszcze ci na gorzalkę dołożę, jak mi się spodoba! — wołał.

Nie zwracali na niego uwagi, opisując wszystko po drobno i rozpytując domowych o podkop, a stary mruczał cosik do siebie, obchodził dom, zazierał po kątach, psa nawet kopnął, nie mogąc się uspokoić.

Po skończeniu chcieli co przegryźć, ale Hanka każała powiedzieć, że mleka i chleba zbrakło akuratnie, są jeno ziemniaki od śniadania.

Ponieśli się do karczmy, w żywe kamienie Lipce wyklinając.

— Dobrześ zrobiła, Hanuś, nic ci nie zrobią. Jezu, to nawet nieboszczyk dziedzic, choć miał prawo, a tak me nigdy nie sponiewierał, nigdy...

Długo nie mógł zapomnieć obrazy.

Zaraz po południu któraś wstąpiła, powiedając, że jeszcze w karczmie siedzą i sołtys polecił sprowadzić Kozłową.

— Szukaj wiatru w polu! — zaśmiała się Jagu-
stynka.

— Pewnie po susz do lasu poleciała!

— We Warsiawie siedzi od wczoraj, po dzieci po-
jechała do szpitala, ma dwoje przywieźć na odchowanie,
niby z tych podrzutków...

— By je głodem zamorzyć, jak to było z tamtymi,
dwa roki temu.

— Może to i lepiej la chudziaków, nie będą się cale
życie tyrały kiej psy...

— I bękart człowiecze nasienie... już ona ciężko
przed Bogiem odpowie.

— Przecie z rozmysłu nie głodzi, sama nie czę-
sto naje się do syta, to skąd i la dzieci weźmie...

— Płacą na utrzymanie, nie z dobrości je przy-
tula! — rzekła Hanka surowo.

— Pięćdziesiąt złotych na cały rok od sztuki, nie-
wielka to obrada...

— Niewielka, bo przepija z miejsca, a potem dzie-
ciska z głodu mrą.

— Dyć nie wszystkie: a nie wychował się to wasz
Witek, a i ten drugi, co to jest w Modlicy u gospodarza!

— Abo Witka ociec wzięli takim skrzatem, co jesz-
cze koszulę w zębach nosił i w chałupie się odgryzł. Tak
samo było i z tamtym.

— Bronię to Kozłowej?... powiadam ino, jak się

mi widzi. Musi kobieta szukać jakiego zarobku, bo do garnka nie ma co wstawić.

— Juści, Kozła niema, to niema kto ukraść.

— A z Jagatą się jej nie udało: stara miasto umrzeć, pozdrowiała galanto i wyniesła się od niej. Wyzała się teraz po wsi, że Kozłowa co dnia jej wymawiała, iż ze śmiercią zwłóczy, by ją poszkodować.

— Wróci pewnie do Kłębów: gdzież jej szukać schronienia?

— Nie wróci: rozżaliła się na krewniaków. Kłębowa nie rada ją puściła od siebie, boć to i pościel stara ma i grosz pewnie spory, ale nie chciała ostać; przenieśli skrzynie do sołtyski i upatruje se, u kogoby mogła pomrzeć spokojnie.

— Pożyje jeszcze, a w każdej chałupie teraz się przyda, choćby gęsi popaść, albo za krowami wyrzeć. Kaj się to znowu Jagna zadziała?

— Pewnikiem u organistów panience fryzki wyszywa.

— Pora na zabawę, jakby w chałupie brakowało roboty!

— Dyc od samych świąt przesiaduje tam ciągiem — skarżyła Józka.

— Zrobię z nią porządek, że mnie popamięta... Pokażcie mi dziecko.

Wzięła je do siebie i skoro posprzątały po obiedzie, rozegnała wszystkich do roboty. Sama jeno w izbie ostala, nasłuchując niekiedy za dziećmi, bawiącemi się przed domem pod okiem Bylicy, a po drugiej stronie Boryna leżał jak zawdy samotnie, patrzył w słońce, co się

przez okno kładło na izbę smugą rozedrganą i gmerał w niej palcami, a cosik do siebie gwarzył zcicha, jak to dzieciątko sobie ostawione.

Na wsi też pustką wiało, bo czas się zrobił wybrany i kto jeno mógł się ruchać, wychodził w pola, do roboty.

Od samych świąt pogoda się już ustaliła, że codzień było cieplej i jaśniej.

Dni już szły długachne, rankami omglone, szarawe i cicho nagrzone w południa, a zorzami o zachodzie rozpalone, prawej zwiesny dni.

Poniekąd wlekły się cichuśko, kiej te strumienie w słońcu roziskrzzone, chłodnawe jak one i jak one przejrzyste i ździebko pluszczące o brzegi, puste i sinawe, a jeno kajś niekaj żółte od mleczów, to stokrótkami rozbielone, albo rozzieleniałe wierzbowemi pędami.

Przychodziły i ciepłe całkiem, nagrzone, wilgotnawe, przesiane słońcem, pachnące świeżyzną i tak przejęte rostem, tak zwiesną nabrzmiałe, tak mocą opite, że z wieczora, kiej ptasie głosy przycichły i wieś legła, to zdawało się czuć w ziemi parcie korzeni i wynoszenie się ździebeł i jakby słyszał cichuśkie szmery otwierających się pąków, pęd wzrostów i głosy stworzeń, wydających się na świat Boży...

Szły zaś i drugie, do tamtych zgoła niepodobne.

Bez słońca, przemglone, szaro-modrawe, niskie, chmurzyskami brzuchatemi przywalone a parne, ciężkie i bijące do głowy kiej gorzałka, iż ludzie czuli się jakby pijani; drzewiny kurczyły się w dygocie, a wszelkie stworzenie, rozpierane jakąś lubością, darło się gdziesik

i ponosiło nie wiada kaj i po co, że ino krzyczeń się chciało, przeciągać, albo tulać, choćby i po tych trawach mokrych, jako te psy ogłupiałe czyniły.

To przychodziły już od samego świtania zadeszczone, jakby zgrzebnem przędziwem obmotane, że światła nie dojrzał, ni dróg, ni chat skulonych pod przemokłemi sadami. Deszcz padał wolno, ciągle, bezustannie, równiśkie, drżące nici szare jakby się odwijaly z jakiegoś wrzeciona niedojrzanego, wiążąc niebo z ziemią, że ino przygięło się wszystko cierpliwie i mokło, nasłuchując rześistego trzepotu i bulgotów strug, co się białemi kłakami staczały z pól czarniawych.

Zwyczajnie to było, jak każdego roku na pierwszą zwiesnę, niktó się też nad niemi nie zastanawiał, nie pora była na deliberowanie, świt bowiem wyganiał naród do roboty, a późny mrok dopiero spędzał, że ledwie czasu starczyło, by pojeść i nieco wytchnąć.

Lipce też przez to całe dni stojaly pustką, pod strażą tylko staruch, psów i tych sadów coraz gęściej przysyłających chałupy; czasem się jeno dziad jakiś przewlókł, odprowadzany psiami jazgotami, albo wóz do mlyna i znowu drogi leżały puste, a oniemiały chałupy przezierały wskroś sadów przepalonymi szybkami na pola szerokie, na pola nieobjęte, co jakby morzem ziem wieś całą okrążały, na pola, co niby matka rodzona tuliły na podółku dzieciny swoje i przy piersi wezbranej trzymały w żywiącem objęciu.

Juści, co dnie to szły robotne, ciepłe, deszczami przekrapiane, raz nawet śnieg pierzasty jął walić, że przysiwł pola, jeno co na krótko, bo go wnet słońce do

cna zeżarło — to i nie dziwota, że na wsi przycichaly swary, klótnie a sprawy wszelkie, bo robota zaprzęgała w twarde jarzma i do ziemi wszystkie lby przygięła.

Że już co rano, jeno świt rosisty otwarł siwe ślepie, a pierwsze skowronki zaśpiewały, wieś zrywała się na równe nogi, rejwach się podnosił, trzaskanie wrótni, płacze dzieci, krzyki gęsi, wypędzanych nad rowy i wnet wyprowadzali konie, chłopaki pługi wiodły, ziemniaki wynosili na wozy i rozchodzili się tak prędko w pola, że w pacierz albo dwa cicho już było na wsi a pusto. Nawet na Mszę prawie nikt nie wstępował, że często granie organów huczało w pustym kościele, rozlewając się na pola co bliższe, a dopiero na głos sygnaturki klękali po rolach do rannych pacierzy.

Wychodzili wszyscy do roboty, a prawie tego znać nie było na ziemiach; dopiero przyjrząwszy się bacniej, to tam kajś niekaj dopatrzył pługi, konie przygięte w pracy, gdzie wóz na miedzy i kobiety, co jak liszki czerwone gmerały się wśród pól ogromnych, pod niebem jasnym i wysokim.

A wokół od Rudki, od Woli, od Modlicy, od wszystkich wsi, widnych czubami sadów i białemi ścianami w niebieskawem powietrzu, roztrzęsały się gwarliwe, pełne krzykań i śpiewów odgłosy robót. Kaj jeno okiem sięgnął za kopce graniczne, wszędy dojrzał chłopów siejących, pługi w orce, ludzi przy sadzeniu ziemniaków, zaś po piaszczystych rolach już kurz się podnosił za bronami.

Jeno lipeckie ziemie leżały w odrętwiałej cichości, smutne, ogłuchłe, jako te nieplodne wywieiska, albo drze-

winy schnące wśród lasu młodego. Bo i w opuszczeniu sierocem leżały, mój Boże, odlogiem prawie, gdyż te kobiece ręce nie znaczyły i za dziesięciu chłopów, choć się wieś cała trudziła w pocie od świtu do nocy.

Cóż to mogły same poradzić? Zwijaly się jeno kole ziemniaków a lnów, a po reszcie pól kuropatki skrzykiwały się coraz głośniejszy, to zajączek często kicał, a tak wolno, że mogli zrachować, ile razy zabielił podogoniem z ozimin; wrony laziły stadami po ugorujących zagonach, leniwie wyciągających się w słońcu, napróżno czekając ręki ludzkiej.

Cóż to naród miał z tego, że dni przychodziły wybrane i cudne, że wynosiły się rankami, jakby we srebrze skąpane złote monstrancje, że zielone były, pachnące ziołami, nagrzanę i śpiewające ptasiemi głosami, że każdy rów złościł się od mleców, każda miedza mieniła się kiej wstęga, szyta w stokrocie, a łęgi kiej tym puchem zróżwionym kwiatami były potrząśnięte, że każda drzewina tryskała wezbraną zielenią, a wszystek świat wzbierał taką zwiesną, aż ziemia zdawała się kipić i bulgotać od tego wrzátku zwiesnowego!

A cóż z tego, kiej pola niezaorane, nieobsiane, nieobrobione leżały, niby paroby zdrowe i krzepkie, przeciągające się jeno na słońcu, a całe tygodnie trawiąc na niczem, zasie na tłustych, rodných ziemiach, miasto zbóż, ognichy się pleniły, osty strzelały w górę, lebiody trzęsły się po dołkach, rudziały szczawie, perze kłuły się gęsto po podorówkach jesiennych, a na rżyskach wynosiły się smukle dziewanny i łopiany, kiej te kumy podufale zasiadały szeroko, że co ino tliło się w przytaleniu i stra-

chem dotela żyło, kielkowało teraz weselnie, szło chry-
żym rostem, pchało się z brózd na zagony i panoszyło
się bujnie po rolach.

Aż lęk jakiś przewiewał po tych polach opuszczony-
nych.

Że zdawało się, jakby bory, chylące się nisko nad
ugorami, gwarzyły zdumione, że strumienie lęklawiej wily
się skroś pustek, a tarniny, już obwalone białymi pąkami,
grusze po miedzach, przelotne ptactwo, to jakiś wędrow-
nik z obcych stron i nawet te krzyże i figury, stróżujące
nad drogami, wszystko się rozgląda w zdumieniu i pyta
dni jasnych i tych odłogów pustych:

»A kaj się to podziały gospodarze? kaj to te śpiewy,
te bujne radoście, kaj?...

Jeno ten płacz kobiecy im powiadał, co się w Lip-
cach stało.

I tak schodził dzień po dniu bez żadnej przemiany
na lepsze; naprzeciw, gdyż co dnia prawie mniej kobiet
wychodziło w pole, że to w chałupach zaległej robocie
ledwie poradził.

Tylko u Borynów szło wszystko jak zwyczajnie,
wolniej jeno niżli po inne lata i ździebko gorzej, że to
Pietrek dopiero się przyuczał do polowych robót, ale
zawdy szło jakoś, boć i rąk pomocnych nie brakło.

Hanka, choć jeszcze z łózka, rządziła wszystkim
tak zmyślnie i kwardo, że nawet Jaguś musiała z dru-
giemi stawać do roboty i o wszelkiej rzeczy równą pamięć
miała: o lewentarzu, o chorym, kaj orać i co gdzie siać,
o dzieciach, gdyż Bylica już od chrzcin nie przychodził,
zachorzał pono. Juści że całe dni leżała w samotności,

tyle jeno ludzi widując, co w obiad i wieczorem, albo Dominikową, zaglądającą do niej raz w dzień; żadna z sąsiadek nie pokazywała się, nawet Magda, a o Rochu to jakby słuch zaginął: jak pojechał wtenczas z proboszczem, tak i nie powrócił. Strasznie mierziło się jej to leżenie, więc aby rychlej ozdrowieć i sił nabrać, nie żałowała sobie tłustego jądła, ni jajków, ni mięsa, nawet przykazała zarznąć na rosół kokoszkę, nie nieśną po prawdzie, ale zawdy wartała ze dwa złote.

To też tak prędko zmogła chorobę, że już w Przewody wstała, postanawiając iść na wywód do kościoła; odradzały jej kobiety, ale się uparła i zaraz po sumie poszła z Płoszkową.

Chwiała się jeszcze na nogach i często wspierała na kumie.

— Jaze mi się w głowie kołuje, tak zwiesną pachnie.

— Dzień, dwa i wzwyczaicie się.

— Tydzień dopiero, a zmiany na świecie za cały miesiąc.

— Na bystrym koniu zwiesna jedzie, że nie przegoni.

— Zielono też, mój Jezu, zielono!

Juści, sady wisiały nad ziemią, kiej ta chmura zieloności, że ino kominy z niej bielaly i dachy się wynosiły. Po gąszczach ptactwo świergotało zapamiętałe, dołem zaś od pół ciepły wiater pociągał, aż się burzyły chwasty pod płotami, a staw marszczył się i pręgował.

— Tęgie paki wzbierają na wiśniach, ino patrzeć kwiatu.

— By mróz nie zwarzył, to owocu będzie galanto.

— Powiadają, że kiedy chleb nie zrodzi, sad dogodzi!

— Ma się na to w Lipcach, idzie po temu!... — westchnęła smutnie, spoglądając łzawo na nieobsiane pola.

Prędko się uwinęły z wywodem, bo dzieciak się rozkrzyczał, a i Hanka poczuła się tak utrudzoną, że zaraz po powrocie do izby przyległa nieco na pościeli, ale nie odzicipnęła jeszcze, kiej Witek z krzykiem wleciał:

— Gospodyni, a to Cygany do wsi idą!

— Masz djable kaftan, tego jeszcze brakowało. Zawołaj Pietrka i drzwi pozamykać, by czego nie porwały.

Przed dom wyszła zatrwożona wielce.

Jakoż wkrótce rozleciała się po wsi cała banda Cyganek, obdartych, rozmamlanych, czarnych kiej sagan, z dziećmi na plecach, a uprzykrzonych, że niech Bóg broni; łaziły, żebrząc, wróżyć chciały i do izb gwałtem się cisnęły. Z dziesięć ich było, a narobiły wrzasku na całą wieś.

— Jóźka, spędź gęsi i kury w podwórze, dzieci przywiedz do chałupy, jeszcze ukradną! — siadła w ganku pilnować, a dojrawszy jakąś Cyganicę, zmierzającą w opłotki, poszczuła ją psem. Łapa się rozsrożył i nie puścił, że czarownica pogroziła kijem i cosik na nią mamrotała.

— Hale, gdzieś mam twoje przekleństwa, złodziejko!

— Nie urzekłaby, gdybyście ją puścili — szepnęła Jagna z przekąsem.

— Aleby co ukradła. Takiej nie upilnuje, choćby jej na ręce patrzył, a chcecie wróżenia, to gońcie se za niemi.

Snadź trafiła w przytające chęci, bo Jagna poniesła się na wieś i całe to niedzielne popołudnie laziła za Cygankami. Nie poredziła wyzbyć się jakiejś głuchej obawy, ni przewyciężyć ciekawości wróżby, że po sto razy zawracała do chałupy i niesła się znowu za niemi, aż dopiero na zmierzchu, kiej Cyganichy pociągnęły ku lasowi, dojrzawszy, że jedna wstąpiła do karczmy, wsunęła się za nią i z wielkim strachem, żegnając się raz po raz, kazała sobie wróżyć, nie bacząc na ludzi przy szynkwasię stojących.

Wieczorem, po kolacji, zeszyły się do Józki na ganek dziewczyny i rajcowały o Cyganach, opowiadając, co której wywróżyły: że Marysi Balcerkównie wesele przepowiedziały na kopaniu, Nastce wielgi majątek i chłopa, Ulisi Sochównie, że ją zwiedzie kawaler, tej pękatej Weronce Bartkowej chorobę, zaśie Teresce żołnierce...

— Pewnikiem bękart! — zawarczała Jagustynka, siedząca z boku.

Nie zważali na nią, bo właśnie Pietrek się przysiadł i jał im prawić różności, jak to Cygany swojego króla mają, któren cały we srebrnych guzach chodzi, a taki ma posłuch, że kiejby przykazał la śmiechu tylko powiesić się któremu, a w mig to robią.

— Złodziejski król, mocarz taki a psami go szczują — szepnął Witek.

— Pieskie nasienie, pogany zatracone! — mruknęła stara i przysunawszy się, rozpowiadała, jak to cygany dzieci kradną po wsiach.

— I żeby czarne były, to je kąpią we wywarze z olszyny, że i rodzona matka potem nie rozpozna, zaś cegłą ścierają jaże do kości te miejsca, kaj przy chrzcie oleje święte kładli na nie i prosto w djablęta przemieniają.

— A pono takie czary i zamawiania potrafią, jaże strach mówić! — pisnęła któraś.

— Prawda, niechby cię ochuchała, a jużby ci wąsy wyrosły na łokieć.

— Prześmiewacie!... Opowiadają, że chłopu ze Słupskiej parafji, co ich pono wyszczuł psami, to Cyganicha jeno mignęła jakimś lusterkiem przed ślepiami, a zaraz całkiem zaniewidział.

— I podobno ludzi w co chcą przemieniają, nawet we zwierzaki.

— Kto się spije, ten się sam najlepiej we świnię przemienia.

— Hale, a ten gospodarz z Modlicy, co to łoni na odpuście beł, nie laził to na czworakach, nie szczekał?...

— Zły go opętał, przecie dobrodziej wypędzali z niego djabła.

— Jezu, że to są na świecie takie sprawy, jaże skóra cierpie!...

— Bo złe wszędy się czai, jak ten wilk kole owiec.

Trwoga wionęła przez serca, że skupiły się barzej, a Witek, rozdygotany strachem, cicho szepnął:

— A u nas też cosik straszy...

— Nie pleć głupi bele czego! — powstała na niego Jagustynka.

— Śmiałym to, kiej chodzi cosik po stajni, obroków przysypuje, konie rzą... i za bróg chodzi, bo widziałem, jak Łapa tam leciał, warczał, kręcił ogonem i łasił się, a nikogoj nie było... To pewnikiem Kubowa dusza przychodzi... — dodał ciszej, oglądając się na wszystkie strony.

— Kubowa dusza! — szepnęła Józka, żegnając się raz po raz.

Zatrzęsły się wszystkie, mróz przeszedł kości, a kiej drzwi jakieś skrzypnęły, zerwały się z krzykiem. To Hanka stanęła w progu.

— Pietrek, a kaj te Cygany stoją?

— Mówili w kościele, że siedzą w lesie za Borynowym krzyżem.

— Trza stróżować w nocy, by czego nie wyprowadzili.

— W bliskości pono nie kradną.

— Jak się im uda, dwa roki temu też tam stali, a Sosze maciorę wzięli... Nie trza się na to spuszczać! — ostrzegala Hanka i kiej się dziewczyny rozeszły, pilnowała chłopaków, by za sobą dobrze pozamykali oborę i stajnię, zaś powracając, zajrzała na ojcową stronę, czy już jest Jagusia.

— Skocz-no, Józka, po Jagnę, niech przychodzi

do chałupy, nie ostawię dzisiaj drzwi na całą noc wywartych.

Ale Józka rychło oznajmiła, że u Dominikowej ciemno i na wsi już prawie wszędzie śpią.

— Nie puszczę latawca, niech se do rana posiedzi na dworze! — wygrażała, zasuwając drzwi.

Musiało też być już bardzo późno, kiej posłyszawszy targanie drzwiami, zwlekła się otwierać i aż się cofnęła, tak od Jagny buchnęło gorzałką. Niezgorzej musiała być napita, gdyż długo macała za klamką i słychać było w izbie potykanie o sprzęty i to, że jak stała, buchnęła się na łóżko.

— Cie! że i na odpuście galanciejby się nie uraczyła, no, no!...

Ale już ta noc nie miała przejść spokojnie, gdyż na samem świtaniu zatrząśł się na wsi taki wrzask i lament, że kto jeszcze spał, w koszuli śpiesznie wybiegał na drogę, myśląc, iż się kaj pali...

To Baleerkowa z córkami darła się wniebogłosy, że jej konia wyprowadzili złodzieje.

W mig cała wieś się zleciała przed chałupę, a one rozmamlane, opowiadały nieprzytomnie pośród płaczów i lamentów, jako Marysia poszła o świcie przysypać obroku, a tu drzwi wywarte, stajnia pusta i konia przy żłobie niema.

— Ratuj, Jezu miłosierny! ratujcie ludzie, ratujcie! — ryczała stara, drąc się za łeb i tłukąc się o płoty, kiej ten ptak spętany.

Przyleciał sołtys, po wójta też posłali, ale go w domu nie było, zjawił się dopiero w parę pacierzy, jeno

że się ledwie na nogach utrzymał: napity był, rozespany i zgoła nieprzytomny, bo jął cosik mamrotać i ludzi rozganiał, aż go sołtys musiał usunąć z oczu.

Ale i tak mało kto zważał na niego w tem ciężkiem strapieniu, co jak kamienie przywalało wszystkie dusze; słuchali wciąż opowiadań, drepcząc ze stajni na drogę i z nawrotem, nie wiedząc, co począć, bezradni i do cna wystraszeni, aż któraś rzuciła w głos:

— To cygańska robota!

— Prawda, w lesie stoją! penetrowały wczoraj!

— Nie kto drugi ukradł, nie! — zerwały się burzliwe głosy.

— Lecieć do nich i odebrać, a sprać złodziejów! — wrzasnęła Gulbasowa.

— Na śmierć zakatrupić za taką krzywdę!

Wrzask buchnął ogromny ku wschodzącemu właśnie słońcu, kołki zaczęły rwać z płotów, trząchać pięściami, kręcić się wkółko, to gdziesik już naprzód wybiegać z krzykiem, kiej nowa sprawa się wydała.

Sołtyska z płaczem przybiegła, że i im wóz ukradli z podwórza.

Oslupieli, jak kieby piorun trzasnął gdziesik z bliskości, że długi czas jeno wzdychali, rozwodząc ręce i spoglądając na sie ze zgrozą.

— Konia z wozem ukradły, no, tego jeszcze we wsi nie bywało.

— Jakaś kara spada na Lipce.

— I co tydzień gorzej!

— Przódzi bez całe roki tylachna się nie zdarzało, co teraz przez miesiąc.

— A na czem się to jeszcze skończy, na czem! — poszeptywały trwożnie.

Naraz rzucili się za sołtysem do Balcerkowego sadu, kaj widne były końskie ślady znaczne po rosie i na świeżej ziemi, aż do sołtysowej stodoły; tam konia wprzęgli do wozu złodzieje i kołując po rolach, wyjechali koło młynarza na drogę, biegnącą do Woli.

Pół wsi poszło, rozpatrując w cichości ślady, które dopiero pod stogami spalonymi, przy skręcie na Podlasie urwały się z nagłą, że nie sposób ich było odszukać.

Ale ta kradzież tak sturbowała wszystkich, że choć dzień był bardzo cudny, mało kto wziął się do roboty: łazili powarzeni, łamali ręce, użalając się nad Balcerkową, przejmując się coraz większym strachem o swój dobytek.

Zaś Balcerkowa siedziała przed stajnią, jakby przy tym katafalku, zapuchła z płaczu i ledwie już zapiąc, wybuchwała niekiedy wśród jęków:

— O mój kasztan jedyny, moje konisko kochane, mój parobku najlepszy! A to mu dopiero na dziesiąty rok szło, samam go od źrebięcia wychowała, jak to dzieciątko rodzone, dyć w tym samym roku się ulął, co i mój Stacho! A cóż my teraz sieroty poczniemy bez ciebie, co?

Zawodziła tak żałośliwie, iż co miętsi płakali z nią razem, rozżalając się nad stratą, gdyż bez konia to jak przez ręk, zwłaszcza teraz na zwiesnę i kiej chłopów nie było.

Juści, co sąsiadki obsiadły ją, z całego serca pocieszając, a pospólnie wspominały kasztana, chwając go niemało.

— Piękny był koń, krzepki jeszcze, kiej dziecko łagodny.

— Skopał mi chłopaka, kumo, ale po prawdzie wałach był przedni.

— Prawda, grudę miał w kulasach i zdziebko ślepiął, ale zawdy czterdzieści papierków daliby za niego.

— A figlował kiej pies, nie ściągał to pierzyn z płotów? co?

— Szukać takiego drugiego, szukać! — wyrzekały bolejąco, niby nad jakimś umarlakiem, a Balcerkowa co spojrziała na złób, to ją nowy ryk wstrząsał i nowe żalście chwytaly za gardziel i ta pusta stajnia, kiej świeży grób, budziła pamięć straty nieodżałowanej i krzywdy. Uspokoila się dopiero, kiej powiedzieli, jako sołtys wziął Pietrka od Hanki, księżego Walka, Młynarczyka i pojechali szukać u Cyganów.

— Hale, szukaj wiatru w polu: kto ukradnie, schowa ładnie.

Dobrze już było pod wieczór, kiej powrócili, rozpowiadając, że ani śladu nikaj, jakby kamień rzucił we wodę.

Wójt też się pokazał we wsi i choć już mrok zapadał, zabrał sołtysa na brykę i pojechał donieść strażnikom i kancelarji, a Balcerkowa z Marysią poszły na sąsiednie wsie szukać na swoją rękę.

Ale wróciły z niczem, dowiedziały się jeno, że po inszych wsiach również mnożyły się kradzieże. Bez to na ludzi padło jeszcze cięższe udręczenie, bo strach o dobytek, jaże wójt ustanowił stróże i w braku parobków po dwie kobiety wespół ze starszemi chłopcami miały co noc

obchodzić wieś i pilnować, a oprócz tego i w każdej chałupie zosobna czuwali, wszystkie zaś dziewczki poszły spać do stajni i obór.

Jednako i to nie pomogło, a trwoga jeszcze barzej urosła, gdyż, mimo tych stróżowań, zaraz pierwszej nocy Filipce z za wody złodzieje wyprowadzili maciorę na oprosieniu.

Prosto nie opowiedzieć, co się z tą chudziaczką wyrabiało: tak rozpaczała, że i po dziecku nie poredziłaby ciężej, boć to był jej dobytek jedyny, za któren rachowała się przeżyć do żniw; ryczała też, tłukąc się o ściany, jaże strach było patrzeć. Nawet do dobrodzieja poleciała z lamentem, że litując się nad nią, dał jej całego rubla i obiecał prosiaka z tych, co się dopiero miały ulać na żniwa.

A naród już nie wiedział, co począć i jak zapobiec kradzieżom. Dzień nastal iście pogrzebowy, że zaś i pogoda się przemieniła, deszczyk siepał od rana i szare ciężkie niebo przygniatało świat wszystkim, to smutek ogarniał duszę, ludzie chodzili w utrapieniu, wzdychający i żalni, ze strachem myśląc o nocy najbliższej.

Jakby na szczęście przed samym wieczorem zjawił się Rocho i biegając po chałupach, roznosił nowinę tak dziwną, że zgoła nie do uwierzenia. Oto rozpowiadał radośnie, jako we czwartek, pojutrze, zjadą się całą hurmą sąsiedzi, pomagać Lipcom w polnych robotach.

Nie mogli zrazu uwierzyć, ale kiej dobrodziej, wyszedłszy na wieś, potwierdzał najuroczyściej — radość buchnęła po ludziach, że już o zmierzchu, kiej deszcz przestał, a ino kałuże poczerwieniały od zórz,

przeciekających z pod oparów, zaroily się drogi, rozbrzmiewając weselnemi krzykami. Zagotowało się po chałupach od gwarów, biegali po sąsiadach rozważać i dziwować się tej nowinie, zapominając całkiem o kradzieżach i tak się ciesząc serdecznie tą pomocą niespodzianą, że nawet mało kto pilnował tej nocy.

Nazajutrz, jeno się świt przetaił chyła tyła, cała wieś stanęła na nogi; wyprzątali chałupy, brali się do pieczenia chlebów, rychtowali wozy, krajali ziemniaki do sadzenia, szli w pola rozrzucać nawóz, leżący na kupach — a w której chałupie turbowano się wedle jądła i napitku la tych gości niespodzianych, rozumiano bowiem, jako trza wystąpić godnie, po gospodarsku, iż bez to niejedna kura i gaska, ostawiona na przedanie, dały gardło i niemało znowu nabrali na bóg w karczmie i we młynie, że jak przed wielkiem świętem uczyniło się w Lipcach.

A Rocho, może najbardziej radosny i wzruszony, cały dzień uwijał się po wsi, popędzając jeszcze tu i owdzie do przygotowań, a tak był jaśniejący i na podziw rozmowny, że kiej zajrzał do Borynów, Hanka, która znowu leżała, czując się chorą, rzekła cicho:

— Oczy się wam świecą, kiej w chorobie...

— Zdrowym, jeno radosny, jak nigdy w życiu. Miarkujcie: tyła chłopów się zwali na całe dwa dni do Lipiec, że najpilniejsze roboty obrobiją. Jakże się nie radować?

— Dziwno mi jeno, że tak za darmo, przez zapłaty, za jedno Bóg zapłać chcą robić... tego jeszcze nie bywało...

— A za Bóg zapłać przyjadą pomagać, jak prawe Polaki a chrześcijaniny powinny! Juści, co tak nie bywało, ale i bez to zle panoszy się we świecie. Przemieni się jeszcze na lepsze, zobaczycie! Naród przyjdzie do rozumu, pomiarkuje, że niema się na kogo inszego oglądać, że nikto mu nie pomoże, jeno on sam sobie, wspierając jeden drugiego w potrzebie! A rozrośnie się wtenczas po wszystkie ziemie, kiej ten bór niezmożony, i nieprzyjacioły jego zczeszna niby śniegi! Obaczycie, przyjdzie taka pora! — wołał, promieniejąc, a ręce wyciągał gdzieś, jakby chciał kochaniem objąć wszystkim naród i wiązać go miłością w jeden pęk nieprzełamany...

Ale uciekł zaraz, gdyż zaczęła wypytywać: kto sprawił taki cud, że przyjadą z pomocą? Chodził po wsi, gdyż do późnej nocy świeciło się po chałupach, że to dzieuchy prawie świąteczne obleczenia szykowały, spodziewając się, iż coś parobków jutro przyjedzie.

A nazajutrz, ledwie świt pobielił chaty, wieś już była gotowa, z kominów się kurzyło, dziewczyny kiej oparzone latały między chałupami, chłopaki zaś skrabaly się po drabinach na kalenice, patrząc na drogi. Świąteczna cisza padła na wieś. Dzień przyszedł chmurny, bez słońca, ale ciepły i dziwnie jakoś tęskny. Ptactwo zajadle świergotało po sadach, zaś głosy ludzkie cichły, ciężko się wążąc w tem nagrzanem, wilgotnem powietrzu.

Długo czekali, bo dopiero kiej przedzwonili na mszę, zadudniały głucho drogi, a z pod sinych, rzadkich mgieł jęły się wytaczać szeregi wozów.

— Jadą z Woli!

— Jadą z Rzepek!

— Jadą z Dębicy!

— Jadą z Przylęka!

Wrzeszczeli ze wszystkich stron, na wypródki biegnąc przed kościół, kaj już pierwsze wozy zajęchały, a wkrótce wszystek plac ludźmi się zapchał i zaprzęgami. Chłopi, świętecznie przyodziani, zeskakiwali z wasągów, rzucając pozdrowienia kobietom, nadchodzącym ze wsząd, dzieci zaś jak zawdy wrzask podniosły, otaczając przybyłych.

I szli zaraz na mszę, bo już w kościele zahuczaly organy.

A skoro ksiądz skończył, prawie cała wieś wysypała się za wrótnie omentarza pod dzwonnice, gospodynie wystąpiły na przedzie, dzieuchy kręciły się na bokach, wierząc ślepiami parobków, a komornice zbiły się osobno w kupę kiej kuropatki, nie śmiejąc cisnąć się na oczy debrodzieja, który wnet się ukazał, pozdrowił wszystkich i razem z Rochem jął rozporządzać, który do jakiej chałupy ma jechać robić, bacząc jeno, by bogatszych do bogatszych kwaterować.

Tak ono w mig wszystko rozporządził, że nie przeszło i pół godziny, a już rozdrapali chłopów, przed kościołem ostaly jeno splakane komornice, nadarmo czekające, że i im któryś przypadnie, po wsi zaś rwetes się czynił: wystawiali ławy przed chałupy, duchem podając śniadania i częstując gorzałką na prędsze skumanie. Dziewki rade usługiwały, ledwie tykając jądla, gdyż większość była parobków i tak wystrojonych, jakby na z mówiny a nie do roboty zjechali.

Nie było czasu na rozgadki, tyle jeno mówili, z któ-

rych są wsi i jak się wołają, nawet jedli mało wiele, wymawiając się wielce politycznie, jako jeszcze nie zarobili na sutsze jadlo.

Wrychle też, pod przewodem kobiet, zaczęli wyjeżdżać w pola.

Jakby to uroczyste świętko uczyniło się na świecie.

Puste i zdrętwiałe pola ożyły, potrzęsły się głosy, ze wszystkich podwórz wytaczały się wozy, wszystkiemi drózkami ciągnęły pługi, wszystkiemi miedzami ludzie ruszali, a wszędy, skroś sadów i przez pola rwały się pokrzyki, leciały radosne pozdrowienia, konie rżały, turkotały rozeschłe koła, psy ujadaly, zapamiętałe ganiając za żrebakami, a bujna, mocna radość przepelniała serca i po ziemiach się niesła — i na poletkach pod ziemniaki, na jęczmiennych rolach, na rżyskach, na zachwaszczonych ugorach stawali i wesolym pogwarem, szumnie i rozgłośnie, kiej do tańca.

Naraz przycichło wszystko, baty świsnęły, zaszczękały orczyki, sprężyły się konie i rdzawe jeszcze pługi jęły się zwolna wpierać w ziemię i wywalać pierwsze skiby czarne i lśniące, a naród się prostował, nabierał dechu, zęgnął, potaczał oczyma po rolach, przyginal i pracy a trudu się imał.

Zgoła nabożna i święta cichość ogarnęła pola, jakby się rozpoczęło nabożeństwo w tym niezmiernym kościele. Naród w pokorze przywarł do zagonów, ścichnął i ze wzdychem serdecznym rzucal święte, rodne ziarna, posiewał trud na plenne jutro, matce ziemi oddawał się wszystkim i z dufnością.

Hej! ożyły znowu lipeckie pola, doczekały się go-

spodarzy tęskniące, a toć jak okiem sięgnął od borów chmurnych aż po wyżnie polnych granic, po wszystkich ziemiach w tem szaro-zielonawem, mgławem powietrzu, niby pod wodą, jaże roiło się od czerwonych wełniaków, pasiastych portek, białych kapot, koni przygiętych w pługach i wozów po miedzach.

Niby pszczelny rój obsiadł ziemię pachnącą i roił się pracowicie w cichości bladego zwiesnowego dnia — że jeno skowronki rozgłośniej śpiewały, ważąc się gdzieś niedojrzane, wiatery też przewiał niekiedy, zatargał drzewiny, rozwiał przyodziewy kobietom, przyglądał żyta i w bory uciekał z chichotem.

Długie godziny pracowali bez wytchnienia, tyle jeno odpoczywając, co tam ktoś grzbiet wyprostował, odzipnął i znowuj się przykładał do zagona. Że nawet na południe z ról nie zjeżdżali, przysiedli jeno na miedzach pojeść z dwojaków i kościom dać folgę, ale skoro tylko konie przejadły, za pługi się imali, nie leniąc ni ociągając. Dopiero o samym zmierzchu zaczęli ściągać z pól.

Wnetki rozbłysły chaty i zawrzały gwarem a krętaniną, cała wieś stanęła w lunach ogni, co się z okien i drzwi wywartych darły na drogę, w każdej chałupie zwijali się kiele obrzędków i wieczery. Rwetes się podniósł, przekrzyki, rżenia koni, skrzypy wierzei, cielęce beki, gęgoty gęsi, na noc spędzonych do zagród, dziecińskie wrzaski, że cała wieś huczała i trzęsła się tym dziwnie radosnym bełkotem.

Przycichło dopiero, kiej gospodynie do mich zapraszały, tak sielnie honorując chłopów, że sadzały ich

na pierwszych miejscach, podtykając co najlepsze, nie żalowały bowiem ni mięsa, ni gorzalki...

We wszystkich chałupach wieszali, wszędy przez wywarte okna i drzwi widne były głowy wkrąg zebrane i gęby ruchające, skrzybot łyżek się rozchodził, a smaki słoniny przysmażonej wiały po drogach, aż w nozdrzach wierceło.

Tylko jeden Rocho nikaj nie przysiadł na dłużej, chodził od domu do domu, siał dobrem słowem, poręczał i szedł dalej, do drugich, jako ten gospodarz zapobiegliwy i o wszystkim jednako baczący, a tak samo jak cała wieś pełen wesela i może barzej jeszcze przejęty radością.

Nawet u Hanki czuć było to dzisiejsze świętko, bo choć pomocy nie potrzebowała, to by drugim ulżyć, zaprosiła do siebie na kwatery dwóch Rzepczaków, które robiły u Weroniki i Gołębowej.

Tych se wybrała, że to Rzepczaki za szlachtę się miały.

Juści co w Lipcach przekpiwali się zawdy z takiej szlachty i za psi pazur ich nie mieli, gorzej niżli na miejskich lachmytków i prefesjantów powstając; ale skoro weszli do chałupy, Hanka zaraz spostrzegła, że to inszy gatunek, znaczniejszy.

Chłopy były drobne i chuderlawe, z miejska w czarne kapoty odziane, ale sielnie miniaste; wąsiska im sterczały kiej wiechy konopne i oczyma toczyli górnice, jednako rozmowni byli, a obejście mieli delikatne i mowę zgola pańską. Obyczajny był naród, bo tak wszycko grze-

cznie chwalili, a każdej poredzili tem słowem zabasować, że kobiety jaże urastały z kumentności...

Sutszą też wieczerzę kazała Hanka narządzić i po-
dać im na stole, pokrytym czystą płachtą.

Sielnie ich obserwowwała, przykazując wszystkim uważanie, że prawie na palcach kole nich chodziły, z oczu odgadując potrzeby, Jagna zaś, jakby całkiem głowę straciła, wystroiła się kieby na odpust i siedziała zapatrzona w młodszego niby w obraz.

— Ma on swoje dwórki, na bosc ani spojrzę — szepnęła Jagustynka, jaże Jaguś w ognjach stanęła i na swoją stronę uciekła.

Rocho wszedł był właśnie, za stolkiem się rozglądając.

— Temu się najbarzej zdumieją nasze chłopcy, co ludzie z Rzepok zjechali Lipcom pomagać! — rzekł cicho.

— Nie o swoją sprawę pobili się w lesie, to nikt z nas zawziętości nie żywi — odpowiedział starszy.

— Bo zawdy bywa, że kiej się dwóch za łby bierze, trzeci korzysta!

— Prawda, Rochu, ale niech-no dwóch się zgodnie zmówi w przyjacielstwo, to ten trzeci może niezgorzej oberwać po łbie — co?

— Mądrze mówicie, panie Rzepecki, mądrze...

— A co dzisiaj Lipcom dolega, jutro może przyjsć na Rzepki.

— I na każdą wieś, panie Rzepecki, jeśli miasto za sobą obstawać i pospólnie się bronić, kłyżnią się, dzielą i przez złościę wydają wrogowi. Mądre i przyja-

cielskie sąsiady to jak te płoty a ściany bronne: świnia się bez nie nie przecisnie i zagona nie spyska...

— Wie się już o tem, Rochu, między nami, jeno chłopcy jeszcze tego nie miarkują i stąd bieda idzie...

— I na to już pora przychodzi, panie Rzepecki: mądrzeją...

Wytoczyli się wnet po wieczerzy na ganek, kaj już Pietrek przygrywał na skrzypicy dziewczynom, co się były zleciały posłuchać.

Wieczór szedł cichy i ciepły, mgły białemi kożuchami zsiadały się na łęgach, czajki kwiliły z mokradel i młyn po swojemu turkotał, a czasem drzewa zaszumiały. Niebo było wysokie, ale zawalone buremi chmurzyskami, że jeno na obrzeżach zwałów przecierały się miesięczne brzaski, a miejscami, z wyrw głębokich, kieby w studniach, gwiazdy bystro świeciły.

Wieś huczała kiej ul przed wyrojem. Do późna jarzyły się wszystkie okna, do późna też w opłótkach i po drogach wrzały przyciszone szepty i śmiechy buchały wesołe; dziewczki szczyrzyły zęby do kawalerów i rade się z nimi wodziły nad stawem, starsze zaś, zasiadłszy z gospodarzami na progach, ugwarzały se godnie, zażywając chłodu i odpocznienia.

A nazajutrz, ledwie się niebo zarumieniło zorzami, jeszcze w świtowych, przyziemnych sinościach, zaczęli się zrywać ze śpiku i sposobić do pracy.

Słońce weszło pięknie, że świat, kieby tem srebrem, szronami potrząśnięty, w ogniach stanął cały, w skrzeniach mokrawych i w chłodnym a rzeźwym poranku. Ptactwo uderzyło w krzyk ogromny, zaszumiały

drzewa, zabeltały wody, podniosły się ludzkie głosy i wia-
ter, otrząsając krze, roznosił po wsi terkoty, wołania,
ryki, dzieuszyne śpiewki, co kajś zatrzepotały i cały ten
rwetes i krętanię wychodzących na robotę.

Na łągach mgły jeszcze leżały białe kiej śniegi,
jeno na wyższych rolach porzedły i słonecznemi biczami
pocięte i spędzone, dymiły już kiej z trybularzów i ku czy-
stemu niebu darły się strzępiastem przedziwem; w szro-
nach leżały jeszcze pola, kuląc się w dośpiku i nabrzmie-
wając niby pąki, a naród zwolna wpierał się wszyst-
kiemi stronami w orosiące, senne zagony, wtapiał się
w przesłoneczniane tumany i przywierał do poletek w ci-
chości — bo od ziem, od drzew, z sinych dalekości, od
wód błyskających krętowinami, od mgieł i od nieba, wy-
noszącego rozgorzały krąg słońca — wszystkim świa-
tem taka wiosna waliła i bił taki czad mocy i upojenia,
że jaże w piersiach zapierało, jaże dusza się trzęsła
w takiej przenajświętszej radości, co to jeno łzami ska-
puje cichemi, wzdychem się wypowie albo klękaniem
przed tym zwiesnowym cudem i w najlichszej trawce wi-
domym.

To i mnogi ów naród obzierał się długo dokoła,
zegał pobożnie, pacierze szeptał i w cichości za robotę
się brał, że kiej przedzwaniałi na mszę, już wszyscy byli
na swoich miejscach.

Mgły rychło się rozwiały i pola stanęły na sło-
necznej jaśni, że jak okiem sięgał po lipeckich ziemiach,
pociętych pasami zielonych ozimin, wszędy czerwieniały
wełniaki, orały pługi, wlekły się brony, wodzone przez
dziewki, gmerały się rzędy kobiet, sadzących ziemniaki,

a gęsto, po czarnych i długich zagonach chodziły chłopcy przepasane płachtami, pochylone ździebko i nabożnym, sypkim rzutem ręki rozsiewali ziarna w spulchnione, czekające role...

Tak zaś wszyscy pracowali gorliwie, głów nawet nie podnosząc, iż ani spostrzegli dobrodzieja, którego zaraz po mszy jawił się przy swoim parobku, orzącym nade drogą, a potem ku zdumieniu chodził po poletkach, pozdrawiał wesóło, częstował tabaką, komu i papierosa udzielił, tak rzucił jakieś słowo łaskawe, ówdzie dziecińskie głowy przyglądził i z dzieuchami zażartował, indziej zaś to wróble stado, na zasiany jęczmień spadłe, pecyną zgonił, a często pierwszą garść siewu krzyżem błogosławił, albo i sam rozrzucił, a wszędy do pośpiechu przynaglał, jakby i ekonom nie poredził lepiej.

I zaraz po obiedzie razem ze wszystkimi do roboty się stawiał, objaśniając kobietom, że choć to dzisiaj wypadło świętego Marka, ale procesja odbędzie się dopiero w oktawę, trzeciego maja.

— Nie pora dzisiaj, szkoda czasu, bo chłopcy drugi raz nie przyjadą pomagać!

Tłumaczył i sam też z pola nie zeszedł aż do samego końca; sutannę podkasał, kijem się wspierał, że to tęgie brzucho musiał dźwigać, i chodził niestrudzenie, niekiedy jeno przysiadając po miedzach, by pot obetrzeć z łysiny a odzipnąć.

Radzi mu byli serdecznie, iż pod jego okiem robota jakby szła prędzej i lekciej, chłopcy zaś za honor sobie miały, co im sam dobrodziej ekonomuje.

Słońce już czerwone i pełne nad bory się zwieszało,

ziemie gasły, a dale jęły modrzeć, kiej pokończywszy co najpilniejsze roboty, zaczęli ściągać do wsi; śpieszyli się, by jeszcze za widoku do dom zdążyć.

Wielu i za wieczerzę dziękowało, przegryzając jeno co niebądź naprędce, a insi z pośpiechem brali mi-ski wczas narządzone; konie, już założone do wozów, rżały przed domami.

Ksiądz się znowu pokazał na wsi wraz z Rochem, obchodził wszystkich i każdemu chłopu zosobna raz jeszcze dziękował za pocziwą pomoc Lipczakom.

— Bo co dasz potrzebującemu, jakbyś samemu Je-zusowi dawał! No, mówię wam, że choć nie skorzy je-steście dawać na Mszę, choć o potrzebach kościoła nie pamiętacie, choć już od roku wołam, że dach mi zacieka na plebanji, codzień modlić się za was będę, za waszą pocziwość Lipcom okazaną... — wołał ze łzami, całując chylące mu się po drodze głowy.

Właśnie byli kole kowala, skręcali na drugą stronę wsi, kiej im zastąpiły drogę zapłakane komornice, z Ko-złową na przedzie.

— A to dopraszam się dobrodzieja, szlim pytać: czy to nam chłopcy pomagać nie będą?

Zaczęła hardo, podniesionym głosem.

— Bo czekalim, że i na nas przyjdzie kolej, a oni odjeżdżają...

— I my sieroty ostaniem przez żadnego wspomozenia... — wraz mówiły.

Ksiądz zafrasował się, srodze poczerwieniawszy.

— Cóż wam poradzę?... nie wystarczyło dla

wszystkich... i tak całe dwa dni poczciwie pomagali... no, mówię... — belkotał, latając po nich oczyma.

— Juści! pomagali, ale gospodarzom, bogaczom jeno... — zaszlochała Filipka.

— Nama jako zapowietrzonym nikto się nie pokwapił wspomóc...

— Nikogoj głowa nie zaboli o nas, sieroty...

— Żeby choć kilka pługów do ziemniaków, to i tego nie! — szeptały Iżawo.

— Moiście... odjeżdżają już... no... zaradzi się ja-koś... prawda, że i wam ciężko... i wasi mężowie z drugimi... no, mówię że się zaradzi...

— A o czem to będziem czekać tej pomocy?... a jak się jeszcze i tego ziemniaka nie wsadzi, to już ino postroneczka szukać! — zawiedła Gułbasowa.

— No, mówię, że się zaradzi... Dam wam swoich koni, choćby na cały dzień, jeno mi ich nie zgońcie... młynarza też uproszę, wójta, Boryny, może dadzą...

— Może! Czekał tatka latka, jaż kobyłę wilcy zjedzą! Chodźta kobiety, nie skamlajta po próznicy!... żebyśta nie potrzebowały, toby wama dobrodziej pomogli... La gospodarzy jest wszystko, a ty, biedoto, kamienie gryź i Iżami popijaj! Owczarz jeno stoi o barany, bo je strzyże, a z czegóż to nas oskubie, cheba z tych wszy! wywierała pysk Kozłowa, jaże ksiądz zatkał uszy i poszedł.

Zbiły się w kupkę i rzewnemi Iżami płakały, w głos wyrzekając, a Rocho utulał je, jak umiał, obiecując poczciwie pomoc jaką wyjednać. Odwiódł gdziesik pod plot, bo już zaczęli się rozjeżdżać na wszystkie strony, drogi

zaczerniały od koni a ludzi, zaturkotały wozy i ze wszystkich progów leciały gorące słowa dziękczynień.

— Niech wama Bóg zapłaci!

— Bywajcie zdrowi!

— Odplacim się jeszcze w sposobną porę!

— A zawdy w niedzielę zajeżdżajcie do nas, kiej do krewniaków!

— Ojców pozdróćcie! A kobiety nam swoje przywieźcie!

— W potrzebie się któren znajdzie, z całej duszy pomóżem!

— Ostajta z Bogiem i niech wama plonuje, ludzie kochane! — krzykali, czapami trzających do się i rękoma wymachując.

Dziewczyny i co ino było dzieci szły przy wozach, odprowadzając ich na wieś. Największą kupą tłoczyli się na topolowej, gdyż tamtędy aż z trzech wsi jechali. Wozy toczyły się wolno, rozmawiali wesoło, buchając częstym śmiechem i baraszkując.

Mrok się już sypał, zorze gasły, jeno wody kajś niekaj gorzały czerwono, mgły się zwijały na łągach i wieczorna, zwiesnowa cichość przędła się po ziemiach. Żaby jęły gdziesik daleko a zgodnie rechotać...

Doprowadzili się do rozstajów i tam żegnali się wśród śmiechów i krzykań, ale nim jeszcze konie ruszyły z kopyta, kiej któraś z dziewczyn zaśpiewała za nimi:

•Dasz Jasiu, na zapowiedzie!
Słuchaj ino, tatuś jedzie,

Dudni na moście —
da dana!
Dudni na moście!•

A chłopaki im na to, odwracając się z wozów:

»Teraz Maryś, takie ziąby —
Zskrzytwiałyby dziewosłaby;
Dam w wielkim poście...
da dana!
Dam w wielkim poście!...•

Dzwoniły młode głosy po rosie i we wszystek świat się niesły radosne.

VII.

Chłopy wracają!

Piorunem ta wieść runęła i kiej płomień roznieśla się po Lipcach!

Prawda-li to? I kiedy? I jak?...

Nikto jeszcze nie wiedział.

To jeno pewne było, że stójka z gminy, któren jeszcze przed wschodem leciał do wójta z jakimś papierem, rzekł o tem Kłębowej, wypędzającej właśnie gęsi na staw, ta się w ten mig rzuciła z nowiną do sąsiadów, zaś Balcerkówny rozkrzyczały od siebie najbliższym chałupom, że nie wyszło i »Zdrowaś«, a już całe Lipce zerwały się na nogi, trzęsąc radosną wrzawą, aż się zakotłowało w izbach.

A rano było jeszcze, tyle co się świt przetarł i majowy, wczesny dzień wstawał, jeno że jakiś poczerniały i mokry; deszcz mżył kiej przez gęste sito i pluskał ci chuśko po rozkwitających sadach.

— Chłopy wracają! Chłopy wracają! — rwał się krzyk nad wszystką wsią, przez sady leciał hukliwie, z każdej chałupy bił kiej dzwon radosny, z każdego serca buchał płomieniem i z każdej gardzieli się wydierał.

Dzień dopiero co wstał, a wieś już wrzała kiejby na odpuście; dzieci wylatywały z krzykiem na drogi, trzaskały drzwi, kobiety odziewały się na progach, już wypatrując tęskliwie wskroś drzewin rozkwitłych i szarugi przysłaniającej dalekości.

— Wszystkie wracają! Gospodarze, parobcy, chłopaki, wszystkie! Już idą! Już wyszli z łasa, już są na topolowej! — wołali naprzemiany, i ze wszystkich progów darły się krzyki, a co gorętsze wybiegały kiej oszalałe; gdzie już płacz się rozlegał i tętenty biegnących naprzeciw...

Jeno trepy kłapały i błoto się otwierało, tak wyrwali za kościół na topolową — ale na długiej, zadeszczonej drodze jeno mętne kałuże stały i siwiły się koleiny, głęboko wyrżnięte.

Ni żywej duszy nie wypatrzył pod szerniałemi od pluchy topolami.

Choć srodze zawiedzeni, bez namysłu i w dyrdy rzucili się na drugi koniec wsi, za młyn, na drogę od Woli, bo i tamtędy mogli powracać.

Hale cóż, kiej i tamój było pusto! Deszcz zacinał, przysłaniając szarą kurzawą szeroki, wyboisty gościniec;

gliniaste wody rowami walały, w brózdach burzyła się woda i drogą też szorowały strugi spienione, a rozkwitłe ciernie, brzeżące zielonawe pole, skulały zięble kwiaty.

— Wrony kołują górą, to plucha przejdzie! — rzekła któraś, próżno wypatrując.

Posunęli się jeszcze żdziebko, gdyż od spalonego folwarku ktosik zamajaczył na drodze i ku nim się zbliżał.

Dziad to był ślepy i wszystkim znany; pies, którego wiódł na sznurku, zaszczekał zajadle i jął się ku nim rwać, ślepiec zaś nasłuchiwał pilnie, kij gotując ku obronie, ale dosłyszawszy rozmowy, przyciszył pieska i pochwaliwszy Boga, rzekł wesoło:

— Miarkuję, co to lipeckie ludzie... hę? I coś sporo narodu...

Dziewczyny go obstały i nuże rozpowiadać jedna przez drugą.

— Sroki me opadły i wszystkie naraz skrzeczą! — mruknął, nasłuchując uważnie na wsze strony, gdyż cisnęły się zbliżone.

Kupą już wracali, dziad pośrodku włókł się, huśtający na kulach i nogach pokręconych, wypierał naprzód ogromną, ślepą twarz.

Policzki miał czerwone i spaśne, oczy bielmem zasnutę, brwie siwe i krzaczaste, nochał kiej trąbę, a brzuch niegorzej wzdęte.

Cierpliwie słuchał, aż wymiarkowawszy, przerwał im trajkoty:

— Z temem i śpieszył do wsi. Niechrzczony jeden

powiedział mi w sekrecie, co Lipczaki dzisiaj wracają z kreminału! Wczoraj mi rzekł, myślę sobie, jutro do dnia skoczę i pierwszy dam znać. Jakże, szukać takiej wsi jak Lipce! A które to wpodłe drepcą? — bo nie porządę po samym głosie rozeznać!

— Marysia Balcerkówna!... Nastka Gołębiów!... Ulisia Soltysowa!... Kłębowa Kasia!... Sikorzanka Hanusia! — wołały wszystkie.

— Ho! ho! sam-ci to kwiat pannowy wyszedł! Włdzi mi się, co wam było pilno do parobków, a dziadem musita się kontentować!... he?

— A nieprawda! po ojców wyszlim, — zawrzeszczały.

— Loboga, dyc ślepy jestem, ale nie głuchy! — aż baranicę głębiej nacisnął.

— Powiedziały we wsi, że już idą, tośmy wyleciały naprzeciw!

— A tu nikaj nikogo!

— Jeszcze zawcześnie; dobrze, by na południe zdążyli gospodarze, bo chłopaki to może i do wieczora nie ściągną...

— Jakże, razem ich puszczą, to i razem przyjdą!

— A może się w mieście zabawią?... mało to tam pannów?... cóż to im za niewola do waju się śpieszyć?... he! he! — przekomarzał się śmiejący.

— A niech się zabawią! nikto za nimi nie płacze!

— Juści, w mieście nie brakuje tych, co w mamki poszły, albo w piecach u Żydów palą... takie będą im rade — szepnęła chmurnie Nastusia.

— Któżen mieskie wycieruchy przekłada, o takiego żadna nie stoi!

— Dawności, dziadku, w Lipcach nie byli? — zagadnęła któraś.

— A dawno, coś na jesieni! Zimowałem se u miłosiernych ludzi, we dworze-m przesiedział zły czas.

— Może we Wólce? u naszego? co?

— A we Wólce! Ja ta zawdy za panbrat z dziedzicami i z dworskiemi pieskami: znają me i nie ukrzywdzą! Dały mi ciepły przypiecek, warzy ile wlażło, tom bez cały czas powrosła kręcił i Boga chwalił. Człek się wyporządził i pieskowi też niezgorzej boki wydobrzały! Ho! ho! dziedzic mądry: z dziadami trzyma i wie, że torbę i wszy za darmo miał będzie... he! he! — aż brzuchem trząsał i lypał powiekami od śmiechu, a wciąż rajcował.

— A dał Pan Jezus zwiesnę, sprzykrzyły mi się pokoje i dworskie przypochlebstwa, zacniło mi się za chałupami i tym światem szerokim... Hej, deszczyk-ci to siepie kiej czyste złoto, ciepły i rześisty i rodzący, jaże świat pachnie młodą trawą... Kaj to lecita? Dzieuchy?!

Dosłyszał naraz, że poniesły się z miejsca, ostawiając go przed młynem.

— Dzieuchy!

Ale żadna już nie odkrzyknęła: dojrzały kobiety, ciągnące nad stawem ku wójtowej chałupie, i do nich śmigały.

Z pół wsi już się tam zbierało, by się coś rzetelnego dowiedzieć.

Wójt snadź wstał niedawno, bo jeno w portkach

siedział na progu, owijając onucami nogi, a o buty krzy-
czał na żonę.

Przypadały do niego z wrzaskiem, zadyszane,
obłocone, które jeszcze nie myte ni czesane, a wszystkie
ledwie zipiące z niecierpliwości.

Dał się im wyrajcować, buty co ino sadłem wysma-
rowane naciągnął, umył się w sieni i poczesując kudły
w otwartem oknie, rzucił drwiąco:

— Pilno wama do chłopów, co? Nie bójta się, wra-
cają dzisiaj z pewnością. Matka, daj-no papier, co go to
stójka przyniósł... za obrazem leży.

Obracał go w garściach, aż trzepnąwszy weń pal-
cami, rzekł:

— Wyraźnie stoi o tem jak wól... »Tak jak krze-
ścijany wsi Lipeć, gminy Tymów, ujeżdza...« — a czy-
tajta se same! Wójt wama mówi, co wracają, to prawda
być musi!

Rzucił im papier, któren szedł z rąk do rąk, i cho-
ciaż żadna nie wymiarkowała ni literki, że to był urzę-
dowy, przypinały się do niego, wlepiając oczy z jakąś
trwożną radością, kiejby w obraz, aż dostał się Hance,
która wzięwszy przez zapaskę, oddała zpowrotem.

— Kumie, czy to wszystkie wracają? — spytała
lękliwie.

— Napisane, co wracają, to wracają!

— Razem brali całą wieś, to i razem puszcza! —
ozwała się któraś.

— Wstąpcie, kumo, przemiekleście ździebko! —
zapraszała wójtowa, ale Hanka nie chciała, naciągnęła
zapaskę na czoło i pierwsza ruszyła z nawrotem.

Wolniuško jeno szła, ledwie dychająca z radości a strachu zarazem.

»Juści co i Antka wróca, juści!« — pomyślała, wspierając się naraz o płot, bo tak ją w dołku ścisnęło, że omal nie padła. Długo łapała powietrze zgorączkowanemi wargami... Nie, niedobrze się jeszcze czuła, dziwnie słabo. »Wróci Antek, wróci!« — radość ją rozpie-rała do krzyku, a jednocześnie jęły ją przenikać strachy jakieś, niepewności, obawy jeszcze zgoła ciemne.

Coraz wolniej szła i ciężej, usuwając się pod płoty, bo całą drogą walily kobiety, leciały szumnie, ze śmiechami, rozwrzeszczane i jaśniejące radością, a nie bacząc na pluchę, kupily się pod chałupami, to nad stawem i rajcowały zawzięcie.

Dopędzila ją Jagustynka.

— Juści że wiecie! no, to dopiero nowina. Czeka-lim na nią co dnia, a kiej przyszła, zwała me kiej pałą w ciemię. Od wójta idziecie?

— Przytwierdził i nawet z papieru o tem prze-czytał.

— Przeczytał, to juści że pewne! Chwała ci, Pa-nie, powrócą chudziaki, powrócą gospodarze! — szep-tała gorąco, rozwodząc ręce.

Łzy posypaly się jej z wybladłych oczu, aż Hanka się zdumiała.

— Myślałach, że zapomstujecie, a wy w bek, no, no!...

— Co wy?! w taką porę bych pomstowała! Czło-wiek jeno z biedy da czasem folgę ozorowi, ale w sercu co inszego siedzi, że czy chce, czy nie chce, a z drugimi

radować się musi, albo i smucić... Nie poredzi żyć z osobna, nie...

Przechodziły koło kuźni: młoty były hukliwie, ogień buchał czerwony z ogniska, a kowal obręcz naciągał na koło pod ścianą. Spostrzegłszy Hanke, wyprostował się i wparł oczy w jej rozgorączkowaną twarz.

— A co?... doczekały się Lipce święta!... wracają pono niektóre.

— Wszystkie wracają, wójt o tem czytał! — poprawiła go Jagustynka.

— Wszystkie?... zbójów przecież tak zaraz nie wypuszczą, nie...

Hance aż się w głowie zakotłowało i serce dziw nie pękło z bólu, ale zdzierzyła uderzenie i, odchodząc, rzekła mu ze straszną nienawiścią:

— By ci ten psi ozór przyrósł do podniebienia!

Przyśpieszyła kroku, uciekając od jego śmiechu, co jakby kłami chwytal za serce.

Dopiero z ganku obejrzała się na świat.

— Maże się i maże... ciężko będzie z plugiem wyjechać na rolę.

Udawała spokój.

— Ranny deszcz i starej baby taniec niedługo trwają.

— Trza będzie tymczasem sadzić ameryki pod motyczkę.

— Kobiet ino patrzeć, spóźniły się bez tę nowinę, ale przyjdą... byłam u nich z wieczora, wszystkie się obiecały na odrobek.

W izbie już ogień buzował; ciepło było i jaśniej

niżli na dworze. Józka skrobała ziemniaki, a dzieciak wrzeszczał wniebogłoso mimo zabawiań starszych dzieci. Hanka, przykleknąwszy przed kołyską, jąła go karmić.

— Józia, niech Pietrek narządzi deski, gnój będzie wywoził od Florki na te zagony kiele Paczesiowego żyta. Nim plucha przejdzie, parę fur wywiezie... co się ma wałęsać po próznicy!

— Przy was to nikt z leniem się nie stowarzyszy.

— Bo i sama kulasów nie żałuję! — powstała, chowając piersi.

— Hale, adybym na śmierć zapomniała, przecie to od południa świątko! Proboszcz procesję zapowiadał, odłożoną ze św. Marka na oktawę...

— Przecie to ino w krzyżowe dni bywają procesje!...

— Z ambony zapowiadał na dzisiaj, to musi, co i bez krzyżowych dni można chodzić do figur i święćić granice.

— Chłopaki będą brały dzisiaj na pokładankę po kopcach! — zaśmiała się Józka do wchodzącego Witka.

— Idą już, idą. Bieżyjcie z nimi, a zarządzcie co potrza. Ja ostanę w chałupie, obrządżę i śniadanie zgotuję. Józka z Witkiem będą donosili ziemniaki na pole! — zarządzała Hanka, wyzierając na komornice, które pokręcane w płachty i zapaski, że ledwie im było oczy widać, z koszykami na rękę i motyczkami, schodziły się pod ścianę, otrzepując trepy o przyciesie.

Powiedła je zaraz Jagustynka przez przelaz, nad polną drogę, kaj tuż przy progu leżały czarne, przesiąkłe wodą zagony.

Stały wnet do roboty, po dwie na zagonie, głowami do siebie — dziobały motyczkami dolki, a wrażliwy węć ziemniak, przygarniały go ziemią, okopując zarazem w poprzeczne rządki.

Cztery robiły, stara była jeno na przyprzążkę, do poganiania.

Cóż, kiej robota szła niesporo!... ręce grabiały z zimna i w brózdach było mokro, w trepy nabierało się wody, a szmaty na nic się marały w błocie, bo deszcz, choć ciepły i coraz drobniejszy, mżył ciągiem, rozpryskując się po skibach, a trzepiąc po sadach, co zwiesiły okwiecone gałęzie nad drogę i z jakąś lubością nastawiały się na pluchę.

Ale już szło na odmianę: kokoty piał, niebo się stronami podnosiło niezgorzej przetarte, jaskółki jęły śmigać powietrzem kiejby na zwiady, a zaś wrony uciekały z kalenic i niesły się cichuśko a nisko nad polami.

Baby gmerały, przygięte do zagonów, podobne do kłębów szmat przemoczonych, poredzając, wolniuśko robiąc, a z długimi odpoczynkami, że to na odrobek przyszły, aż dopiero stara, obsadzająca grochem piechotą nadbrózdzia, zaczęła w głos, rozglądając się dokoła:

— Niewiela dzisiaj gospodyń w polu, ni na ogrodach.

— Chłopy wracają, to nie robota im w głowie!

— Pewnie, tłuste jadlo narządzają i pierzyny grzeją...

— Prześmiewacie, a same jaże lyste do nich drygają! — rzekła Kozłowa.

— Nie wyprę się, co mi już Lipce obmierzy bez

chłopów. Staram przecie, ale prosto powiem, że choć to są juchy, lajdusy, świędlerze i zabijaki, a niech się jawi choćby i ta najgorsza pokraka, to zarno z nim raźniej, i weselej, i lekciej na świecie. Która co inszego powie, zelże jak pies.

— Wyczekały się na nich kobiety, kiej kania na deszcz! — westchnęła któraś.

— Niejedna to czekanie ciężko przyplaci, a dzieuchy najprzódziej...

— Że i trzy kwartały nie miną, a dobrodziej nie nadaży...

— Stare a bają trzy po trzy: dyć na to Pan Jezus stworzył kobietę! nie grzech mieć dziecko! — podniosła głos przekornie Grzeli z krzywą gębą kobieta.

— A wy ciągiem swoje: zawdy za bękartami stoicie!

— A zawdy, jaże do samej śmierci każdemu do oczu stanę i rzekę: bękart czy nie — zarówno ludzkie nasienie, prawo ma na świecie jedno, i jednako je Pan Jezus szacuje, wedle zasług jego i grzechów...

Zakrzyzczały ją, wyśmiewając wzgardliwie. Zabiła rękę i pokiwała głową.

— Szczęść Boże na robotę! jakże idzie? — krzyknęła Hanka z przelazu.

— Bóg zapłać! dobrze, ino mokro.

— Nie brakuje ziemniaków?

Przysiadła nieco na żerdce.

— Donoszą ile potrza; jeno mi się widzi, co za grubo krajane...

— Za grubo, dyć ino na pół, przecie u młyn-

rza co drobniejsze ziemniaki całe sadzą. Rocho powiedział, że takie są dwa razy plenniejsze.

— Musi miemiecka to moda, bo jak Lipce Lipcami, zawdy się ziemniaki krajało na tyła, chyla oczków miały — kwękała sprzeczwliwie Gulbasowa.

— Moiście, przecie dzisiejsi ludzie nie głupszi wczorajszych...

— Hale, tera jajo chce być mędrsze od kury i stadu przewodzić...

— Rzekliście! Ale po prawdzie, co poniektóre, choć lata mają, rozumu nie nabyły! — zakończyła Hanka, cofając się z przelazu.

— Zadufana w sobie, jakby już na całej gospodarce Borynów siedziała — mruknęła Kozłowa, obzieirając się za nią.

— Poniechajcie jej: szczerze złoto nie kobieta! Nie wiada, czyby się nalazła od niej lepsza i mądrzejsza. Co dnia z nią siedzę, a oczy i rozumienie mam. Nacierzpiiała się ona i przeszła krzyże, że niech Bóg broni...

— Czeka ją jeszcze niejedno... Jagna w chałupie, i skoro Antek wróci, cudeńka się tu zaczną i brewerje, będzie czego słuchać...

— Że Jagna z wójtem się sprzegła, cosik mi o tem bąknęli — prawda to?

Zaśmiały się z Filipki, że pyta, o czem już wróble świergocą.

— Nie rozpuszczajta ozorów: i wiater czasem słucha i roznosi, kaj nie potrzeba! — zgromiła Jagustynka.

Przygięły się do roli, dziabki migaly, szczękając

niekiej o kamienie, a one rajcowały zawzięcie, całą wieś obgadując.

Zaś Hanka szła od przełazu chyłkiem pod wiśniami, bo ją chwytaly za głowę obwisłe i przemoczone gałęzie, jakby nabite zbielalem już pąkowie i listeczkami.

Poszła w podwórze przeglądać gospodarstwo.

Od samych świąt prawie się nie wychylała z domu, że to pogorszyło się jej po wywodzie. Dzisiejsza nowina zerwała ją z łóżka i trzymała na nogach, że choć się chwiała na każdym kroku, zaglądała po kątach, złąc się coraz barzej.

A to krowy były jakoś osowiałe i do pół boków w gnoju, prosiaki coś za mało przyrosły, nawet gęsi wydawały się dziwnie niemrawe, jakby zamorzone.

— Adybyś choć wiechciem wytarł wałacha! — wsiadła na Pietrka, wyjeżdżającego do gnoju, ale parobek cosik mruknął złęgo i pojechał.

W stodole nowa zgryzota: w kupie ziemniaków, leżących na klepisku, pyskał se w najlepsze Jagusin wieprzek, zaś kury grzebały w pośladzie, któren dawno miał być zniesiony na górę. Skrzyczała za to Józkę i do Witkowych kudłów skoczyła, ledwie się chłopak wyślizgnął i uciekł, a dziewczyna bekiem i skargą się zaniesła.

— Haruję ciągiem kiej koń, a wy krzyczycie. Jagnie, co się całe dnie wałkoni, to przepuszczacie!

— No, cicho głupia, cicho! Sama widzisz, co się tu wyrabia...

— Mogłam to wszyćkiemu uradzić? co?

— No, cicho! Nieśta ziemniaki, bo zbraknie kobietom!

Dała już spokój krzykom: »Prawda, dziewczyna wszystkiemu nie uradzi, a najemniki!... Boże się zmiłuj. Od rana już zachodu wyglądają. Dorabiać się w najemników, to jakby wilki zgodził do owiec wodzenia. Przez sumienia są ludzie«.

Rozmyślała z goryczą, wywierając całą złość na wieprzaku, jaże z kwikiem pognał, że go to i Łapa jeszcze po swojemu za ucho odprowadzał..

Do stajni potem zajrzała, ale jakby po nową zgryzotę — ano klacz obgryzała pusty żłób, a żrebak, utylany kiej świnia, słomę wyciągał z podściółki.

— Kubie-by serce pękło, kiejby cię takim zobaczył — szepnęła, zakładając im za drabkę siano i głaszcząc po mięciuchnych a ciepłych chrapach.

Ale już nie poszła dalej: ogarnęło ją naraz zniechęcenie i taki płacz chycił za gardziel, że wsparłszy się o barłóg Pietrkowy, zaryczała, sama nie wiedząc la czego.

Tak zbrakło jej sił, że opadła w sobie, kiej ten kamień ciężki. Już nie mogła uredzić doli, mój Jezu, nie mogła, a toć poczuła się taka opuszczona na świecie, jako to drzewo, rosnące na wywieisku, samotne i na każdą złą przygodę wystawione! Ani wyżalić się przed kim! I ani końca przewidzieć złej doli! Nic, jeno ciągiem truć się zgryzotą i płakaniem... nic kromie udręki wiecznej i czekania na gorsze...

Żrebak lizał ją po twarzy, że bezwolnie przytulała głowę do jego karku i zanosila się coraz boleśniej.

Cóż jej ta po gospodarce, po bogactwie, po ludzkiem uważaniu, kiej la siebie nie miała ani jednej chwili szczęśliwości w całym życiu, nic zgola! Skarzyła się tak żałośnie, jaże klacz zarżała ku niej, targając się na łańcuchu.

Zawlekła się do izby, i przysadziwszy do piersi rozkrzyczanego chłopaka, zapatrzyła się bezmyślnie w zapocone szyby, zbrózdzone ociekającymi kroplami.

Dziecko jakoś matjasilo, skamląc i poplakując.

— Cicho, maluśki, cicho!... wróci tatulo, przywiezie ci kuraska... wróci, synka na koń wsadzi... cicho maluśki: A, a, a! kotki dwa! Szare bure obydwu!... Wróci tatulo, wróci! — przyśpiewywała, huśtając go i chodząc po izbie.

— A może i wróci! — potwierdziła sobie, przystając nagle.

Płomień ją ogarnął, moc rozprężyła przygięte plecy i taka radość wstąpiła w serce, że się już rwała do komory, rznać kawał szwininy la niego, że już po gorzałkę chciała posyłać la niego, nawet już ku skrzyni szła, by się przydziać świętecznie la niego — ale nim to uczyniła, przypominki słów kowalowych spadły na obolałe serce, kiej jastrzębie ostremi pazurami, zmartwiała na miejscu, obzierając się jeno po izbie rozpalonym wzrokiem, jakby za ratunkiem, nie wiedząc znów co myśleć, co poczynać...

— A jak nie wróci! Jezu! Jezu! — jęknęła, chwytając się za głowę.

Bała się tego mówić, a głos ten huczał w niej kiej

w studni; gotował się, wrzał i wzbierał w piersiach krzykiem strachu.

Dzieci jęły się za łby wodzić i krzyczeć; wyciągnęła je za drzwi, zabierając się do narządzania śniadania, bo już Józka zaglądała do izby, wietrząc łakomie czy zgotowane.

Łzy ustać musiały i boleście przytaić się w duszy, bo jarzmo codziennego trudu w kark się wpijało, przypominając, że robota czekać nie może...

Uwijała się też, jak mogła, choć nogi się pod nią plątały i wszystko leciało z rąk. Jenó wzdychała żalostnie, łzę jaką puszczając niekiedy, a we świat zamglony tęsknie spoglądając...

— Czy to Jagusia nie wyjdzie do sadzenia? — wrzasnęła Józka przez okno.

Hanka odstawiła gar z barszczem i na drugą stronę pobiegła.

Stary leżał na bok, twarzą do okna, jakby patrząc na Jagnę, czeszącą długie, jasne włosy przed lusterkiem, na skrzyni ustawionem.

— Czy to dzisiaj święto, że do roboty nie wychodzicie?...

— Z rozplecionemi włosami nie poletę...

— Od świtania mogłaś je już dziesięć razy zapleść!

— Mogłam, ale nie zapletałam!

— Jagna, wy tak ze mną nie igrajcie!

— Bo co? Odprawicie mnie może, albo wytrącicie z zasług? — warknęła hardo, nie śpiesząc się z czesaniem — nie u was siedzę i nie na waszej łasce!

— A ino kaj? co?

— U siebie jestem, byście sobie to baczyli...

— Niech ociec zamrą, to się pokaże, czy u siebie jesteś!

— Ale póki żyją, to ja waju mogę drzwi pokazać.

— Mnie! mnie! — skoczyła, jakby biczem podcięta.

— Przyczepiacie się ciągiem do mnie, kiej rzep do ogona! Marnego słowa wam nie mówię, a wy ino huru buru jak na tego lysego konia...

— Podziękuj Bogu, że gorszegoś nie oberwała! — rozczapierzyła się groźnie.

— Spróbójcie: inom jedna sierota, ku mojej obronie nikto nie stanie, ale uwidzicie, czyje ostanie na wierzchu!

Odgarnęła włosy z twarzy i srogie, pełne zawziętości oczy uderzyły kieby nożem, jaże Hankę z miejsca taka złość poniesła, iż ją wytrząsać pięściami a krzyzcęć, co ino ślina przyniesła.

— Grozisz! Zacznij ino, zacznij! Niewiniątko, sierota pokrzywdzona... Juści... Dobrze ludzie wiedzą, co wyrabiasz! w całej parafji wiedzą o twoich sprawkach. Nie raz już cię widzieli z wójtem w karczmie, nie dwa! A wtedy, com ci po północku drzwi otwierała, wracałaś z pijatyki, z lajdactwa, pijana byłaś kiej świnia... Do czasu dzban wodę nosi, do czasu... Nie bój się, kto w głośności żyje, o tym cicho mówią! Skończy się twoje panowanie, że ni wójt, ni kowal cię nie obronią, ty... ty!...

Jaże się zakrztusiła z krzyków.

— Robię, co robię, a każdemu wara do mnie jak temu psu! — wrzasnęła nagle, odrzucając włosy na plecy, kiejby tę przygarść lnu najczystszege.

Rozjuszona już była i gotowa nawet do bitki, bo jaże się cała trzęsła; ręce jej latały kole bioder i tak srogo ciepala ślepiami, że w Hance opadło serce, zmiłkla i, trzasnąwszy jeno drzwiami, uciekla z izby.

Ale po tej kłótni ruchać się nie mogła, siadła z dzieckiem pod oknem, a Józka zajmowała się podawaniem śniadania.

Dopiero kiej się znowu porozchodzili do roboty, zebrała się jakoś w sobie i, poniechawszy robót, wybrała się do ojca, któren zachorzał już parę dni temu, ale z pół drogi zawróciła do chałupy.

Tak się w niej roztrzęsło, że ani sposób iść było.

A zaś potem, choć przyszła nieco do sił, rękoma jeno robiła, bezwolnie prawie, a głównie myślała o Antku, we świat się zapatrując daleki...

Pogoda się też robiła, deszcz ustał, kapalo jeno z dachów i drzew, że to wiater jął otrząsać gałęzie, drogi siwiły się kałużami, świat stawał się coraz jaśniejszy.

Rachowali, co na przypołudnie słońce pokaże się niechybnie, bo już jaskółki latały górą; białe, przezłoczone chmury szły po niebie stadami, a z pół ciepło buchało i ptasi wrzask podnosił się w sadach, jakby ośnieżonych kwiatami. Zaś wieś galanto pogłośniała; kurzyło się ze wszystkich prawie kominów, smaczne jadła narządzałi, radość wydzierala się z chałup i babie jazgoty nieśły się od chałupy do chałupy, dzieuchy przyodziewały się świątecznie, wstęgi zaplatając w kosy, niejedna

w dyrdy leciała po gorzałkę, bo Żyd, ucieszony powrotem chłopów, dawał na bóg, ile kto ino chciał, a co raz to ktosik wlaził na drabinę i z dachów przepatrywał pilnie wszystkie drogi, biegnące od miasta...

Tak się zajęły porządkami, że mało która szła w pole; nawet gęsi zapomniały powyganiać nad rowy, że gęgały wrzaskliwie w podwórzach, zaś dzieciśka, puszczane dzisiaj na wolę i nie przykarcane, wyprawiały po drogach takie brewerje, że niech Bóg broni! Starsze, z długachnemi tykami, zwijały się na topolowej, skrabiając się na drzewa i spychając wronie gniazda, że wystraszone ptaszyska, kiej chmura sadzy, kołowały wysoko z żalosnem, jękliwem krakaniem; a znowuj drugie, mniejsze ganiały ślepego konia księżego, założonego do beczki na saniach, chcąc go napędzić z wyższego brzegu do stawu, jeno co koń mądrala nie dał się zażyć z mańki. Niekiedy, już nad samiutką krawędzią, przystawał jakby na złość, łeb spuszczał, głuchnął na wrzaski, cierpliwie się otrząsając z błota i grud, których mu nie szczędzili. Ale skoro poczuł, że mu na beczkę włożą i do uzdy już sięgają, rżał groźnie i ponosił, skręcając znagła w największą kupę zbereźników, iż rozlatywali się z krzykiem. Dobrze parę pacierzy tak się zabawiali, jaże go wkońcu i zmanili, podtykając pod chrapy wiecheć zapalony, że konisko zestrachane rzuciło się w bok, akuratnie prosto na przywarte opłotki Borynowe. Wywalił wrótnie i tak się w nie zaplątał orczykami, że go dopadły zbliska i dalejże prać batami, co ino wlazło.

Kulasy byłby sobie połamał w żerdkach, kieby nie Jagna, która, dosłyszawszy krzyki, kijem rozpędziła wi-

susów i wywiedła go na drogę, ale że koń wystraszony stracił wiatr, nie wiedząc, w jaką stronę się obrócić, a chłopaczyska czaiły się za drzewami, powiedła go na plebanję.

Drózką między księżym ogrodem a Kłębami go poprowadziła, gdy właśnie bryczka organistów zajechała przed ich dom, stojący w głębi. Organiścina już była na siedzeniu, a Jasio całował się przed progiem z rodziną.

— Konia przywiedłam, bo dzieci go płoszyły... — zaczęła nieśmiało.

— Ojciec, krzyknij na Walka, niech go odbierze! Te, ryfo jedna, konia samego porzucasz, żeby nogi polamał, co? — gruchnęła na parobka.

Jasio, spostrzegłszy Jagnę, jeno śmignął oczyma po ojcach i rękę do niej wyciągnął.

— Zostańcie, Jaguś, z Bogiem.

— Do klasów to już?

Za serce ją cosik ścisnęło, jakby żal cichy.

— Na księdza go odwożę, moja Borynowo! — napuszała się dumnie.

— Na księdza!

Podniosła zdumione oczy na niego. Siadał właśnie na przednim siedzeniu, plecami do koni.

— Będę dłużej patrzył na Lipce! — zawołał, ogarniając przytulajacem spojrzeniem opleśniałe dachy ojcowej chałupy i te sady, lśniące rosami a kwiatami obwalone.

Konie ruszyły truchcikiem.

Jagna poszła w trop tuż za bryczką. Jasio krzy-

czął jeszcze cosik do sióstr, buczących pod domem, a patrzył jeno na nią jedną: w jej modre, zwilgotniałe oczy, kieby ten dzień majowy bardzo cudne; na jej głowę jasną, oplecioną warkoczami, co jak grubachne postronki leżały potrójnie nad białem czołem, zwisając jeszcze półkuliście kole uszu; na jej twarz białuchną i tak śliczną, iż do róży polnej podobną.

Ona zaś szła prawie bezwolnie, jakby urzeczona jego oczyma jarzącemi, wargi się jej trzęsły, że zębów zewrzeć nie mogła, serce lubo dygotało, a oczy szły za nim pokornie, zgola truchlejące z dziwnej słodkości...

Jakby ją sen zmorzył nagły i tym pachnącym kwiatem niepamięci zasypywał.... Dopiero kiej bryka skreśliła ku topolowej, rozerwały się ich oczy, puściły te parzące ogniwa i rozprysnęły się tak doszczętnie, jaże uderzyła się spojrzeniem o pusty świat i przystanęła nagle.

Jasio machał czapką na pożegnanie. Wjeżdżali już w mrok topoli.

Rozglądała się dokoła, oczy trąc, jakby ze snu wyrwana.

— Jezu, taki toby ślepiami do samego piekła zaprowadził...

Otrząsnęła się jakby z tych parzących spojrzeń Jasiowych.

— Organistów syn, a kiej dziedziców się widzi... I księdzem ostanie, może jeszcze do Lipiec go dadzą!...

Obejrzała się: bryka już zniknęła, turkot jeno dochodził i głosy pozdrowień, zamienianych z przechodzącymi.

— Taki mleczak, dzieciuch prawie, a niech spoj-

rzy, to jakby kto drugi wpół objął, jaże ciągotki bierą i w głowie się mąci...

Wzdrygnęła się, oblizując czerwone wargi, a przeciągając się przeżąco, z lubością...

Chłód ją nagle przejął. Dopiero spostrzegła, że jest z gołą głową, boso i prawie w koszuli, bo tylko w jakiejś podartej chuście na ramionach. Sczerwieniała się przywstydzona i jęła stronami przebierać się ku domowi.

— Chłopy wracają, wiecie to? — krzykały do niej dzieuchy z opłotków, to kobiety, to dzieci nawet, a wszystkie zadyszane i ledwie zipiące z radości.

— No to co? — rzekła którejś już prawie ze złością.

— Wracają!... mało to? — zdumiewały się jej oziębłości.

— Tyla z niemi co i przez nich! Głupie! — mruzczała, przykro tknięta, że to każda kiej zwarzowana wyglądała swojego...

Zajrzała do matki. Jędrzych był jeno, pierwszy raz dopiero zwłókl się z barłogu, przetrącony kulas miał jeszcze spowity w szmaty, koszyk wyplatał na progu i pogwizdywał srokom, łażącym po błotach.

— Wiesz to, Jaguś?... Wracają nasi!...

— Dyc już kiej te sroki cały świat to jedno rozpowiada!

— Wiesz, a Nastusia to prosto od rozumu odchodzi, że i Szymek wróci...

— Czemuż to? — Błysnęła ślepiami srogo, po matczynemu.

— I... nic... A to me znowu kulas rozbolał... — za-

jąkał chrapliwie. — Cicho, ścierwy — rzucił patykiem w sień na rozgdakane kwoki.

Niby to rozcierał nogę bolącą, a pokornie zaglądał w jej twarz dziwnie omroczałą.

— Kaj to matka?

— Na plebanję poszli... Jaguś, o Nastce to mi się ino tak wysnęło...

— Głupi, myśli, co o tem nikto nie wie! Pobiera się i tyła...

— A bo to matka pozwoleństwo dadzą, kiej Nastuś ma jeno morgę?

— Pytał się będzie, to nie pozwolą. Hale, lata już parob ma, to i rozum swój powinien mieć, by wiedzieć co i jak...

— A ma, Jaguś, ma, i kiej się uweźmie i pójdzie udry na udry, to i matki nie posłucha, na złość się ożeni, swój gront odbierze i na swoim postawi.

— Pleć, kiej ci ciepło, pleć, by cię jeno matka nie posłyszeli!

Markotność ją przejęła. Jakże! taka Nastka, a i to zabiega o chłopa, i to ma swoje radoście, a drugie dzieuchy to samo. Wściekną się chyba dzisiaj, boć do każdej ktosik powróci, do każdej.

— Prawda, dyć wszystkie powrócą... — Porwała ją nagle, niecierpliwa radość, że porzuciła wystraszonego Jędrzycha i skwapnie poniesła się do chałupy, szykować i robić porządki na przyjęcie, jak i drugie, i czekać gorączkowo powracających, jak i cała wieś w tej chwili.

Zwijiała się tego, jaże przyśpiewując z radości

a z utęsknieniem i nie raz jeden wybiegała patrzeć na drogi, kaj i wszystkie wisiały oczyma.

— Kogo to wyglądacie? — zagadnął ją ktosik niespodzianie.

Jakby ją kto przez ciemę zdzieił, zbladła, ręce jej opadły, kieby te skrzydła przetrącone, i serce zadygotało z radości.

Prawda, na kogoż to czeka? przecie nikomu do niej nie śpieszno, przecie na wszystkim świecie sama jest, jako ten kołek!... — Tyle, co może Antek!... — dodała trwoźnie. — Antek! — wyszeptwała cichuśko, serce jej wezbrało westchnieniem i przypominki przewiały przez pamięć, kiej te mgły nikłe i kiej sen cudny, ale dawno już śniony. — Może i wróci! — dumiała.

...Choć kowal jeszcze wczoraj upewniał, że go z drugini z kreminiału nie puszczą, że na długie lata tam pozostanie.

— A może go i puszczą! — Przywtórzyła głośnie, jakby już wychodząc myślą i oczekiwaniem naprzeciw, ale bez radości, bez uniesienia i z jakąś przyczajoną w sercu trwoźną niechęcią.

— A niech se wróci! co mi tam z niego! — siepnęła się niecierpliwie.

Stary jął cosik bełkotać...

Zadem się odwróciła od niego z obmierzłości, nie podając jeść, choć wiedziała, że o to skamle po swojemu.

— Byś już raz zdechł! — rozsrożyła się nagle, i aby go stracić z oczu, na ganek znowu poszła.

Kijanki trzepały nad stawem i kajś niekaj pod drzewami czerwieniły się kobiety pierące. Suchy, leciusi

wiater ledwie co tykał wierzb zielonych, że zatrzęchły się niekiedy. Słońce co ino miało się wylupać z za białych chmur, że już polśniewały kałuże i po gładzi stawu tańcowały złotawe migoty. Deszczowe mgły już opadły, że z szarych, kamiennych płotów wynosiły się coraz barzej na jaśnieję powietrza rozkwitające sady, kieby te wielgachne snopy kwietne, wionące zapachami i pełne ptasich świegotów. Młyn turkotał ostro, a z kuźni rozlatywały się dźwiękliwe, przejmujące bicia młotów, zaś ludzkie głosy i cały ten rwetes przygotowań był jako to pszczelne brzęczenie wśród drzewin.

— »A może go i obaczę!« — dumiała, wystawiając twarz na wiater i na te rosy, skapujące z obsychających kwiatów i liści.

— Jaguś, nie wyjdziecie to do roboty? — wrzasnęła Józka z podwórza.

Ani jej do głowy przyszło się opierać: zabrała motyczkę i zaraz poszła do kobiet. Odpadła ją moc i chęć sprzeciwu, a nawet rada poddała się przykazowi, któren ją wrywał z myśleń i niepewności. Przejmowała ją jeno dziwna tęskność, że jaże lzy nabiegały do oczu, a dusza się kajścić rwała. Tak się przypięła do roboty, że komornice ostały daleko na zajdach, ale nie ustawała, nie zważając na Jagustynkowe przycinki, ni widząc babich ślepiów, co ją obiegały ciągiem, kiej te psy przyczajone do kąśliwego chwytu.

Tylko niekiedy prostowała się nagle, jako ta grusza ociężała kwiatem prostuje się na miedzy pod tknięciem wiatru, i chwieje się ździebko, i patrzy po świecie tysiącami oczu, i płacze białym, wonnym okwiatem po

rozchwianych, zielonych zbożach, i może zimy srogie spomina...

Jaguś o Antku myślała niekiedy, a częściej Jasiowe oczy jarzące i Jasiowe wargi czerwone stawały w pamięci i Jasiowy głos luby odzywał się w sercu tak słodko, jaże smutki pierzchnęły i pojaśniało w niej, że przygiąwszy się barzej nad zagonem, czepiła się całą mocą utęsknień tych wspominków. Naturę bowiem już taką miała, kieby te wiotkie trzmieliny czy chmiele dzikie, które zawdy czepić się muszą jakiej gałęzi lebo kole pnia wyniosłego owinąć — by rosnać mogły i kwitnąć, i żyć — zaś oderwane podpory i sobie ostawione, na pastwę złej przygodzie łącno idą.

A komornice, naszeptawszy się o niej do syta, że to ciepło już się zrobiło galante, pozrzucały z głów płachty i zapaski i wzięły raźniej pogwarzać, częściej się przeciągać, na południe tęskliwie wyglądając...

— Kozłowa, wyższaście — to obaczcie, czy chłopów nie widać na topolowej?

— Ani widu, ani słyhu! — odrzekła, próżno się na palcach wspinając.

— Gdzieby zaś tak rychło!... nie zdążą przed mrokiem... karwas drogi...

— I pięć karczmów na rozjazdach! — zakpiła po swojemu Jagustynka.

— Chudziaki, biedota, kaj im tam karczmy będą w głowie!

— Wymizerowali się tylachna czasu, nacierzpieli...

— Taka im była krzywda, że się w ciepłe wyspali i najedli po grdykę...

— Juści, tyle tej dobroci zażyły, co te karmiki na pokrzywach z plewami.

— Dyc o suchym ziemnioku a lepiej na wolności — rzekła Grzeli kobieta.

— Dopiero to smaki taka wolność!... no, tyła z niej biednemu, że może sobie zdychać z głodu, kaj mu się spodoba, bo sztrafu za to płacić nie każą, ni go strażnik do kreminалу nie pojmie!... — wydziwiała.

— Prawda, moiściewy, prawda! ale co niewola to niewola!...

— A co groch ze sperką, to nie rosół na osikowym kołku! — przedrzeźniała Jagustynka, jaże wszystkie śmiechem gruchnęły.

Odcięła się cosik Filipka, ale mogła to utrzymać wtór z takim pyskaczem i ozornicą? Jagustynka nawydziwiała nad nią, co ino wlażło i jęła cudeńka wygadawać o młynarzu, jako na bórg daje stęchlą kaszę, a za pieniądze też oszukuje na wadze. Zaś potem, już z Kozłową na spółkę używały na całej wsi, nie przepuszczając nawet dobrodziejowi, a przewłócząc każdego złemi ozorami, kieby przez te ostre ciernie...

Grzelowa spróbowała bronić poniekórych, ale ją zakrzyczała Kozłowa:

— Wybyście radzi bronić nawet takich, co kościoły rozbijają...

— Bo wszyscy człowiek zarówno potrzebuje obrony! — szepnęła łagodnie.

— A już najbarzej Grzela przed waszą magłownicą...

— Nie wam przestrzegać poczciwości, któraście

Bartka Kozła kobieta!... — rzekła twardo, prostując się wyniośle.

Struchlały wszystkie, czekając, że skoczą sobie do kudłów, ale one jeno przewlekły po sobie srogimi ślepiami. Dobrze — co w samą porę Witek przyleciał zwoływać na obiad i kosze zbierać, że to świątkować mieli od południa.

Mówiły już mało wiele nawet przy obiedzie, która Hanka kazała podać na ganku, bo słońce się już całkiem wykryło, cały świat się rozjaśnił a wszystkie dachy i drzewa kwitnące, kiej tym bieluchnym śniegiem przyprószone — pławiły się w przejrzystym, pachnącem powietrzu...

Dzień się roztoczył słoneczny i cichy, wiaterek żdziebko przegarniał po drzewinach, ale tak mięciutko, kieby te ręce matczyne gładziły pieściwie dziecińskie gębusie.

Świątko też szczerze stanęło, bo już od poobiedzia nikt w pole do roboty nie wyszedł, nawet bydło zegnali z pastwisk, że jeno poniektóra biedota swoje zamorzone karmicielki wywodziła na postronkach, popaść kajś po miedzach lub nad rowami.

A kiej słońce odtoczyło się na parę chłopca z południa, jeśli się ludzie zbierać pod kościołem, wygrzewali się pod murami, przegwarzając zcicha jako ci ptakowie świergocący w klonach i lipach, co wyniosłym kręgiem jaże ku dachom kościoła sięgały gałęziami, ledwie przytrząśniętymi zielenią. Słońce przypiekało niezgorzej, jak to zwyczajnie bywa po rannym deszczu. Kobiety zestrojone świątecznie postawały kupami, a poniektóre wyglą-

dały tęskliwie za mur, na topolową, zaś ślepy dziad siedział wraz z pieskiem we wrótniach smętarza i pobożne pieśni wyciągał jęklonie, uszami strzygł na wsze strony i potrzasał miseczką do wchodzących.

Wyszedł rychło i dobrodziej w komżę ubrany i stułę, z gołą głową, że mu jaże łysina błyskała w słońcu.

Pietrek Borynów krzyż ujął, bo Jambroż nie uradziłby lecieć tyła drogi, zaś wójt, sołtys i któraś z cięższych dzieuch wynieśli chorągwie, co się jęły zaraz rozwijać na wietrze, trzepać i błyskać kolorami. Michał organistów poniósł wodę święconą i kropidło, Jambroży rozdał brackim świece, a organista z książką w ręku stanął wpodłe dobrodzieja, któren dał znak, i ruszyli w cichości przez wieś okwieconą, nad stawem, jaże we wodzie cichej odbijała się cała procesja.

Sporo jeszcze kobiet i dzieci przyłączało się po drodze, zaś na ostatku młynarz z kowalem pobok księdza się dociskali.

A na samym końcu, za wszystkimi, wlekła się Agata, często pokaszlując, i ślepy dziad kolebał się na kulach, jeno że od mostu zawrócił i pono do karczmy pociągnął.

Dopiero za młynem zastawionym, bo i umączony młynarczyk przystał do kompanji, zapalili świece, ksiądz nadział czarną, rogatą czapeczkę, przeżegnał się i zaintonował: »Kto się w opiekę...«

Zawtórowali z całego serca, jak kto umiał, i ruszyli wzdłuż rzeki, łakami, kaj pełno było jeszcze kałuż, a miejscami tak grząsko, że po kostki zapadali. Osłaniając światło rękoma, rozwłoczyli się po wąskiej dro-

żynie, kiej różaniec uwity z czerwonych, pasiastych welniaków.

Rzeka migotała w słońcu i wiła się pokrętnie wskroś łąk zielonych, nabitych kajś niekaj pękami żółtych i białych kwiatków.

Chorągwie chwiały się nad głowami, niby ptaki wielgachne żółto-czerwonemi skrzydłami, krzyż kołysał się na przedzie, a głosy rozśpiewane roznosiły się zwolna w cichem, przejrzystem powietrzu, spadając na trawy, na kępy łozin jasno zielonych, na cierniowe krze, całe w białościach kwiatów, kieby w tych gźlach przenajświętszych.

Woda pluskała o brzegi, gęsto upstrzone kaczeńcami, kieby do cichego wtóru pieśniom i oczom lecącym przed się, w dale jasnego nieba, w rzekę rozmigotaną złotemi łuskami, w te wsie widniejące na wyzniach suchych, a ledwie znaczne w modrawem powietrzu wstęgami sadów biało kwitnących.

Ksiądz szedł z asystą tuż za krzyżem i śpiewał wraz z drugimi.

— Coś dużo kaczek się podrywa! — szepnął, zezując na prawo.

— Przelotne, krzyżówki — odparł młynarz, patrząc za rzekę, w niziny, zarosłe żółtą, zesłoroczną trzciną i olchami, skąd raz wraz podrywały się ciężko całe stada.

— I boćków coś więcej niżli zeszłego roku.

— Mają co żreć na moich łąkach, to się z całego świata zwłóczą.

— A ja swojego straciłem, w same święta się gdzieś zapodział.

— Do stada się pewnie przyłączył, na przelocie.

— Co to jest w tych uwałowanych redlinach?

— Końskiego zęba wsadziłem całą morgę... trochę tu mokro, ale że mówią, co na suchy rok idzie, to może się uda.

— Byle nie tak, jak mój zeszłoroczny: schylać się nie było po co.

— Kuropatkom się udał: sporo się ich tam wywiedło — żartował cicho.

— Juści, pan jadł kuropatwy, a moje siwki zębami dzwoniły o źłób...

— Obrodzi się, to już księdzu dobrodziejowi z furkę jakąż użyczę.

— Bóg zapłać, bo i koniczyna zeszłoroczna nie tęga; jeśli susze przyjdą, przepadnie! — westchnął żałośnie i zaczął znowu śpiewać.

Dochodzili właśnie pierwszego kopca, który był tak pokryty krzami rozkwitłych tarnin, że wynosił się kiej biała kopa, nastroszona kwiatami rozbrzęczonemi pszczelnym rojem.

Otoczyli go kręgiem światła rozchwianych, krzyż się wznosił zatknięty w krzaczach, chorągwie się rozwinęły nisko pochylone i ludzie przyklękli kołem, jakby przed ołtarzem, na którym, w kwiatkach i pszczelnym brzęku, zwieszony objawił się majestat święty!...

Wraz też ksiądz odczytywał modlitwę od gradu i kropił wodą święconą wszystkie cztery strony świata: i drzewiny, i ziemię, i wody, i te głowy chylące się po-

kornie, cały ten świat rozdygotany cichą radością rostu, i mocy, i szczęścia, wszystko, co dołą swoją poczynąło i co martwe jest.

Naród zaszumiał nową pieśnią i podnosił się różniej i weselniej.

Ruszyli dalej, biorąc się odrazu na lewo, wpoprzek łąk, pod łagodne wzgórza. Dzieci jeno dłużej się zatrzymały, że to Gulbasiaki z Witkiem, wedle starego obyczaju, sprawiały na kopcu poniekórym chłopakom tęgą łaźnię, że podniósł się taki wrzask, jaże ksiądz im zdala wygrażał.

A za łąkami weszli na szeroki wygon graniczny, w gąszcz smukłych jałowców, rosnących skraja, jakby na straży pól rolnych. Wygon był szeroki a kręcił tędy i owędy kiej rzeka zieloną falą traw gęsto nabitych kwiatuskami, że nawet w starych koleinach mrowiły się żółte mlecze i białe stokrotki. Kajs rozwalaly się wielkie kamionki, obrosłe w ciernie, że trzeba je było potem obchodzić, a gdzie znów stały samotnie dzikie grusze, całe we kwiatach i pszczelnym brzękiem rozśpiewane i tak bardzo cudne i święte, jako te hostje, unoszące się nad polami, jaże się klękać chciało przed niemi a całować ziemię, co je na świat wydała.

A gdzie znowu brzózka się pochylała, przyodziana w bieluśkie gźło i cała owionięta zielonemi, rozplecionemi warkoczami, a tak czysta i drżąca w sobie, kiej ta dziewczyna do pierwszej Komunji stojąca.

Podnosili się zwolna na wyniosłość, obchodząc lipeckie pola od północy, wzdłuż młynarzowych ról, szumiących żytem.

Ksiądz szedł za krzyżem, za nim cisnęły się kupkami dziewczyny i co młodsze kobiety, zaś wkońcu, w pojedynkę albo i po parze w rządku, wlekły się staruchy z Agatą, kuszykającą daleko za wszystkimi. Dzieci jeno płątała się na bokach, chroniąc się księżych oczy, by śmieiej baraszkować.

Aż wynieśli się na równię, kaj i cichość stanęła większa, wiatery ustał zupełnie, chorągwie zwisły, a naród się rozwlókl na staję, że jako te kwiaty widniały kobiety wśród zieleni, zaś płomyki świec drżały skrami, niby złotawe motyle.

Niebo wisiało wysokie i czyste, tylko gdzie niegdzie leżała jakaś biała chmura, kieby owca na modrawych, nieobjętych polach, przez które niesło się ogromne, rozgorzałe słońce, zalewając świat ciepłem i blaskami.

Jeno pieśń się wzmogła: huknęli z całej mocy i tak rozgłośnię, jaże ptaki uciekały z drzew pobliskich; czasem kuropatka wystraszona furknęła z pod nóg, albo i zajaczków wyrywał się gdziesik z pod kotyry i gnał naosłep.

— Oziminy dobrze idą — szepnął ksiądz.

— Ba! wczoraj już piętę w życie znalazłem.

— A któż to tak spaprał?... połowa gnoju na skibach!

— Ziemniaki którejs komornicy, jakby w krowę przyorywała.

Przecież brona wszystko wywlecze. Paskudziarzyuchy!

— Dyć to parobek dobrodziejów przyorywał — wtrącił cicho kowal.

Dobrodziej się rzucił, ale zamilkł i, przyspiewując narodowi, chodził oczyma po tym nieobjętym rozlewie pól rodnych, co pogarbione i miejscami ździebko wzdęte, jako te piersi matki karmiącej, zdały się dychać w słodkiem wzbieraniu, by co ino przypadnie do rozwartego łona, pożywić się mogło, i przytulić, i o doli srogiej zapomnieć.

Hej! szeroko niesły się oczy, i daleko, i przestrono, że cała procesja zdała się jeno ciągiem mrówek wśród zbóż, a głosy ludzkie tyle ważyły nad polami, co te skowronkowe świergotania.

Słońce się przetaczało ku zachodowi, że już pozłociały zboża, okwiecone drzewa rzucały cienie, zaś lipecki staw wyblyskiwał rozgorzałą szybą z obrzeży sadów, spienioną bielą kwiatów przytrzaśniętych. Wieś leżała niżej, jakby we dnie michy wielgachnej a tak przysłoniona drzewami, że ino kajś niekaj dojrzał szarą stodołę; jeden kościół, co się wynosił białymi murami ponad wszystko i złotym krzyżem na niebie świecił.

Zaś po prawej ręce idących rozlewały się równie, niby te nieprzejrzane wody szarozielone, z których wynosiły się wsie gęstemi kępami drzew okwieconych, krzyże przydrożne i drzewa samotnie rosnące. Oczy się tam niesły jak ptaki, ale nie sięgnęły w kołującym locie innych granic, kromie tych borów czerniejących dokoła.

— Coś za cicho... aby deszcz w nocy nie przyszedł... — zaczął ksiądz.

— Nie będzie: wytarło się na dobre i chłód zawiewa.

— Rano lało, a teraz już wody ani znaku.

— Zwiesna przecie, to w mig przesycha — wtrącił swoje kowal.

Dotarli drugiego kopca, węglowego. Wielki był kiej usypisko; powiedali, że pod nim leżą pobite na wojnie. Krzyż stał na nim niski a struchlały całkiem, przystrojony w zeszłoroczne wianuszki a obraziki, ubrane firaneczkami, zaś z boku tulila się wypróchniała, rosochata wierzba, okrywając jego rany młodemi pędami. Strasznie tu było jakoś i pusto, że nawet wróble nie gnieździły się w dziuplach, a chociaż naokół leżały rodzajne ziemie, kopiec był prawie nagi, odarte boki żółciły się piachami, że jeno rozchodniki, kiej te liszaje, czepiały się gdzie niedzie i sterczały suche badyle dziewanny i szalejów końskich.

Od moru odprawili nabożeństwo i przyśpieszając kroków, wzięli się jeszcze barzej na lewo, naskroś do topolowej drogi, mierząc pod sam las, jak wiodła wąska i wyjeżdżona mocno dróżka.

Już zwartą kupą ruszyli, tylko Agata ostala przy kopcu, kryjomo odarła szmatę z krzyża i, podążając zdala za procesją, zagrzebywała ją strzępkami po miedzach la jakiegoś zabobonu.

Organista zaintonował litanję, ale ciągnęli ją ospale, że śpiewał ino kto niekto, w pojedynkę, bo kobiety rajcowały zcicha, rzucając jeno w potrzebnem miejscu wrzaskliwie: — »Módl się za nami« — zaś dzieciska wyparły się na wypródki i baraszkowały swawolnie, jaże Pietrek Borynów, obzierając się na proboszcza, mruzczał, żeźlony:

— Obwiesie, juchy! zbereźniki!... bo jak pas spuszcze!

Ksiądz, znudzony już sielnie, pot ocierał z łysiny, a rozglądając się po sąsiednich rolach, pogadywał z wójtem:

— Ho, ho! tym już groch powschodził...

— A prawda!... wczesny być musi, rola doprawiona i idzie kiej bór.

— Ja siałem jeszcze na Palmową, a dopiero kły puszcza.

— Bo u dobrodzieja na tym dołku zimnica, a tu grunt cieplejszy.

— I jęczmiona już im powschodziły, a równe, jakby siewnikiem posiane.

— Modliczaki dobre gospodarze, na dworską modę w polu robią.

— Tylko na naszych polach ani znaku jeszcze owsów i jęczmionów.

— Spóźnione wszystko, deszcze też przybiły, że nie prędko się ruszą.

— I spaprane, że niech Bóg broni! — westchnął ksiądz żałośnie.

— Darowanemu koniowi w zęby nie zagładają — zaśmiał się kowal.

— Te, wisusy, uszy poobrywam, jak nie przestaniecie! — krzyknął proboszcz na chłopaków, śmigających kamieniami za stadkiem kuropatw, szorujących wpoprzek zagonów.

Przycichły znagła rozmowy, chłopaki przywarły po brózdach, organista znów jął beczeć, kowal zawtó-

rował, jaże w uszach zawierciało, a cieniúskie głosy kobiet podniosły się jęklwym chórem, że litanja rozwlekła się nad polami, niby ten ciąg ptaków zmęczonych długim lotem i już zwolna i coraz niżej opadających.

Parli się tak wśród pól zielonych, długim i rozśpiewanym zagonem, że ludzie, pracujący na modlickich polach, a nawet i na dalszych, podnosili się od roboty, czapy zdejmując, to przyklękając na zagonach, gdzie zaś bydło zaryczało, podnosząc ciężkie, rogate lby, a kajś znowu spłoszony źrebak odbiegł maci, w cały świat gnając.

Ze staje mieli jeszcze do trzeciego kopca i figury przy topolowej, gdy ktosik wrzasnął z całych sił:

— Chłopy jakieś z lasu wychodzą!

— A może to nasi?

— A nasi! nasi! — buchnęło z kupy i kilkanaścioro rzuciło się naprzód.

— Stać! Nabożeństwo pierwsze — nakazał ostro ksiądz.

Juści że ostali, przedeptując z niecierpliwości. Zbili się jeno barzej w kupę, stowarzyszając jak popadło, bo każdego dziw nie podrywało z miejsca, ale ksiądz nie puścił, przyspieszał jednak kroku.

Wiatер skądciś zawiął, że świece pogasły, chorągwie zatrzępały i żyta, krze i ukwiecone drzewa jęły się kolebać, jakby klaniając i do nóg się chyląc procesji. Ale naród, choć śpiewał coraz głośniej, w dyrdy już sunął i oczy wpierał w bór niedaleki, między drzewa przydrożne, kaj już wyraźnie białeły się kapoty chłopskie.

— Nie pchajcie-że się, głupie: chłopy wam nie

uciekną! — zgromił ksiądz, bo mu już następowały na pięty, tłocząc się jedna przez drugą.

Hanka, co była szła w rzędzie z najpierwszemi gospodyniami, aż krzyknęła, dojrzwawszy kapoty. Wiedziała przecie, jako tam Antka nie zobaczy, a mimo to zatrzęsła się radością i pijana zgoła nadzieja rozsadziła jej duszę, że zeszła na bok, w bródę i oczy wypatrywała...

Zaś Jagusia, idąca wpodłe matki, porwała się z miejsca, by lecieć; ognie ją przejęły i taki dygot, co zębów nie poredziła zewrzeć; a drugie kobiety też nie mniej się rwały ku tym wytęsknionym. Jeno poniektóre dzieuchy i chłopaki nie wstrzymały długo, bo naraz chłasnęły z kupy, kiej woda z cebra wstrząśniętego, i mimo wołań, pognały na przelaj do drogi, jaże im lysty bielaly.

Procesja rychło dosięgła krzyża Borynów, za którym tuż zaraz był kopiec, na skraju ziem lipeckich i dworskiego boru.

Chłopy już tam stały kupą w cieniu brzóz wielgachnych, stróżujących przy krzyżu; zdala już odkrywali głowy i oczom kobiet pokazały się lube twarze mężów, ojców, braci a synów utęsknionych, twarze pochudłe, wymizerowane a pełne radości, pełne uśmiechów szczęścia.

— Płoszki! Sikory! Mateusz! Kłab! I Gulbas! I stary Grzela! I Filip! Mizeraki kochane! Biedota! Jezus Marja, Matko przenajświętsza! — rwały się wołania i pokrzyki a szepty gorące i już oczy gorzały radością, już się ręce wyciągały, już tłumione płacze kwiliły i krzyk nabrzmiewał w gardzielach, już ponosiło wszystkich, ale ksiądz jednym gromkiem słowem powstrzymał

i uciszył naród, a dowiódłszy pod krzyż, czytał spokojnie modlitwę »od ognia«; jeno czytał wolno, bo niechcący a ciągiem obzierał się na strony i pocziwemi oczyma chodził po twarzach wynędzniałych.

Wszyscy też przyklęknęli w półkole i wraz z żarliwą i dziękczynną modlitwą łzy płynęły z oczu, uwieszonych na Chrystusie przybitym. Dopiero kiej zakończył i wodą skropił głowy, chylące się do ziemi, zdjął rogatą czapkę i wesoło a w cały głos huknął:

— Niech będzie pochwalony! Jak się macie, ludzie kochane!

Juści co chórem odkrzyknęli, cisnąc się do niego, kiej te owce do pasterza, a w ręce całując, a za nogi oblaśniając, a on ci każdego brał do serca, po głowach całował, po zbiedzonych twarzach głaskał, troskliwie pytał i z dobrem słowem odpuszczał, aż utrudzony siadł pod krzyżem, pot obcierając i te łzy pocziwe.

A naród skotłował się kiej tej wrzątek kipiący.

Buchnęła wrzawa, śmiechy, cmokania, płacze radosne, dziecińskie jazgoty, gorące słowa i szepty, krzyki, co jak śpiew się wydzierały z serc uszczęśliwionych, wolań tęsknic zagnała zapomnianych; każda swojego na stronę odciągała i każdego, kiej ten chojak, kolebał się pośród krzyków w kupie kobiet i dzieci, w radosnej wrzawie gwaru i płaczów... Dobrze że dwa pacierze trwały powitania i byłyby się przeciągnęły do nocy, aż ksiądz się spamiętał że pora i dał znak.

Ruszyli do ostatniego kopca, drogą wzdłuż lasu, niskimi zaroślami jałowców i sośnianej młodzi.

Ksiądz zaśpiewał: »Serdeczna matko«, a wszyst-

kie, jak jeden człowiek, zawtórowali wielkim głosem, aż bór zajęczał i echami oddawał, wesele bowiem przepelniało duszę, taką moc dając pierśmi, że śpiew zrywał się kiej burza wiośniana i chlustał nad bory słupem rozognionych uniesień...

A że sporo narodu przybyło, to już zapchali całą drogę, szli także i borem między drzewami, szli i nad polami, że całe podlesie zaroilo się ludźmi a hukalo pieśnią niebosięzną.

Jeno co rychło śpiew opadł kiej chmura, gdy już pierun ze siebie wypuści, że tylko ci ze samego przodka jeszcze nutę wyciągali, mnogim zaś zrobiło się pilno zgwarzać ze swojemi. Ciąg się też porwał i rozpierzchał na strony, chałupami szli, wiewa dzieci pomniejsze na ręce wzięło, drugie a co młodsze parami szli, cosik se rozprowadając, a insze już się w gąszcz wywodzili, od ludzkich oczu, zaś dzieuchy spłonione kiej wiśnie, przywierały do swoich chłopaków, nie bacząc na nikogo. A kiej niekiej, snadź la ulżenia sobie w kumentnościach, śpiewem znów gruchali rozgłośnym, jaże wrony z gniazd wylatywały na pola, jaże świece gasły od pędu, a bór odhukiwał zwolna i belkotał, kieby z tej głębokiej, nieprzejrzanej gardzieli.

To cichość się rozpościerała, że ino tupot nóg się rozlegał i pryskały w gąszczach rozognione śmiechy, ściszone słowa lub te pacierze staruch, mamrotane jęklivemi nawrętami.

Zachód już nadchodził, niebo się wyniesło, jakby wzdymając w rozżłoczoną, szklaną banię, że jeno kilka chmur przesiąkniętych czerwienią mdlało w sinych wyso-

kościach, słońce zesunęło się na sam wrąb i nad borami zawisło, a wśród pni ogromnych, w zielonych podszyciach roztrzęsały się brzaski złotawe, zaś na polanach samotne drzewa zdały się żywym ogniem płonąć, rozgorzały wody, przytające w gąszczach i cały bór jakby w ogniach stanął i w krwawych dymach, że tylko miejscami, kaj wyniosłe chojary stały zwartą gęstwą i kieby chłopcy wsparte o się ramionami, tam czarne mroki zalegały, a i to jeszcze prześwielone gdzie niegdzie tym dżdżem słonecznym.

Bór pochylał się nad drogą i na pola zdał się patrzeć, wygrzewając w zachodzie czuby wielgachne, a stał tak cichuśko, iż kucie dzięciołów trzaskało przenikliwie, kukulka gdziesik kukala zawzięcie, a z pól dochodziły ptasie świergotania.

Droga kręciła się miejscami samą krawędzią pól, że chłopcy przestawali opowiadać i cisnąć się nad brózdą przydrożną, szli pochyleni, obejmując oczyma te niwy zielone, kaj gęsto kwitnące drzewa gorzały w zachodzie, te długie zagony, co wlekły się ku nim pokornie, te, kieby wody ździebko rozkolebane pola ozimin, chylące się jakby pod nogi gospodarzom z chrzęstem radosnym. Żarli ci też ślepiami tę mać żywicielkę, że niejeden się żegnał, niejeden »Pochwalony« mówił, czapę zdejmując a zaś wszystkim zarówno dusze klękały w niemej, gorącej czci przed tą świętą i utęsknioną.

Juści, co po tych pierwszych przywitaniach, nowe gwary się podniosły i nowe radoście rozpierały serca, jaże chciało się niejednemu huknąć po lesie, albo i przypaść do tych zagonów i zapłakać.

Tylko Hanka poczuła się jakby za całym światem. A toć tuż przed nią, i za nią, i wszędy, chłopcy szły szumno, a kiele każdego kobiety i dzieci tulą się radośnie, niby te krze wątle, a toć gwarzą, cieszą się, w oczy sobie zaglądają, cisną się do siebie, a ona jedna przemówić nie ma do kogo! Cały naród wre ukropem radości niepowstrzymanej, a ona choć idzie w pośrodku, tak się czuje opuszczona i nieszczęsna, jako to drzewo usychające w gąszczach, na którym nawet wrona gniazda nie uwije, ni żaden ptak nie przysiadzie. Nawet mało kto ją przywitał — jakże! każdemu było pilno do swoich... co im tam ona?... a tylachna ich wróciło... nawet Kozieł, że znowu będzie trzeba pilnować komory i chlewy zamykać... nawet i te największe buntownicy: Grzela, wójtów brat i Mateusz... Antka jeno nie puścili... może go już nigdy nie zobaczy...

Nie, nie mogła już wytrzymać, bo te rozmysły przygniatały ją kieby kamienie, że ledwie nogi zbierała, ale szła z głową podniesioną, harda na oko i pyszna jak zawdy. Kiej zaśpiewali, śpiewała z drugimi donośnie; kiej modlitwę ksiądz zaczynał, pierwsza powtarzała zbiełami wargami, jeno w tych długich przerwach, gdy posłyszała wokoło ściszone od żarów szepty, wpierała ciężkie oczy w krzyż błyszczący i szła, strzegąc się jeno tych lez zdradzieckich, co jak złodzieje wymykały się niekiedy z pod rozpalonych powiek... Nie poważyła się nawet pytać o Antka — jeszczeby się mogła wydać z męki przed ludźmi!... Nie, nie, tyle znieśła, to i więcej przemoże, przecierpi... udźwignie... Nakazywała sobie, czując zarazem, jak w niej lży piekące wzbierają, jak żal

za gardziel dusi, mrokiem przesłaniają się oczy i jak ta męka rośnie z minuty na minutę.

Nie samać jedna tak biadoliliła nie, boć i Jagusia czuła się nie lepiej: szła ona zosobna, przemykając się lękliwie, kiej ta sarna spłoszona. I ją poniesły radoście, że pobiegła naprzeciw i prawie pierwsza chłopów dopadła, a nikto do niej nie wyskoczył, nikto nie przytulił, i nie całował. Jeszcze zdala dojrzała Mateuszową głowę nad insze wyniesioną, więc ku niemu rzuciły się jej oczy rozgorzałe, ku niemu porwały ją nagle dawno już zapomniane tęsknoty, że przepychała się przez ciźbę z wrzaskiem radosnym. Ale on, jakby jej nie dojrzał... Nim go dosięgła, już matka wisiała mu na szyi, Nastusia w pół trzymała i młodsze dzieci wieszały się dokoła, zaś Tereska żołnierka, czerwona jak burak, rozbeczana, trzymała go za rękę, nie strzegąc się już oczu niczyich.

Jakby ją kto wodą zimną oblał, że wypadła z kupy i w las pognąła, sama nie wiedząc, co się z nią wyprawia. Jakże to, miała straszną ochotę poczuć się w gromadzie i ścisku, w tej przejmującej wrzawie powitań, chciała się cieszyć jak i drugie; przecie, jak wszystkie, miała serce pełne żarów i gotowe do uniesień i szlochów radosnych, a oto sama iść musi, zdala od ludzi, niby ten pies oparszywiały.

Rozdygotała się też ciężkim żalem, ledwie już lzy wstrzymując a wyrzekania, i wlekła się jako ta chmura posępna, co to ledą chwila deszczem rześistym zapłacze.

Parę razy próbowała uciekać do dom, ale nie porzuciła: żal jej było ostawiać procesję, to i płątała się potem pomiędzy ludźmi, jak ten Łapa szukający w ciź-

bie swoich gospodarzy. Nie ciągnęło jej do matki ni do brata, któren przemyślnie zagubiał się w jałowcach i kole Nastusi kołował, a kto drugi też się z nią nie stowarzyzył, zajęty swojemi. Aż wkońcu złość ją zatrzęsała, że byłaby z lubością puściła kamieniem w całą kupę i w te rozradowane, śmiejące się gęby.

Szczęściem, że już wychodzili z boru.

Ostatni kopiec stał na rozdrożu, skąd jedna z dróg skręcała prosto ku młynowi.

Słońce już zachodziło i zimny wiater powiał z nizin, ksiądz przyśpieszał nabożeństwo, że to i Walek czekał na niego z bryczką.

Śpiewali ta jeszcze coś niecoś, ale już wszystko szło na rzadki pytel, bo utrudzeni byli, zaś chłopcy rozpytywały zcicha o folwarek spalony we święta, którego rumowiska okopcone sterczały niedaleko, a przytem i na dworskich polach działy się ciekawości.

Dziedzic ano skakał po zagonach na swojej bułance za jakimiś ludźmi, jakby rozmierzającymi role długimi prętami, a zaś przy krzyżu, na rozwidleniu dróg i kole stogów spalonych, widniały bryki żółto malowane.

— Co to może być? — zauważył ktosik.

— Juści co pole wymierzają, jeno że to nie omentry.

— Kupce pewnikiem, nie wyglądają na chłopów.

— Na Niemców patrzą.

— Pewnie: kapoty granatowe, faję w zębach i portki na cholewach.

— Rychtyk, podobni do Olendrów z Grünbacha. Szeptali, oczy wytrzeszczając ciekawie, ale jakiś

głuchy niepokój zaczął przejmować gromadę, że nawet nie spostrzegli, jak kowal wyniósł się cichaczem i prawie chyłkiem, brózdami, przebierał się ku dziedzicowi.

— Podlaski folwarek kupują, czy co?

— Już we święta powiadali, co dziedzic ogląda się za kupcami.

— Ale niech ręka Boska broni od miemieckich somsiadów!

Poniechali rozważań, bo skończyło się nabożeństwo i ksiądz wsiadał na bryczkę wraz z organistami.

Naród się rozbił na kupy i zwolna pociągnął do wsi, rozwlekli się po drodze, to miedzami szli gęsiego, jak ta komu bliżej było do chałupy.

Słońce już zaszło i mroczyło nad ziemiami, na zielonkawem zaś niebie rozżarzały się zorze ogniste. Z łąk za młynem ruszały się białe opary, rozwłócząc kieby przędzę na wszystkie niziny. W cichości, jaką się przyodziewał świat, jeno bociek klekotał gdziesik rozgłośnie.

Bo nawet głosy ludzkie pogasły i cała procesja wsiąkała zwolna w pola, że jeno gdzie niegdzie czerwieniał welniak, lebo białe kapoty mgliły się w zapadających, modrawych cieniach.

A pokrótce wieś jęła się napelniać i rozbrzmiewać, bo już wszystkimi stronami a gwarnie walili, kaźden zaś chłop krzyżem świętym witał dawno niewidziane progi, a niejeden na ziem rymnął przed obrazami, w głos rycząc ze szczęścia.

Ponowiły się witania, a babie i dziecińskie jazgoty, a opowiadania, przerywane wybuchami gorących całunków i śmiechów.

Kobiety, rozognione i jakby oszalałe z wrzasku, jęły usadzać swoich nieboraków przed michami, podtykając im jadło i niewoląc ze wszystkiego serca.

Ze i krzywd zapomnieli i pamięci bied i długich miesięcy rozłąki się zbyli, bo każdy z całego serca cieszył się powrotem i swojemi, które raz po raz obłapiał i do serca przyciskał, a o różności wypytywał.

Kiedy zaś już sobie podjedli do syta, ruszyli gospodarzki oglądać i radować się dobytkiem, że choć już dobrze ściemniało, a łazili po obejściach i sadach, łewentarze poklepując, albo i tykając palcami obwisłe pod kwiatem gałęzie, kieby te kochane, dziecińskie główiny.

Ze już i nie opowiedzieć, jakim weselem rozgozrzały Lipce.

Tylko u jednych Borynów było zgoła inaczej.

Dom ostał prawie pusty, Jagustynka poleciała do swoich, Józka też z Witkiem poniesła się, kaj ludniej było i weselej, że jedna Hanka chodziła po ciemnej izbie, pohuśtując na ręku dziecko kwilące i już puszczejąc wodzę żalom i bolesnym, palącym łzom.

Jeno że i w tem nie ostała dzisiaj sama jedna, bo ano Jaguś tak samo ciskała się w mrocznym obejściu, rychtyk temi samemi smutkami szarpana i tak samo tłukąc się, kiej ten ptak o klatkowe pręty.

Tak się już bowiem spleło dziwnie.

Jagna przyleciała jeszcze przed drugimi, a chociaż mroczna była kiej noc i rozeźlona, rzuciła się do roboty, robiła, co ino jej wpadło pod oczy, za wszystkich; wydoła krowy, napoiła cielaka, nawet świniom żarcie poniesła, jaże Hanka zdumiała się, ledwie wierząc wła-

snym oczom. A ona, nie bacząc na nikogo, pracowała, jakby się chcąc zarobić i tak umęczyć, by zapomnieć krzywdy jakiejś i zabić w sobie smutki a żale.

Ale cóż, choć ręce mdlały z utrudzenia i krzyż dziw nie pękał, lzy i tak ciągiem stały jej w oczach i często palącym sznurem ciekły po twarzy, a w duszy krzewił się coraz bujniejszy i sroższy smutek.

Zapłakane oczy nic nie widziały w podług siebie, nawet Pietrka, któren już od samego przyjscia na krok jej nie odstępował i, pomagając, zagadywał zcicha i rozżarzonemi ślepiami obejmował a przycierał się nieraz tak zbliiska, jaże bezwolnie się odsuwała. Aże przyszło do tego, kiej w stodole nabierała w opałkę sieczki, chwycił ją wpół, do sąsięka przypierał, mamrocząc cosik i do jej warg chciwie sięgając...

Nie sprzeciwiła się, nie miarkując do czego idzie i dając się na jego wolę, jakby nawet rada temu, że ją jakaś moc pojena i ponosi, ale skoro ją rzucił na słomę i poczuła na twarzy jego wilgotne wargi, porwała się niby wicher i odrzuciła go precz kiej ten wiecheć, jaże bęcnał na klepisko...

Straszna złość ją zatrzęsła.

— Ty pokrako zapowietrzona!... ty świniarzu!... Poważ się jeszcze kiej mnie tknąć, to ci kulasy poprętręcam!... Dam ja ci jamory, jaże się juchą oblejesz!... — krzyczała, rzucając się z grabiami.

Ale wnet zapomniała o wszystkim, i pokończywszy obrządki, do chałupy poszła.

W progu natknęła się na Hankę: zajrzały sobie

w oczy, przeszkłone łzami a bólem ociężałe, i spiesznie się rozbiegły.

Z obu izb drzwi stały wywarte do sieni i w obu już się paliły światła, że co chwila, jakby z niewytlumaczonego musu, spozierały zdala na siebie.

Zaś potem, narządzając wspólnie kolację, kręciły się zbliska siebie, ale żadna nie puściła pary, żadna i słowa nie powiedziała, jeno kryjomo, kiej złodzieje, chodziły za sobą ślepiami. Juści, dobrze wiedziały, co każda dzisiaj cierpi, że często złe i mściwe oczy przyskakiwały do siebie, kiej noże ostre, a zaciśnięte nieme usta mówiły urągliwie:

— Dobrze ci tak! dobrze!

Ale przychodziły i takie chwile, że zaczynało im być siebie żal, że byłyby zagwarzyły przyjaźnie, że każda ino czekała zaczepki, by odrzeknąć pocziwem słowem, że nawet przystawały wpodłe, zezując ku sobie wyczekująco, gdyż ustępowała zawziętość, przymierały zadawnione gniewy, a pospólna dola i opuszczenie kłoniły je ku sobie coraz bliżej... jeno co nie skłoniły, bo zawdy je cosik powstrzymywało: to płacz dziecka, to wstyd jakiś, to nagłe ocknienie w pamięci krzywd, jaże i wkońcu rozniosło je daleko i zawziętość znowu w sercach zawrzała, złościę sprężyły dusze i oczy poczęły się żgać błyskawicami nienawiści.

— Dobrze ci tak! dobrze! — syczały zcicha, prążąc się ślepiami, znowu gotowe do kłótni, do bitki nawet, by całą złość wyrzucić na drugiej.

Na szczęście, do tego nie przyszło, bo Jagusia zaraz po kolacji wyniesła się do matki.

Wieczór był ciemny, ale cichy i ciepły; gwiazdy jeno rzadka przeblyskiwały w płowych głębokościach; na moczarach leżały białe, grube kożuchy oparów, żaby zaczynały rechotać, a niekiedy zabłąkało się jęklive kwilenie czajek. Ziemię zaś otulały mroki, że jeno kajś wynosiły się na jaśnie nieba drzewa pospane, sady szarzały jakby wapnem skropione, a bijące zapachami niby z trybularzów rozżarzonych; wiśniowy kwiat pachniał i bzy ledwie rozłtałe, pachniały zboża, wody i te ziemie przewilgocone, a kaźden kwiat czuć było zosobna i wszystkie razem wionęły upajającym, słodkim zapachem, jaże w głowie się kręciło.

Wieś jeszcze nie spała, ciche pogwary trzęsły się od progów i przyźb, tonących w ciemnościach, zaś drogi, przysłonione cieniami drzew, a jeno, gdzie niegdzie porznięte świetlistemi pręgami, z okien bijącemi, mrowiły się od ludzi.

Jaguś nibyto do matki zmierzała, a jęła kręcić nad stawem, kołować, przystając coraz częściej, bo prawie co krok natykała się na jakąś parę, mocno splecioną i cicho gwarzącą.

Spotkała i brata z Nastusią: trzymali się w pól, całując zapamiętane.

Wlazła też niechcący na Marysię Balcerkównę z Wawrzkiem: gźdiesik pod płotem, w grubym cieniu stajali, przytuleni do siebie i o Bożym świecie niewieźący.

Rozpoznała po głosach i drugie, że z kaźdego cienia nad wodą, z pod płotów, zewsząd roznosiły się szepty, dyszące słowa, upalne westchnienia, jakieś dygoty i szamotania. Cała wieś zdała się wrzeć ukropem miłowań

i lubością, że nawet i te skrzaty ledwie odrosłe, a i to wodziły się z chłopakami, gząc się a przeganiając po drogach.

Obmierzło jej to nagle, że wzięła ich wymijając, kierując się prosto do matki, ale przed domem spotkała się oblicznie z Mateuszem; nie spojrział nawet na nią, mijając kiej to drzewo; wiódł się z Tereską, trzymając ją wpół i cosik jej prawiąc... Przeszli, a ona jeszcze słyszała ich głosy i przytłumione śmiechy.

Zawróciła nagle i już w dyrdy, jakby goniona przez wszystkie psy, uciekała do chałupy.

A wieczór cichy, wiośniany, pachnący, nabrzmiały radością powitań, przejęty świętą cichością szczęścia, płynął niepowstrzymanie.

Gdziesik w nocy, w rozpachnionych sadach czy na polu, fujarka zaświergotała tęskną nutą, jakby do wtóru tym szeptom, i całunkom, i radościom.

Zaś na moczarach żaby rechotały wielkim chórem, niekiedy jeno przerywanym, a drugie, we stawie przymglonym kiej oko zasypiające, odpowiadały im przeciągłym, sennem, coraz cichszem hukaniem... aż dzieci, baraszkuje po drogach, jęły się z niemi przemagać i krzyceć, przekomarzając:

Reh! reh! reh!

Bocian zdechl!

Ja rada, ty rada, obie my rade!

Rade! rade! rade!...

.

VIII.

Dzień wstawał cudny, ciepły a jędrny, niby ten chłop dobrze wyspany, któren, ledwie przecknąwszy, na równe nogi się zrywa i szepcząc pacierze, trąc oczy a ździebko poziewając, za robotą się rozgląda.

Słońce wschodziło pogodnie; czerwone i ogromne, zwolna wtaczało się na wysokie niebo, jakoby na to pole nieobjęte, kaj w sinych oprzędach mgieł leżały nieprzeliczone stada białych chmur.

I wiater się już wałęsał po świecie, kieby ten gospodarz, budzący wszystko na świtaniu; przegarniał zboża pomdlałe, dmuchał we mgły, że rozpierzchały się na wsze strony, targał obwisłemi gałęziami, kajś na rozstajach huknął, to chyłkiem przebrał się ku uśpionym jeszcze sedom i rymnął w gąszcze, że z wiśni posypał się ostatni okwiat i kiej śnieg trząśł się na ziemię, kiej lzy na wody stawu padał.

Ziemia się budziła, ptaki zaśpiewały w gniazdach, drzewa też jęły szemrać niby tym pacierzem pierwszym; kwiaty się otwierały, podnosząc do słońca ciężkie, zwilgocone i senne rzęsy, a lśniące rosy sypały się gradem perlistym.

Długi a luby dygot zatrząśł wszystkim, co znowu się budziło do życia, zaś gdziesik z ziemi, ze dna wszelkiego stworzenia buchnął niemy krzyk i jak głucha blyskawica przeleciał nad światem, jak kiedy człowieczą duszę w twardym śpiku zmora dusi, że targa się, stracha, zamiera, aże raptem oczy ozewrze na słoneczną świa-

tłość i krzykiem szczęsnego oniemienia dzieñ wita i to, że między żywemi jest jeszcze, niepomma, jako to nowy dzieñ trudów a boleści, jak wczoraj było, jak z jutrem przyjdzie, jak zawdy będzie...

Więc i Lipce jęły się budzić i rażno zrywać na nogi; niejedna głowa rozczochrana wyzierała, wodząc zaspalnemi oczyma po świecie; kajś już się myli przed chałupami, to po wodę do stawu wypadały rozdzielane jeszcze kobiety, ktośik drwa rąbał; wozy też wytaczano na drogę, dymy niekajś wykwiwały z kominów, a tu i owdzie roznosiły się krzyki na leniących się wstawać.

Rano było jeszcze, słońce ledwie co na parę chłopca wyniesło się nad wschodem i z boku, przez mrocznawe sady, bodło czerwonymi płomieniami, a już ruchano się wszędy galanto.

Wiater się kajścić zapodział, że w lubej cichości wszystko się syciło rzeźwym, pachnącym porankiem, słońce grało we wodach i rosy skapywały z dachów sperlonemi sznurkami, jaskółki śmigwały w czystem powietrzu, boćki leciały z gniazd na żer, kokoty piały po płotach, wytrzepując radośnie skrzydłami, a gęsi z gęgotliwym krzykiem wywodziły młode na staw szcerwieniony. Bydło ryczało po oborach, zaś wszędy przed progami a w opłotkach doili pośpiesznie krowy i z każdego obejścia wyganiali inwentarz na drogi, że szedł kolebiąco, rycząc przeciągle a cochając się o płoty i drzewa, zaś owce z zadartemi łbami, pobekując, cisnęły się środkiem drogi w tumanie kurzu. Spędzali wszystko na plac przed kościołem, kaj paru starszych chłopaków na ko-

niach, trzaskając batami i klnąc siarczyście, oganiało rozłażące się stado i wrzeszczało na opóźnionych.

A kiej ruszyli, stłaczając się na łopolewej, bo jaże pod lasem leżały wspólne pastwiska, przykryła ich kurzawa orosiła i czerwonawo mieniąca się w słońcu, że jeno beki owiec i pieskowe szczekania rwały się z ciężkich tumanów, znacząc drogę, kaj się podzieli.

Zaś pokrótce za niemi i gęsiarki wypędzały białe, rozgęgane stada, to ktosik cielną krowę wiódt na miedzę, albo konia spętanego prowadził za grzywę na ugory.

Ale i potem niewiele się przyciszyło, że to wieś jęła się szykować na jarmarek. Było to jakoś w tydzień po powrocie chłopów z kreminalu.

Wszystko już w Lipcach wracało zwołna do dawnego, jakoby po tej burzy srogiej, co szkód narobiła niemałych, że naród, ochłonawszy z trwogi, wyrzekając a żaląc się na dolę, imał się po ździebku pracy wetującej.

Juści, co nie szło jeszcze, jak było iść powinno, chociaż chłopcy już ujęły rządy w swoje kwarde ręce, jeszcze się bowiem lenili niecoś poranić, do późna nieraz wylegując się pod pierzynami; jeszcze niejeden często gęsto do karczmy zaglądał, niby to nowin zasięgając w sprawie; jeszcze ten i ów pół dnia przewalał po wsi i przegadał z kumami, a zaś drugie spychali jeno co pilniejsze roboty, boć niełacno było po tylem próżnowaniu brać się na ostro — ale już co dnia przemieniało się na lepsze, co dnia puściej robiło się w karczmie i po drogach i co dnia gęściej mus chytał za lby i przyginal do ziemi, do ciężkiej, znojnjej pracy zaprzęgając.

Ze zaś dzisiaj akuratnie wypadła jarmarek w Tymowie, to mało kto do roboty wychodził, szykując się na niego.

Przednowek wcześniej latoś zawitał i tak ciężki, jaże skwierczało po chałupach, więc co jeno kto miał jeszcze do przedania, śpiesznie wyprowadzał, zaś drugle szły la zgwarzenia się ze somsiady, la obaczenia świata i wypicia choćby tego kieliszka.

Każden miał swój frasunek, a kajże się to naród pocieszy, wyżali, skrzepi, a nowin dowie, jeśli nie na jarmarku lebo na odpuście?...

Więc skoro powypędzano inwentarze na paszę, zaczęli się zbierać, rychtować wozy, a wychodzić, kto piechty iść musiał.

Biedota ruszyła najpierwej, bo Filipka z płaczem pognęła sześć starych gęsi, oderwanych od młodzi, ledwie co porosłej, że to chłop zachorzał po powrocie i do garnka nie było co wstawić.

Któryś też z komorników ciągnął za rogi jałowicę, co się była teraz na zwiesnę pognęła... Że zaś bieda ma długie nogi a ostre pazury, to Grzela z krzywą gębą, choć na ośmiu morgach siedział, a dojną krowę poprowadził na powrośle, somsiad zaś jego, Józek Wachnik, maciorę z prosiętami popędzał.

Ratowały się chudziaki, jak jeno mogły, bo już niejednego tak przypierało, że ostatnią koninę wyprowadził, jak to Gulbas musiał, sprocesowała go bowiem Balcerkowa za piętnaście rubli, które był kiejs pożyczyl na krowę i teraz gotowym wyrokiem groziła, że wśród pła-

czów całej rodziny a wyrzekani i gróźb, siadł nieborak na kasztanka i przedawać go pojechał.

Wozy się zwolna wytaczały jeden za drugim, boć i gospodarze wywozili, co któren miał, gdyż wójt o podatki wołał i karami straszył, zaś gospodynie też się wybierały ze swoim dobrem, że często gęsto kokoszki gdały z pod zapasek lub tęgi gęsior zasyczał z wasąga, a drugie piechty idące, jajka niesły w chustach, to masło, kryjomo przed dziećmi zbierane, a poniektóre to i święteczne wełniaki lub zbędne płótna dźwigały na plecach.

Bieda ano popędzała, a do żniw, do nowego, było jeszcze daleko.

Tak się wszystkim śpieszyło, że nawet msza odprawiała się dzisiaj znacznie wcześniej. Jeno parę kobiet klęczało przed ołtarzem, nie mogąc nadażyć za księdzem, bo ledwie odmówiły na Podniesienie, a już Jambroź gasił świece i kluczami podzwaniał.

Tereska żołnierka, która z jakąś sprawą przyszła do proboszcza, trafiła rychtyk, kiej już wychodził na śniadanie. Nie śmiała go juści zaczepić, więc jeno stała pod sztachetami, wypatrując, kiej się na ganku pokaże. Nim się jednak zebrała przystąpić, siadł na bryczkę i przykazywał ostro ruszać do Tymowa.

Westchnęła żałościwie, długo patrząc na topolową, kaj kurz wisiał i szarą chmurą kładł się na pola; wozy turkotały coraz dalej, a ino czerwień kobiet, ciągnących gęsiego nad drogą, mignęła niekiedy między drzewami.

Lipce ścichły pokrótce, młyn nie turkotał, kuźnia stała zamknięta i drogi do cna opustoszały, bo kto ostał, dłuwał cosik w obejściach i na ogrodach za chałupami.

Tereska, sielnie sfrasowana, wróciła do domu.

Mieszkała za kościołem, pobok Mateusza, w chalupinie o jednej izbie z półsionką, gdyż drugą przy działkach brat oderznął i przeniósł na swój grunt, że kiej rozcięte wpoprzek żebra sterczały przepiłowane ściany i dach, przypierające do okopconego komina.

Dojrzała ją z proga Nastka, że to ino wąski sadek ich dzielił.

— No cóż? co ci wyczytał? — zawołała, biegnąc ku niej.

Tereska z przełazu opowiadała, co ją spotkało.

— A możeby organista przeczytał?... pisane musi poredzić.

— Juści co poredzi, ale jak tu z gołemi rękoma iść do niego?

— Weź parę jajków.

— Matka wszystkie ponieśli do miasta; kacze ino zostały.

— Nie turbuj się: weźmie on i kacze.

— Poszłabym, a czegoś się boję! Bym to wiedziała, co tu napisane! — Wyjęła z za gorsu list od męża, którego był jej wójt przywiózł wczoraj wieczorem z kancelarji. — Co tam może stoić?

Nastka wzięła jej z rąk zaczerwionny papier i przykucnąwszy pod przełazem, rozpostarła go na kolanach i znowu z niemałym trudem próbowała odczytywać. Tereska przysiadła na żerdce i wsparłszy brodę na pięściach, patrzyła z lękiem na te jakieś kreski, z których tyle jeno Nastka wysylabizowała, że pochwalony stało na początku.

— Nie rozbię więcej, to darmo. Mateusz toby pewnikiem poredził.

— Nie, nie! — poczerwieniała strasznie i cicho jąła prosić: — Nie mów mu o liście, Nastuś, nie powiadaj...

— Żeby drukowane, to na każdej książce przeczytam, litery znam dobrze i baczę, jaka która jest, ale tutaj niczego złożyć nie poredzę: same jakieś kulasy i wykrętasy, jakby muchę uwalaną w czernidło puścił kto na papier.

— Nie powiesz, Nastuś, co?

— Dyc już ci wczoraj rzekłam, że nic mi do waju. Wróci twój z wojska, to i tak wszycko musi się wydać! — rzekła, powstając.

Tereska jakby się zachlusnęła płaczem, że ino robiła gardłem, słowa nie mogąc wydobyć.

Nastka cosik zeżłona odeszła, kury zwołując po drodze, a Tereska, zawiązawszy w węzelek pięć jajek kaczyczych, powlekła się do organisty.

Ale nieletko jej być musiało, przystawała co trocha i kryjąc się w cieniu, z bojażnią wpatrywała się w niezrozumiałe litery listu.

— A może go już puszczają?...

Trwoga chwytala ją za gardło, nogi się uginały, serce się tak rozpaczliwie tłukło, że przyciskała się do drzew, zapłakanemi oczyma biegając jakby za ratunkiem.

— A może ino o pieniądze pisze!

Szła coraz wolniej; męzowy list tak jej ciężył a pa-

rzył, co ciągiem przekładała go z za gorsu do rąk i aż w róg chustki zawinęła.

U organistów jakby nikogo nie było: drzwi stały powywierane do pustych izb, że tylko w jednej, kaj okno było przysłonięte spódnicą, ktosik chrapał rozgłośnie z pod pierzyny. Z nieśmiałością przesunęła się przez sień, rozglądając się po podwórzu, tylko dziewczka siedziała przed kuchnią z kierzanką między kolanami, masło wybijając i oganiała się gałęzią przed muchami.

— A kaj to pani?

— Na ogrodzie, zaraz ją tu posłyszycie...

Tereska pobok stanęła, miętosząc list w rękę i chustkę naciągając barzej na czoło, gdyż słońce wylażyło z za budynków.

Z księżego podwórza, płotem jeno odgradzonego, roztrzęsały się wrzaskliwie głosy drobiu, kaczki trzepały się w kałużach, młode indyczki biadoliły kajściś pod płotem, zaś indory, gulgocąc, rozczapierzały skrzydła, podskakując zajadle ku prosiętom, wylegującym w błocie, gołębie podrywały się z przed stodoły, krążyły w powietrzu i spadały co trocha na czerwone dachy plebanji, kiej ta chmura śniegowa. Wilgotnawe a rześwe ciepło buchało z pól, sady rozkwitłe pławiły się w słońcu, jabłonie, obwalone kwiatem, wynosiły się z zieleni, kiej białe chmury, opylone zorzami; pszczoły z cichuśkim brzękiem leciały na pracę, kajś już i motyl zamigotał, kiej ten płatek kwiatowy, to stado wróbli z niemalym wrzaskiem spadało z drzew na płoty.

Teresce naraz lży się puścili z oczu i ciurkiem po-ciekły.

— Organista jest w domu? — spytała, twarz odwracając.

— A kajby. Dobrodziej wyjechał, to się wyleguje, kiej ten wieprz.

— Dobrodziej pewnie na jarmark?

— Juści, byka mają kupować.

— A mało to już ma różnego dobra? co?

— Kto ma dosyć, to chciałby jeszcze więcej — mruknęła dziewczka.

Tereska zmiłła, zrobiło się jej strasznie żałośnie, że to ludzie mają wszystkiego po grdykę, a ona ledwie się pożywi, głodując często.

— Gospodyni idą! — zawołała dziewczka, ruchając mocno kozielkiem w kierzance, jaże śmietana wypryskiwała wokoło.

— To twoja sprawka, próżniaku!... umyślnie puściłeś konie w koniczynę! — rozległ się w sadzie jazgotliwy głos organiściny. — Nie chciało ci się na ugór pędzić. Jezus, że to na nikogo się spuścić nie można! Ze dwa pręty koniczyny spasiono! Czekał, powiem zaraz, a wuj takie ci fryko sprawi, darmożjadzie jeden, że popamiętasz.

— Wygnałem na ugór, sam spętałem i na lince przywiązałem do kółka!

— Nie cygań. Wuj się z tobą rozmówi, no...

— Ja nie wygnałem, mówię ciotce.

— A kto? ksiądz może? — wrzeszczała urągliwie.

— Zgadła ciotka: ksiądz wypasł swojemi końmi — podniósł głos.

— Wściekł się!... przywrzyj pysk, żeby się nie roz-
niesło!

— Nie przywrę, w oczy mu powiem, bo widzia-
łem. Ciotka na mnie krzyczy, a to ksiądz wypaśł. Po-
szedłem do dnia po konie: gniady leżał, a klacz się pa-
sła; były tam, gdzie je zostawiłem na noc. Dosyć zosta-
wiły śladów, można sprawdzić, jeszcze gorące. Rozpę-
tałem je i wsiadłem na gniadego, a tu widzę, że w na-
szej koniczynie jakieś konie. Świtało dopiero, dostałem
się przegonem pod księży ogród, żeby im drogę zastą-
pić, wyłażę na drózkę Kiębową, a tu proboszcz stoi
z brewjarzem, rozgląda się dokoła i raz poraz popędza
je batem coraz głębiej w koniczynę, to...

— Cicho, Michał! Słyszane to rzeczy, żeby sam
ksiądz... Dawno już mówiłam, że to siano w przeszłym
roku... cicho, tam jakaś kobieta stoi.

Potoczyła się naprzód śpiesznie, właśnie i organi-
sta krzyczał z pod pierzyny na Michała.

Tereska oddała jej węzełek z jajkami, a podejmu-
jąc za nogi, prosiła nieśmiało o przeczytanie listu od
męża.

Kazała jej zaczekać.

A dopiero w parę dobrych pacierzy zawołano ją
do izby. Organista, rozmamłany całkiem, w gaciach jeno,
popijając kawę, jął czytać.

Słuchała z zamierającym sercem, bo właśnie mąż
jej zapowiadał swój powrót na żniwa, razem z Kubą
Jarczykiem z Wólki i z Grzelą Borynowym. List był
pocziwy, troskał się o nią, wypytywał o wszystko, co się
dzieje w domu, przesyłał pozdrowienia znajomym i bu-

chał radością powrotu, a wkońcu Grzela dopisywał, prosząc, by zawiadomiła jego ojca o powrocie. Chudziaczek nie wiedział, co się stało z Maciejem.

Zaś Tereskę te ciepłe, pocziwe słowa prażyły kiej baty i do ziemi przyginały. Mocowała się, by nie poznali po niej, by zdzierżyć spokojnie tę wieść straszną, ale zdradliwe lzy same jakoś pociekły rozpalonemi paciorkami.

— Jak się to cieszy z powrotu chłopca! — szepnęła urągliwie organiścina.

Teresce jeszcze rześystszy grad posypał się z oczu. Uciekła biedota, aby krzykiem nie wybuchnąć i długo się tuliła kajś w opłotkach.

— Co ja teraz pocznę, sierota? co? — wyrzekąła z bezradną żalością.

Juści, chłop wróci, dowie się o wszystkim! Strach ją porwał, jako ten zły, luty wicher. Jasiek był pocziwy, ale zawzięty jak wszystkie Płoszki: krzywdy nie przepuści, jeszcze go zabije! Jezus, ratuj, Jezus! Ani pomyślała o sobie. Popłakując a szarpiąc się w sobie, znalazła się u Borynów. Hanki nie było: pojechała do miasta jeszcze wczas rano; Jagna też u matki robiła, że w chalupie była jeno Jagustynka z Józią: płótno zmoczone rozpościerały w sadzie.

Powiedziała o Grzeli, chcąc się wynieść czem prędzej, ale stara odwiedła ją na bok i dziwnie dobrotliwie szepnęła:

— Tereska, opamiętaj się, miejże rozum, ozorów złych nie utniesz... Jasiek wróci, to się i tak dowie. Po-

miarkuj, parobek na miesiąc, a mąż na całe życie! Dobrze ci radzę.

— Co wy powiadacie? co? — bełkotała, niby nie rozumiejąc.

— Nie udawał głupiej, wszyscy wiedzą o was, Mateusza odpraw póki czas, to Jasiek nie uwierzy, stęsknił się do ciebie, łacno wmówisz, co ino zechcesz. Mateusz się znarowił do twojej pierzyny, ale przecie nie przyrósł, wypędź go, póki czas. Nie bój się, Jasiek też nie ułamek... A kochanie przejdzie jako ten dzień wczorajszy, nie wstrzymasz, choćbyś życiem płaciła; kochanie to jeno suta omasta przy niedzieli; jedz co dnia, a rychło ci zmierznie i odbekiwać będziesz. Kochanie płkanie, a ślub grób — powiadają. Może i prawda, jeno że ten grób z chłopem i dzieciškami lepszy, niżli wolność w pojedynkę. Nie bucz a ratuj się, póki pora. Jak cię twój bez to kochanie sponiewiera i z chałupy wygna, kaj to pójdiesz? We świat na zatracenie i pośmiewisko! Hale, pomieniał się stryjek za siekierkę kijek! Zlecisz z woza, to biegnij potem za rozworą z wywieszonym ozorem! Pod wiatr rychło dech stracisz i sił się wyzbędziesz i rychło cię odjadą! Głupia, kaźden chłop ma portki, Mateusz mu czy Kuba, kaźden jednako przysięga jak sięga, kaźden jak miód, pókiś mu miła. Pomiar-kuj sobie i do głowy weź, co mówię, wujnam ci przecie i dobra la ciebie pragnę.

Ale Tereska już nie mogła wytrzymać, uciekła w pole i buchnąwszy gđziesik w żyto, tam dopiero popuściła żalom i płakaniom.

Darmo próbowała rozważać słowa starej, gdyż co

chwila chwycił ją taki żal za Mateuszem, że z rykiem tłukła się po brózdzie, jako ten poraniony zwierz.

Dopiero jakieś niedalekie wrzaski podniosły ją na nogi.

Jakby przed wójtową chałupą rozlegała się sroga kłótnia.

Juści: to wójtowa z Kozłową przezywały się od ostatnich.

Stojały naprzeciw siebie, płotami a drogą podzielone, w koszulach jeno i wełniakach, a ledwie już zipiąc ze złości, pomstowały ze wszystkiej mocy, pięściami do siebie wygrażając.

Wójt konie zakładał do wasąga, zagadując niekiedy do chłopca z Modlicy, siedzącego w ganku, któren jaże tupał z uciechy, pokrzykując judząc na kobiety.

Krzyki roznosiły się daleko, że kiej na dziwowisko zbiegali się ludzie: sporo już ich stało na drodze, a z poza wszystkich płotów sąsiedzkich i węgłów wyściubiały się głowy.

Bo też kłóciły się, że niech Bóg broni! Wójtowa, cicha zazwyczaj i zgodliwa kobieta, jakby się dzisiaj wściekła, srożyła się coraz barzej, zaś Kozłowa z rozmysłu nieco przycichała i nie przepuszczając niczego, żgała powołusku, naśmiechliwemi słowami.

— Jazgocz se, pani wójtowo, jazgocz, pieski cię nie przeszczekają! — wołała.

— A bo to pierwszy raz, a bo to drugi! Niema tygodnia, by mi co z chałupy nie zginęło! Kokoszki nieśne, kurczęta, kaczki, a nawet stara gęś, że już nie wypowiem tych szkód na ogrodzie i w sadzie! A bodajś się struła

moją krzywdą! żeby cię pokręciło! żebyś stergła pode płotem...

— Ozdzieraj się, wrono, krzycz, to ci ulży, pani wójtowo...

— A tom dzisiaj! — zwróciła się do Tereski, wyłażającej na drogę — a tom rano pięć kawałków płótna wyniesła na bielnik. Zachodzę po śniadaniu, aby je zmoczyć. Brakuje jednego! Szukam! Jakby pod ziemię się zapadł! Dyć kamieniami przycisnęłam, a wiatru nie było! Płotno cieniuśkie, paczesne, że kupne nie byłoby lepsze i zginęło!

— Kiej świni tłuszcz ci ślepie zalewa, toś niedojrzała!...

— Boś mi płótno ukradła! — wrzasnęła.

— Ja ci ukradłam! Powtórz to jeszcze, powtórz!

— A ty złodzieju jeden! Przed całym światem zaświarczę. Przyznasz się, kiej cię w dybach do kreminalu popędzą.

— Złodziejką me przeżywa! Słyszta ludzie! Do sądu podam, jak Bóg w niebie, wszyscy słyszeli. Ja ci ukradłam, masz świadki, ty torbo?...

Wójtowa, chwyciwszy jakiś kółek, na drogę wypadła i docierając kiej pies rozwścieczony, jazgotała zajadle:

— Ja ci kijem przytwierdzę! ja ci zaświarczę! jak ci...

— Podejdz, pani wójtowo! Tknij me jeno, świńska kumo! tknij me, ty sobacza pokrako — zawrzeszczała, wybiegając naprzeciw.

Odepchnęła męża, któren ją powstrzymywał i rozkraczywszy się, pod boki się ujęła, krzycząc urągliwie:

— Bij me, bij, a kryminal cię nie minie, pani wójtowo!...

— Zawrzyj pysk, bym cię prędzej do kozy nie zapakował! — krzyknął wójt.

— Psy se wściekle zamykaj, boś od tego, babę swoją weź lepiej na postronek, by się ludzi nie czeptała! — gruchnęła, nie mogąc już wytrzymać.

— Urzędnik do cię mówi, pomiarkuj się, kobieto! — zawołał groźnie.

— Gdziesik mi twój urząd — rozumiesz! Groził mi będzie, widzisz go, sameś może płótno wzion la jakiej kochanicy na koszulę. Gromadzkich pieniędzy już ci nie starczyło, boś je przechlał, pijanico. Nie bój się, wiedzą, co wyrabiasz. Posiedzisz se i ty, panie urzędniku, posiedzisz!

Ale tego już było za wiele la obojga, że kiej wilki skoczyli na nią; pierwsza wójtowa chlasnęła ją kijem przez pysk i z dzikim kwikiem w kudły się wczepiła pazurami, zaś wójt jął prać pięściami, kaj popadło.

Bartek w ten mig skoczył na pomoc swojej.

Zwarli się kiej psy w nierozplątana kupę, że ani rozeznał, czyje pięście młóć kieby cepami, czyje głowy się taczają i czyje są krzyki. Przywarli się do płota i przetoczyli się znowu na drogę, kiej snopy, wichurą zakręcone, aż wkońcu, zmagając się coraz zajadlej, runęli na ziem, w piasek.

Kurz ich zakrył, iż jeno krzyki a pomstowania się

rozlegały: tulali się po drodze, bijąc a wrzeszcząc wniebogłosy.

Czasem ktosik wyrywał się z kupy, czasem i wszystkie naraz podnosiły się na nogi, a chytając w garście, co popadło, znowu bili na siebie, za lby się wodząc, za orzydłę, za szpondry.

Wrzask się rozniósł na całą wieś, wystrachane kury gdakały po sadach, psy jęły szczekać, baby podniosły lamenty, tłocząc się dokoła bezradnie, aż dopiero nadbiegłe chłopcy rozerwali bijących.

Co tam było jeszcze przekleństw, płaczów, a wygrażań, to i nie wypowiedzieć. Somsyadi porozlatywali się zaraz, aby ich na świadków nie podano; ale rozpowiadali wszędy, niby pod sekretem, jak wójtowie srodze zbili Kozłów.

A nie wyszło i paru pacierzy, wójt z zapuchłym pyskiem, wraz z kobietą też niezgorzej zasinioną i podrapaną, pierwsi pojechali, skargę podawać. Zaś dopiero w jaką godzinę ruszyli Kozłowie.

Stary Płoszka, nawet wielce chętnie, bo za darmo, zgodził się ich powieźć do miasta, byle się jeno po przyjacielsku przysłużyć wójtowi.

Jechali podawać skargę, więc jak się byli podnieśli z bitki, ni żdziebka się nie ogarniając, tak ruszyli.

Umyślnie też przez wieś jechali stępa, by móc rozpowiadać swoje krzywdy, a rany okazywać każdemu, kto jeno chciał patrzeć.

Koziół miał łeb rozwalony do kości, jaże mu krew zalewała całą twarz, szyję i piersi, widne z pod poroz-

rywanej koszuli. Nie wiele go już bolało, ale co trocha, za boki się chwycił i przeraźliwie wrzeszczał:

— Laboga, nie zdzierzę! Wszystkie ziobra mi przetrącił! Ratujta, ludzie, ratujta, bo pomrę!...

A Magda wtórowała lamentliwie:

— Kłonicą go prał! Cichoj, chudziaku! sponiewierał cię kiej psa, ale jest jeszcze sprawiedliwość i kara na zbójów, jest! Cichoj, mizeraku! dobrze ci on zapłaci! Na śmierć chciał go zabić, widzieli ludzie, ledwie go obronili, to zaświarczą w sądzie pocziwie! — darła się, raz po raz wybuchając strasznym rykiem, a tak była sponiewierana, że ledwie ją poznawali. Z gołym łbem jechała, włosy miała powyrywane wraz ze skórą, naderwane uszy, oczy zakrwawione i całą twarz podartą pazurmi, jakby ją kto pobronował, że choć wiedzieli, co to za ziółko, a niejeden szczerze się litował.

— Żeby tak pobić ludzi, no!

— Wstyd i obraza boska, toć ledwie żywi jadą.

— Niezgorzej poszlachtowani, co? I rzeźnik lepiej nie poredzi... Ale panu wójtowi przecie wszystko wolno, nie urzędnik to, nie figura? — dorzucał urągliwie Płoszka, zwracając się do narodu.

Stropili się tem wielce, bo choć Kozły dawno już przejechali, wieś jeszcze długo nie mogła się uspokoić.

Tereska, która ze strachu schowała się w czas bitki, wylazła skądciś dopiero, kiej już obie strony pojechały do sądów.

Zajrzała zaraz do Kozłów, że to Bartek pociotkiem jej wypadł z matczynej strony. W chałupie nie było ni-

kogo, jeno na dworze, pod ścianą, siedziało tych troje dzieci, przywiezionych z Warszawy.

Tuliły się do siebie, lapczywie ogryzając ziemniaki niedogotowane, a broniąc się piskiem i łyżkami od prosiąt. A tak były zabiedzone, wychudłe i obrosłe brudem, jaże litość ją wzięła. Przeniesła je do sieni, a pozawierawszy drzwi, już w dyrdy poleciała z nowinami.

U Gołębiów jeno Nastka była.

Mateusz jeszcze przed śniadaniem poszedł był do Stacha, Bylicowego zięcia. Właśnie wraz z nim penetrował rozwaloną chałupę, czyby się nie dała podnieść. Bylica chodził za nimi, jękając niekiedy swoje.

Pan Jacek zaś siedział jak zawdy na progu, papierosa kurzył i pogwizdywał na gołębie, kołujące nad trześniami.

Słońce się już podnosiło ku południowi, ciepło było galante.

Nagrzane powietrze mieniło się nad polami, kiej woda, zboża i sady stały jakby w słońce zapatrzone, że jeno niekiedy z trześni Bylicowych spadał okwiat, chwając się na trawach, niby biały motyl.

Dochodziło południe, kiej Mateusz skończył oglądanie, a dzióbiąc toporem jeszcze tu i owdzie po bokach, rzekł stanowczo:

— Zetlałe do cna, samo próchno, nic z tego nie postawi, to darmo...

— Dokupiłbym niecoś nowego, możeby... — szepnął błagalnie Stacho.

— Dokupcie na całą chałupę, z tego gnoju nie wybierze ni jednego bala.

— Bójcie się Boga!

— Dyć przyciesie jeszczeby wytrzymały, węgary jeno dać nowe... ściany teżby podporami wesprzeć... kłamrami ściągnać... dyć... — jękał stary Bylica.

— Kiejście taki majster, to sobie stawiajcie, ja z próchna nie poredzę — rzucił gniewnie, naciągając spencerek.

Nadeszła na to Weronka z dzieckiem na ręku i jęła wyrzekać:

— A cóż my teraz poczniemy, co?

— Ze dwa tysiące trzebaby na nową! — westchnął frasobliwie Stacho.

— Hale, cheba o jednej izbie ze sionką.

— Przecie cośbym drzewa dostał z naszego lasu... juści, żeby tylko chyla tyła... a resztę dokupię... juści... chwaciłoby... W urzędzie prosić...

— Dadzą to teraz, kiej bór w procesie!... przecież nawet zbieraniny wzbronili. Poczekajcie z chałupą do końca sprawy! — radził Mateusz.

— Czekaj tatka latka, a kajże się to na zimę podziejem? kaj? — wybuchnęła Weronka i zapłakała żałośliwie.

Pomilkli. Mateusz zbierał swoje porządki ciesielskie, Stacho drapał się w głowę, a Bylica nos wycierał za węglem, że w tej smutnej cichości jeno Weronczyn płacz chlpał.

Naraz pan Jacek się podniósł i głośno rzekł:

— Nie płaczcie, Weronka, drzewo się na chałupę znajdzie.

Ostąpieli, stając z rozdziawionymi gębami, aż do-

piero Mateusz pierwszy się pomiarkował i śmiechem gruchnął:

— Mądry obiecuje, a głupi się raduje! To głowy nie ma kaj przytulić, a chałupy będzie drugim rozdawał! — powiedział ostro, zpedelba patrząc na niego, ale pan Jacek już się nie ozwał, siadł znowuj na progu, zakurzył papierosa i jak przódzi, skubiąc bródkę, po niebie wodził oczyma.

— Poczekajta ino, a niezadlugo i cały folwarczek wama przybieca.

Zaśmiał się Mateusz i rzuciwszy ramionami, poszedł.

Na lewo się wziął zaraz z miejsca, ścieżką, wiodącą pod stodołami.

Mało ludzi robiło dzisiaj na ogrodach, bo jeno kajś niekaj czerwieniła kobieta, albo jakiś chłop naprawiał dach, to cosik majdrował we wrótniach stodół, powywieranych na pola.

Nie śpieszno było Mateuszowi, gdyż rad przystawał, poredzając z chłopami o wójtowej bitce, do dzieuch zęby szczyrzył i wesoło zagadywał, a gdzie znów babom tak trefnie przysolił, jaże śmiech zarechotał na ogrodach, że niejedna wzdychając, szła za nim oczyma.

Jakże, urodny był i wyrosły kiej dąb, a jakby król wszystkich we wsi parobków, bo i moczcz po Antku Borynie pierwszy i tanecznik równy Stachowi Płoszce, a i mądrala. Że zaś przytem sprawny był do każdej roboty, bo i wóz zrobił, i komin postawił, i chałupę wyrychtował, i na fleciku pięknie wygrywał, to chociaż prawie nie miał grontu i grosz się go nie utrzymał, iż

szczodry był la drugich, a niejedna matka radaby z nim przepiła: choćby całego cielaka, by go jeno na zięcia przysposobić, zaś niejedna dziewczyna już go przypuszczała do podufałości, rachując, co potem prędzej zaniesie na zapowiedzie.

Ale na nic szły wszystkie zabiegi, z matkami pił, z córkami jamorował, a od ożenku wykręcał się kiej pi-skorz.

— Nie łącno wybrać, bo każda dobra, a jeszcze lepsze podrastają, poczekam... — powiadał swachom, rającym mu różne dzieuchy.

A zimą zmówił się był z Tereską i żył z nią prawie na oczach wszystkiej wsi, nie bacząc na gadania ni pogrozy.

— Wróci Jasiek, to mu ją oddam, jeszcze gorzałki postawi, zem mu kobiety pilnował — prześmiewał się z przyjaciół jakoś wkrótce po powrocie, że to już przykrzyła mu się i zwolna od niej odstawał.

I teraz, na obiad idąc, dłuższą drogę wybrał, by se po drodze pożartować z dzieuchami a uszczypnąć, którą się da.

I całkiem niespodzianie natknął się na Jagnę: pella cosik na matczynym ogrodzie.

— Jagusia! — wykrzyknął radośnie.

Jagusia podniosła się i strzeliła nad zagonem kiej ta malwa wysmukła.

— Żeś to me dojrzał? Cie, jaki prędki, już tydzień we wsi, a dopiero...

— Dyc jeszcze śliczniejsza! — szepnął z podziwem.

Ugięta była do kolan, z pod czerwonej chusty, pod brodą zawiązanej, modrzały ogromne, słodkie oczy, białe zęby grały w wiśniowych wargach i cała gębusia, zarumieniona kiej jabłuszko a śliczna, jaże się prosiła o całowanie. Ujęła się hardo pod bok i biła w niego skrzącemi ślepiami z taką mocą, że dreszcze go przeszły. Obejrzał się dokoła i bliżej podszedł.

— Od tygodnia cię szukam i wypatruję po próżnicy.

— Cygań se psu, to ci może uwierzy. Co wieczór zęby suszy po opłotkach, co wieczór innej basuje, a teraz będzie mi co inszego wmawiał!

— Tak mię to Jaguś witasz? co? tak?...

— Jakże to mam inaczej? Może cię za kolana podjąc i dziękować, żeś se o mnie przypomniał?

— Baczę, jakieś to me łoni przyjmowała.

— Co było łoni, to nie teraz — odwróciła się, twarz kryjąc, a on się przysunął nagle, obejmując ją chciwemi rękoma.

Wyrwała mu się z gniewem.

— Poniechaj, bo mi Tereska ślepie wydrapie za ciebie!

— Jagusia! — ledwie jęknął.

— Do swojej żołnierki wróc se z jamorami... wysługuj się, póki tamten nie wróci. Odpasła cię w kreminalu, naszkodowała się na ciebie, to jej teraz odrabiaj! — cilała kiej batem, a tak wzgardliwie, że Mateusz zapomniał języka w gębie.

Wstyd go przejął, poczerwieniał kiej burak, przygiął się i uciekł poprostu.

A Jagnę, choć powiedziała, co czuła i z czem się już cały tydzień nosiła, żal teraz ogarnął: nie myślała, iż się ozgniewa i pójdzie sobie.

— Głupi, przecie ja ino tak sobie powiedziałam, przez złości! — myślała, markotnie patrząc za nim. — I żeby się zaraz ozgniewać! ...Mateusz!

Ale nie usłyszał, śmigając przez sad, jakby poszczuty.

— Zła osa, ścierwo! — mruczał, lecąc już prosto do domu. Gniew nim miotał naprzemian z podziwem. Jakże, zawdy była taka trusia, gęby ozewrzeć nie porzdziła. Toć go sponiewierała kiej psa! Wstyd nim zatrząś, że obejrzał się, czy aby kto nie słyszał jej pyskowania.

— Tereskę mu wypomina! Głupia!... co mu ta żolnierka?... zabawa i tyla! A jak to ślepiami sypnęła! jak to harno pod bok się ujęła! jak to buchnęło od niej lubością!... Jezu, i w pysk wziąć od takiej nie wstyd, bele się jeno dostać do miodu... — Cięgotki go wzięły, zwolnił kroku przed chałupą.

— Ozgniewała się, zem o niej przepomniał... Bogać, com winowaty... i o Tereskę... — skrzywił się jak po occie. Dosyć już miał tej plaksy, zbrzydły mu te ciągle kwiki. Nie ślubował przecie, by się jej musiał trzymać, jak ten ogon krowy! Ma przecie chłopca! I ksiądz gotów go jeszcze wypomnieć z ambony! Z taką to i człowiek flaczeje. Psiakrótką z temi babami! — srożył się w sobie.

Obiad się dopiero dogotowywał, skrzyczał więc Nastkę za mitręzenie i zajrzał do Tereski. Właśnie krowę

doiła w sadzie; podniosła na niego oczy dziwnie smutne, ledwie co obeschle z płaczu.

— Czegoś to buczała?

Tłumaczyła się cicho, miłującemi oczyma ogarniając twarz jego.

— Wymionbyś lepiej pilnowała, strzykasz ano mlekiem na wełniak!

Kwardy był dzisiaj i przez dobroci, że łamała sobie głowę, co mu się stało, sprawując się już kiej trusia, gdyż za każdym odezwaniem złością pryskał i ślepiami toczył.

Niby tó czegoś po sadzie szukał i kole domu, a głównie przyglądał się jej kryjomo, dziwując się coraz bardziej:

— A gdzież to miałem oczy? Takie to cherlawe i wymiękle... Ni to z pierza, ni z mięsa! Gnat rozkwaszony. Cyganicha prosto. Ni postury, ni...

Prawda, jedne oczy to miała piękne, równe może Jagusimym, ogromne, jasne kiej niebo i czarnemi brwiami opięte, a ilekroć spotkał się z niemi, odwracał głowę i kłął zcicha:

— Wytrzeszcza ślepie niby cielak, kiej ogon podniesie!

Niecierpliwiło go to patrzenie i w sroższy gniew wprowadzało.

— Na złość na cię nie spojrzę, ślepij se psu w ogon! Nie przeciągniesz me.

Razem jedli obiad, ale ni razu do niej się nie ozwał, ni nawet spojrział w jej stronę. Nastce jeno przygadywał co trocha:

— Piesby się nie chycił za taką kaszę: jak uwędzona!...

— Bogać ta, ździebko jeno przypalona i tak cie w zęby kłuje.

— Nie przeciwiay się! Muchami ją zmaściłaś, więcej ich niżli skwarków.

— Już mu muchy szkodzą! jaki przebierny! nie strujesz się!

Zaś przy kapuście wyrzekał na stare sadło.

— Mazią od woza omaścić, toż gorszeby nie było.

Poliż osi, to obaczysz, ja ta nie probantka! — odpowiadała twardo.

Czepiał się bele czego i piekłował. Że Tereska cały czas się nie odzywała, to zaraz po obiedzie wziął się i do niej, dojrzał bowiem jej krowę, cochającą się o węgiel.

— Obrosła gnojem kiej skorupą: nie możecie to jej wycierać, co?

— Mokro w oborze, to się wala.

— Mokro! Są w lesie kolki, są; czekacie jeno, by wam kto nagrabił i do chałupy przyniósł. Dyć odparzy sobie kłęby w tym gnoju, zgnije! Tyla bab w chałupie, a porządku ani za grosz! — wrzeszczał, ale Tereska ustępowała mu pokornie, nie śmiejąc się już bronić, a jeno prosząc ślepiami o pomilowanie.

Cicha przecież była jak zawsze, uległa i pracowita, jak mrówka, nawet rada, że wziął nad nią górę i kwardo panuje. A właśnie on i bez to srożył się coraz barzej. Gniewały go jej kochające, lękliwe oczy, gniewał chód cichy, gniewała twarz pokorna, gniewało i to, że

ciągiem płatała się kole niego. Miał już ochotę krzyknąć, by mu z oczu ustąpiła.

— Żeby to morówka wziena, psiakrew! — buchnął wreszcie i zabrawszy porządki ciesielskie, nawet nie wytchnąwszy przypołudnia, poszedł do Kłębów, kaj miał jakąś robotę przy chałupie.

Siedzieli tam jeszcze przy michach, na dworze.

Zakurzył papierosa, siedząc pod ścianą.

Kłęby pogadywali o powrocie z wojska Grzeli Borynowego.

— Wraca to już? — zapytał spokojnie.

— Nie wiecie to? Dyc razem z Jaśkiem Tereski i Jarczakiem z Woli.

— Na żniwa się obiecują. Tereska latała dzisiaj z listem do organisty, by przeczytał. Powiadał mi o tem.

— To ci nowina! Jasiak powraca! — zawołał bezwolnie.

Zmilkli wszyscy, jeno ślipia obleciały po sobie, a kobiety się szcerwieniły, powstrzymując śmiech. Nie pomiarkował i jakby rad wieści, powiedział spokojnie.

— Dobrze, co powraca; może przestaną obgadywać Tereskę.

Jaże łyżki zawisły nad michą, tak się zdumieli, a on, tocząc zuchwałemi ślepiami, dodał:

— Wiecie, jak jej nie szczędzą. Nic mi do niej, chociaż mi powinowata z ojcowej strony, ale żeby tak na mnie padło, dobrzebym pleciuchom gęby pozatykał: zapamiętaliby! A już kobiety la drugich najgorsze: niechby najbielsza, nie przepuszczą i błotem obwałą.

— Pewnie co tak, pewnie! — przywtórz yli, wbijając oczy w michę.

— Byliście już u Boryny? — zagadnął niespokojnie.

— Dyc zbieram się i zbieram, a co dnia cosik przeskodzi.

— Za wszystkich cierpi, a nikto o nim nie pamięta.

— Zagładałeś to do niego? co?

— Hale, pójdę sam, to powiedzą, co do Jagny ciągnę.

— Cie! uważny, kiej dziewczka po przypadku — mruknęła stara Agata, siedząca pod płotem z miseczką na kolanach.

— A bo mi już obmierzły szczekania.

— I wilk się statkuje, kiej mu kły spróchnieją — śmiał się Kłab.

— Albo kiej się za barłogiem rozgląda — podpowiedział Mateusz.

— Ho, ho, to ino patrzeć, jak do której z wódką pošiesz — żartował Kłębiak.

— Właśnie, ciągiem już deliberuję, do którejby przepić.

— Prędko wybieraj, a w druchny me proś, Mateusz! — pisknęła Kasia, najstarsza.

— Cóż, kiej nie łąco: wszyckie zarówno wybrane i jedna w drugą najlepsze. Magdusia najbogatsza, ale już przez zębów i ze ślepiów jej cieknie; Ulisia, niby kwiat, jeno co ma jedno biedro grubsze i beczkę kapusty we wianie; Franka z przychowkiem; Marysia zbyt

szczodra dla parobków; Jewka, choć ma całe sto złotych samą koprowiną, walkoń, pod pierzyną ciągiem wyleguje. A wszystkieby tłusto jadły, słodko popijały i nic nie robiły. Czyste złoto takie dzieuchy! A zaś jeszcze drugie mają ją mnie za krótkie pierzyny.

Gruchnęli śmiechem, jaże się gołębie porwały z dachów.

— Prawdę mówię. Przymierzałem u niejednej, le-dwie mi do pół lyst sięgają, jakżebym to zimą wyspał? cheba w butach, co?...

Zgromiła go Kłębowa, iż zberezeństwa gada przy dzieuchach.

— La śmiechu jeno mówię. Przecie powiedają, co pocziwe żarty nie szkodzą i pod pierzyną.

Ale dziewczyny rozczapierzyły się kiej te jendyczki.

— Hale, jaki przebierny!... będzie się tu przekpi-wał ze wszystkich! Kiej ci w Lipcach mało, na drugich wsiach se szukaj! — jazgotaly.

— Jest ich w Lipcach, jest: przecie łacniej o do-stała pannę, niżli o całą złotówkę. Po dydku i już z ojco-wym litkupem je przedają. By jeno kupce się nalazły! Tyle tego, jaże się wieś trzęsie od skrzeków pannowych, wszyćkie gotowe pod kozik, że co sobota w każdej chału-pie już od świtania pucują się do czysta, kosy we wstęgi pletą i kokoszki po sadach gonia, by je ponieść Żydowi na gorzelkę, a od samego południa jeno z za węglów pa-trzą, czy z której strony swaty nie ciągną. Widziałem, które i z dachów zapaskami powiewały, wrzeszcząc: »Do mnie, Maciuś, do mnie!« Zaś matki wtórzyły: »Do Kasi

przędzi, Maciusiu, do Kasi! Syrek i mendel jajków przyłożę do wiana. Do Kasi!«

Rozповідаł ucieszenie, jaże chłopaki kładły się ze śmiechu, jeno Kłębianki podniosły wrzask na niego, że stary krzyknął:

— Cicho! skrzecz, kiej te sroki na deszcz.

Nie zaraz się uspokoili, więc by przerwać te przepinki, zapytał:

— Byleś to, Mateusz, przy wójtowej wojnie?

— Nie. Mówili, co Kozłom sielnie się dostało.

— Że już lepiej nie można. Strach, jak wyglądali!

Wójt se pozwolił, no!...

— Gromadzki chleb tak gó roznosi, to i bryka.

— Głównie, co się nikogo nie boja. Któż to mu stanie nasprzeciw? Drugi za taką sztukę dobrzeby zapłacił, ale jemu włos z głowy nie spadnie. Z urzędnikami się zna, to w powiecie mocen wszystko, co ino zechce...

— Bośta barany, że dacie takiemu przewodzić nad sobą! Poniewiera i wynosi się nad wszystkie, a oni go dziw po nogach nie całują!

— Sami go wybralim nad sobą, to i uważać musim.

— Kto go wsadził, ten i zesadzić może.

— Dyc nie krzycz, Mateusz, jeszcze się rozniesie.

— A doniesą mu, to będzie wiedział. Niech me ino zaczepi!

— Maciej chory, to kto mu inszy poredzi? Kaźden się waguje iść na pierwszego, bo kaźden ledwie swoim biedom wydoli — szepnął stary, podnosząc się z ławy.

Podnieśli się wraz i drudzy.

Kto po jadle legł odpoczywać, kto na drogę wychodził kości przeciągnąć i pasa odpuścić, a kto, jak dzieuchy, do stawu poszły myć garnki a chłodzić się i rajcować. Mateusz zabrał się zaraz do obciesywania podpór do chałupy, zaś Kłęb fajkę zapalił i na progu przysiadł.

— Kto jeno o drugich stoi, tego bieda wydoi! — mruknął, pykając smacznie.

Słońce wisiało nad samą chałupą, przypołudnie zrobiło się nagrzanę, ciepłem wiało od pól. Sady stały w cichości, między drzewinami mieniło się od słońca, okwiat cichusko szał się na trawy, pszczoły brzęczały po jabłoniach, staw polśniewał wskroś gałęzi, nawet ptactwo pomilkło. Przepołudniowa, słodka senność siała się po świecie.

Że Kłęb, aby nie zadrzemać, powlókł się do dołu z ziemniakami.

Zaś potem cosik ostro pykał przygasłą fajkę i spluwał, odrzucając głową włosy, opadające mu na twarz.

— Obejrzałeś, co? — zapytała żona, wychylając się ze sieni.

— Juści... żeby tak raz w dzień warzyć, starczyłoby ziemniaków do nowych!

— Hale, raz na dzień! Młode i zdrowe, to i żreć potrzebują.

— Nie dociągniem. Tyla narodu. Dziesięć gąb, a brzuchy mają kiej ćwierci. Trza będzie cosik zaradzić.

— O jałowce myślisz, co? To ci zapowiadam, że

przedać jej nie pozwolę. Rób se, co chcesz, a bydłatka nie dam. Zapamiętaj sobie.

Zatrzepał rękoma, kiejby od osy uprzykrzonej i gdy odeszła, jął znowu fajkę zapalać.

— Psiachmać baba... Potrza, to i jałówka nie ołtarz!

Słońce prażyło prosto w oczy, cienie były jeszcze maluśkie, to się jeno odwrócił plecami i pykał coraz wolniej i rzadziej. Popuścił pasa, bo mu coś ziemniaki ciążyły, słońce przypiekało, gołębie gruchały we strzesze i cichuśki szmer liści tak rozbierał, że jął się kiwać i Żydy wozić po ścianie.

— Tomaszu! Tomaszu!

Ozwarł oczy. Agata siedziała pobok, trwożnie pogładając.

— Ciężki macie przednówek — mówiła cicho. — Byście chcieli, to mam parę groszy, wygodziłabym waju. Na pochówek je ścibiałam, ale kiejście w takiej potrzebie, pożyczę. Jałówki szkoda. Przy mnie się loni uległa... z mlecznego gatunku. Może mi Pan Jezus pozwoli dożyć, to mi z nowego oddacie. Wziąć od swojego w potrzebie nie wstyd i gospodarzowi, weźcie — wsunęła mu w rękę samemi złotówkami, cosik ze trzy ruble.

— Schowajcie sobie! Jakoś se poredzę.

— Weźcie, dyć jeszcze z pół rubla dołożę, weźcie — prosiła cichuśko.

— Bóg zapłać wama. Cie, jakaście to pocziwa!

— To już całe trzydzieści złotych bierzcie, do równa — supłala z węzółka, dodając po dziesiątce —

bierzcie — skamlała, powstrzymując łzy: dusza się jej darła, jakby każdy grosik pruła sobie z wnętrzości.

Pieniądze dziwnie kusząco lśniły w słońcu. Przy-mrużał oczy z lubością, grzebiąc między niemi: nowe były i czyste. Wzdychał ciężko, zmagając się ze straszną chęcią, jaże odwrócił się i szepnął:

— Schowajcie dobrze, a to podpatrzą i jeszcze wama ukradną.

Napraszała go jeszcze cichuśko, ale jeno tak, la zwyczaj, bo kiej się nie ozwał, jęła skwapnie zawijać i chować te swoje skarby.

— Czemuż to nie siedzicie u nas? — zagadnął po jakimś czasie.

— Jakże, robocie żadnej nie poredzę, nawet za gąskami nie wydadzę. Darmo to żreć będę, co?... Słabam, już z dnia na dzień końca czekam. Pewnie, co u krew-niaków milejby pomrzeć, milej... choćby nawet w tej ko-morze po jałówce... juści, jeno gdzieżby wam taki kłopot i turbacje! Całe czterdzieści złotych mam na pochówek... by to i ze Mszą było... po gospodarsku... co?... Pie-rzynębym dołożyła... Nie bójcie się, cichuśko wama usnę, ni się spodziejecie... pokrótce... — jąkała nieśmiało, z bi-jącem sercem oczekiwania, że ją przyjmie i powie: --- Ostańcie! —

Ale się nie odezwał, jakby nie rozumiejąc tych skamlań, przeciągał się jeno, poziewał i jął się chyłkiem przebierać kole chałupy, ku stodółce, na siano...

— Gospodarz taki... juści... jakżeby... dziadów-kam ino... — Łkała w sobie cichuśkim, żalnym skrzybo-tem, podnosząc wyplakane oczy ku niemu.

Powlekła się wolniuśko, kaszląc często i przysiadając co trocha nad stawem. Poszła znowu, jak co dnia, wypatrywać po wsi, kajby mogła pomrzeć po gospodarstwu, przez oszukaństwa.

I wlekła się, szukać ludzi sprawiedliwych. Snuła się po wsi, jako ta nikła pajęczyna, co leci, nie wiedząc, kaj się uczepi.

A naród się prześmiewał i la uciechy radził biedocie, że u krewniaków ostać powinna, zaś Kłębom, niby to z przyjaćielstwa, też mówili:

— Powinowata przecie, grosz swój ma na pochówek i długo wama w chałupie nie zagości... Kajże się to podzieje?

Wszystko to przyszło do głowy Kłębowej, gdy mąż opowiedział jej o dzisiejszem z Agatą. Spać się już położyli, a kiej dzieci jęły chrapać, zaczęła go cicho namawiać:

— Miejsce się znajdzie... w sionce może poleżeć... gęsi się wygna pod szopę... bele czem się przeżywi... długo nie pociągnie... na pochówek ma... Ludzieby nie gadali... a pierzyny nie potrzaby oddawać... juści, na drodze tego nie znajdzie — tłumaczyła gorąco.

Ale Kłęb jeno zachrapał w odpowiedzi. I dopiero nazajutrz rano rzekł:

— Żeby Jagata była całkiem bez grosza, przyjąłbym, trudno, dopust Boży, ale tak, powiedzą, co la tych paru złotych dobrość świarczymy. Przecie już pyskują, co la nas poszła na żebry... Nie można.

Kłębowa, że słuchała się we wszystkim męża, to

ino westchnęła żałośnie za pierzyną i poszła przynaglać dziewczyny do pośpiechu.

Kapustę mieli ano dzisiaj sadzić.

Dzień zrobił się był jak i wczorajszy, śliczny, słoneczny i prawdziwie majowy. Wiaterek jeno przyszedł baraskujący i swywolił po polach, że zboża chlustały po zagonach, kiej wody rozkołysane. Sady się chwiały z poszumem, gęsto trzęsąc okwiatem, a pełne, ciężkie kiście bzów i czeremchy rozwiewały zapachem. Powietrze szło rzeźwe, przejęte ziemią i kwiatami. Z pod leśnych pastwisk śpiewy się niesły z wiatrem. W kuźni dzwoniły młoty. Od samego rana pełno już było na drogach gwarów i ludzi. Kobiety ciągnęły na kapuśniska, dźwigając w przetakach i koszach rozsadę, a rozpowiadając w głos o wczorajszym jarmarku i wójtowej sprawie.

Że pokrótce, jeszcze nim rosa obeschła, na czarnych kapuśniskach, pociętych jeno brózdami, pełnemi wody, polśniewającej w słońcu, zaroilo się od czerwieni.

Kłębowa z córkami też tam pociągnęła, zaś Kłęb z Mateuszem i chłopakami wzięli się do podpierania chałupy.

Ale skoro słońce zaczęło przypiekać, stary zdał robotę na synów i, wywoławszy Balcerka, poszli odwiedzać Borynę.

— Piękny czas, kumie — rzekł Kłęb, przyjmując tabakę.

— Galanty. Byle jeno za długo nie przypiekało.

— Stronami przechodzą deszcze, toż i nas nie ominą.

— Robactwo jaże się roi na drzewach, na suszę się ma.

— A jarzyny spóźnione, mogłoby przypalić. Może Pan Jezus nie dopuści... Cóż ta na jarmarku? dowiedzieliście się co o koniu?

— I... dałem starszemu trzy ruble, przyobiecwał.

— Że to przezpieczności niema żadnej!... człowiek pod strachem cięgiem żyje, jak ten zajac, a nikto nie poradzi.

— A wójt kiej malowany — szepnął ostrożnie Balcerek.

— Trza będzie pomyśleć o nowym — rzucił Kłab.

Balcerek spojrział na niego, ale stary dodał gorąco:

— Już wstyd przez niego na wieś idzie. Słyszeliście o wczorajszym?

— I... bitka każdemu przytrafić się może, zwyczajnie... Drugie miarkuje: byśmy za te jego rządy nie dopłacili.

— Sam się nie rozporządza: dyć i kasjer pilnuje, i pisarz, i urząd...

— Psy mięsa pilnują! Warują, a wkońcu ty, chłopie, dopłać, bo nie dopilnowali.

— Bogać ta inaczej! Wiecie ta co nowego?

Balcerek jeno splunął i ręką machnął; nie chciał gadać, chłop był mrukliwy i przez babę zahukany, to i barzej strzegący języka.

Doszli też do Borynów.

Józka skrobała ziemniaki na ganku.

— Idźcie, ojciec ta sami leżą. Hanusia na kapuśniku, a Jagna robi u matki.

W izbie pusto było, przez otwarte okno zaglądały kiście bżów i słońce siało się przez zieleń.

Stary siedział na łóżku. Wychudły był, siwa broda jeżyła mu się na żółtej twarzy kiej szczeń, głowę miał jeszcze obwiązaną, ruchał cosik sinemi wargami.

Pochwalili Boga, nie odrzekł, ni się poruszył.

— Nie poznajecie to nas? — ozwał się Kłęb, za rękę go biorąc.

Jakby nic nie wiedział, nasłuchiwał niby tego święgotania jaskółek, lepjących gniazda pod strzechą, lebo tego szmeru gałęzi, szorujących po ścianach i w okno niekiedy zagląających.

— Macieju! — rzekł znów Kłęb, wstrząsając nim ździebko.

Chory drgnął, oczy mu się zatrzęsły, obejrzał się na nich.

— Słyszycie? dyć Kłęb jestem, a to Balcerek, wasz kum; poznajecie, co?

Czekali, patrząc mu w oczy.

— Sam tu, chłopcy! Do mnie! Bij psubratów! bij! — krzyknął z nagłą ogromnym głosem, podniósł ręce, jakby w obronie i zwałił się nawznak.

Józka wpadła na krzyk i jęła mu głowę obwalać mokremi szmatami, ale on już leżał cichy, a w szeroko otwartych oczach lśnił jakiś strach śmiertelny.

Wyszli pokrótce, sfrasowani i pełni zgrozy.

— Trup ci tam leży, a nie żywy człowiek! — rzekł Kłęb, odwracając oczy na chałupę.

Józka znowu skrobała ziemniaki na ganku, dzieci

bawiły się pod ścianą, a w sadzie spacerował Witkowy bociek, zaś wiatер przysłańiał gałęziami okno wywarłe.

Szli czas jakiś w milczeniu zgrozy, jakby z grobu wyszli.

— Każdemu przyjdzie na to, każdemu — szepnął Izawo Kłęb.

— A każdemu... wola Boża... cóż, nie poredzi... Hale, mógł jeszcze pożyć jaką porę, żeby nie ten las...

— Pewnie. Zginął, a drugie się z tego pożywią — westchnął.

— Raz kozie śmierć... mało się to naharował?

— I nama też może niezadługo przyjdzie za nim iść.

Patrzeli kwardo we świat, w pola rozkołysane, na bory widne, jak na dłoni, na role zieleniące, na ten dzień jasny, ciepły i zwiesnowy i dusze im kamieniały w rezygnacji a poddaniu się woli Bożej.

— Nie zmienić tego człowiekowi, coć mu przeznaczone, nie...

I z tem się rozeszli.

Zaś drudzy, tegoż jeszcze dnia i następnych, poczęli nawiedzać chorego, jeno co tak samo nikogo nie poznawał, że wkońcu zaprzestali.

— Jemu tylko pacierze o prędkie skonanie potrzebne — powiedział ksiądz.

A że kaźden miał dosyć swoich turbacyj a biedy, to i nie dziwota, co wrychle zapomnieli o nim, zaś jeśli zdarzyło się komu spomnieć, to jakby o nieboszczyku.

Co prawda, to leżał se chudziaszek w takim opuszczeniu, kieby już do grobu złożony i trawą porośły.

Komuż ta był w pamięci?

Bywało nieraz, iż całe dni leżał bez kropli wody, możeby i pomarł prosto z głodu, gdyby nie Witkowe, dobre serce, któreń porywał co się jeno dało i niósł gospodarzowi, a nawet krowy często poddajał kryjomo i mlekiem go poił. Chory bowiem przejmował go dziwnie fraszobliwą troską, aż raz ośmielił się zapytać parobka.

— Pietrek, prawda to, że kto przez spowiedzi zamrze, do piekła idzie?

— Prawda. Przecie ksiądz zawdy tak mówią w kościele.

— To i gospodarzby do piekieł poszli? — przeżegnał się trwożnie...

— Taki człowiek, jak i drugie.

— Hale! gospodarz taki człowiek jak i drugie! hale!

— Głupiś, kiej głąb kapuściany — zaperzył się Pietrek, długo mu tłumacząc, ale Witek nie uwierzył: swoje on wiedział i zgoła drugie.

Tak ano przechodziły dnie w Borynowej chałupie...

Zaś na wsi kotłowało się kiej w garnku.

Wójtowa bitka to sprawiła, obie bowiem strony szukały świadków, przeciągając naród na swoją stronę.

Chociaż to jeno z Kozłami była sprawa, ale wójt nie zaspiał i tego zabiegał. Górę też wziął zaraz z miejsca, bo więcej niżli połowa wsi za nim się opowiedziała. Znali go jak zły szeląg, ale wójtem był przecie, mógł w niejednem poredzić, ale i mógł dobrze sadła zalać za skórę, to i namową, przypochlebstwem a gorzałką przysposobił sobie świadków, jakich mu było potrza.

Kozioł leżał ciężko chory i księdza z Panem Jezusem sprowadzili do niego. Powiedali ta różnie o tej chorobie, bąkając w sekrecie, co jeno udaje, by wójt jeszcze lepiej beknął na sądach. Ale Bóg wie, jak to tam było. Wiedziano jeno dobrze, że sama Kozłowa całe dnie latała po ludziach, pomstując a wyrzekając. Opowiadała, co już sprzedała maciorę z prosiętami na lekówanie męża i prawie co dnia wylatywała umyślnie przed wójtów, krzycząc wniebogłosy, jako już Bartek umiera, Boga i ludzi sprawiedliwych wzywając na świarczenie i poratunek.

Biedota jeno i co tkliwsze kobiety stanęli po ich stronie, a nawet jeden z pomniejszych gospodarzy, Kobus, że to człowiek był niespokojny i swarliwy. Ale reszta ni słuchać nie chciała, w żywe oczy się wypierając, jakoby co niebądź widzieli, zaś niejeden radził jeszcze, by z wójtem nie zadzierali, bo niczego nie wskórają.

Nowe z tego wychodziły historje, że to Kobus miał ozór niepowściągliwy, łącno się z pięściami ponosił, a baby też w słowach nie przebierały.

Więc jeno wrzaski z tego szły i gniewy, bo cóż? mogli to poredzić gospodarzom i wójtowi?

Nawet już Żyd się z nich prześmiewał i na bóg dawać nie chciał.

A nie przeszedł i tydzień, dość już wszystkie miały tej sprawy i tych jazgotów lamentliwych, że już słuchać przestali.

Aż tu nowa pomoc im przyszła i we wsi znowu się zakłótkowało.

Oto Płoszka zmówił się z młynarzem i wraz otwarcie a głośno stanęli po stronie Kozłów...

Juści, szło im akuratnie o nich, co o ten śnieg łośki — swoje w tem mieli zamysły i la siebie jakies wygody rychtowali.

Płoszka był chłop sielnie ambitny, skryty, a we swój rozum i bogactwa dufający, zaś młynarz wiadomo, co la grosza dałby się powiesić, kutwa i zdzierus.

Wojna się też wnet zawiązała między stronami ciucha i zawzięta, boć przy ludziach, w oczy, świarczyli sobie przyjacielstwo, witali jak i przodzi, a nawet nieraz i do karczmy pod ręce się wiedli.

Co mądrzejsi wnet się pomiarkowali, jako tej spółce nie o sprawiedliwość chodzi, nie o krzywdy Kozłów, a o coś inszego, może i o wójtowstwo.

— Pożywił się jeden, niech się ta pożywią i drugie! — powiadali starzy, kiwając głowami.

I tak czas schodził, że męt we wsi był coraz większy.

Aż tu któregoś dnia gruchnęło po chałupach:

— Niemcy w karczmie popasają!

— Na Podlasie pewnikiem ciągną — rzekł ktoś domyślnie.

— Niech jadą z Bogiem!... co wama do nich? — przekładał drugi.

Ale jakaś niespokojna, trwożna ciekawość owładnęła ludźmi. Przez sady krzykali se tę nowinę, w opłotkach stawali gadać o niej, a insze zaś już do karczmy się przebierały na przewiady.

Jakoż prawdę rzekli, pięć bryk stało na podjeź-

dzie, a wszystkie na żelaznych osiach, na żółto i niebiesko malowane, budami płóciennymi nakryte, z pod których wyzierały kobiety i różny sprzęt gospodarski, zaś w karczmie przed szynkwasem z dziesięciu Niemców popijało.

A tęgie były juchy, rozrosłe i brodate, w granatowe kapoty przyodziane, ze srebrnymi łańcuchami na spaśnych brzuchach, a pyski, to jaże się im świeciły od dobrego jadła. Szwargotali cosik ze Żydem.

Chłopy całą kupą stawali pobok, o wódkę krzycząc, a patrząc i nasłuchując uważnie, ale trudno było wymiarkować choćby i jedno słowo. Dopiero Mateusz, który z Żydami poredził szwargotać, tak cosik do nich zaszprechował, jaże karczmarz odwrócił się zdziwiony. Niemcy łysnęli jeno po sobie ślepiami, a nie odrzekli, zaś potem i Grzela, wójtów brat, powiedział im jakieś niemieckie słowo. Zadami się wykręciły do chłopów, rechoćąc między sobą, jakoby te świnię nad korytem.

— To ino prać po tych świńskich pyskach! — rzekł rozgniewany Mateusz.

— Kijemby potrza zmacać boki, a wnetby przemówiły.

A Adam Kłębiak szepnął z zapalczywością:

— Pchnę w kałdun tego z brzega, zwali me, to pierzta na odlew.

Powstrzymali go, bo i Niemcy, jakby poczuwszy groźby, wzięli antał z piwem i prędko się wynieśli z karczmy.

— Te pludry, nie tak śpieszno, portki pogubita!

— Świńskie pociotki! — krzyczeli za nimi chłopaki.

Ale zaraz po ich wyjeździe Żyd wyznał przed parobkami, jako Niemcy już prawie kupiły Podlesie, że już pojechali rozmierzać kolonję, że całe piętnaście familij osiadzie na folwarku.

— My się dusim na zagonach, a Niemcy będą się na włókach rozwalali.

— To podkup ich a nie daj! Rusz rozumem, kiej się masz za mądrałę!... — wykrzykiwał na Grzelę Stacho Płoszka.

— Psiakrew z taką sprawą! — zaklął Mateusz, bijąc pięścią w szynkwas. — Jak się usadzą na Podlesiu, to i ciężko będzie w Lipcach wytrzymać — zapewniał, że to bywały był we świecie a Niemców znał dobrze.

Nie wierzyli mu zrazu, ale mimo to cała wieś się zakłopotala; jęli medytować i rozważać: coby z takiego somsiedztwa mogło wypaść złego la Lipiec?

A tu co dnia pastuchy i przechodzący donosili, jako na Podlesiu grunta już rozmierzają, kamienie zwożą i studnię kopią.

Że niejeden przez ciekawość pociągał za młyn ku Woli, a własnymi oczyma sprawdzał, że prawdę powiadali.

Ale jak stoją rzeczy, nie sposób się było dowiedzieć.

Przypierali kowala, bo z Niemcami się już zwąchał i konie im podkuwał, ale wykręcał się i ni to, ni owo odpowiadał.

Dopiero Grzela, wójtów brat, poszedł na przewiady i prawdę wyłożył.

Było zaś tak: dziedzic był winien jednemu Niemcowi piętnaści tysięcy rubli. Oddać nie miał, a ten mu w długu chciał wziąć Podlesie i resztę gotowym groszem dopłacić. Dziedzic się niby godził, a za kupcami posyłał, bo Niemiec dawał jeno po sześćdziesiąt rubli za morgę. Dziedzic zwłóczy jak może.

— Ale zgodzić się musi! We dworze pełno Żydów, kaźden o swoje krzyczy! Powiadał mi borowy, co już krowy zajęte za podatek. Skądże to weźmie zapłacić? Wszystko na pniu przedane! Lasu przecie teraz, dopóki z nami w procesie, ciąć mu nie pozwolą. Nie poredzi sobie inaczej i sprzedać musi choćby za bele co — twierdził Grzela.

— Taka ziemia, po sto rubli za morgę nie za dużo.

— Kupujcie, przeda i jeszcze waju w rękę pocałuje.

— Hale, drogi grosz, jak go braknie!

— Miemcy se użyją, a ty, chłopie, ślinę lykaj!

Pogadywali, wzdychając żałośnie. Markotność ich rozbierała. Juści, żal było takiej ziemi, bo to przyległa i rodna. Każdemuby się przydało kilka morgów, każdemu. Dyć się już cisnęli na swoich zagonach kiej mrówki, dyć ledwie się już przeżywiali ode żniw do żniw. Taki kawał wybranej ziemi, w sam raz la synów i zięciów. Nową wieśby wystawili i łąki mieliby niezgorsze i woda pobok... Ale cóż, nie poredzi! Miemcy siędą, będą się panoszyć, a ty, człowieku, zdychaj.

— Kaj się to wszystko podzieje? — wzdychali

starzy, patrząc na młódź, gżącą się wieczorami po drogach, a było tego, było, jaże się ściany rozpierały! A za cóż to miał kto grunta kupować, kiej ledwie na życie starczyło?

Głowili się niemało, nawet do księdza szli po radę. Nie poredził: z pustego nie naleje.

— Kto nie ma grosza, nie umacza nosa. Biednemu zawdy wiater w oczy!...

Ale i wyrzekania i biadolenia też nic nie pomogły.

A jakby na dobitkę, upały szły coraz większe. Maj dopiero się miał ku końcowi, a przypiekało kieby w lipcu. Dnie wstawały ciche i duszne, słońce od samego wschodu wynosiło się rozpalone na czyste niebo i tak przypiekało, że już po wyżniach i na piaskach jarzyny mdlały poźółkłe, trawy do cna wypalało po ugorach, strugi wysychały, ziemniaki zaś, choć zrazu niezgorzej ruszyły, ledwie okrywały ziemię chudemi łęciami. Oziminy jeno nie ucierpiały wiela, wykłoszone, pięknie wyrosłe, szły jeszcze galanto w górę, jaże chałupy się skryły i jakby do ziemi przycupnęły, dachami jeno widne nad tym borem kłosistym.

Noce też były duszne i tak nagrzone, że już po sadach sypiali, gdyż trudno było w chałupach wytrzymać.

Zaś przez te gorąca, przez kłopoty i żałościę, przez Płoszkowe judzenie na wójta, przez przednówek cięższy latoś, niżli po inne roki, dość, że w Lipcach nastął czas dziwnie swarliwy i niespokojny.

Chodzili rozdygotani w sobie, upatrując jeno, kogoby żgnąć tem bolącym słowem, albo i za orzydle chyć. Każden rad stawał przeciw drugiemu, że jakby pie-

kło zrobiło się we wsi. Co dnia bowiem, już od świtania, trzęsło się od kłótni a wyzwisk, bo co dnia przychodziło coś nowego. A to Kobusowie się pobili, jaże ksiądz musiał godzić i napominać, a to Balcerkowa z Gulbasem kudłów sobie nastrzępili o prosiaka, którego marchew spykał, to Płoszkowa pożarła się ze sołtysem o przemienienie gąsiąt; to o dzieci szły kłótnie, to o szkody somsiedzkie, to o bele co, by się jeno przyczepiać a kłyżnić, a wrzeszczeć i wyzywać ze wszystkiej mocy — że jakby zaraza na wieś padła, tyle powstawało swarów, bijatyk i procesów.

Nawet Jambroży prześmiewał się przed obcymi:

— Niezgorszy przednowek latoś dał mi Pan Jezus! Umarlaków niema, nikto się nie lęgnie, nikto nie żeni, a mnie dzień w dzień ktosik gorzałkę stawia, honoruje, a na świadki prosi. Żeby tak parę roków jeszcze się kłócili, na nicby się człowiek rozpił...

Juści co się źle działo w Lipcach.

Ale cheba co w chałupie Dominikowej działo się, najgorzej.

Szymek powrócił z drugimi, Jędrzych wyzdrowiał, bieda im nie doskwierała jak indziej, to powinno było iść wszystko po dawnemu. Bogać ta poszło, kiej chłopaki odmówiły matce posłuchu! Stawiali się hardo, kłócili zęb za zęb, bić się nie pozwolili, a żadnych robót kobiecych, jak przódzi, ani tknęli.

— Dziewkę se przyjmijcie, albo i sami róbcie — powiedali twardo.

Paczesiowa miała żelazne ręce i duszę nieustępliwą — jakże! tyle lat wszystkiem rządziła, tyle lat nikto

nie śmiał się jej przeciw, ni wpoprzek stawać. A tu kto stawał? kto się przeciw niej ważył? — własne dzieci!

— Jezus miłosierny! — wołała w zapamiętaniu i złości, przy leda okazji chwytając za kij na synów, chciała ich przemóc i zmusić do posłuchu. Nie dali się, zacięli się jak i matka i poszli na udry. To powstawały prawie co dnia takie wrzaski a gonitwy kole chałupy, jaże ludzie się zbiegali uspokajając.

Nawet ksiądz, snadź przez nią podmówiony, wzywał ich do się, a do zgody i posłuszeństwa napominał. Wysłuchali cierpliwie, w ręce go ucałowali, a za nogi jak przystało z pokorą podjęli, ale się nie przemienili.

— Nie dzieciom, wiemy, co nama robić. Niech matka pierwsza ustąpi! — tłumaczyli się przed ludźmi. — Cała wieś się z nas prześmiewała...

A Dominikowa jaże pożółkła ze złości a zmartwienia, bo w żaden sposób zmóc się nie dawali, a przytem, miasto w kościele przesiadywać i po kumach jak przódzi, musiała teraz robić kole gospodarstwa. Jagusię ciągiem przyzywała do pomocy. Ale i córka nie szczędziła jej zgryzot i wstydu. Paczesiowa trzymała wójtową stronę, nawet świarczyła przeciwko Kozłom, gdyż była przy bitce i opatrywała wójtów.

Pieter też często wieczorami zaglądał do niej, niby to na poredy, a głównie by Jagusię wywołać i przewadzić się z nią na ogrody.

Na wsi nic się nie ukryje, dobrze wiedzą, z czego się kurzy i kaj, to i zgorszenie z tych grzesznych jamorów rosło coraz barzej i dobrzy ludzie już nieraz ostrzegali starą.

Mogła ta zapobiec, kiej Jagna mimo próśb i błagań robiła jakby na złość. Woląta bowiem grzech najcięższy i obmowy ludzkie, niżli przesiadywanie w tej obmierzłej chałupie mężowej. Złe ją porwało i niesło, a nikt nie był mocen powstrzymać.

Hance to nawet szło na rękę i nawet często o tem rozpowiadała przed ludźmi.

— Niech się zabawia, póki wójtowi nie wzbronią tracić gromadzkie. Dyc jej niczego nie żałuje i zwozi z miasta, co ino może, we złotoby ją oprawił. Niech se używają i końca patrzą. Co mi tam do nich!

Juści, mało to ją własnych zmartwień żarło! Nie żalowała pieniędzy la adwokata, a jeszcze nie wiada było, kiej się Antkowa sprawa odbędzie i co go czeka? A on tam chudziaczek schnął w kreminalu i Bożego zmiłowania wyglądał. W chałupie też się zwolna rozpręgało. Mogła ta dopilnować wszystkiego? Parobek się rozzuchwalał coraz barzej, snadź przez kowala podmawiany, że tak robił, jak mu się podobało, a nieraz, kiej do miasta pojechała, cały dzień się przewalał po wsi. Groziła mu potem, że niech jeno Antek powróci, a z nim się często porachuje.

— Wróci! Jeszcze na to nie przyszło, by zbójów puszcza! — odkrzykiwał zuchwale.

Jaże cierpła z gniewu, bićby jeno ten pysk niepoczciwy, ale poredzi mu to? Jeszcze ją sponiewiera, a któż to się za nią upomni, kto wesprze? Trza było wszystko znieść i w sobie schować na później, do osobnej pory, bo jeszcze pójdzie i wszystko na jej ręce spadnie; już i tak ledwie mogła wydolić robocie. Zapa-

dała przeto na zdrowiu coraz więcej. Jakże, i żelazo wkońcu rdza przeżre i kamień jeno do czasu wytrzyma, a nie dopiero słaba kobieta!

Któregoś dnia, pod koniec maja, ksiądz z organistą pojechali na odpust, zaś Jambroży tak się spil z Niemcami, które często zaglądały do karczmy, że nie było komu przedzwonić na Anioł Pański, ni kościoła otworzyć.

Zebrali się przeto odprawiać nabożeństwo pod cmentarz, kaj pobok bramy stojąca mała kapliczka z figurą Matki Boskiej. Każdego maja przystrajały ją dziewczyny w papierowe wstęgi a korony wyzłacane i polnem kwieciem obrzucały, broniąc od zupełnej ruiny, gdyż kapliczka była odwieczna, spękana i w gruz się sypiąca, że nawet ptaki już się w niej nie gnieździły, a jeno niekiej, w czas słót jesiennych, pastuch jaki schronienia szukał. Smętarne drzewa, lipy staruchy, brzozy wysmukłe i te pogięte krzyże osłaniały ją nieco od burz zimowych i wichrów.

Zeszło się sporo narodu i jak się naprędce dało, przybrali kapliczkę w zieleń a kwiaty, ktosik śmieci wygarnął, ktosik żółtym piaskiem wysypał, że nawtykawszy w ziemię u stóp figury świeczek i lampek zapalonych, wraz jęli klękać nabożnie.

Kowal przyklęknął na przedzie, przed progiem, zarzuconym tulipami a głogiem różowym i pierwszy zaczął śpiewać.

Było już dobrze po słońcu, mroczało, niebo na zachodzie paliło się jeszcze we złocie całe i bledziuszką zielenią przytrząśnięte, czas był cichy, obwisłe warkocze

brzóz jakby się lały ku ziemi, zboża stanęły przygięte, kieby zasluchane w dźwiękliwy belkot rzeczki i w to cichuśkie strzykanie koników polnych.

Ostatnie stada do obór ściągaly; od wsi, z pól, z miedz już niedojrzanych buchały niekiedy jazgotliwe śpiewki pastusze i długie, przeciągłe poryki. Zaś naród śpiewał, wpatrzony w jasną twarz Matki, co wyciągała błogosławiące ręce nad wszystkim światem:

»Dobranoc, wonna lilija,
Dobranoc!«

Zapach młodych brzóz powiał ze smętarza i wraz też słowiki jęły jakby próbować gardzieli, wyciągać rwaną nutą, wzbierać mocą, jaże wkońcu buchnęły złote, spienione strugi, jaże polaly się te trele perliste, te klaskania cudne i te lube, rzewliwe zawodzenia, zaś niedaleko, ze zbóz, ozwały się też pana Jackowe skrzypice, przywta-rzając ludziom tak słodko, cichuśko a przejmująco, jakby to te żytnie, rdzawe kłosy dzwoniły o się, to złote niebo, lebo przyschła ziemia taką pieśnią zagrała majową.

I już wraz śpiewali wszystkie, i naród, i ptaszko-wie, i skrzypice, a kiej na to oczymgnienie ustawiali, kiej słowiki tak się zaniesły, aże cichło, a struny jakby tchu nabierały, wtedy nieprzeliczony żabi chór podnosił rechotliwe głosy i grał zgodliwym skrzekiem i nukaniem przeciągłem.

I tak już szło naprzemiany.

Długo się owo nabożeństwo ciągnęło, jaże kowal zaczął przyśpieszać, wydzierał się mocno, nad drugimi górując, a często wołał za siebie:

— Pośpieszajta się, ludzie... — że to opóźniali się z nutą niektóre.

A nawet raz huknął na Maciusia Kłębowego:

— Nie drzyj się, jucho, boś nie za bydłem.

Że zgodliwie już poszło i głosy podrywały się razem, kiej te stada gołębie i krążąco, zwolna unosiły się ku niebu ciemniejącemu.

»Dobranoc, wonna lilija!

Dobranoc!

Niepokalana Maryja!

Dobranoc!«

Mrok już zgęstniał i noc ciepła i cicha świat otulała, zasie na niebie występowały gwiazdy rosą roziskrzoną, kiej się zaczęli rozchodzić.

Dzieuchy, w pół się pobrawszy, zawodziły po drogach.

Hanka powracała jeno z dzieckiem na rękę i srodze czegoś zadumana, gdy przysunął się kowal i w podłe szedł.

Nie ozwała się; dopiero przed domem, widząc, iż nie ostaje, rzekła:

— Wstąpicie to, Michał?

— Przysiędę w ganku i powiem co wam— szepnął cicho.

Ścierpła nieco, szykując się jakąś nową biedę posłyszeć.

— Byliście pono u Antka? — pierwszy zaczął.

— Byłam, ale mnie do niego nie puścili.

— Tegom się i bojał.

— Mówcie, co wiecie! — mróz ją przeszedł.

— Co ja ta wiem?... tyła jeno, co mi się udało ze starszego wyciągnąć.

— A co? — wparła się w słupek i dziecko mocniej przycisnęła do siebie.

— Powiedział, że Antka przed sprawą nie wypuszczą.

— La czego! — ledwie wyjąkała, dygot ją trząsał i łamał. — Dyć... przecie adwokat mówił, co może puszczą.

— Hale, żeby im uciekł! Tak przez niczego nie puszczą! Wiecie, przyszedłem dzisiaj do was całkiem po przyjacielsku. Co tam pomiędzy nami było, to było; obaczycie kiedyś, że byłem praw... Nie wierzyliście mi... wasza woła... ale teraz wysłuchajcie, co rzeknę, a jak księdzu na spowiedzi tak prawdę powiem... Z Antkiem jest źle! z pewnością ciężko go zasądzą, może na dziesięć lat. Słyszycie to?..

— Słyszę, ale nic a nic nie wierzę — uspokoiła się nagle.

— Każdy nie wierzy, póki nie przymierzy; prawdę wam rzekłem.

— Zawdy taką mówicie — zaśmiała się wzgardliwie.

Ciepnał się i jął gorąco upewniać, jako teraz z prostego przyjaciółstwa przyszedł, by poredzić. Słuchała, chodząc oczyma po obejściu, już się parę razy podnosiła niecierpliwie: krowy ano niewydojone porykiwały w oborze, gęsi były niezapędzone na noc i źrebak gonił się w opłotkach z Łapą, a chłopaki rajcowały w stodole. Nie

wierzyła mu juści ani słoweczka. — Niech się wygada, może się wyda, z czem przyszedł, — myślała, trzymając się na baczności.

— Cóż poredzić? co? — odpowiadała, byle coś rzec.

— A radaby się znalazła — powiedział ciszej jeszcze.

Odwróciła się do niego.

— Dać wykup, to go puszcza jeszcze przed sprawą, a potem to już se poredzi, choćby i do tej Hameryki... nie zgonią...

— Jezus, Marja! Do Hameryki! — krzyknęła bezwolnie.

— Cichoście, jak pod przysięgą mówię, tak dzie-dzic radził. »Niech ucieka — powiada — najmniej dzie-sięć lat... zmarnuje się chłop...« Wczoraj mi mówił.

— Uciekać ze wsi... od grontu... od dzieci... — Jezu... — to ino zrozumiała.

— Dajcie jeno wykup, a resztę to już Antek po-
stanowi, dajcie...

— Skądże to wezmę?... Mój Boże, w tyli świat...
od wszystkiego.

— Pięćset rubli chcą! Przecie macie te ojcowe...
weźcie je na wykup.. policzym się później... byle jeno ra-
tować...

Skoczyła na równe nogi.

— Jako ten pies, ciągiem jedno szczekacie! —
chciała odejść.

— Ciepiecie się jak głupia — rozgniewał się. —
Tak se ino powiedziałem... Hale, będzie się tu honoro-

wać o bele słowo, a tam chłop w kreminalu zgnije. Powiem mu, jak to zabiegacie, by mu ulżyć.

Przysiadła znowu, nie wiedząc już, co myśleć.

Opowiadał szeroko o tej Jameryce, o ludziach znajomych, które tam pojechały, że listy piszą, a nawet pieniądze przysyłają la swoich. Jak tam dobrze, jaką wolę ma kaźden, jakie bogactwa zbierają. Antek mógłby zaraz uciekać: zna Żyda, któren już niejednego wyprowadził. Mało to już takich uciekło! Zaś Hanka mogłabyjechać potem la niepoznaki. Grzela wróci z wojska, to spłaciłby z ojcowizny, a nie, kupiec się też rychło znajdzie.

— Poradźcie się księdza, obaczycie, co wama przytwierdzi moje słowa. Poznacie, żem prawy i ze szczerego serca namawiam, nie la swojej wygody. Jeno przed nikim ani pary z głęby, by się strażnicy nie zmiarkowali, zaś wtedy i za tysiące go nie puszcza, a jeszcze w kajdany zakuja — zakończył poważnie.

— Skąd wziąć na wykup! tylachna pieniędzy! — jęknęła.

— Znam kogoś z Modlicy, ktoby dał na dobry procent... znam i drugich... pieniądzeby się nalazły... Moja w tem głowa... pomógłbym.

I długo jeszcze radził a namawiał.

— Rozważcie, trza rychło postanowić.

Odszedł cicho, że ani spostrzegła, kiej się zapodział w nocy.

Późno już było, w chałupie spali, tylko Witek siedział pod ścianą, jakby stróżując gospodyni, na wsi też wszyscy legli, nawet psy nie poszczekiwały, woda jeno

bulgotała i ptaki zawodziły w sadach. Księżyc się wtopczył na niebo i szedł srebrnym sierpem przez te straszne, mroczne wysokości. Białe i niskie mgły pokrywały łąki, zaś nad żytami wisiał płowy tuman kwietnej kurzawy; staw polśniewał wskroś drzew, kieby tafla lodowa. Aże dzwoniło w uszach od tej cichości a słowicznych kląskan i zawodzeń.

Hanka siedziała wciąż na jednym miejscu, jakby przykuta.

— Jezu, uciekać ze wsi, od grontu, od wszystkiego! — myślała jedno wkółko.

Groza ją przejęła, rosnąc z minuty na minutę, a serce ściskając straszonym żalem i przerażeniem.

Łapa zaczął wyć na podwórzu, słowiki ścichły, zawiał wiater, że zakolebały się cienie i jękliwy, smutny szum przeleciał.

— Kubową duszę obaczył! — szepnął Witek, żegnając się strachliwie.

— Głupiś! — skarciła go, spać wypędzając.

— Kiej przychodzi, do koni zagłada, obroku im dosypuje... bo to raz?...

Nie słuchała już, cichość znowu spadła na świat, słowiki zaśpiewały, a ona siedziała kieby zmartwiała, powtarzając niekiedy z męką i strachem:

— W cały świat uciekać! Na zawsze! Jezu miłosierny! Na zawsze...

IX.

Jeszcze były po świątkach umajenia chałup do cna nie przewiedły, kiej któregoś dnia rankiem najnie spodziewanej zjawił się Rocho.

Jeno co dopiero po mszy i długiej rozmowie z księdzem pokazał się na wsi. Niewiela ludzi kręciło się w obejściach, że to pora była osypywania ziemniaków, lecz skoro się rozniesło, jako Rocho idzie przez wieś, wnet-ci ten i ów na drogę śpieszył, witać dawno niewidzianego.

A on zaś szedł, jak zawdy na kiju się wspierając, wolniuśko, z podniesioną głową, w tej-ci samej kapocie szarej, i tak samo z różańcami na szyi; wiater mu rozgarniał siwe włosy, a chuda twarz jaśniała dziwną dobrocią i weselem.

Wodził oczyma po chałupach i sadach, prześmiejając się radośnie do wszyckiego, witał się z każdym zosobna, że nawet dzieciom, co się były do niego garnęły, głowiny przyglądał pocziwie, zaś do kobiet pierwszy zagadywał, tak był rad, że wszystko zastaje po dawnemu.

— W Częstochowie byłem na odpuscie — odpowiadał, gdy napierali ciekawie, kaj się to zadziewał przez tyla czasu.

Ale tak się szczerze cieszyli z jego powrotu, że zaraz po drodze jeli mu rozpowiadać lipeckie nowiny, a ktosik już i rady jakiejś zasięgał, zaś drugi chciał się

wyzalić, odwodząc go na stronę i supląc przed nim turbacje, kiejby ten grosz na ostatnią potrzebę schowany.

— Do cna ustalem, dzień jaki odpocznę — tłumaczył się zbywajaco.

Na prześcigi jęli go zapraszać do swoich chałup.

— Na tymczasem zakwateruję się u Macieja, jużem to Hance przyobiecał; a przyjmie mnie kto potem, do tego przystanę na dłużej.

I żwawo ruszył do Borynów.

Juści, co Hanka przyjęła go radośnie i z całego serca ugaszczą chciała, ale skoro jeno złożył torby i odzipnął nieco, do starego się wybrał.

— A obaczcie ich, leżą w sadzie, że to gorąc w chałupie. Mleka wama bez ten czas uwarzę a możebyście i jajków zjedli? co?

Ale Rocho już był w sadzie i chyłkiem przebierał się pod gałęziami do chorego, któren leżał w półkoszku, wymoszczonym pierzyną, i kożuchem przyokryty. Łapa, zwinięty w kłębek, warował mu przy nogach, a Witków bociek gajdał się pociesznie między drzewami, kieby na straży.

Sad był stary i mroczny; rozrosłe drzewiny tak przysłaniały niebo, że dołem, na murawach jeno niekajś gmerały się słoneczne pręgi, podobne złotym pająkom.

Maciek wznak leżał. Rozruchane gałęzie z cichym poszumem chwiałały się nad nim płachtą cieniów, że jeno czasem, kiej ją wiater ozdaruł, słońce chlustało mu w oczy, i coraz kawał modrego nieba się odsłaniał.

Rocho przysiadł.

Drzewa szumiały, czasem pies warknął na muchy,

a niekiedy rozświegotane jaskółki śmigają wskroś pni czarnych na pola zielone i rozkolysane.

Chory naraz zwrócił się do niego.

— Poznajecie mnie, Macieju, co? Poznajecie?

Borynie leciutki przyśmiejch wionął po twarzy, oczy się zatrzepały i jął ruchać sinemi wargami, ale głosu nie dobył.

— Jak Pan Jezus przemieni, to możecie jeszcze wyzdrowieć.

Snadź rozumiał, gdyż potrząsł głową i, jakby niechętnie, odwrócił się od niego. Zapatrzył się znowu w rozkolysane gałęzie i w te słoneczne bryzgi, zalewające mu oczy raz po raz.

Rocho jeno westchnął, przeżegnał go i odszedł.

— Prawda, co ojcu jakby już lepiej? — pytała Hanka.

Długo coś miarkował, aż rzekł cichym, ważnym głosem:

— Toć i lampa przed zagaśnięciem żywszym płomieniem wystrzeli, na ostatku. Mnie się zdaje, co Maciej już dochodzi... Aż mi nawet dziwno, że jeszcze żyje: przecież na wiór wysechł...

— Dyc jeść nic nie chce, nawet mleka nie zawsze popije.

— Musicie być gotowe, że lada dzień skończy.

— Pewnie że tak, mój Boże, pewnie. To samo wczoraj mówił Jambroży, a nawet radził, żeby już nie czekać i trumnę obstałować.

— Kaźcie zrobić, nie będzie długo czekała, nie... Jak duszy pilno ze świata, niczem jej nie powstrzyma,

nawet płakaniem, boby już poniektóre całe wieki ostały między nami — mówił smutnie, zabierając się do mleka, które mu narządziła, i popijając z wolna, wypytywał, co się tu we wsi działo.

Powtarzała, co już był słyszał po drodze od drugich, i o swoich kłopotach jęła się skwapnie a szeroko rozwodzić.

— Kaj to Jóźka? — przerwał jej niecierpliwie.

— W polu, ziemniaki osypuje z komornicami i Jagustynką, zaś Pietrek pojechał do lasu: zwozi Stachowi drzewo na chałupę.

— Buduje się to?

— Przecie pan Jacek dał mu dziesięć chojarów.

— Dał mu? Powiadali mi coś o tem, ale nie uwierzyłem.

— Bo to i nie do wiary! Zrazu nikto nie powierzył. Obiecał, ale przecie niejedyn obiecuje. Obiecanka cackanka, a głupiemu radość — powiedają. A pan Jacek dał Stachowi list i kazał mu z nim iść do dziedzica. Nawet Weronka się przeciwiała, by szedł, bo, powiada, co będzie buty darł na darmo?... jeszcze się z niego wyśmiejają, że zawierzył głupiemu... Ale Stacho się uparł i poszedł. I powiada, że może w pacierz po oddaniu listu dziedzic go kazał zawołać na pokoje, poczęstował gorzałką i rzekł: »Przyjeżdżaj z wozami, to ci borowy wycechuje dziesięć sztuk budulcu...« Dał mu Kłab koni, dał sołtys, dałam i ja Pietrka. Dziedzic już na nich czekał w porębie i zaraz sam wybrał co najsmiglejsze z tych, co to je zimą cięli la Żydów. No i zwożą, bo dobrze trzydzieści wozów będzie z gałęziami. Stacho galantą chałupę se

wyszykuje! Nie potrza mówić, jak panu Jackowi dziękował i przeproszał, bo, po prawdzie, wszyscy go mieli za dziadaka i za głupawego, że to nie wiada z czego żyje i pod figurami to we zbożach grywa na skrzypicy, a czasem tak bele co i nie do składu powie, jako ten niespełna rozumu... A on taki pan, że mu sam dziedzic posłuszny!... Ktoby to przódzi dał wiarę?...

— Nie patrzcie na człowieka, jeno na jego uczynki.

— Ale dać tylachna drzewa, które, jak Mateusz rachuje, warto z tysiąc złotych, i to jeno za Bóg zapłać, tego jeszcze nie bywało!

— Powiedali, co za to starą chałupę bierze w dożywocie...

— Hale, tyle warta, co ten trep rozłupany! Jużżma nawet myśleli, czy w tej dobroci niema jakiego podejścia, jaze Weronka dobrodzieja się redziła. Skrzyczał ją, że głupia.

— Bo i prawda. Dają — to brać i Bogu za łaskę dziękować.

— Przecie człowiek niezwyčajny brać darmochoy i jeszcze od dziedziców! Słyszane to rzeczy! Jakże, kiej to chto chłopu dał co z dobroci? Żeby po najmniejszą poredę iść, a i to na ręce patrzą, zaś w urzędzie się przez grosza nie pokaż, bo ci jutro przyjść każą, albo za niedzielę... Przez tę Antkową sprawę dobrze poznałam, jakie to jest urządzenie na świecie, i niemało już pieniędzy wyniesłam...

— Dobrze, coście mi Antka wspomnieli. Wstępowałam do miasta.

— Toście go może widzieli?

— Nie było czasu.

— Jeździłam niedawno, nie puścili me do niego. Bóg wie, kiej go obaczę.

— Może i prędszej, niżli miarkujecie — rzekł z uśmiechem.

— Jezus, co wy powiadacie!

— Prawdę! W głównym urzędzie powiedzieli mi, że Antka mogą przed sprawą puścić na wolę, jeśli kto poręczy za nim, co nie ucieknie, albo da w zastaw sądowi pięćset rubli.

— Rychtyk podobnie i kował mówił! — jąła zaraz opowiadać jego rady co do słowa.

— Rada dobra, ale że to Michałowa, nieprzezpieczna: ma on tu coś w tem, ma... Ze sprzedaniem się nie śpieszyć: z grontu wyjeżdża się w ogiery, a powraca rakiem, na czworakach... Co inszego trzeba wynaleźć... Możeby kto poręczył?... przewidzieć się potrza między ludźmi... Juści, żeby pieniądze były...

— Możeby się i nalazły — szepnęła ciszej. — Mam cosik gotowego grosza, jeno zrachować nie porodziłam, ale możeby chwaciło...

— Pokażcie, to razem przeliczymy.

Zniknęła gdziesik w obejściu, a powróciwszy po jakimś pacierzu, przywarła drzwi na zasuwę i położyła mu wężelek na kolana.

Były w nim papierowe pieniądze, były i srebrne, a nawet było parę złotych i sześć biczów koralii.

— To po matce, dał je Jagnie, a potem snadź odebrał — szepnęła, przykucając przed ławą, na której Rocho rozliczał.

— Czteryśta trzydzieści dwa ruble i pięć złotych!
Od Macieja, co?

— Tak... juści... dał mi po świętach... — jąkała,
czerwieniąc się.

— Na zastaw nie starczy, ale moglibyście co sprzedać z inwentarza!

— Juści, mogłabym przedać maciorę... krowę jałową teżby można, zbędna, Żyd już o nią pizepytywał... to parę korczyków zboża...

— A widzicie, ziarnko do ziarnka i zbierze się miarka. Bez niczyjej pomocy Antka wykupimy. Wie to kto o waszych pieniądzach?

— Ociec mi dali na ratowanie Antka, przykazując, abym nikomu ni słówkiem nie pisnęła. Wama pierwszemu się zawierzam. Jakby Michał...

— Nie rozgłoszę, bądźcie spokojni. Jak powiadomią, że pora, pojedę z wami po Antka. Uładzi się jakoś na dobre, uładzi, moi kochani — szeptał, całując ją w głowę, bo mu się do nóg rzuciła z podzięką.

— Rodzony ociec lepszyby nie był — wołała z płaczem.

— Wróci chłop, Panu Bogu podziękujecie. Gdzie to Jagusia?

— Dyć jeszcze do dnia pojechała do miasta z matką i z wójtem. Powiadały co do rejenta, stara pono gront przepisuje na córkę.

— Wszystko Jagnie? a chłopaki?

— Przez złość do nich, że to chcą działów. Piekło tam u nich, a to dzień nie mija przez klótni, zaś wójt

broni Dominikowej, opiekunem był nad sierotami jeszcze po śmierci Dominika.

— A ja myślałem, że co inszego, bo to mi różnie opowiadali.

— To świętą prawdę mówili. Jagną się ano opiekują, ale tak, co mi wstyd rozpowiadać podrobnie. Stary jeszcze rzezi, a ta jak suka... Nie powtarzałabym po kim, ale samam ich w sadzie zdybała, no...

— Dajcie mi gdzie wypocząć — przerwał jej, powstając z ławy.

Chciała mu słać Józine łóżko, ale wolał iść do stoły.

— Pieniądze dobrze schowajcie — ostrzegł ją jeszcze i poszedł.

Aż dopiero po południu się pokazał, zjadł obiad i na wieś się wybierał, kiej Hanka z wielką nieśmiałością się odezwała:

— Byście mi to, Rochu, oltarz pomogli przystroić...

— Prawda, jutro Boże Ciało. Gdzież to go stawiacie?

— Gdzie i co rok, przed gankiem. Pietrka ino patrzeć z lasu, przywiezie gaci jodłowej i świerczaków, zaś Jagustynkę z Józką zarno po obiedzie pchnęłam po ziela na wianki.

— A świece, lichtarze, macie to już?

— Jambroży przyobiecał przynieść z kościoła wczesnym rankiem.

— U kogoż to jeszcze będą stawiali oltarze?

— Po naszej stronie u Wójta, zaś po tamtej u Młynarza i przed Płoszkami.

— Pomogę wam, wstąpię jeno do pana Jacka i przed zmierzchem przyjdę.

— Każcie Weronce, by zaraz zrana przyszła pomagać!

— Kiwnął głową i poszedł już prosto do Stachowej rudery.

Pan Jacek siedział na progu jak zawdy, papierosa palił, bródkę skubał i przewlókzył oczyma po rozkołysanych zbożach i za ptakami patrzył.

Zaś przed chałupą i pod trześniami leżało już parę tęgich chojarów i kupy wierzchołów i gałęzi, stary Bylica kole nich łąził, wymierzał toporzyskiem, gdzie jaki sęk odciupnął siekierą i ciągiem mruczał:

— I tyś przyszedł na nasze podwórko... juści... galantyś widzę... Bóg ci zapłać... zaraz cię Mateusz do ostrego kantu wyrychtuje... na przyciesie zdatnyś... sucho miał będziesz, nie bój się...

— Jakby do żywej osoby mówi — szepnął zdziwiony Rocho.

— Siadajcie. Z radości w głowie mu się pomieszało, całe dnie tak przesiaduje przy drzewie. Słuchajcie-no.

— A i ty wystalaś się, chudziaczko, w boru, to se teraz odpoczniesz... juści, niktó cię już nie ruszy!... — gadał stary, gładząc miłosnemi rękoma żółtą, złuszczoną korę sosny.

Polazł do najgrubszej, zwalonej na dróżkę, kucnął

przed przekrojem i, patrząc z lubością na żółte, nabrzmiałe żywicą słoje, mamrotał:

— Tylachnaś, a dali ci radę! co? Żydyby cię do miasta wywiezły, a tak Pan Jezus pozwolił, co u swoich ostaniesz, u gospodarzy, obrazy na tobie powieszą, ksiądz cie wodą święconą skropi, juści... co?...

Pan Jacek jeno prześmiechał się z tego nieznacznie i pogadawszy cosik z Rochem, wziął skrzypki pod pachę i miedzami ruszył ku borom.

Rocho zaś potem u Weronki siedział, wysłuchując różności.

Na świecie miało się już pod wieczór, upał przechodził, a nawet już od łąk przewiewały chłodnawe ciągi, wiater też niezgorzej jął dmuchać od samego południa, że żytnie pola, rdzawe od młodych kłosów, toczyły się skłębione kiej wody, raz po raz zakolebały się gwałtownie, zakręciły wirem i chlustały ku drogom i miedzom, jakby już ino, ino, wylać się miały, ale jeno tłukły płowemi grzywami o ziemię i poddawały się wtył, kiej stado żrebców, dęba stojących. Wiater z różnych stron parł na nie i miotał kiejby la zabawy, że wzburzone znowu hulały po zagonach pełne gurb płowych, zielonych zatok, rdzawych smug, i chrzęstu, i trzepotów. Skowronki wydzwaniały wysoko, czasem stado wron przeciągnęło, wążąc się na wietrze i spadając odpoczywać na rozkołysanych drzewinach. Słońce już czerwieniało, opuszczając się coraz niżej, i po całym świecie, po polach rozkołysanych i po sadach trzepoczających się, niby stada na uwięzi, rozlewał się zwolna czerwonawy brzask kończącego się dnia.

Zaś z powodu jutrzejszego święta ludzie wcześniej schodzili z pól, kobiety wily wianki przed chałupami, dzieci znosiły naręcza tataraku, przed Płoszkami i młynarzem stożyły się brzeziny i świerki, które wkopywali, kaj miały się stawiać ołtarze, gdzie już i dzieuchy mały ściany, drogę też miejscami równali, zasypując wyboiska, któraś też jeszcze prała nad stawem, że ino kijanka trzaśkała i gęsi strachliwie gęgały.

Rocho właśnie zbierał się wyjść od Weronki, kiej na topolowej, we srogiej kurzawie ukazał się ktosik pędzący na koniu. Wstrzymywały go nieco wozy ze Stachowem drzewem, że polem chciał objeżdżać.

— Te! konia ochwacisz, kaj ci tak pilno! — krzyczeli.

Wyminął ich jakoś i pognał do wsi z całych sił, jaże koniowi zagrała wątroba.

— Hej! Adam, poczekaj-no! — wołał Rocho.

Kłębiak wstrzymał się nieco i jął krzyczeć z całych sił:

— A to nie wiecie, jakieś zabite leżą w boru! Jezus, zatkało me całkiem. Konia pasłem na smugu i jużeśmy z Gulbasiakiem jechali do dom, aż tu przed Borynowym krzyżem koń się rzucił w bok, jażem bęcnął na ziem. Patrzę: ki lichy strachnęło konia? a tu jakieś ludzie w jałowcach leżą... Wołałim, a oni nic, leżą, kieby pomarłe...

— Głupi, będzie tu cudeńka rozpowiadał! — zawrzeszczeli.

— Obaczcie sami: leżą tam! Gulbasiak też wi-

dział, jeno co ze strachu w las pognał do komornic, które susz zbierały. Nieżywe leżą.

— W imię Ojca i Syna, to jedźże wójta powiadomić!

— Wójt jeszcze z miasta nie przyjechali — rzekł ktosik.

— To soltysowi dać znać!... kole kowala drogę poprawia z chłopakami!... — wołali za nim, bo już ostrym galopem się puścił.

Juści co po wsi w ten mig się rozgłosiło o pomordowanych, wrzask się czynił zgrozy pełen, i bieganina, ludzie jaże się żegnali z przerażenia. A nim słońce zaszło, z pół wsi wyległo na drogi. Ktoś dobrodzieja uwiadomił, że wyszedł przed plebanję rozpytywać, kupą już tam szli niemałą, rając zcicha, młodszy puścili się nieco naprzód topolową, a wszyscy z wielką niecierpliwością czekali na soltysa, którego wozem pojechał, zabierając ze sobą Kłęba i parobków.

Długo czekali, bo dopiero o zmierzchu powrócił, ale ku niemałemu zdumieniu wójtowemi końmi i bryką. Zły był jakiś, bo srodze kłął i podcinał szkapy, ani myśląc przystawać przed cizbą, ale ktoś konie za uzdy chytał, że musiał przystanąć i rzekł:

— Juchy te chłopaki, wymyślili sobie co niebądź la zabawy. Żadnych zabitych nie było w lesie, ludzie se jakieś spały pod krzakami. Złapię Kłębiaka, to ja mu dam strachania. Spotkałem po drodze wójta i zabrałem się z nim, to cała historja. Wio! maluśkie!

— A cóż to wójt chory, że leży kiej baran? — pytał kto, zaglądając do wasąga.

— Śpik go zmorzył i tyła! — śmignął konie i już klusem ruszył.

— Ścierwy te wisusy, żeby taką rzecz wymyślić!

— Gulbasiaka to sprawka, on pierwszy do psich figlów!

— Rzemieniemy ich złoić, co mają ludzi trwożyć po próżności!

Wyrzekali z oburzeniem, rozchodząc się zwolna po chałupach.

Jeszcze gdzie niegdzie stojali kupkami nad stawem sczerwienionym od zórz, gdy się pokazały komornice z ciężkimi brzemionami drzewa na plecach. Kozłowa szła na przedzie, jaże w pół zgięta pod ciężarem, i dojrawszy ludzi, wsparła się brzemieniem o drzewo.

— Soltys waju dobrze ocyganił! — powiedziała, ledwie zapiąc z utrudzenia. — Zabitych w lesie nie było, to prawda, ale może co gorszego.

I skoro zebrało się więcej ludzi, zwabionych jej głosem, puściła ozór:

— Wracalim podleśną drogą ku krzyżowi, aż tu Gulbasiak leci naprzeciw i krzyczy zestrachany: »Pod jałowcami jakieś zabite leżą!« Zabite to zabite, myślę, ale warto zawdy obejrzeć. Poszłyśmy... widzimy zdala, prawda, leżą jakieś ludzie, kieby nieżywe... jeno im kulasy sterczą z pod jałowców. Filipka me ciąga, by uciekać... Grzelowa już pacierz trzepie, i mnie też mróz po plecach chodził, alem się przeżegnała, podchodzę bliżej... patrzę... a to pan wójt leży przez kapoty, a pobok Jagusia Borynowa... i śpią se w najlepsze. Spili się w mieście, gorąc był, to se chcieli wypocząć w chłodzie i pojamoro-

wać. Jaże buchała od nich gorzałka! Nie budzilim: niech świadki przyjdą, niech cała wieś obaczy, co się wyprawia! Wstyd mówić, jak była rozdzana, jaże Filipka z litości przyokryła ją zapaską. Czysta sodoma. Stara jestem, a jeszcze o takim zgorszeniu nie słyszałam. Soltyś zaraz przyjechał i budził, Jagna w pola uciekła, zaś pana wójta ledwie na wóz wdygowali, spity był kiej świnia!

— Jezus, tego jeszcze w Lipcach niebывało — jęknęła któraś.

— Żeby to parobek z dziewczką, ale to gospodarz, ociec dzieciom i wójt!

— A Boryna ze śmiercią się mocije, wody mu nie ma kto podać, a ta...

— Jabym ją ze wsi wyświeciła! jabym ścierwę różgami pod kościołem siekła! — zaczęła znowu wrzeszczeć Kozłowa.

— Zgorszenie samo krzyczy; co tu dodawać? — uspokajały ją kobiety, załamując ręce.

— A kaj Dominikowa?

— Z rozmysłem ją w mieście ostawili, by nie przeskadzała...

— Jezu, strach pomyśleć, co się wyprawia teraz na świecie!

— Taki grzech, takie zgorszenie, dyć wstyd na całą wieś padnie!

— Jagna się ta osławy nie boja, jutro gotowa to samo robić.

Wyrzekali po chałupach, załamując ręce, że już z tej zgrozy i oburzenia co miętsze kobiety płakały, spo-

dziewając się kary srogiej od Boga na wszystkich ludzi. Cała wieś się trzęsła od gadań i lamentów.

Tylko jedne chłopaki, co się były zeszyły na most, wzięły Gulbasiaka rozpytywać podrobno i prześmiewały się z całej historii.

— To ci kokot z wójta, no! to chwat! — śmiał się Wachnik Adam.

— Odpokutuje jeszcze za te jamory: kobieta leć mu obedrze!

— I z pół roku nie przypuści do siebie.

— Po Jagusi to i nie śpieszno mu będzie do swojej.

— Psiachmać, la Jagny kaźdenby się ważył na wszystko...

— Jeszczeby! kobieta kiej lania, że niewiada, czy nalazłby śliczniejszą w jakim dworze: ledwie spojrzy na człowieka, a już ciągotki biorą.

— Miód nie kobieta, nie dziwno mi też, co Antek Boryna...

— Dajta spokój, chłopaki! Gulbasiak łze jedno, Kozłowa drugie, a baby przez zadrość jeszcze dokładają, zaś po prawnie to niewiadomo, jak było... Na niejedną pyskują, choć najpoczciwsza — zaczął mówić Mateusz jakimś smutnym i wielce strapionym głosem, ale nie skończył, gdyż się zjawił między nimi Grzela, wójtów brat.

— Cóż? Piotr śpią jeszcze? — pytali ciekawsi.

— Brat mój rodzony, ale kto tak robi, psem mi jest od dzisiaj! Ale ta ścierwa wszystkiemu winowata! — wybuchnął wściekłością.

— A nieprawda! — wrzasnął naraz Pietrek, pa-

robek Borynów, przedzierając się z pięściami do Grze-
li — któren tak szczeka, lże jak pies!

Zdumieli się tą niespodzianą obroną, a on, wytrzą-
chając pięściami, krzyczał:

— Wójt jeno winien! To ona mu korale zwoziła?
ona go do karczmy ciągała? ona po całych nocach w sa-
dzie warowała, co? Dobrze wiem, jak przyniewalała i ku-
siła! A może i jakich kropli jej zadał, by mu się nie oparła!

— Obrońca zapowietrzony! nie ciep się tak, bo
obertelek zgubisz!

— Dowie się, co ją bronisz, to ci zasługi podniesie.

— Albo jakie portki po Macieju ochfiaruje!

Aż się pokładali ze śmiechów i przekpiwań.

— Chłop za nią nie stanie się upomnieć, ani kto
drugi, to ja bronić będę... A będę, psiakrew, i niech jesz-
cze usłyszę złe słowo, pięści nie pożałuję... Pyskacze ju-
chy, kieby się to przytrafiło z którego siostrą albo ko-
bietą, toby mordy stulili!

— Zawrzyj i ty pysk, parobie jeden! nie twoja
sprawa, pilnuj se końskich ogonów! — gruchnął na
niego Stacho Płoszka.

— I bacz, byś czego przódzi nie oberwał! — do-
dał Wachnik.

— A od gospodarzy ci zasie, kołtunie jeden! —
dorzucił jeszcze któryś na odchodne.

— Gospodarze parszywe, dziedzice ścierwy! Ja
służę, ale kryjomo ćwiartek nie wynoszę do Żyda, ni
z komory niczegój nie porywam! Jeszcze me nie zna-
cie! — krzyczał za odchodzącymi śpiesznie, bo nijako

się im zrobiło, że nie odzywając się już na jego wrzaski, porozchodzili się po chałupach.

Wieczór się już zrobił, jeno że jakiś wietrzny i dziwnie jasny, dawno bowiem było po zachodzie, a na niebie jeszcze leżały szerokie zatoki zórz krwawych, kieby mrowiska porozrywane, i wzbierały zwolna wielgachne chmurzyska. Jakiś niepokój rozwiewał się nad światem, wiater pohukiwał wysoko, że tylko co najwyższe drzewa szarpały się wierzchołkami, ptaki jakieś z wrzaskiem przeciągały niedojrzane, gęsi też niewiada czemu krzyczały po obejściach, a psy ujadaly kiej wściekle, wybierając aż na pola. Zaś w chałupach też było podobnie, bo po kolacji nikt w izbach nie ostał, ni na progach siedał, jak zwyczajnie: wszyscy do sąsiadów szli, kupiąc się przed opłotkami a zcicha poredzając.

Wieś była kiej wymarła, nie rozlegały się śmiechy ni śpiewki, jak zawdy w ciepły wieczór, bo wszystkie szepem raili, strzegąc się dzieci i dzieuch, i wszystkich przejmowało jednakie oburzenie i zgroza.

U Hanki też się zebrało na ganku parę kum: przyleciały się nad nią użalać i co nowego o Jagnie dowiedzieć. Poczynały z różnych stron, ale Hanka odrzekła smutnie:

— Wstyd to i obraza boska, ale i niemałe nieszcześnie.

— Pewnie, a jutro cała parafja będzie o tem wiedziała.

— I zaraz powiedzą, że co najgorsze, to w Lipcach się staje.

— I na wszystkie lipeckie kobiety wstyd padnie.

— Bo wszystkie takie święte, że niechby je kto tak przyniewalał, to samoby zrobiły! — zaśadyła Jagustynka.

— Cichoście, nie pora na prześmiejchy! — zgromiła ją Hanka wyniośle i już ani słowem się nie ozwała.

Jeszcze ją dusił wstyd, ale gniew, co ją zrazu chycił na Jagnę, już się kajś zapodział, że skoro kумы się porozchodziły, zajrzała na drugą stronę, niby to do Macieja, ale dojrawszy Jagusię, śpiącą w ubraniu, przywarła drzwi i poomacku rozebrała ją starannie.

— Niech Bóg broni takiej doli! — myślała potem z dziwną litością i jeszcze parę razy tego wieczora zaglądała do niej.

Jagustynka musiała cosik zmiarkować, bo rzekła, jakby niechcący.

— Jagna bez grzechu nie jest, ale wójt najwinniejszy.

— Prawda i jemu powinni zapłacić za wszystko, jemu! — przytwardzała tak zajadle Hanka, jaże Pietrek spojrział na nią dziękczynnie.

I dobrze utrafiły, bo do późna w noc stary Płoszka i Kozły latały po wsi, podburzając ludzi przeciw niemu. Płoszka nawet do chałup zachodził i niby to żartami gadał:

— Udał się nam wójt, w całym powiecie nie najdzie większego chwata!

A że jakoś niebardzo mu basowali, do karczmy pociągnął. Było już tam kilku pomniejszych gospodarzy, postawił im gorzałki raz i drugi, aż kiej się podcięli, swoje jął wykładać:

— Wójt nam się sprawia? co?

— Nie pierwszyczna mu przecież! — rzucił ostrożnie Kobus.

— Trzymam o nim swoje i nie puszcę z gęby, trzymam! — mrucał podpiły ździebko Sikora, wspierając się ciężko na szynkwasię.

— Trzymaj se i co drugiego w zębach: nikto ci nie wydziera! — buchnął Płoszka i już cicho ją podjudzać na wójta, prawiąc, jaki to zły przykład la ludzi daje, jaki wstyd przez niego, i różne różności.

— Trzymam i o tobie swoje, jeno ci nie powiem — mrucał znowu Sikora.

— Zwalić go z urzędu, to jedyna rada, zaraz mu trąba zmięknie! — prawił, stawiając nową kwaterkę. — Posadzilim go na wójtostwie, to mocnim i zesadzić! To, co dzisiaj zrobił, wstyd la całej wsi, aleć gorsze robił: z dziedzicem zawdy trzymał na szkodę gromady, szkołę chce w Lipcach stawiać, Miemców na Podlesie to on pono dziedzicowi naraił. A hula ciągiem, pije, stodołę sobie postawił, konia przykupił, mięso co tydzień jada i herbatę pija -- za czyje to pieniądze? co? Juści nie za swoje, jeno za gromadzkie...

— To trzymam, co świntuch jest wójt, ale i tybys swojego ryja chciał wsadzić do koryta! — przerwał mu mamrot Sikory.

— Spił się i bele co powiada.

— Swoje trzymam, że cię na wójta nie wybierzem! Odsunęli się od niego i cosik długo w noc uredzali.

Zaś nazajutrz jeszcze rozgłośniej jęli rozgadywać całą historję, bo ksiądz zabronił stawiania ołtarza przed

wójtem, jak to co rok bywało. Juści, co się wszystkiego dowiedział i zaraz rano kazał wołać Dominikową, która była dopiero o północy wróciła, i taki był zły, że organistę zwymyślał a Jambroża cybuchem przekropił.

Ów dzień Bożego Ciała przeszedł był jak i poprzednie, wielce pogodny, jeno dziwnie duszący i cichy; najmniejszy powiew nie przewiewał nad ziemią, słońce zarno od wschodu jęło prażyć niemiłosiernie, że w rozpalonem i suchem powietrzu liście mdlały powiędłe i zboża się kłoniły bezwładnie, piasek parzył w nogi kiej zarzewie, zaś ze ścian ściekały żywice, żarem wytopione.

Folgował se Pan Jezus i prażył coraz mocniej, ale naród jakby na to nie baczył, gdyż już od samego świtania rejwach się czynił na wsi i sroga krętanina: szykowali się do kościoła, a dziewczyny, które miały nosić feretrony i sypać kwiatem przed dobrodziejem na procesji, biegały kiej oparzone jedne do drugich, przymierzać stroiki, a czesać się i cudeńka wygadywać między sobą, zaś starsi na gwałt stroili ołtarze; stawiali u młynarzów, przed plebanją, zamiast u wójta, i przed Borynami, że Hanka wraz z domownikami już od świtu pomagała Rochowi.

Skończyli też prawie pierwsi, a tak pięknie przybrali, jaże się ludzie zdumieli, powiedając, co nawet piękniejszy od młynarzowego.

I prawdę rzekli: przed gankiem stanęła kieby kapliczka, wpleciona z brzozowych gałęzi a zieleni, wykryli ją całą welniakami, że jaże grało w oczach od kolorów, zaś w pośrodku, na podwyższeniu, stanął ołtarz, przykryty bielušką i cienką płachtą i zastawiony świe-

cami a kwiatami w doinkach, które Józka oblepiła w strzyżki ze złotego papieru.

Wielki obraz Matki Boskiej wisiał nad ołtarzem, a pobok zawiesili mniejsze, ile się jeno zmieściło. Zaś la większej przyozdoby, nad samym ołtarzem przyczepili klatkę z kosem, którego Nastusia przyniesła: ptak się wydzierał po swojemu, że mu to Witek zcicha przygwizdywał.

A całe opłotki od drogi wysadzone były świerczyną, naprzemian z brzózkami, żółtym piaskiem grubo wysypane i zarzucone tatarakiem.

Józka znosiła całe naręcze modraków, ostrózek, wyczki polnej i przystrajała ściany kapliczki; opięła też niemi obrazy, lichtarze i co ino było można, że nawet ziemię przed ołtarzem potrząsnęła kwiatami; nie darowała i chałupie, gdyż całe ściany i okna ginęły pod zielenią, zaś w snopki dachu nawtykała tataraków.

A przykładali się do roboty wszyscy zarówno, kromie jednej Jagusi, która, wymknąwszy się z chałupy wczesnym rankiem, już się nie pokazała.

Wprawdzie skończyli pierwsi, ale już słońce wynosiło się nad wieś i coraz więcej turkotało wozów, z drugich wsi jadących.

Jęli się więc śpiesznie szykować do kościoła.

Witek jeno ostał na straży w opłotkach, bo chmara dzieci cisnęła się oglądać ołtarz i przygwizdywać kowski, że gałęzią odganiał, a nie mogąc poredzić, puszczał na nich swojego boćka, którego snadź przyuczony, wysuwał się czająco i groził ostrym dziobem w bosc nogi, jaże z wrzaskiem rozpierzchali się co chwila.

Sygnaturka akuratnie się ozwała, kiej cały dom wyszedł. Józka biegła przodem, w bieli cała, w trzewi-
kach zasznurowanych czerwonymi tasiemkami, z książką
w rękę.

— Witek, jak ci się widzę? co? — pytała, obra-
cając się przed nim na pięcie.

— Galanto, kiej ta biała gaska! — odrzekł z po-
dziwem.

— Tyla się na tem rozumiesz, co twój bociek.
Flanka pedzieli, co żadna we wsi tak się nie przystroi —
trzepała, obciążając przykrótkie obleczenie.

— Cie!... a kołana ci się czerwienią przez kieckę,
niby gęsi z pod pierza.

— Głupiś! Łapie w ogon se zajrzyj! Hale, boćka
schowaj: ksiądz przyjdzie z procesją i jeszcze go obaczy
i pozna — przestrzegala ciszej.

— Prawda, że śwarna i przystrojona, a i gospo-
dyni też się rozczapierza, kiej ten indor! — szeptał, wy-
glądając za niemi na drogę, ale wspomniawszy prze-
strogę, zaciągnął boćka do dołu po ziemniakach, zaś la
obrony przed dziećmi Łapie przykazał warować przed
ołtarzem, a sam poleciał do Macieja, leżącego w sadzie,
jak co dnia.

Na wsi już całkiem ścichło, wszystkie wozy prze-
jechały i ludzie przeszli, drogi opustoszały, jeno niekajś
w opłotkach wabiły się dzieci, psy wylegały się w słońcu
i jaskółki śmigły nad stawem w rozpalonem powietrzu,
zaś w kościele zaraz po sygnaturce rozpoczęło się nabo-
żeństwo, dobrodziej wyszedł ze sumą i organy zagrały,
ale snadź wnet po kazaniu uderzyły wszystkie dzwony,

i huknęli takim śpiewaniem, jaże gołębie porwały się z dachów i naród jął się wywalać wielkimi drzwiami, a nad nim wychodziły chorągwie pochylone, światła gorejące i obrazy niesione przez dziewczyny w biel przybrane, zaś w końcu wyncsił się czerwony baldach, a pod nim ksiądz ze złocistą monstrancją w ręku wolniuśko zstępował ze schodów.

A kiej się jako tako ustawili do procesji, czyniąc wskroś cizby długą ulicę, obrzeżoną zapalonemi świecami, dobrodziej znowuj zaśpiewał:

»U drzwi Twoich stoję, Pani!... «

A wszystek naród odgruchnął mu w jeden ogromny, niebosiężny głos:

»Czekam na Twe zmiłowanie... «

I śpiewając, ruszyli, cisnąc się we wrótniach smętarza i przepychając, gdyż zjazd był ogromny, cała parafja się stawila, a nawet wszystkie dwory, że dziedzice prowadziły dobrodzieja i jeszcze w asyście szli pobok ze światłem, zaś baldach niesły gospodarze, jeno jakby na złość Lipczakom, same obce, z drugich wsi.

Cała procesja wywalała się z cieniów smętarza na plac, jaże biały i wrzący od spieki, słońce lunęło w oczy, żywym ogniem prażąc, że już się wolno posuwali wśród bicia dzwonów, śpiewów, w pachnących dymach trybularza i w kłębach kurzawy, jaka się wnet podniosła, wśród światel i tego kwiecica, sypanego pod nogi dobrodzieja...

Powiedli się do pierwszego z prawej strony ołtarza, do Borynów; droga się w mig zapchała, jaże płoty

trzeszczały, i niejeden we staw zleciał z wysokiego brzegu, i przydrożne drzewa się trzęsły od naporu. Walili ciężką, rozśpiewaną cizbą głów, kiejby tą rzeką mieniącą się od farb, zaś środkiem, niby łódź na fali, płynął czerwony baldach i chwiały się chorągwie, obrazy i święte figury całe w tiulach a kwiatach.

Parli się w tłoku wielkim, głowa przy głowie, ledwie już dysząc z żaru i ciasnoty, ale śpiewając z całego serca, całą mocą, wszystkimi gardzielami, że zdało się jakoby wraz z nimi świat cały śpiewał chwałę Panu — jakoby te lipy wyniosłe, te czarne olchy, te rozgozrzałe w słońcu wody, te śmigłe brzoźki, te sady niskie, i pola zielone, i dalekości okiem nieobjęte, i chałupy, i wszystko, co ino było, dokładało swój wtór serdeczny, nabrzmiały radością, że pieśń ogromna rozlewała się skłębionym grzmotem w rozżarzonem powietrzu i ku blademu niebu, do słońca się podnosiła.

Aż liście trzęsły się od głosów i ostatnie kwiaty z drzew leciały.

Przed Borynami ksiądz odczytał pierwszą Ewangelię i, odpocząwszy ździebko; powiódł naród do młynarzowego ołtarza.

Upał się był jeszcze podniósł, że już zgoła wytrzymać było nie sposób, i kurz zapierał gardziele, słońce zbieleło i po jasnym niebie jęły się zaciągać białawe, długie smugi, a rozprażone powietrze trzęsło się i mieniło w oczach, kiej wrzątek — na burzę się zbierało.

Już z dobrą godzinę ciągnęła się procesja i choć już ustawiali ze spieki, a choć i sam poboszcz spotniały był i czerwony jak burak, ale obchodzili zwolna, posobnie

wszystkie ołtarze, przed każdym wysłuchając Ewangelje i śpiewając nowe pieśni.

A czasami, kiej naród, ździebko ustawszy, milknął, że ino tupot nóg się rozlegał, w onej cichości nagłej skowronki było słyhać na polach, kukulka gdziesik kukala zawzięcie i jaskółki świegotaly pod strzechami, zaś dzwony bimbały bezustannie; były zwolna a długim, mocnym i gorącym głosem.

I chociaż naród znowuj śpiewał, chociaż chłopcy nie żałowały gardzieli, kobiety wydzieraly się cieniuśką nutą, dzieci piskały po swojemu, a małe dzwonki jazgotały i od ciężkiego tupotu dudniała wyschła ziemia — to głosy dzwonów wynosiły się nad wszystkim, śpiewały czysto i górnje, śpiewały niebosięźnie jakimś złocistym, głębokim głosem, przejętym radością i weselem, a tak krzepko i rozgłośnie, jakby kto walił młotami we słońce, iż wszystek świat zdał się kolebać i rozdzwaniać.

Zaś kiej skończyli przed ołtarzami, to jeszcze długo trwało nabożeństwo w kościele, długo huczały organy i rozlegały się śpiewania.

A ledwie co wysypali się przed kościół, by nieco ochłonać pod drzewami, grosz jaki dziadom wysupłać i zmówić się ze znajomkami, kiej pociemniało z nagła, daleki grzmot zahuczał i suchy, palący wiater zakręcił, że drzewa się zatargały i kurz się podniósł na drogach.

Ludzie z bliższych wsi jęli na gwałt wyjeżdżać.

Ale zrazu ino drobny deszcz przekropił, gorący i rzadki, że jeszcze parniej się stało i duszniej, zaś słońce paliło niemilosierniej, a żaby nukaly ciszej i sennie, jeno co jakoś pomroczało, dale się przyćmiły, zahuczały

znowu grzmoty i na posiniałym wschodzie jęły migotać blade, krótkie błyskawice.

Burza szła od wschodniej strony, kieby sierpem nadciągały ciężkie, granatowe plachty chmur, opite deszczem czy gradem, krótki a hukliwy wiater wrywał się przodem, świszcząc po czubach drzew i szarpiąc zbożami, ptactwo z wraskiem uciekało pod dachy, nawet psy gnały do chałup, bydło wrywało z pól, a po drogach już się kręciły słupy kurzawy, zaś grzmoty rozlegały się coraz bliżej.

A nie wyszło i dwóch pacierzy, kiej słońce jęło się zatapiać w rudych, paskudnych tumanach i przeświecało kiejby z za szyby przepalanej, grzmoty już zahurkotały nad wsią, i uderzył taki wichur, że dziw drzew nie powrywał, jaże gałęzie i snopki z dachów w cały świat porwał, a pierwsze pioruny trzasnęły gdziesik w bory, całe niebo w mig posiniało niby wątroba, słońce zgasto, zawyły wichury i pioruny jęły bić jeden za drugim, grzmoty zatrzęsły ziemią i ognie błyskawic ozdierały schmurzone niebo, oczy wyżerając blaskami.

Domy dygotały od huków, a wszelkie stworzenie przyczaiło się w strachu.

Na szczęście, że burza przewaliła się stronami, pioruny biły gdziesik daleko, wichura przeszła, nie poczyniwszy szkód, niebo zaczęło się już wyjaśniać, gdy przed nieszporami lunął rześisty deszcz i poszła taka nawałnica, że w mig położyła zboża, rzeka wezbrała a ze wszystkich rowów, miedz i brózd waliła spieniona woda.

Uspokoilo się dopiero pod sam wieczór, deszcz

przeszedł i na zachód słońce się wykryło z za chmur czerwona i promienistą kulą...

Lipce ożyły znowu, ludzie jęli wywierać drzwi i wyłazić na świat i dychać z lubością ochłodzonym powietrzem; pachniało wszycko po deszczu, a już najbarzej młode brzoźki i te mięty po ogródkach; przemiękla ziemia jakby się rozpalila w słońcu; gorzały kałuże po drogach, błyszczaly liście i trawy, palily się spienione wody, splywające z radosnym bełkotem do stawu.

Leciuchny wiaterek przegarniał pochylone zboża i rzeźwość mocna i weselna bila od borów i pól i przenikała duszę, że już dzieci z wrzaskiem brodziły po rowach i roztokach, ptaki ćwierkały w gąszczach, psy ujadaly, księże perliczki darły się na płotach, a wszystkie opłotki, drogi, chałupy i obejścia zadzwoniły przekrzykami i rozmowami, nawet już tam kajś kole mlyna zawiodła któraś piesneczkę:

Deszczyk rosi, zrosi me, zrosi me —
Moja Maryś, nocuj me, nocuj me!

Zaś od pola, wraz z rykiem stad spędzanych, darły się jazgotliwe, prędkie śpiewki pasterek:

Powiedziałeś, że mnie weźmiesz,
Skoro żytko, jarkę zeźniesz;
A tyś zeżon i owiesek —
Teraz szczekasz kieby piesek —
Oj dana, da dana!...

Zaczęły też wyjeżdżać wozy ludzi, którzy ostali, przeczekując burzę, ale wiera gospodarzy ze sąsiedzkich

wsi pozostało w gościnie u Lipczaków: byli to ci, co tak pocziwie zjechali pomagać kobietom. Bogatsi ugaszczali ich po domach, nie żalując jadła ni napitków, zaś biedniejsze powiedły swoich dobrodziejów na poczęstunek do Żyda, bo zawdy raźniej w kupie i w karczmie weselej.

Chłopaki sprowadziły muzykę, że już od nieszpórów roznosiło się z karczmy zawodzenie skrzypków, dudlenie basów i brzękliwy warkot bębenka.

A i drudzy też gęsto pociągali na zabawę, gdyż od tyła czasu, bo od samych zapust, nie zbierali się na żadną ochotę.

Narodu się naszło co niemiara, miejsc zbrakło, że sporo musiało się kumentować siedzeniem na belkach, leżących pod karczmą, jeno co czas był piękny i na niebie świeciły złote roztoki, to się gęsto kwaterowali pod ścianą, krzykając na Żyda, by im napitki wynosił.

Ze prawie sama młódź przepelniała karczmę zaraz też z miejsca poszli oberkiem, jaże ściany i dyle pejękiwały, a przewodził tanom ku niemałemu podziwu Szymek Dominikowej z Nastusią. Darmo go młodszy, Jędrzych odwodził, cicho molestując, ale nie poredził, bo parobek się sielnie rozochocił i słuchać nie chciał, gorzałkę pił i do picia Nastkę i kamratów swoich przyniewalał, zaś co urznąła muzyka, dziesiątki rzucał grajkom, Nastkę w pół ujmował i z całej mocy wrzeszczał:

— Jeno ostro chłopcy, z kopyta, po naszymu!

I nosił się po izbie kiej ten rozhukany źrebiec, pokrzykując srogo i bijąc siarczyście obcasami.

— Wiehcie jucha z butów powytrzącha! — szeptał Jambroży, robiąc łakomie grdyką ku pijącym pobok.—

A wali kulasami kiej cepem: jeszcze mu się rozlecą! — dodał, głośniej bliżej się podsuwając.

— Baczcie ino żebyście sami czego nie stracili — mruknął Mateusz, stojący ze swoimi kamratami.

— Gorzałkibym się z wami napił na zgodę — rzekł, śmiejąc się, Jambroży.

— Naści, szkła jeno nie zechlaj, pijanico! — podał mu pełny kieliszek i odwrócił się plecami, bo Grzela, wójtów brat, zaczął im cosik raić zcicha, że wsparci o szynkwias słuchali uważnie, nie bacząc na tany, ni na stojącą przed nimi gorzałkę. Sześciu ich było zebranych, wszystkie najprzedniejsze we wsi parobki, same rodowe, gospodarskie syny, radzili pilno, ale że wrzask się robił coraz większy i ciasnota, to przenieśli się do żydowskiej stancji, gdyż alkierz zajmowali gospodarze ze swoimi gośćmi.

Izba była ciasna, zapchana rozbabranemi betami, w których spały Żydzięta, iż ledwie się pomieścili przy stole. Jedna łójówka kopcila się w mosiężnym świeczniku, wiszącym u pułapu. Grzela puścił flaszkę w kolejkę, przepili raz i drugi, ale jakoś nikto nie zaczynał, z czem przyszli: jaże Mateusz rzucił drwiąco:

— Zaczynaj, Grzela, bo kiej wrony na deszczu tak siedzita!

Nie zdążył Grzela zacząć, gdy wszedł kowal i witał się, szukając, kajby przysiąść.

— Smolipysk jucha, zawdy tam wzejdzie, kaj go nie posiali! — buchnął Mateusz. — W twoje ręce, Michał! — dodał zaraz, tłumiąc gniew.

Kowal wypił i, nadrabiając miną, ozwał się żartobliwie:

— Nielasym cudzych sekretów, a nic tu widzę po mnie...

— Rzekłeś! Dobrze wama z Miemcami w piątki na sperce z kawą, to jeszcze lepiej będzie dzisiaj, we święto...

— Powiadasz Płoszka bele co, jakbyś się napił...— odburknął.

— Powiedam, co wiadomo, że co dnia z nimi hańdryliczysz.

— Kto mi robotę daje, temu robię, nie przebieram.

— Robotę! co inszego ty z nimi obrabiasz — rzekł ciszej Wachnik.

— Jakaś i z dziedzicem nasz las obrabiał — dodał groźnie Pryczek.

— Widzi mi się, co na sąd trafiłem... cie! jak to wszystko wiedzą.

— Dajta mu spokój, robi swoje bez nas, to i my weźmy się do swojego przez niego — powiedział Grzela, patrząc mu ostro w ślepie rozbiegane.

— Kiejby was strażnik dojrzał przez okna, pomysłalby, co się zmawiacie na kogo! — niby to drwił, ale wargi mu się ze złości trzęsły.

— Może i tak, jeno nie na ciebie: za małaś figura, Michał.

Nacisnął czapkę i wyszedł, trzaskając drzwiami.

— Przewąchał cosik i na zwiady przyleciał.

— Gotów teraz iść słuhać pod okno.

— O sobie jeszcze co takiego usłyszysz, że mu się odechce.

— Cicho! — no chłopcy! — zaczął Grzela uroczyście. — Mówilem już wama, co Podlesie nie przedane jeszcze Miemcom, ale leda już dzień mogą pojechać do aktu, a nawet mówili, co na przyszły czwartek.

— Dyć wiemy i trzeba na to zaradzić! — zawołał niecierpliwie Mateusz.

— Radź, Grzela: na książce umiesz, gazetę czytujesz — to ci łatwiej.

— Bo jak Miemce kupią i zasiądą o miedzę, to będzie jak w Górkach: powietrza prosto zbraknie do dychania w Lipcach i z torbami pójdziemy, albo do Hameryki.

— A ojce jeno się we łby skrobia, wzdychają i zaradzić nie poredzą.

— I z gospodarok nam nie ustąpią! — rzucali jeden po drugim.

— Wielka rzecz Miemcy! siedziały takuśko w Liszkach, a nasi ich wykupili co do jednego, że zaś w Górkach było inaczej, to same chłopcy winowate: piły, procesowały się ciągiem i torby se wygrały.

— To i z Podlesia możem wykupić i przegnać! — wołał Jędrzek Boryna, stryjeczny Antka.

— Łacno mówić: teraz niema za co kupić, chociaż tylko po sześćdziesiąt rubli morgę sprzedają, a potem to znajdziesz z jakie tysiąc złotych za to samo?...

— Żeby ojce wydzieliły kuźdemu co jego, a prędzejby poredził.

— Bo pewnie, juści! Zarazbym wiedział, co robić! — zawrzęszczeni.

— O głupie, głupie! To starzy z całego ledwie się przeżywią, a wy na działach chcecie nazbijać pieniędzy! — przerwał im Grzela.

Zmilkli naraz, bo juści taką prawdę rzekł, jakby obuchem zwałił w ciemię.

— Bieda nie z tego, że ojcowie nie chcą wam opuścić gospodarok, — mówił dalej — a jeno z tego, że Lipce mają ziemi za mało, że narodu ciągiem przybywa, gdyż co starczyło za dziadków la trojga, musi się teraz rozdzielać la dziesięciorga.

— Święta prawda! Juści że tak! Juści! — szeptali sfrasowani.

— To kupić Podlesie i podzielić! — wyrwał się któryś.

— Kupiłbyś wieś, jeno pieniądze gdzieś! — mruknął Mateusz.

— Czekaјta jeno, może się i na to znajdzie jaka rada.

Mateusz się naraz zerwał, buchnął pięścią w stół i zakrzyczał:

— A czekajcie i róbcie sobie, co chcecie, mnie już dosyć i jak się ozgniewam, to rzucę wieś i do miasta pójdę, tam lepiej ludzie żyją.

— Twoja woła, ale drudzy muszą tutaj ostać i jakoś sobie radzić.

— A bo już wytrzymać nie mogę, jaże djabli człowieka bierą: ciasnota wszędy, że chałupy dziw się nie rozwalają, tyła w nich siedzi, bieda jaże piszczy, a tu po-

bok leży ziemia wolna i prosi się, by ją wziąć... a nie ugryziesz, choćbyś zdychał z głodu, niema jej kupić za co i pożyczyć niema od kogo. Żeby to wciórności z takim urzędzeniem!

Grzela opowiedział, jak to jest indziej, po drugich krajach.

Śluchali, wzdychając żałośnie, a Mateusz mu przerwał:

— Cóż nama z tego, że drugie dobrze mają! Pokaż głodnemu miskę pełną i schowaj, niech się nachla patrzeniem! Dobrze mają: kaj indziej to jest opieka nad narodem, nie tak, jak u nas, gdzie kaźden chłop rośnie se jako ta dziczka w czystem polu, że czy zmarnieje, czy też wyrośnie — co to kogo swędzi?... bele jeno podatki płacił, w rekruty szedł i urzędom się nie przeciwił! Mierzi mi się już takie życie i do grdyki idzie...

Grzela, wysłuchawszy cierpliwie, zaczął znowu swoje:

— Jest tylko jeden sposób, żeby Podlesie było nasze.

Przysunęli się jeszcze bliżej, by i słowa nie stracić, gdy naraz taki wrzask wstrząsnął całą karczmą, jaże szyby zabrzęczały i muzyka grać przestała. Poleciał tam któryś na przewiady i opowiadał potem ze śmiechem co się stało: Dominikowa narobiła takiego piekła, przyleciała bowiem z kijem po synów, chciała ich bić i siłą do domu zabierać, jeno co się oparli, matkę z karczmy wypędzili, a teraz Szymek jął pić na umor, zaś Jędrzech pijany do ona ryczy w kominie.

Nie pytali o więcej, gdyż Grzela zaczął wykladać

swój sposób, który był taki: z dziedzicem się pogodzić i w zamian morgi lasu zażądać po cztery morgi pola na Podlesiu!

Zdumieli się wielce i strasznie rozradowali taką możliwością, a Grzela jeszcze powiadał, co tak samo się ugodziła jedna wieś koło Płocka, o czym był wyczytał w gazecie.

— Dobra nasza, chłopcy! Żydzie, gorzalki! — krzyknął Płoszka we drzwi.

— Za trzy morgi boru rychtykby nam wypadło dwanaście pola!

— A nam z dziesięć, cała gospodarka!

— I niechby dodał coniebądź krzaków na opał.

— A za paśniki mógłby dać choć po mordze łąki.

— I nieco budulcu na chałupy! — wołali jeden przez drugiego.

— Jeszcze trochę, a będziecie chcieli, żeby wam dodał po koniu z wozem i po krowie, co? — przekpiwał Mateusz.

— Cichoście-no!... trzeba teraz namawiać, aby się gospodarze zebrali, poszli do dziedzica i przełożyli, czego chcą: może się i zgodzi.

Mateusz mu przerwał:

— Jak nie ma noża na gardle, to się nie zgodzi: jemu zaraz potrzeba pieniędzy i Miemcy je dadzą, choćby jutro, niech się tylko zgodzi... A nim się nasi wydrapią po łbach, nim się naredzą, nim się na jedno zgodzą, nim baby przeciągną na swoją stronę, to miesiące przejdą, dziedzic ziemię przeda i plecy wypnie: będzie miał o czym czekać, jak wypadnie sprawa z borem. Grzelowy

sposób jest mądry, jeno widzi mi się, trza go innym końcem stawiać do pionu.

— To gadajże, Mateusz, radź!

— Nie gadać, nie naradzać się, a trza zrobić tak samo jak z borem.

— Czasem tak można, a czasem nie! — mruknął Grzela.

— A ja ci mówię, że można, w inny ździebko sposób, a to samo wyjdzie... Do Miemców iść całą gromadą, i spokojnie im zapowiedzieć, aby się nie ważyły kupować Podlesia...

— A takie są głupie, że zaraz się nas ulękną i posłuchają!

— To też im się zapowie, że jeśli nie posłuchają i kupią, to nie pozwolim im siać, nie pozwolim się budować, nie damy krokiem się ruszyć za pola. Zobaczycie, czy się nie ulękną! Wykurzymy ich kiej lisów z jamy.

— A juści, niby to se nie poredzą!... jak Bóg w niebie, tak nas znowu za te pogrozy wsadzą do kremi-nału! — wybuchnął Grzela.

— Zapakują, to i puszczą, wiekować tam nie będziemy, ale kiej nas wypuszczą, to la Miemców będzie jeszcze gorzej... głupie one nie są i przódzi dobrze rozważą, czy im wojna z nami pójdzie na zdrowie... Dzie-dziec też będzie inaczej śpiewał, jak mu kupców rozpędzimy, zaś nie...

Ale już Grzela nie mógł wytrzymać, zerwał się od stołu i zaczął z całych sił odwozić od tych zuchwałych zamysłów. Przekładał, jakie to z tego wynikną procesy, nowe straty la wszystkich, nowe marnacje, że gotowi po-

wsadzać ich za te ciągłe bunty na parę lat do kryminału... że to wszystko da się zrobić spokojnie ze samym dziedzi-
cem... Zaklinał na wszystko i błagał, by nowego nie-
szczęścia nie ściągali na naród. Prawił ze dwa pacierze
i jaże poczerwieniał, jaże całował ich posobnie, mole-
stując i prosząc, by poniechali, ale wszystko to było na
darmo, kiejby groch rzucał na ścianę, że wkońcu Ma-
teusz rzekł:

— Prawisz, kiej w kościele, jakbyś z książki wy-
czytywał, a nam czego inszego potrza!

Wraz też wszyscy poczęli mówić, zrywać się, tłuc
pięściami w stół, a wrzeszczeć z wielkiej radości:

— Dobra nasza, na Miemców iść, rozegnać plu-
draków! Mateusz mądrze radzi, jego słuchamy, a któ-
ren się boja, niech pod pierzynę się chowa!

Ani sposób już było do nich mówić, tak ich pono-
siło.

Żyd w te pore przyniósł flachę, wysłuchał i ście-
rając na stole porozlewaną gorzałkę, powiedział nie-
śmiało:

— Mateusz ma kiepele: mądrą radę daje.

— Cie! Jankiel też na Miemców, no! — zakrzy-
czeli zdumieni.

— Bo ja wolę trzymać ze swoimi, biedy się użyje,
jak i wszystkie, ale jakoś z pomocą boską żyć można...
Ale gdzie przychodzą Niemcy, to już tam nietylko biedny
Żydek się nie pożywi, tam pies nie ma co jeść... Niech
one zdechną, niech ich ta... tfy... choroba wytłucze!...

— Żyd i trzyma z narodem! Słyszeliście co?

Dziwowali się coraz barzej.

— Ja jestem Żyd, ale mnie w boru nie znaleźli, ja się tutaj urodziłem, jak i wy, mój dziadek i mój ojciec też... to z kim ja mam trzymać?... co?... Czy to ja nie swój?... Przecież jak wam będzie lepiej, to i mnie będzie lepiej!... Jak wy będziecie gospodarze, to ja będę z wami handlował!... Jak mój dziadek z waszymi, no nie?... A coście mądrze o Niemcach myśleli, to ja całą butelkę araku postawię!... Wasze zdrowie, gospodarze podla-skie! — zawołał, przepijając do Grzeli.

Pili gęsto i taka radość nimi owładnęła, że dziw-Żyda nie całowali po brodzie, usadzili go między sobą i wszystko znowu rozpowiedzieli, radząc się go we wszystkim. Nawet Grzela się rozchmurzył i przystał znowu do nich, by go nie posądzili o co złego.

Narada już niedługo trwała, bo Mateusz się podniósł i wołał:

— Do karczmy, chłopcy, nogi wyprostować, do-syć na dzisiaj!...

Hurmą tam poszli, a Mateusz odbił zaraz jakie-muś Tereskę i puścił się z nią w tany, a za nim drugie zaczęły dziewczki z kątów wyciągać, na muzykantów krzy-kać i w tany iść, kiej wicher.

Juści co zaraz rześściej gruchnęła muzyka, bo grajki wiedziały, że z Mateuszem nie przelewki, że płaci, ale i bić gotowy.

Roztańcowała się karczma na dobre, z czubów już się galancie kurzyło, że wrzaski, muzyka, tupoty a siar-czyste pokrzyki jakby wrzątkiem przepelniały izbę i na świat się rozlewały przez powywierane drzwi a okna, zaś pod ścianami na dworze też szła niezgorsza zabawa,

brząkały kieliszli, gospodarze często do się przepijali, a raili coraz głośniej i coraz belkotliwiej.

Noc już się zrobiła, gwiazdy bystro zaświeciły, szumiały cicho drzewiny, a z mokradel roznosiły się żabie rechotania i huczały niekiedy głosy bąków, po sadach słowiki zawodziły, ciepło było i pachnąco. Używali se ludzie wywczasu na świeżem, chłodnem powietrzu, a raz po raz jakaś para, trzymając się w pół, wysuwała się z karczmy i w cieniu szła... Zaś pod ścianą było już coraz głośniej, gadali wszyscy razem, że trudno się było połapać.

— ...a co jeno wieprzka wypuściłam, że jeszcze i ryja nie zdążył wsadzić w ziemniaki, a ta do mnie z pyskiem...

— Wypędzić ją ze wsi!... Wypędzić!...

— Baczę, co tak samo z jedną zrobili za moich młodych lat!... Przed kościołem do krwi ukarali, krowami wywieźli za kopce i był spokój...

— Żydzie, całą kwaterkę krzepkiej!

— Odebrała mleko mojej siwuli, odebrała!...

— Obrać nowego, to każdy tak samo poradzi...

— Wyrwać złe, póki większego korzenia nie zapuści...

— Pleć zboże, póki chwasty nie zagłuszą...

— Przepijcie-no do mnie, a cosik waju rzeknę...

— Byka bierz za rogi, a nie popuszczaj, jaże się zwali...

— Dwa morgi a jedna — trzy morgi; trzy morgi a jedna — cztery morgi.

— Pij, bracie, to i rodzone nie zrobiłyby poczi-
wiej...

Rwały się z mroków postrzępione rozmowy, że ani rozeznał, kto mówił i do kogo; tylko jeden grubachny głos Jambroża górował wyraźnie nad drugimi w różnych miejscach, przechodził bowiem ciągiem od kupy do kupy, to do karczmy zaglądał, i wszędy wygarniając po kusztyczku, pijany już był całkiem, sielnie się potaczał, ale chyził przy szynkwasio któregoś za orzydle i jął go płaczliwie molestować:

— Ochrciłem cię, Wojtek, i twojej kobiecie tak dzwoniłem, jaże mi kulasy popuchły: postaw kieliszek, bracie! A postawisz całą półkwatrkę, przedzwonię jej na wieczne odpoczywanie i drugą babę ci naraję... młodą, jedrną kiej rzepa! Postaw, bracie, półkwatrkę...

Młodzież hulala zawzięcie, że cała izba wypełniła się wrzaskiem a wiewającemi kieckami i kapotami, już piesneczki przyśpiewywali przed muzyką i tańcowali coraz zapamiętalej, że nawet starsze kobiety wytrząsały się, piskliwie pokrzykując, a Jagustynka, przedarłszy się do środka, ujęła się wpół i, bijąc nogami o podłogę, wyśpiewywała chrzypliwie:

Nie boję się wilka, choćby było kilka!...

Nie boję się chłopca, choćby było kopa!...

.....

X.

Owóz te dnie od Bożego Ciała do Niedzieli nie przeszły letko Mateuszowi, Grzeli, ni ich kamratom; Ma-

teusz bowiem przerwał roboty przy Stachowej chałupie, zaś drudzy też poniechali swoich zajęć, a ino całe te dnie i wieczory chodzili po chałupach w pojedynkę i podjudzali naród przeciwko Miemcom, nawołując do przepędzenia ich z Podlesia.

Karczmarz ze swojej strony też nie żałował namów, a jak było potrza na upartych, to i poczęstunków albo borgowań, ale szło kiej po grudzie; starsi drapali się jeno po łbach, wzdychali ciężko i, nie ważąc się na żadną stronę, oglądali się na drugich i na kobiety, które, jak jedna, ani słuchać nie chciały o wyprawie na Miemców.

— Hale! co im do łbów strzeliło! Mało to już mar-nacji przez bór?... jeszcze jednego nie odsiedziały i nowe biedy chcą na wieś sprowadzić! — wołały, a sołtysowa, cicha zazwyczaj, jaże pomietło chyciła na Grzełę.

— Jak będziesz niewolił do nowego buntu, to cię strażnikom wydam! Nygusy, ścierwy, robić się im nie chce, toby ino spacerowały! — rozwrzeszczała się przed chałupą.

Zaś Balcerkowa gruchnęła na Mateusza:

— Psy na was spuszczę, próżniaki! Wrzątku naszymu!

I wszystkie progiem zaległy przeciwko namowom, głuche na tłumaczenia i prośby, że ani sposobu było im trafić do rozumu; zawrzeszczały każdego, a niejedna już i płaczem lamentliwym buchała.

— Nie dam mojemu iść! Kapoty się uwieszę, i choćby mi kulasy obcięli, a nie puszczę!... Dosyć my się już nabiedowały!...

— Ażeby was, głąby jedne, siarczyste pieruny roznieśły! — kłął Mateusz. — To kiej sroki na deszcz, krzyczą i krzyczą. Dyć to ciele prędzej zrozumie ludzką mowę, niżli kobieta mądre słowo! — wyrzekał, głęboko zniechęcony.

— Daj spokój, Grzela, nie trafisz z niemi do rozumu: trzaby każdą sprać, abo żeby twoja była, to cię wtedy może posłucha — żalił się smutnie.

— Takie już są, że przez moc nie przerobisz: innym trza sposobem z niemi; oto nie przeciwiać się, przytakiwać, a pomaluśku na swoją stronę pociągać.

Tłumaczył tak Grzela, nie odstępując sprawy, bo chociaż sam był jej zrazu przeciwny, ale skoro rozważył, że inaczej nie można, całą duszą się jej oddał.

Chłop był kwardy i nieustępliwy, a na co się jeno zawzięł, dopiąć musiał, żeby tam nie wiem co przeszkadzało; to i teraz na nic nie zważał: zawierali mu drzwi przed nosem — oknami gadał; kobiety mu wygrażały — nie gniewał się, przyświarczał jeszcze, a kaj było potrza — basował, zaś niejedną o dzieci zagadywał i porządki wychwalał, aż wkońcu powiedział swoje, a nie udało się — szedł dalej. Całe dwa dni pełno go było na wsi, w chałupach, po ogrodach, w pola nawet szedł i, zagadując o tem i owem ludzi, swoje im prawił, zaś tym, którzy nie miarkowali odrazu, kijaszkiem rysował po ziemi podlaskie pola, pokazywał działą i cierzpliwie tłumaczył korzyści każdego. Ale mimo tych zabiegów, na darmo byłyby te wszystkie zachody, gdyby nie pomoc Rochowa. Jakoś w sobotę po południu, zmiarkowawszy, że wsi nie poruszą, wyzwali Rocha za stodoły Borynowej

i zwierzyli się przed nim: bojali się, że będzie im przeciwny.

Ale Rocho pomyślał krótko i powiada:

— Sposób to zbójceki, ale że na inny już niema czasu, pomogę wam z chęcią.

I zaraz poszedł na ogrody do proboszcza, siedzącego przy parobku koszącym koniczynę, którego potem rozповідаł, jako zrazu dobrodziej się ozgniewał na Rocha, krzyczał, zatykał uszy i słuchać nawet nie chciał, lecz potem siedli obaj na miedzy i długo se cosik uradzali. Snadź Rocho go przekonał, gdyż o zmierzchu, kiej ludzie zaczęli ściągać z pól, proboszcz poszedł na wieś, niby to chłodu zażywał, a zaglądał w obejścia, pytał o różności, a głównie z kobietami się zmawiał i wkońcu każdemu zosobna a cicho powiadał:

— Chłopaki dobrze chcą. Trzeba się śpieszyć, póki jeszcze czas. Zrobicie swoje, to ja już pojedę do dziedzica i będę go namawiał.

I tyle dokazał, że kobiety się już nie przeciwily, zaś gospodarze zaczęli wywodzić, iż skoro ksiądz zachęca, to wartoby tak zrobić.

Jeszcze się cały wieczór naradzali, ale już rankiem w niedzielę byli wszyscy zdecydowani na jedno.

Mieli iść po nieszporach i z Rochem na czele, że to mógł się rozmówić z Miemcami po ichnemu.

Właśnie to był Rocho teraz przyobiecał chłopakom; odeszli, pohukując z radością; on siedział na Borynowym ganku, przesuważąc ziarna różańca i cosik medytując.

Wcześniej jeszcze było, dopiero co miski sprzątnęli

po śniadaniu, że zapach żuru i okrasy wiercił nozdrza, a Pietrek przeciągał się po jadłe.

Czas się robił ciepły a nieupalny, jaskółki niby kule przecinały powietrze. Słońce podnosiło się dopiero z za chałupy, iż w cieniach polśniewały jeszcze osuszone, ciężkie trawy i z pól zawiewał chłód, pachnący zbożami.

W chałupie cicho było, jak zazwyczaj w niedzielę, kobiety zwijały się kole porządków, dzieci, obsiadłszy miskę przed gankiem, pojadały zwolna, broniąc się łyżkami i piskiem przed Łapą, któren na gwałt rwał się do spółki, maciora stękała pod ścianą na słońcu, tak ją waliły kłami prosięta, dobierając się do mleka, to bociek rozganiał kury i gajdał się za żrebakiem, baraszkującym w podwórzu, niekiedy drzewa zaszumiały i sad się rozkolebał, zaś polem rozchodził się jeno brzęk pszczoł, idących na robotę, i dzwonięcia skowronków.

I na wsi zaległa niedzielna cichość, że tylko niekiedy słyhać było głosy, kura któraś zwoływała, to dziesik nad stawem, ze śmiechami a chlupotem pucowały się chłopaki, abo kaczkki zakwakały.

Drogi leżały puste i rozmigotane w słońcu, mało kto przechodził, jeno niekaj na progach cesały się dziewczyny i ktosik zcicha grał na fujarce.

Rocho przebierał różaniec, czasem nasłuchiwał a głównie myślał o Jagusi, słyszał ją kręcącą się po izbie, czasem stawała za nim, niekiedy szła w podwórze, a wracając, spuszczała przed nim oczy i krwawy rumieniec oblewał jej twarz wymizerowaną, że zrobiło mu się żal.

— Jaguś! — szepnął dobrotliwie, podnosząc na nią oczy.

Przystanąła z zapartym oddechem, czekając co powie, ale on, jakby nie wiedząc co rzec, zamruczał jeno co niebądź i zamilkł.

Na swoją stronę znowu odeszła, przysiadła w wywartem oknie i, wsparłszy się o futrynę, patrzyła żalonymi oczyma we świat rozsloneczniony, na te chmurki białe, co kiej gęsi błakały się po niebie jasnym, i ciężkie westchnienia rwały się jej z piersi, a niekiedy lzy kapwały z zaczerwienionych oczu i płynęły wolno po wychudzonej, mizernej twarzy. Juści, mało to przeszła przez te dni? Dyc cała wieś szczyła na nią, kieby na psa parszywego; kobiety odwracały się plecami, kiej przechodziła, a poniektóre spluwały za nią, przyjaciółki jej nie spostrzegały, chłopcy śmiały się wzgardliwie, a nawet wczoraj, najmłodszy Gulbasiak śmignął za nią błotem i zakrzyczał:

— Wójtowa kochanica!

O! to jakby ją noże przesyły i wstyd dziwnie zadusił!

Mój Boże, a bo to była winowata?... spoił ją przecie, że o Bożym świecie nie wiedziała... mogła się to przeciwic?... a teraz wszyscy na nią, teraz cała wieś ucieka, kiej od zapowietrzonej, a nikto w obronie nie stanie.

Gdzież to teraz pójdzie? Drzwi przed nią pozawierają i jeszcze psami szczyć gotowi!... Nawet do matki nie ma iść po co: prawie ją wyгнаła mimo próśb i płaczów... że gdyby nie Hanka, jużby co złego sobie zrobiła... Juści, jedna Antkowa zaopiekowała się nią

poczciwie, nie cofając ręki pomocnej i jeszcze broniąc przed ludźmi...

A bo i nie winowata, nie, wójt winien, że ją skusił i przyniewolił do grzechu, a już najbardziej winien wszystkiemu ten stary zbuk! Pomyślała naraz o mężu. — Całe życie mi zawiązał! Panną byłabym, to nie daliby mnie ukrzywdzić, nie... I cóżem to za nim użyła? Ni życia, ni świata! —

Rozmyślała gorączkowo, żalście się w niej kajść zapodziały, a wstawał natomiast srogi gniew i tak ją rozpręzał, jaże zaczęła biegać po izbie. — Pewnie, co wszystko złe przez niego... i z Antkiemby tego nie było... i wójtby się nie ważył... i... — skarżyła się. Żyłaby se spokojnie, jak przódzi, jak żyją wszystkie... Zły go postawił na drodze i matkę skusił morgami, a teraz musi cierpieć... musi... — ażeby cię robaki roztoczyły! —

Wybuchnęła, zaciskając mściwie pięście i dojrzawszy przez szczytowe okno wasąg z chorym pod drzewami, pobiegła tam gwałtownie i nachylając się nad nim, zasyczała nienawistnie:

— Abyś zdechł jaknajprędzej, ty stary psie!...

Chory wytrzeszczył na nią oczy i cosik zamamrotał, ale już odleciała: ulżyło jej galancie, miała się już na kim odbijać za swoje krzywdy.

Kował stał na ganku, gdy przechodziła zpowrotem, ale udawał, że jej nie spostrzega. Zagadał głośniej do Rocha:

— Mateusz rozpowiada, jako ich powiedzicie na Miemców...

— Prosił, to pójdę z nimi do sąsiadów — powiedział z naciskiem.

— Nowe dybki sobie szykują. Rozwydrzyły się chłopcy na dziedzicu i myślą, że jak znowu pójdą hurmą, z kijami a krzykiem, to Miemcy się ulękną i Podlesia nie kupią.

. Ledwie się hamował ze złości.

— A może się i wyrzekną kupna, kto wie?...

— A juści! gronta porozmierzali, wszystkie famielje już się sprowadziły, studnie kopią, kamień na fundamenta zwożą...

— Wiem dobrze, że u rejenta jeszcze aktu nie podpisali.

— Mnie się przysięgali, jako już po wszystkim.

— Mówię, co wiem, i gdyby dziedzic znalazł lepszych kupców...

— To przecie Lipce nie kupią, nikt groszem nie śmierdzi...

— Grzela tu jakoś kalkuluje i zdaje mi się...

— Grzela! — przerwał gwałtownie — Grzela się pcha na pierwszego, a głupi, naród bałamuci i do złego jeno prowadzi...

— Zobaczymy, jak to wyjdzie, zobaczymy! — mówił Rocho, uśmiechając się nieco, gdyż kowal jaże wyrywał se wąsy ze złości;

— Jacek z kancelarji! — zawołał, spostrzegając stójkę w opłotkach.

— Dla »Anny Maćwiejówny Boryna« papier z kancelarji! — recytował Jacek, wyciągając jakąś kopertę z torby.

Hanka przybiegła i niespokojnie obracała papier, nie wiedząc, co z nim począć:

— Przeczytam, — rzekł Rocho.

Kowal chciał mu zajrzeć przez ramię, ale Rocho zamknął prędko list i rzekł najspokojniej:

— Sąd was zawiadamia, Hanka, że możecie się z Antkiem widywać raz na tydzień.

Hanka, opatrzywszy stójkę, wróciła do izby, zaś Rocho dopiero po odejściu kowala poszedł za nią, wołając radośnie:

— Co innego stoi napisane w papierze, nie chciałem tylko powiedzieć przy kowalu! Sąd powiadamia, byście przywieźli pięćset rubli zastawu, albo poręczenie, to Antka zaraz wypuszczą... Co to wam?...

Nie odrzekła, głos jej odebrało, stanęła jak wryta, rumieńce pokryły twarz, potem zbladła kiej ściana, oczy się przyćmiły łzami, rozwiedła ręce i z ciężkiem westchnieniem, jak długa, rymnęła na twarz przed obrazami.

Rocho się wyniósł cichuśko, siedział na ganku i czytając jeszcze ten papier, uśmiechał się zarówno rozadowany, zaś po jakimś czasie znowu zajrzał do izby.

Hanka klęczała na środku, modląc się całą duszą, że dziw się jej serce nie rozpękło z radości i z onego żaru dziękczynień; krótkie, rwane westchnienia i szepty gorące zdały się całą izbę wypełniać błyskami, biły kiej słupy serdecznego ognia pod stopy Częstochowskiej, żywą krwią spływały. Umierała prawie ze szczęścia, lzy ciekły strumieniami, a wraz z niemi ściekała pamięć wszystkich bólów dawnych, pamięć krzywd wszelkich.

Podniosła się wreszcie i, ocierając łzy, powiedziała Rochowi:

— Jużem teraz gotowa na nowe, bo choćby przyszło najgorsze, to już takie złe nie będzie.

Aż się zdziwił, tak nagle się przemieniła: oczy się zaiskrzyły, krew zagrała na bladych policzkach, prostowała się, jakby jej z dziesięć lat ubyło.

— Uwińcie się ze sprzedażą, zróbcie, co potrzeba pieniędzy i pojedziemy po Antka, choćby jutro albo we wtorek.

— Antek wraca! Antek wraca! — powtarzała bezwolnie.

— Nie rozpowiadajcie! Powróci, to się i tak dowiedzą, zaś potem trzeba mówić, co go puścili przez zastawu: kowal nie będzie się was czepiał.

Nauczał cicho. Obiecała uroczyście, tylko jednej Józce zawierając tajemnicę, jeno co ledwie już zdzierzała tę straszną radość; chodziła kiej opita, całowała ciągiem dzieci, gadała do żrebaka, gadała do maciory, przedrzeźniała się z boćkiem, a Łapie, któren chodził za nią ze skamleniem i w oczy zaglądał, jakby cosik miarkując, szepnęła w same ucho niby człowiekowi:

— Cicho, głupi, gospodarz przecie wracają!

I śmiała się, popłakując naprzemian, Maciejowi długo o tem rozpowiadała, jaże oczy trzeszczył wystrachane i cosik mamlął językiem. Zabaczyła już o całym świecie, że Józka musiała przypominać, iż czas już się szykować do kościoła. Hej, ponosiło ją szczęście, ponosiło, że chciało się jej śpiewać, chciało się lecieć we świat

i krzykać zbożom, co się do nóg kłaniały ze chrzęstem, drzewinom, ziemi wszytkiej.

— Gospodarz wracają! Antek wróci!

Jaże z onej radości Jagnę jęła zapraszać, by razem poszły, ale Jagna nie chciała, wołała pozostać.

Nikto jej o Antku nie powiedział, ale domyśliła się łącno wszytkiego z półsłówki i z tego, co Hanka wyprawiała. Poniesła i ją ta wiadomość i rozkołysała jakąś radosną, cichą nadzieją, że nie bacząc na nic, poleciała do matki.

Nie w porę przyszła, trafiając akuratnie na srogą kłótnię.

Szymek bowiem zaraz po śniadaniu zasiadł pod oknem z papierosem w zębach, strzykał śliną na izbę, długo medytował, długo się ważył, spoglądając na brata, aż wkońcu rzekł:

— A to, matko, dajcie mi pieniędzy, bo na zapowiedzie muszę zanieść. Książd pedział, by przed nie-szporami przyjść na pacierze.

— Z kimże się to żenisz? — spytała z urągliwym prześmiechem.

— Z Nałusią Gołębiana.

Nie odezwała się, krzątając się pilnie kole garnków i komina. Jędrak podkładał drewek i, choć się ogień buzował, dmuchał w niego ze strachu, zaś Szymek, przeczekawszy z pacierz, ozwał się znowu, jeno jakoś pewniej:

— Całe pięć rubli mi dacie, bo i zmówiny trza wyprawić...

— Posyłałeś to już z wódką, co? — pytała tak samo.

— Chodził Kłab z Płoszką.

— I przyjęła cię, co? — aż się jej broda trzęsła ze śmiechu.

— Jakże!... przyjęła, juści.

— Trafiło się ślepej kurze ziarno: jeszczeby nie, taka wywłoka!

Szymek się zmarszczył, ale czekał, co powie więcej.

— Przynieś wody ze stawu, a ty, Jędrek, wieprzka wypuść, bo kwiczy...

Zrobili to prawie bezwolnie, a kież znowu Szymek rozparł się na ławce i młodszy jął majdrować cosik pod blachą, stara rozkazała twardym głosem:

— Szymek, picie zanieś jałówce!

— Wynieście se sami, za dziewczkę służył wama nie będę! — burknął hardo, rozpierając się na ławie jeszcze szerzej.

— Słyszałeś?!... nie doprowadzaj me do złości przy świętej niedzieli...

— Wyście też słyszeli, com rzekł: dajcie pieniędzy, a żywo!...

— Nie dam i żenić ci się nie przyzwolę! — buchnęła.

— I przez waszego przyzwolenstwa się obędę!

— Szymek, pomiarkuj się i ze mną nie zadzieraj!

Pochylił się naraz przed nią i pokornie podjął za nogi.

— Dyć was proszę, matko, dyć skamłę, jak ten pies!...

Łzy mu zalały gardło.

Jędrzek też ryknął i dalejże matkę całować po rękę, obłapiać za nogi a molestować wraz z bratem.

Odgarnęła ich od siebie ze złością.

— Ani mi się waż przeciwzić, bo cię wygonię na cztery wiatry!... — krzyknęła, wytrząchając pięściami.

Ale Szymek już się nie ulęknął, matczyne słowa śmignęły go kiej biczem, że zakipiał, wyprostował się hardo i rodowa Paczesiów zawziętość buchnęła mu do głowy; postąpił na izbę i rzekł strasznie spokojnie, bodąc ją rozgorzałemi ślepiami.

— Dawajcie pieniądze a prędko!... czekał już, ni prosił nie będę!...

— Nie dam! — wrzasnęła rozjuszona, oglądając się za czem do ręki.

— To sam se je znajdę!

Skoczył do skrzynki, kiej ryś, jednym szarpnięciem oderwał wieko i zaczął z niej wywalać na podłogę obleczenia. Rzuciła się z wrzaskiem do obrony, próbowała go tylko zrazu odciągnąć, ale że ani na krok nie ustępował, wczepiła mu rękę w kudły, a drugą zaczęła bić po twarzy i głowie, kopać w zajdy i krzyczeć wniebogłosy. Oganiał się jeszcze, kiej od muchy uprzykrzonej, nie przestając szukać pieniędzy, jaże dostawszy gdzieś w słabiznę, otrząchnął się z taką złością, że padła na izbę jak długa, ale w ten mig się zerwała i, chyciwszy pogrzebacz, runęła znowu na niego. Nie chciał tej bitki z matką, to się jeno obraniał jeszcze jak mógł, usiłując jej odebrać żelazo. Wrzask napelnił izbę. Jędrzek, zanosząc się od płaczu, biegał dookoła nich i skamlał żałośliwie:

— Matulu, laboga!... Matulu!...

Jagna, wszedłszy właśnie na to, rzuciła się ich rozbijając, ale na darmo, bo co Szymek się uchylił i w bok uskoczył, matka dopadała go znowu, kiej ta suka rozjuszona, i prała kaj popadło, że już rozwścieczony z bólu, oddawać zaczął. Szepili się, kiej psy i, taczając się po izbie, tłukli się o ściany i sprzęty ze strasznym wrzaskiem.

Ludzie już zaczęli nadbiegać ze wszystkich stron, próbując rozdzielić — cóż kiej przypięła się do niego, niby pijawka, i biła z oszalałą zapamiętałością.

Aż trzasnął ją pięścią między oczy, chycił za boki i rzucił kiej ocipką na izbę; potoczyła się i niby kloc całym ciężarem padła na rozpaloną blachę, pomiędzy gary pełne wrzątku, komin się rozwalił i wszystko się zapadło...

Juści co zaraz ją wywlekli z rumowiska, ale chociaż była strasznie poparzona, nie bacząc na ból, ni na tłące się kiecki, porywała się jeszcze do niego.

— Wynoś mi się, wyrodku przeklęty!... Wynoś się!... — ryczała nieprzytomnie.

Musieli przez moc gasić ogień na niej i przytrzymywać, by chociaż twarz spaloną obwalić zmoczonymi szmatami, alic i tak się wydzierała.

— Żeby cię moje oczy więcej nie widziały... żeby cię...

Szymek zaś, ledwie już dychający, zbity i okrwawiony, jeno patrzył na matkę wytrzeszczonymi ślepiami, strach go ułapił za gardziel, trzął się cały, słowa nie mogąc wykrztusić, ni wiedząc, co się dzieje.

A ledwie się niecoś uspokoiło, gdy naraz stara wy-

rwała się kobietom z rąk, skoczyła za komin do drąga z obleczeniem, i zdzierając z niego Szymkowe rzeczy, jęła je wyrzucać przez okno do sadu...

— Precz z moich oczu! Nic tu twojego, moje wszystko, ani jednego zagonu ci nie dam, ani łyżki strawy, choćbyś zdychał z głodu! — wrzeszczała ostatkami sił i, zmożona wreszcie przez srogie boleście, padła z rozdzierającymi jękami.

Ponieśli ją na łóżko.

Ludzi się naszło, że zapchali izbę, w sieniach się już gnietli, a i przez okno wtykali głowy.

Jagna już głowę traciła, nie wiedząc co poczynać, bo stara już prosto ryczała z bólu... Jakże, toć całą twarz i szyję miała wrzątkiem oblane, ręce popieczone, włosy spalone i oczy, że ledwie widziała.

Szymek siadł w sadku pod ścianą chałupy, brodę wsparł na pięściach i jakby zastygł, okrwawiony, w siniakach cały i w tych krzepnących już soplach krwi na twarzy, nasłuchiwał jeno matczynych jęków.

Mateusz przyleciał wkrótce i ciągnąc go za rękę, rzekł:

— Chodź do mnie. Nic tu teraz po tobie...

— Nie pódę! Gront mój po ojcach, to na swoim ostanę, nie ustąpię! — gadał z ponurą zaciętością, bezwolnie chytając się pazurami za węgiel.

Nie pomogły prośby, ni molestowania, z miejsca się nie ruszył i zaprzestał odpowiadać.

Mateusz przysiadł pobok, nie wiedząc, co z nim począć, zaś Jędrrek, zebrawszy właśnie powyrzucane ka-

poty, portki i koszule, związał je w plachtę i położył przed bratem nieśmiało.

— Pódeń z tobą, Szymek, we świat, pódeń! — skamlał, rzewliwie popłakując.

— Psiachmać!... pedziałem, nie ruszę się stąd, to się nie ruszę!... — wrzasnął, tłukąc pięściami we ściane, jaże Jędrzych przykucnął ze strachu.

Zmilkli, gdyż nowe, straszne jęki rozległy się w izbie: to Jambroż opatrywał chorą, obłożył poparzone miejsca młodem, niesolonem masłem, przykrył jakimiś liśćmi, na które znów nawalił zsiadłego mleka i wszystko owinął w mokre szmaty. Przykazawszy Jagusi, by co pacierz zlewała zimną wodą, poleciał śpiesznie do kościoła, gdyż sygnaturka zadzwoniła.

Czas już było na sumę, ludzie walili całą drogą, wozy turkotwały i sporo znajomych zaglądało po drodze do chorej, jaże Jagna drzwi musiała zawrzeć przed ciekawymi, tyle co jedna Sikorzyna z nią pozostała.

Wkrótce i uspokoiło się całkiem. Dominikowa ucihła, od kościoła 10znosiło się ciche, brzęczące granie organów i głosy śpiewań tchnęły wskroś sadów rozelkanym, pieściwym trzepotem.

Słońce galanto przypiekało, w przypołudniowej cichości drzewa stały bez ruchu, jeno niekiedy zatrzęsła się jaka gałązka i zamrowiły się cienie, ptactwo pomilkło, zaś czasami ruszyły zboża i dzwoniąc cichuśkim chrzęstem, zagrały płowemi grzywami.

Chłopaki wciąż siedziały pod chałupą. Mateusz zcicha prawił, Szymek kiwał jeno głową, zaś Jędrzych, leżąc przed nimi, wpatrywał się w dym Mateuszowego

papierosa, co jakby niebieską pajęczyną wynosił się ponad strzechę.

Jagna wyszła z wiadrem po wodę do stawu.

Wtedy Mateusz się podniósł, przyobiecując przyjść jeszcze po obiedzie, do kościoła zamierzał iść, ale dojrawszy, iż Jagusia siedzi nad wodą, przystąpił do niej.

Wiadro stało nabrane, nogi trzymała we wodzie.

— Jagusia!... — szepnął cicho, przystając pobok, pod olszą.

Spuściła prędko wełniak na kolana i spojrzała na niego, ale miała tak przeplakane oczy i żałości a smutku pełne, że mu się serce zatłukło.

— Co ci to, Jaguś? choraś?...

Drzewa się zakolebały bez szumu, sypiąc na jej jasną głowę ulewę migotliwych brzasków i cieniów, kieby ten deszcz zielono-złoty.

— Ni... jeno mi nie drujko na świecie, nie... — odwróciła oczy.

— Bym ci co pomógł, zaradził... — rzekł serdecznie.

— Hale? uciekłeś wtedy na ogrodach i już się nie pokazał...

— Boś me skrzywdziła!... Śmiałem to? Jaguś... — pokorny już był i dobry.

— Aleć potem wołałam za tobą, nie usłuchałeś...

— Wołałaś to, Jaguś? naprawdę?!...

— Rzekłam!... Wydrzećbym się mogła, a niktoby się nie pokwapił!... Kto ta stoi o sieroty?... Skrzywdzić, to kaźden gotowy i sponiewierać!...

Łuna oblała jej twarz, odwiodła głowę i w zakło-

potaniu jąła rozgarniać wodę nogami. Mateusz też się cosik zamedytował.

Cichość się znowu przedła; granie organów sączyło się kojącą, cichuszką smugą, staw polśniewał i koliste gurby roztaczały się od nóg Jagusinowych, kiej węże pręgowate, cienie się mrowiły po nadbrzeżnej gładzi, zaś pomiędzy nimi zaczęły już latać spojrzenia i wiązać się między sobą...

Mateusza coraz silniej ciągnęło do niej, że wzięłby ją był na ręce kiej to dzieciątko i z nieopowiedzianą dobrością przyhołubił a uspokajał...

— Myślałam, coś mi nieprzyjazny... — ozwała się cichusko.

— Nigdy ci krzyw nie był... nie baczysz to?...

— Hale, może łoni, kiedyś... a teraz ta jak drudzy... jak... — szepnęła niebacznie.

Rzuciło nim nagle przypomnienie, wstał w nim gniew i zazdrość.

— Boś... boś...

Nie, nie poredził wyrzucić ze siebie, co go dusiło, pohamował się jeszcze, że jeno krótko i twardo powiedział:

— Ostaj z Bogiem!...

Musiał uciekać, aby jej wójta nie wypomnieć.

— Uciekasz, a cóżem ci to znowu za krzywdę zrobiła?...

Wylękla była i rozżalona.

— Nie... nie... jeno... — mówił prędko, zaglądając w jej modre, przepłakane oczy, a żal, tkliwość i gniew

nim miotały — jeno przepędź tę pokrakę od siebie, przepędź, Jaguś!... — prosił gwałtownie.

— Abom go to przyciągała? abo go to trzymam! — krzyknęła gniewnie.

Mateusz stanął niepewny i wielce skłopotany.

Płacz ją chwycił, lzy jak groch sypnęły się po rozognionej twarzy.

— Taką krzywdę mi zrobił... tak me spoił... a nikt się za mną nie upomni... nikt się nie ulituje, a wszyscy na mnie bij zabij! Cóżem to winowata?... co? — skarżyła się z boleścią.

— Ja mu ścierwie odplacę! — wybuchnął, podnosząc pięście.

— Odplać, Mateusz! Odplać, a ja już ci... — przywodziła zawzięcie.

Już się nie odezwał, jeno poleciał ku kościołowi.

Długo jeszcze siedziała nad stawem, rozmyślając o Mateuszu, że może się za nią ujmie, a krzywdzić nie pozwoli.

— A może i Antek — przyszło jej naraz do głowy.

Powróciła do domu, pełna cichych i radosnych przeczuć.

Dzwony zaczęły bić, naród wychodził z kościoła, zaroily się wnet drogi a rozgłośniały turkotami wozów i rozmowami, śmiechy dzwoniły w powietrzu, szli całemi kupami, postając niekiedy przed opłotkami, tylko przed chałupą Dominikowej ludzie jakoś cichli, spoglądali na siebie i przechodzili z zasepionemi twarzami; nawet nikt nie zajrzał do chorej.

Wnet ci rozgwarzyła się cała wieś, rozgwarzyły

się izby a sienie i progi; po sadach też było głośno i rojno, gdyż zasiadano do obiadów pod drzewami, w cieniach a chłodzie, że wszędy było widać jedzących, skrzybot łyżek, szcęk mich, a zapachy jadła i skamlania piesków roznosiły się w skwarnej ciszy.

Tylko u Dominikowej było głucho i pusto: nikt się nie pokwapił z odwiedzinami. Stara pojękiwała w gorączce, Jaguś nie mogła już wysiedzieć, stawała w progu, to wychodziła aż na drogę, to znowu długie czasy patrzyła tęsknie przez okno, zaś Szymek, jak i przódzi, siedział pod chałupą, tyle co jeden Jędrzek głowy nie stracił i wziął się po drugiej stronie domu do gotowania strawy.

Dopiero w jakiś czas po obiedzie zajrzała do nich Hanka, jeno że jakaś była dziwna, rozpytywała o wszystko, turbowała się wielce o chorą, a ukradkiem, przyczajonemi oczyma chodziła za Jagną, wzdychając fraso-bliwie.

Pokrótce i Mateusz przyleciał do Szymka.

— Pójdiesz z nami do Miemców? — pytał.

— Gront mój po ojcu, nie ustąpię z miejsca — gadał swoje chłopak.

— Nastusia czeka na ciebie, przecie macie po-nieść na zapowiedzie.

— Nie pódę nikaj... gront mój po ojcach...

— Głupie oślisko! niktó cię za ogon nie ciąga... a siedz se choćby do jutra! — rozgniewał się, a że akuratnie Jagna odprowadzała Hankę w oplotki, przyłączył się do niej, nawet nie spojrzawszy na tamtą.

Poszli razem drogą nad stawem.

— Rocho przyszli już z kościoła? — zagadał.

— Przyszli; już tam i sporo chłopów czeka.

Obejrzał się. Jagna patrzyła za nimi, więc odwracając się śpiesznie, zapytał cicho, nie patrząc w oczy:

— Prawda to, że ksiądz z ambony kogoś wypominał?...

— Słyszałeś, a jeszcze za język ciągniesz.

— Przyszedłem już po kazaniu, powiedali mi o tem, ale myślałem, co jeno cyganią tak la śmiechu.

— I nie jedną wypominał... jaże pięściami wytrząchał... Przykarcać głośno i na drugie kamieniami frygać to kaźden sprawny... jeno złemu przeszkodzić niema komu — zmartwiona była głęboko i zła. — Ale wójta to ni słowem nie tknął, a on tu zawinił najbarzej — dodała ciszej.

Mateusz zaklął siarczyście i chociaż chciał jeszcze o coś pytać, zbrakło mu odwagi. Szli w milczeniu. Hanka czuła się głęboko dotkniętą całą sprawą. — Juści, że Jagna grzeszyła, juści, że trzeba ją było skarcić, ale żeby ją zaraz wypominać z ambony prawie po imieniu... tego już za wiele... Borynową była żoną, nie jakąś latawicą... — myślała rozzalona. Co pomiędzy nimi było, to ich sprawa, a drugim wara od tego.

— Mągdy ni młynarzowych dziewczek to nie wypomina: wiadomo przecie co wyrabiają! A na dwórki z Woli też nie wygraża pięściami, zaś o dziedzicze z Głuchowa choć cały świat wie, jak się tłucze z parobkami, głosu nie podniesie! — mówiła w najgłębszem oburzeniu.

— To prawda, i Tereskę wypominał? co? — ledwie dosłyszała pytanie.

— Obiedwie wypomniął; wszyscy pomiarkowali, o kim gada.

— Ktoś go musiał na nią podmówić — zaledwie zdzierzył wzburzenie.

— Powiadali, że to Dominikowej robota, albo i Balcerkowej; jedna się mści na tobie za Szymka i Nastkę, zaś druga chciałaby cię odciągnąć do swojej Marysi.

— To tam raki zimują! Że mi to nawet do głowy nie przyszło...

— Chłopy zawdy to jeno widzą, co mają na oczach, jak wół, widne.

— Na darmo się trudzi Balcerkowa, na darmo!... jeszcze co oberwać może od Tereski... A na złość Dominikowej Szymek musi się ożenić z Nastką: już ja tego dopilnuję! Ścierwy, baby!

— One swoje sprawy robią, a bez to niewinne cierpią — rzekła smutnie.

— I tak jedni na drugich nastają, że już ciężko we wsi wytrzymać.

— Jak Maciej był, to i miał kto załagodzić, mieli się słuchać kogo.

— Juści, wójt tromba, głowy do niczego nie ma i wyprawia takie historje, że posłuchu mieć nie może w narodzie. Żeby choć Antek wrócił!...

— Wróci niezadługo, wróci! Ale kto go to posłucha? — oczy jej rozbliły.

— Jużeśmy o tem z Grzelą i chłopakami radzili,

że jak powróci, to już my razem zrobimy we wsi porządek. Obaczycie!

— Byłby czas: dyć wszystko się rozwodzi, jak te koła bez luśni.

Doszli wraz do chałupy; na ganku siedziała już gromada.

Mieli ruszyć w kilkunastu gospodarzy i co przedniejszych parobków, chociaż zrazu cała wieś napierała się iść, jak wtedy na bór.

Zebrawi się, oczekując z niecierpliwością na resztę.

— Wójt także powinien z nami iść! — zauważył któryś, ostrugując kij.

— Do powiatu wezwał go naczelnik; pisarz mówił, co po to, aby zwołać zebranie i uchwalić szkołę w Lipcach i Modlicy.

— Niech zwołują: przecie nie uchwalim! — zaśmiał się Kłęb.

— Byłby zaraz z tego nowy podatek z morga, jak w Dołach.

— Pewnie; ale skoro naczelnik przykaże, to usłuchać musimy — zauważył sołtys.

— Cóż on tu ma nam do rozkazywania? Niech se strażnikom przykazuje, by wespół ze złodziejami nie kradli.

— Zuchwale se poczynasz, Grzela! — ostrzegwał sołtys. — Już niejednego ozór dalej powiodł, niżli mu się chciało.

— Mówił będę, bo nasze prawo znam i naczalstwa się nie bojam, jeno wam, ciemnym baranom, ludy dygoczą przed bele łachmytkiem z urzędu.

Wrzeszczał, że stropili się taką zuchwałością i niejednemu skóra cierpła ze strachu; Kłab podjął:

— Po prawdzie, taka szkoła nam na nic... Mój Jadam całe dwa roki chodził do Woli, nauczycielowi dowoziłem po korczyku ziemniaków, kobieta też masła i jajków dała mu na święta, a z tego wyszło, co na książce do nabożeństwa przeczytać nie potrafi, zaś po ruskiemu też ani me, ani be... Młodsze, co się bez zimę uczyły u Rocha, to nawet pisane rozbierają i na pańskich książkach przeczytać poredzą...

— To Rocha ugodzić i niechby dalej nauczał; dzieciom szkoła barzej jest potrzebna niżli buty — wtrącił znów Grzela.

Na to sołtys wsunął się w gromadę i zaczął mówić półgłosem:

— Rocho byłby najlepszy, to wiem... i moich chłopaków wyuczył... ale nie można. Urząd musiał już coś przewąchać i ma na niego oko... Starszy me spotkał w kancelarji i sielnie wypytywał o niego... Nie rzekłem mu wiele, że zeżlił się na mnie i jął wpierać, jako on dobrze wie, co Rocho dzieci naucza i książki polskie a gazety rozdaje ludziom... Trza go ostrzec, by się miał na bacności.

— Zła sprawa! Dobry człowiek, pobożny, ale przez niego może spaść na wieś bieda... trza cosik zaradzić... a prędko — wykladał stary Płoszka.

— Ze strachu tobyście go i wydali... co? — szepnął zjadliwie Grzela.

— Jakby naród buntował przeciw urzędowi, a na szkodę wszystkim, to każdyby zrobił to samo. Młodyś,

ale ja dobrze baczę, co się działo w tę wojnę panów, jak za bele co chłopów krajali batami. Nie nasza to sprawa.

— Wójttem chcecie zostać, a głupiście kiej but dziurawy! — dorzucił mu Grzela.

Przerwali, bo Rocho wyszedł z izby, powiódł oczyma po ludziach, przeżegnał się i zawołał:

— Pora już! chodźmy w imię Boże!

Przodem ruszył, a za nim chłopcy wywalili się na srodek drogi, zaś z tyłu pociągnęło nieco kobiet i dzieci.

Skwar też już przeszedł, przedzwaniiali właśnie na nieszpór, słońce przetaczało się ku lasom, niebo wisiało pogodne i jasne, zaś skraje były tak przejrzyste, że nawet dalsze wsie wynosiły się przed oczyma kieby na dłoni, a w zieleni borów okiem mógł rozeznaczyć żółte pnie sosen, białe gza brzołek i szare, wielgachne dęby.

Kobiety zostały za młynem, a chłopcy szli wolno pod wzgórze. Kurz się wzbił za nimi, że jeno niekiedy zabelala jakaś kapota.

Szli w milczeniu. Twarze były surowe, miny zadzierzyste, a oczy wynosiły się hardo, nieustępliwie.

Zaś la ochoty bili niekiedy o ziem dębowemi lagami, a czasem to i ktoś w garście pluł i prężył się, kiejby do skoku.

W godnym porządku ciągnęli, jakby za procesją, bo jeżeli któremu wyrwało się jakie słowo, wnet ścichał pod karcącemi spojrzeniami: nie pora była na rajcowanie, kaźden się stulał w sobie i krzepą wzbierał.

Na kopcach granicznych pod krzyżem przysiedli ździebko odpocząć, ale i teraz nikt się nie odezwał; bładzili jeno cichemi oczyma po świecie. Lipeckie chałupy

ledwie widać było z za sadów, złota bania na kościelnej wieży błyszcząca w słońcu, pola się zieleniły jak okiem sięgnąć, na pastwiskach pod lasem gmerały się rozsypane stada, dym niebieską strugą wynosił się pod borem z jakiegoś ogniska i śpiewania dziecięce dzwoniły, a granie fujarek roznosiło się po całej ziemi, strojnej we zwiesnę, w radość, w dziwny spokój, że niejednemu wezbrało serce cichym żalem i obawą, niejeden westchnął ciężko i trwożnie zerkał na Podlesie...

— Chodźmy, nie o plewy przecież idzie! — przy-
nagłał Rocho, dobrze miarkując, że się ociągać poczyna-
ją.

Skręcili prosto do zabudowań folwarcznych, starą zachwaszczoną drogą, że kiejby kwietna wstęga leżała wskroś zbóż zielonych; nędzne żyta niebieszczały od modraków, spóźnione owsy żółciły się całe od ognich, pszenice wymiękłe a przypalone czerwieniały od maków, zaś ziemniaki ledwie co wschodziły. Opuszczenie było widne na każdym kroku i niedbalstwo.

— Prosto żydoska gospodarka, jaże patrzeć bo-
li! — mruknął któryś.

— Najgorszy parobek, a jeszcze lepiej w groncie
robi!

— Bo drugi, choćby i dziedzic, a nawet tej świę-
tej ziemi nie poszanuje!

— Doi ją i doi, kiej głodną krowę, to i nie dzi-
wota, co zjałowiała.

Wyszli na ugory. Okopcone i zrujnowane zręby bu-
dynków wznosiły się już niedaleko, spalony sad poczer-
niałymi szkieletami drzew, wyciągających się boleśnie

ku niebu, otaczał czworaki dworskie o zapadłych dachach i sterczących kominach, zaś pod ścianami, w chudych cieniach pomartwiałych gałęzi widać było gromadę ludzi. Miemcy to byli. Antał piwa stał na kamieniach, ktosik w progu przygrywał na fleciku, a oni siedzieli porozwalani na ławkach i trawie, w koszulach jeno, z fajami w zębach, i pili z glinianych garnczków; dzieci baraszkowały kole domu, a pobok pasły się tęgie krowy i konie.

Musieli dojrzeć idących, gdyż jęli się zrywać, przysłaniać oczy garściami, a patrzeć ku nim i cosik wrzeszczeć, ale jakiś stary Szwab zaszwargotał ostro, że wnet przysiedli na miejsca spokojnie, pociągając z kuflów; flecik zagwizdał nutą jeszcze słodsza, skowronki dzwoniły prawie nad głowami, a ze zbóż sypało się gęste, niemilknące strzykanie świerszczów i kajś niekajś głos przepiórki się wyrywał.

A chociaż spieczona ziemia dudniała pod chłopami, a pcdkówki szczękały o kamienie coraz bliżej, Niemcy się ani poruszyli, jakby nic nie słysząc, a jeno lubując się piwkiem i tą słodkością, jaką tchnęło powietrze przedwieczera.

A chłopcy już dochodziły, coraz ciężej szli jeno i wolniej, powstrzymując sapania i kije zaciskając; serca się zatłukły, gorący dygot warem oblewał krzyże, gardziele zasychały, ale grzbiety się prężyły i ślepie rozgorzałe hardo wżerały się w Miemców, a z twarzy, kieby zastygłych, biła surowa zawziętość i nieustępliwa moc.

— Niech będzie pochwalony! — rzekł Rocho po

niemiecku, przystając, a za nim, półkolem stanęła gromada, cisnąc się i przywierając ramionami.

Niemcy chórem odpowiedzieli, nie ruszając się z miejsc. Jenó ten stary, ze siwą brodą, podniósł się i pobladły wodził oczyma po cizbie.

— Ze sprawą przysliśmy do was — zaczął Rocho.

— To siadajcie, gospodarze, z Lipiec widzę jesteście, to pogadamy po sąsiedzku! Johan, Fryc, ławek dla sąsiadów.

— Bóg zapłać, sprawa krótka, to postoiimy.

— Nie musi być krótka, kiedyście całą wsią przyszli! — zawołał po polsku.

— Bo wszystkich zarówno obchodzi.

— Jeszcze trzy razy tyle ostalo w domu! — powiedział z naciskiem Grzela.

— Bardzośmy wam radzi, a kiedyście przyszli pierwsi, to może piwa się z nami napijecie... na sąsiedzka zgodę... Nalejcie-no, chłopcy...

— Wychłaj se sam! Jaki szczodry! Nie na piwo przyślim! — zakrzyczeli gorętsi.

Rocho ich przyciszył oczyma, a stary Niemiec rzekł kwardo:

— No, to słuchamy!

Cichość padła, sapanie a krótkie przydechy się rozległy, Lipczaki barzej się zwarły, dreszcz przejął wszystkich, a Niemcy też stanęli, jak jeden, wynieśli się na przeciw zwartą kupą i jęli złemi ślepiami wpierać w chłopów, za brody targać, nabzdyczać a cosik zcicha mamrotać.

Kobiety trwożnie wyglądały oknami, dzieci kryły się po sieniach, zaś jakieś wielgachne, rude psy warczały pod ścianami, a oni z dobre »Zdrowaś« stojali tak naprzeciw w głębokiej cichości, kieby to stado baranów, co już ślepiami krwawo toczy, przebiera kopytami, grzbiety pręży, lby przygina i leda chwila runie na się rogami, aż Rocho przerwał.

— Przyślim od całej wsi po to — mówił po polsku, głośno i wyraźnie — by was prosić po dobroci, żebyście nie kupowali Podlesia...

— Tak! Juści! Po to! — przywtdórzyli za nim, trzaskając kijami.

Tamci zrazu osłupieli.

— Co on gada? Czego chce? Nie rozumiemy! — bełkotali, uszom nie wierząc.

Więc im Rocho raz jeszcze i po niemiecku powtórzył, a ledwie skończył, Mateusz ciepnał zapalczywie:

— I byście se, pludry, poszły do wszystkich djabłów!

Wrzask buchnął, skoczyli naraz, jakby ukropem polani, kłębiąc się a szwargocąc zajadle, trzających kulasami, tupiąc ze złością, że już niejeden z pięściami dał się ku chłopom i wygrażał, ale stali nieporuszeni, jak mur, paląc srogimi oczyma, ręce się im jeno trzęsły, a zęby zacinały.

— Czyście wy wszyscy powarjowali? — wołał stary, podnosząc ręce. — Wzbraniacie nam kupować ziemię! Dlaczego? Z jakiego prawa?...

Znowu mu Rocho wyłożył wszystko spokojnie, sze-

roko i jak się patrzy, ale Niemiec, poczerwieniawszy ze złości, wrzasnął:

— Ziemia jest tego, kto za nią płaci!

— Tak wygląda po waszemu, ale po naszymu jest inaczej, że powinna być tego, komu jest potrzebną — powiedział uroczyście!

— A to w jaki sposób, za darmo może, po zbójceku? — kpił urągliwie.

— Za te dziesięć palców, duża плата! — odpowiedział taksamo Rocho.

— Głupie gadanie! Co tu będziemy czas tracić na żarty, Podlesie kupiliśmy, jest nasze i pozostanie, a komu się to niepodoba, niech idzie z Bogiem i omija nas zdaleka. No, czego jeszcze czekacie?..

— Czego? By wam powiedzieć: wara od naszej ziemi! — buchnął Grzela.

— Wynoście się sami, póki was gonić nie zaczniem.

— Póki jeszcze prosimy po sąsiedzku! — wołali drudzy.

— Grozicie. Do sądu podamy! Znajdziemy na was sposób, nie odsiedzieliście jeszcze za las, to wam przyłożą i razem odrobicie! — drwił stary, ale już się trząśł ze złości, a i drugie ledwie się hamowały.

— Wszarze przekłete!

— Zbójce! Psy śmierdzące! — wrzeszczeli po swojemu, wijąc się w kupie, kiej przydeptane gadziny.

— Cicho, psiekrwie, kiej naród do was mówi! — zaklął Mateusz, jeno, że się nie ulękli, krzycząc coraz głośniej i całą kupą się przysuwając.

Rocho, bojąc się bitki, ogarniał chłopów, przyciszał i do spokoju niewolił, ale mu się wyrywali, krzycząc jeden przez drugiego.

— Zdzielże który w łeb pierwszego z brzegu.

— Juchy im ździebko wypuścić!

— Damy się to, chłopcy? z całego narodu się wytrząsają!

— I na swoim nie postawimy? Wołali drudzy, zachęcając się a cisnąc coraz bliżej i groźniej, aż Mateusz odgarnął Rocha na stronę i wysunął się przed Niemców, kiej wilk, błyskając zębami.

— Słuchajta, Miemy! — ryknął, wyciągając pięście. — Mówiliśmy do was po ludzku, pocziwie, a wy grozicie kreminalem i przekpiwacie się z nas! Dobra, ale teraz zagramy z wami inaczej! Nie chceta zgody, to wama zapowiadamy przed Bogiem i ludźmi, jak pod przysięgą, że na Podlesiu nie wysiedzicie! Przyszlim z pokojem, a wy chceta wojny! Dobra, kiej wojna, to wojna! Mata za sobą sądy, mata urzędy, mata pieniądze, a my jeno te gołe pięście... Obaczycie, czyje będzie górą! A jeszcze to wam dołożę, byście zapamiętali... jako ogień ima się słomy, ale zeżre i murowańce, a chyta się i zboża choćby na pniu... bydło też pada na paśnikach... zaś żaden człowiek nie uciecze od złej przygody... Spa-miętajta, co rzekłem: wojna w dzień, i w nocy, i na każdem miejscu...

— Wojna! Wojna! i tak nam Panie Boże dopomóż — huknęli wraz.

Niemcy skoczyli do drągów, leżących pod ścianą,

kilku wyniesło fuzję, to za kamienie chwymano, kobiety podniosły wrzask.

— Niechno który strzeli, a wszystkie wie tu zlecą.

— Zastrzelisz, pludro, jednego, to cię drudzy kijami zatłuką, jak psa parszywego.

— Nie zaczynajcie, Szwaby, bo z chłopami nie zdzierżyta.

— A waszego mięsa i głodny pies nie tknie.

— Tknij me, pludro jedna, tknij! — grozili zuchwale i wyzywająco.

Stali już zbliśka, ślepiami się jeno bodąc, przestępując z nogi na nogę, trzaskając kijami a wrzeszcząc zadadle, że wymysły i pogrozy latały nad głowami, kiej kamienie, już się wyciągały pazury i niejeden ażę dygotał z gotowości, gdy Rocho ogarnął swoich i odwiódł w tył, chłopcy rade nierade odwracały się półbokiem i czujnie, pilnując zajdów, odchodzili, temci szydliej za się krzykając.

— Ostajta z Bogiem, świńskie pomioty!

— I czekajcie, aż wam czerwony kogut zapieje!

— Zajrzymy tu potaćnować z waszemi pannami!

Jaze ich Rocho musiał przyciszyć, tak srodze gębowali.

Zmierzch się już kładł na ziemiach, słońce zaszło, chłodny wiater przegarniał zboża, że kłoniły się, dzwoniąc kłosami, wilgotniały trawy od ros siwych, głosy piszczałek i dziecińskie wrzaski roznosiły się od wsi, żabie rechoty grały na bagniskach i szedł już światem cichy, pachnący wieczór.

Chłopi wracali wolno, rozpięte kapoty powiewały,

niby białe skrzydła; szli gwarnie, przystając co chwila, któryś już śpiewał, jaże bory oddawały, jensi gwizdali z uciechy, to gwarząc, obejmowali gorącemi ślepiami podlaskie ziemie.

— Gronty łącno podzielne! — rzekł stary Kłęb.

— Juści, gospodarki możnaby wykrajać, kiej plastry miodu, jedna w drugą, i każda z łąką i paśnikiem.

— Byle jeno Miemcy ustąpiły! — westchnął sołtys.

— Nie turbujcie się, już my w tem, że ustąpią — zapewniał Mateusz.

— Wziąłbym tę ziemię skraja, przy drodze — szepnął Pryczek Adam.

— A mnieby się widziały w pośrodku, te z figurą — rzekł inszy parobek.

— Jabym się darł o te od Woli.

— Cie, żeby tak dostać na ogrodach po foliwarku!

— Jaki mądrała, najlepszeby chciał!

— Wystarczy ła wszystkich po kawale — uspakał Grzela, bo już byli się sprzeczać zaczęli.

— Jeżeli dziedzic się zgodzi, a odda wam Podlesie, to niemała praca was czeka, niemały trud — ozwał się Rocho.

— Wydolim! wydolim wszystkiemu — wołali radośnie.

— Owa! nie straszna praca na swoim!

— Nawet wszystkim dziedzicowym ziemiombyśmy poradzili.

— Niech jeno dadzą, a obaczycie.

— Człowiekby się wparł w ziemię, kiej drzewo, i niech mu kto poredzi, niech popróbuje wyrwać!

Rozgwarzali się między sobą, coraz prędzej idąc, bo już od wsi zaciemniała gromada kobiet, biegnących naprzeciw.

XI.

Już tak dniało, że całuski świat pokrył się był sinawą modrością, kiej śliwa dojrzała, gdy Hanka zajęchała przed chałupę, jeszcze leżącą we śpiku, ale na ostry turkot bryki dzieci wypadły z wrzaskiem i Łapa jął szczekać radośnie i wyskakiwać przed końmi.

— A kaj Antek? — krzyczała z proga Józka, nadsiewając przez głowę wełniak.

— Za trzy dni dopiero go puszczą, ale powróci już niechybnie — odpowiadała spokojnie, całując dzieci, a rozdając im kukielki.

Witek też wyleciał ze stajni, a za nim źrebak, kóren ze rzeniem jął się dobierać do klaczy, Pietrek wyciągał z wasąga sprawunki.

— Koszą to? — pytała, siadając zaraz w progu, by dać piersi najmłodszemu.

W pięciu zaczęli wczoraj w południe, Filip, Rafał i Kobus za odrobek, a Kłębów Jadam i Mateusz przynajęci.

— Mateusz Gołąb, cie?...

— Juści, mnie też było dziwno, ale sam chciał, powieda, jako nie chce do cna zgarbacieć przy ciesiółce, to musi se grzbiet wyprostować przy kosie.

Jagna wywarła okna po swojej stronie i na świat wyjrzała.

— Śpią to jeszcze ociec?

— W sędzie leżą, nie znosilim go na noc, bo w izbie strasznie gorąco.

— Jakże tam z matką?

— Po dawnemu, choć może i ździebko lepiej, Jambroż lekują, przychodził wczoraj i owczarz z Woli, okadził ją, maście jakieś dał i pedział, co do dziewięciu niedziel będą zdrowi, byle jeno na światło nie wychodzili.

— To pono najlepsze na oparzelinę! — odrzekła, zaczem, dając dziecku z drugiej piersi, wypytywała skwapliwie o wczorajsze nowiny, jeno krótko to trwało, bo biały dzień się już robił, zorze zrumieniły niebo i zagrały brzaskami w powietrzu, rosy skapywały z drzew, ptaki zaświergotały po gniazdach i na wsi już się kajś niekaj rozlegały beki owiec i porykiwania stad, wypędzanych na pastwiska, zaś ktosik zaczął zaklepywać kośę, że cieniutki, ostry brzęk rozdzwaniał się przenikliwie.

Hanka, co jeno rozdziawszy się z drogi, pobiegła do Boryny, leżał w półkoszku pod drzewami, przykryty pierzyną i spał.

— Wiecie! — zaszepiała, targając go za rękę — Antek za trzy dni powróci. Odstawili go do gubernji, Rocho pojechał za nim z pieniędzmi, zapłaci tam okup i razem już powrócą!

Stary siadł raptem, przecierał oczy i jakby słuchał, ale wnet się zwałił w pościel i zaciągnąwszy pierzynę na głowę, jakby zasnął znowu.

Nie było z nim co gadać i akuratnie kosiarze wchodzili w opłotki.

— Kole kapuśników położylim wczoraj łakę — objaśniał Filip.

— A idźcie dzisiaj za rzekę, przy kopcach, Józka pokaże wama.

— To ta na Kaczym dolku, karwas tego galanty.

— I trawa po pas, jak bór, nie taka, jak wczorajsza.

— Taka to kiepska, co?

— Juści, wyschła prawie, jakby szczotkę kosil.

— Rosa obeschnie, to możnaby ją już dzisiaj przetrząsnąć.

Poszli zaraz, jeno Mateusz, zapalający coś długo papierosa u Jagusi, ruszył na ostatku i jeszcze się lako- mie za się cglądał, kiej ten koł, odegnany od mleka.

I z drugich domów jęli też gęsto wychodzić na kośbę.

Słońce właśnie co ino się pokazywało, ogromne i rozczzerwienione, dzień robił się ciepły, na spiekotę zno- wuj się miało.

Kosiarze ruszyli gęsiego, wyprzedzani przez Józkę, wlekącą tykę, kto pacierz mruczał, kto się jeszcze przeciągał i ślepie tarł ze śpiku, a kto rzucał niekiej jakieś zbędne słowo, przeszli za młyn; na łęgach leżały niskie, rzadkie mgły, kępy olch widziały się, kiej krze dymiące, rzeka przebłyskiwała niekiedy z pod sinych przeston, oro- szone trawy stały pochylone, czajki już kwiliły kajś nie- kaj, a żarzące się od wschodu powietrze pachniało wil- gotnem kwieciem.

Józka, dowiódłszy ich do kopców, odmierzyła

ojcową łąkę i zatknąwszy na granicy tykę, poleciała z powrotem.

Pozrucali spencerki, podwinęli portki do kolan, rozstawili się pobok i, wparłszy drzewce w ziemię, jęli raz po razie gładzić kosy oselkami.

— Sielna trawa, jak kozuch, niejedem dobrze się zapoci — rzekł Mateusz, stając na pierwszego i próbując rozmachu.

— Wysoka i gęsta, nabiera se siana, no! — rzekł drugi, stając obok.

— Byle ino pogodnie sprzątnęli — rzekł trzeci, rozglądając się po niebie.

— »Skoro człowiek łąkę kosi, leda baba deszcz uprosi« — zaśmiał się czwarty.

— Prawda to była po inne roki, ale nie latoś! — zaczynał, Mateusz.

Przeżegnali się wraz, Mateusz przyciągnął pasa, rozkraczył się nieco, przygiął bary, w garście splunął, nabral dechu i szerokim rozmachem spuścił kosę, tnąc już raz za razem, a za nim drudzy, ostawając nieco na skos, by se nóg nie podciąć, czynili toż samo, wcinając się posobnie w omgloną łąkę i chlaszcząc równym, spokojnym rzutem kos; zimne ostrza jeno łyskały ze świstem i trawy kładły się ciężko, osypując ich rosą, kieby temi łzami.

Wiater jął ździebko przegarniać trawy i czajki coraz jękliwiej krzyczały nad nimi, czasem kuropatki furknęły z pod nóg, ale oni, kołysząc się z prawej strony na lewą, cięli niestrudzenie, wpierając się w łąkę piędź za piędzią, tylko niekiedy przystawał któryś kosę na-

ostrzyć, lebo grzbiet wyprostować i znowu siekł zawzięcie, ostawiając za sobą coraz dłuższe pokosy i wgniecione ślady nóg.

Zaś nim słońce wyniesło się nad wieś, już całe łąki jaże jęczały pod kosami, wszędy kosili, wszędy błyskały sine ostrza, roznosiły się zgrzytliwe ostrzenia i wszędy bił mocny zapach traw więdnących.

Pogoda była jakby wybrana na sianokosy, bo chociaż stara powiadka mówi: »Zacznij sianokosy, zapłaczą wnet niebiosy«, ale latoś stało się jakby naprzekór. Miasto deszczów przyszła susza.

Dnie wstawały oblane rosami a rozpalone, kiej człowiek w gorączce i kładły się we wieczory, zionące spiekotą, że już wysychały studnie i rzeczki, zboża żółkły, okopowizny więdły, robactwo rzuciło się na drzewa, owoc oblatywał, krowy ostawiały mleko, że to głodne wracały z wypalonych pastwisk, gdyż dziedzic jeno tym pozwalał paść w porębach, które zapłaciły po pięć rubli z ogona.

Juści co nie wszyscy mogli wywalić tyle gotowego grosza.

Ale i bez te różności przednowek stawał się coraz cięższy, zwłaszcza la komorników i drugiej biedoty.

Rachowali jeno, co na św. Jan muszą przyjść deszcze i wszystko w polach jeszcze się poprawi, nawet już na tę intencję na mszę dawali, nic jednak nie pomogło, susza wciąż trwała.

Do garnków u niejednego nie było co wstawić, ale zato nie brakowało swarów ni kłótni i wyrzekań. Może jeszcze nigdy, jak jeno zapamiętali najstarsi, nie było

w Lipcach tyle spraw różnych, a to o sądy za las się kłopotali, a to wójtowe sprawy kłyżniły ciągiem ludzi między sobą, a to Dominikowej spory ze synem, a to Miemcy, a to pomniejsze, sąsiedzkie spory, tyle tego było, że prawie zapominali o biedzie, żyjąc, kieby w tym kotle, w ciągłych plotach i swarach.

Nie dziwota też, że skoro nadeszły sianokosy, odechnęli, biedota się wnet rozbiegła po dworach za zarobkiem, a gospodarze, zatykając uszy na wszelkie nowiny, do kos przypięli się z radością.

Nie zapomnieli jeno o Miemcach, bo co dnia ktoś leciał na Podlesie wypatrywać, co oni tam robią.

Siedzieli jeszcze, przestali jeno kopać studnie i zwozić kamień na fundamenta, zaś kowal któregoś dnia powiedział, że Miemcy zaskarżyli dziedzica o piemiądze, a Lipce o gwałt.

Chłopy naśmiały się z tego do woli.

Właśnie dzisiaj na łąkach w czasie obiadu szeroko o tem rozprawiano.

Południe przyszło upalne, słońce stanęło nad głowami, rozpalone do białości, niebo wisiało białawym od pożogi tumanem, żar buchał, kiej z pieca straszliwego, najśłabszy wiaterek nie przewiał, liście zwisły pomdlale, zamilkło ptactwo, cienie leżały chude i krótkie, niewiele chroniąc od spieki, duszno było, jeno od pokosów bił ostry zapach traw rozprażonych, zboża, sady i domy stały, jakby ogarnięte białymi płomieniami; wszystko zdawało się roztapiać w rozżarzonym powietrzu, trzęsąc się, kieby ten war na wolnym ogniu, nawet rzeka płynęła wolniej, bez szmeru, wody błyszczwały roztopio-

nem szklivem, a tak przejrzyste, że każdy kielb widniał pod włóknistą powierzchnią, każdy kamyk na dnie piaszczystem i każdy rak, gmerzący się w prześwietlonych cieniach brzegów, cichość wlekła się nad ziemiami słoneczną, usypiającą przędzą, jedne muchy, co brzęczały koło ludzi.

Kosiarze siedzieli nad samą rzeką, pod kępą olch wyniosłych, wyjadając z dwojaków. Mateuszowi przyniesła jeść Nastka, wyrobnikom zaś Hanka z Jagustynką, przysiadły na trawie w słońcu i nakrywając chustami głowy, słuchały ciekawie.

— Ja od początku zawdy mówiłem jedno, że nie dziś, to jutro Niemcy się wynieść muszą! — mówił Mateusz, wyskrzybując garnczek.

— Ksiądz tak samo utwierdza! — przywtórzyła Hanka.

— A tak będzie, jak się spodoba dziedzicowi — warknął kłótliwie Kobus, rozciągając się pod drzewem.

— Jakże, to nie zlekli się waszych wrzasków i nie uciekli — wtrąciła po swojemu Jagustynka, ale któryś rzekł:

— Kowal powiadał wczoraj, jako dziedzic pogodzi się z nami.

— Jeno mi dziwno, że Michał teraz ze wsią trzyma.

— Węszy on w tem jakąś dobrą sztuczkę la siebie — syknęła stara.

— I młynarz też się pono wstawiał we dworze za wsią.

— Wszystkie za nami, dobrodzieje juchy — mó-

wił Mateusz. — Powiem wam, la czego naszą stronę trzymają: kowalowi dziedzic obiecał dobrą oberchapkę za zgodę z Lipcami, młynarz się złąknął, że Niemcy mogą postawić wiatrak na górcie koło figury, zaś karczmarz też pomaga narodowi ze strachu o siebie, dobrze on wie, że kaj Miemce siądą, tam się już żaden Żydek nie pożywi.

— To i dziedzic boją się chłopów, kiej o zgodę zapobiega?...

— A zgadliście, matko, ten się najwięcej boją, zarno waju wyłożę.

Przerwał Mateusz, gdyż od wsi pokazał się Witek pędzący.

— Gospodyni, a to prędko chodźcie! — wrzeszczał już zdala.

— Co się stało? ogień, czy co? — zerwała się trwożnie.

— A to... to gospodarz czegoś krzyczą!

Poleciała co tchu, nie rozumiejąc zgoła, co się tam stało.

A oto co było. Maciej już od samego rana był jakiś dziwny, matjaszył, mamrotał ciągiem, zrywał się z pościeli, to szukał czegoś koło siebie, że Hanka, odchodząc na łąki, przykazała Józce pilniejsze na niego baczenie. Dziewczyna często zaglądała do niego, leżał spokojnie, aż dopiero w czasie`obiadu zaczął wrzeszczeć wniebogłosy.

Gdy Hanka przyleciała, jeszcze siedział na literkach i wołał:

— Kajście mi buty zapodzieli! — dawajcie prędkiej.

— Zaraz przyniesę z komory, zaraz... — uspakała wylękła, gdyż wydawał się całkiem przytomny i groźnie toczył oczami.

— Zaspałem, psiachmać — przeziwnął szeroko. — Już biały dzień, a wy śpita. Kuba niech brony szykuje, siać pojedziem — rozkazywał.

Stali przed nim, nie wiedząc, co począć, gdy naraz przechylił się i leciał bezwładnie na ziemię.

— Nie bój się, Hanuś... zemgliło me... Antek w polu, co? W polu? — powtarzał, kiej go znowu ułożyli na pierzynie.

— Juści... od świtania... — jąkała, bojąc się przeziwić.

Rozglądał się bystro i ciągiem gadał, ale co jedno słowo rzekł do rzeczy, to dziesięć całkiem płonych i znowu jął się gdziesik wrywać, chciał się ubierać i o buty wołał, to chwycił się za głowę i tak przeraźliwie jęczał, jaże się na drogi rozchodziło. Hanka, rozumiejąc, jako na koniec już mu przychodzi, kazała go przenieść do chałupy i przed wieczorem posłała po księdza.

Przyszedł wkrótce z Panem Jezusem, ale go jeno świętymi Olejami namaścił.

— Więcej mu już nie potrzeba, lada godzina uśnie... — powiedział.

Na odwieczór naszło się narodu, bo zdawał się konać, że Hanka już mu gromnicę wtykała, ale się jakoś uspokoił i zasnął.

Zaś nazajutrz było tak samo, poznawał ludzi, rozmawiał przytomnie, to całe godziny leżał, kiej trup. Siedziała przy nim kowalowa nieodstępnie, a Jagustynka chciała go okadzać.

— Dajcie spokój, jeszcze ogień zaprószycie.

Burknął niespodzianie, a gdy w południe przyleciał kowal i zaglądał mu w przywarte oczy, to ozwał się znowu z dziwnym prześmiechem:

— Nie frasuj się, Michał... już teraz wam dojdę... niezadługo dojdę...

Odwrócił się do ściany i więcej nic nie powiedział, ale że widać było, jako słabnie i coraz barzej zapada, to go już pilnowali, a głównie Jagusia, z którą też wyprawiały się jakieś dziwności.

Przestała raptem dbać o matkę, zdając ją całkiem na Jędrka i kamieniem zaległa przy mężu.

— Sama ich przypilnuję, to moje prawo! — rzekła Hance i Magdzie z taką mocą, iż się nie przeciwily, ile co każda dosyć miała swojej roboty.

I już się nie ruszyła z chałupy, jakiś głuchy strach trzymał ją, kieby na uwięzi, że nie poredziła odbieżyć chorego, jak przódzi.

A cała wieś była na łąkach, sianokosy szły nieprzerwanie, od samego świtania, skoro jeno pierwsze zorze niebo zrumieniły, cały naród tam ciągnął, zaś rzędy chłopów, rozdzielonych do koszuli, kiej te siodlate bociany, obsiadły łęgi, ostrzyły żelazca i błyskając kosami, całe dnie siekły zapamiętałe, całe dnie też jeno słyhać było brzęki kos nakuwanych i przyśpiewki dzieuch grabiących.

Zielone, puszyste równie łąk roily się od ludzi a po-

brzęków i gwarów, migotały pasiaste portki, czerwone wełniaki, niby makowe kwiaty, płonęły w słońcu, pieśneczki się rozlegały hukliwie, dzwoniły kosy, buchały śmiechy wesołe i wszędy szła ochota, siarczysta robota, a pod kaźden wieczór, kiej szcerwienione słońce kłoniło się nad bory i powietrze zawrzało krzykiem ptactwa, kiej wszystkie zboża i trawy jaże się trzęsły od muzyki świerszczów, a moczary zagrały żabiemi rechotami, kiej buchnęły zapachy, jakby cała ziemia była trybularzem, toczyły się po drogach ciężkie, opasłe wozy ze sianem, wracali ze śpiewami kosiarze, a na poźółkłych, zdeptanych wycinkach rozsiadały się gęsto kopice i stogi, kiej te kumy podufałe, przysiadając do cichej pogwary, a między niemi brodziły boćki, czajki kołowały z żalosnem kwileniem i białe mgły wpelzały od bagnisk.

Przez otwarte okna Borynowej chałupy wciskały się te wszystkie głosy ludzi i pól, weselne głosy życia i trudu wraz z kadzielnemi woniami zbóż i łąk i słońca, jeno Jagusia była głucha na wszystko.

W izbie cicho było i martwo, przez krze, osłaniające od żarów, siał się zielonawy, senny mrok, brzęczały muchy i Łapa, warujący przy gospodarzu, ziewnął niekiedy i szedł się połasić do Jagny, siedzącej całe godziny bez ruchu i myśli, zgoła do słupa podobnej.

Maciej już nie mówił, nie jęczał, leżał spokojnie i tylko ciągiem włóczył oczyma; te jasne ślepie, błyszczące, kiej szklane gały, chodziły za nią z takim uporem i tak nawskroś przewiercały, kiej zimne noże.

Napróżno się odwracała, napróżno chciała zapomnieć, patrzyły z kaźdego kąta, w powietrzu się uno-

sily i świeciły jednako strasznie i tak ciągnące nieprze-
parcie, że dawała się na ich wole, patrząc w nie, kieby
w przepaście nieprzejrzane.

A niekiedy, jakby wyrywając się ze straszego snu,
błagała żałośnie:

— Dyć tak nie patrzcie, bo mi duszę wywleciecie,
nie patrzcie!

Musiał dosłyszeć, gdyż drżał nieco, twarz mu się
kurczyła w jakimś niemym krzyku, oczy patrzyły jeszcze
straszniej i po sinych policzkach toczyły się ciężkimi kro-
plami łzy.

Uciekała wtedy na świat, strach ją wyganiał.

Patrzyła z za drzew na łąki, pełne narodu i rado-
snej wrzawy.

I odchodziła z płaczem.

Szła do matki, ale ledwie głowę wetknęła do ciem-
nej izby, ledwie ją owiał zapach leków, cofała się po-
śpiesznie.

I znowu płakała.

To wychodziła za dom i niesła się tęskliwemi oczy-
ma po świecie szerokim. I płakała wtedy jeszcze żalniej,
smutniej i boleśniej, jako ta ptaszka z połamanemi skrzy-
dłami, ostawiona przez stado, skarżyła się rzewliwie.

I tak bez przemian szły dni za dniami, Hanka
wciąż była zajęta sianokosami narówni z całą wsią, do-
piero trzeciego dnia została w domu od rana.

— Sobota, to już dzisiaj Antek wróci z pewno-
ścią! — rzekła radośnie, szykując dom na przyjęcie męża.

Południe już przeszło, a jego jeszcze nie było,

Hanka wyglądała za kościół, aż na topolową szła pa-trzeć, ale pusto tam było i cicho.

Ludzie śpieszniej zaczęli zwozić siano, gdyż miało się na odmianę, kokoty piały, słońce barzej dopiekało, stronami wisiały ciężkie gradowe chmury i wiatr zry-wał się kołujący.

Wyglądali burzy z ulewą, a jeno spadł krótki, cho-ciaż rześisty deszcz, w mig wypity przez spieczoną zie-mię, że tyle było z niego pociechy, co się odświeżyło po-wietrze.

Ale wieczór przyszedł nieco chłodniejszy, pachniało sianem i ziemią przemoczoną, po drogach leżały gęste mroki, księżyc jeszcze nie wschodził, niebo wisiało ciemne i jeno zrzadka poprzebijane gwiazdami, wskroś sadów błyskały światła chałup i kiej świętojańskie robaczki, mrowiły się we stawie, kolacje jedli wszędy przed pro-gami, ktosik grał na fujarce i śmiechy rozdzwaniały się kajś niekaj, ptaki już zaczynały śpiewać i pola przemó-wiły cichem strzykaniem koników i głosami przepiórek i derkaczów.

U Borynów tak samo jedli przed chałupą, pod oknem gwarno było i ludno, bo Hanka, że to skończyli kosić, zaprosiła wszystkich, występując ze sutą kolacją, pachniała jajecznicą ze szczypiorkiem, rażno skrzybo-tały łyżki, a skrzekliwy głos Jagustynki rozlegał się co chwila, niecąc wybuchy śmiechu, Hanka dokładała co trochę z garów, zapraszając, by se nie żalowali, ale całą duszą nasłuchiwała każdego głosu z drogi, a co chwila biegła wyglądać w opłotki.

Ani śladu Antka, natknęła się tylko raz na Tere-skę, przywartą do płota i jakby na kogoś czekającą.

Mateusz, nie mogąc się dogadać z Jagusią, mru-kiwą dzisiaj i niechętną, jął się ze złości spierać z Pietr-kiem, gdy Jędrak przyleciał po siostrę, że matka ją wzywa.

Wkrótce rozeszli się wszyscy, tylko jeden Mateusz coś długo się ociągał, że dopiero w dobry pacierz poszedł.

Po chwili Hanka wyszła, na darmo wypatrując w ciemnościach, kiej ją doszedł z nad stawu jego war-kliwy, gniewny głos:

— Czego za mną łazisz, jak ten pies... nie ucieknę ci... już dosyć nas miał na ozorach... — i coś tam jesz-cze przykrzejszego, a w odpowiedzi posypały się roz-szlochane słowa i rzęsisty płacz.

Ale Hanki to nie wzruszyło, czekała na męża, to co ją tam mogły obchodzić cudze sprawy? Jagustynka robiła wieczorne porządki, a że dziecko zaczęło coś ma-tjasic, wzięła je na ręce i pohuśtując, zajrzała do cho-rego.

— Antka ino co patrzeć! — zakrzyczała od proga.

Boryna leżał zapatrzony w lampkę, dymiącą nad kominem.

— Dzisiaj go puścili, Rocho czeka na niego — powtarzała mu w same uszy, stróżując radosnemi oczami jego źrenic, czy pomiarkował, ale snadź i ta no-wina nie przedarła się do mózgu, gdyż ani się poruszył, ni spojrzął na nią.

— Może już do wsi wchodzi... może już... — my-ślała, wybiegając co chwila przed dom, a tak była pe-

wna jego powrotu i tak roztrzęsiona oczekiwaniem, że przytomność traciła, wybuchała śmiechem z leda powodu, rozprawiała ze sobą i potaczała się, kiej pijana. Ciemnościom powiadała o swoich nadziejach, nawet bydłatom się zwierzyła przy udoju, by wiedziały, jako ich gospodarz wracają.

I czekała z minuty na minutę, ale już ostatkami sił i cierpliwości.

Noc się już czyniła, wieś kładła się spać, Jagusia, powróciwszy od matki, zaraz przyległa w pościel, cały dom wkrótce zasnął, a Hanka jeszcze późno w noc warowała przed domem, jaże wybita ze sił i srodze splakana, pogasiwszy światła, też się położyła.

Wszystek świat pogrążał się w głębokiej cichości odpoczywania.

Na wsi gasły światła jedno po drugim, jak oczy, snem przywierane.

Księżyc się wtoczył na granatowe, wysokie niebo, gwiezdny migotem przesiane i wznosił się coraz wyżej, leciał, kiej ptak, wlekący wskroś pustek srebrzyste skrzydła, chmury spały kajś niekaj, pozwijane w puszyste, białawe kłęby.

Zaś na ziemiach wszelkie stworzenie, uznojone, legło w cichy i słodki sen, jeno ptak jakiś tu i owdzie śpiewał rześiste piosneczki, jeno wody szemrały cosik jakby przez sen, a drzewiny, pławiące się w księżycowych brzaśkach, zadrgały niekiedy, jakby się im dzień marzył, czasem pies warknął, albo przelatujący lelek zatrzepał skrzydłami, a niskie opary jęły zwolna i troskliwie przysłańać pola, kieby tę mieć utrudzoną.

Z pod ledwie rozeznaczanych ścian i ze sadów rozchodziły się ciche dychania, ludzie spali na powietrzu, powierzając się z dufnością nocy.

I w Borynowej izbie leżała senna cichość, świerszcz jeno strzykał pod kominem i Jagusine oddechy trzepały się, kiej skrzydła motyle.

Noc musiała być już późna, pierwsze kury zaczęły pisać, gdy naraz Boryna poruszył się na łóżku, jakby przecykając, wraz też i księżyc uderzył w szyby i chlusał, oblewając mu twarz srebrzystym wrzątkiem światła.

Przysiadł na łóżku i kiwając głową a robiąc usilnie grdyką, chciał cosik powiedzieć, ale mu jeno zabulgotało w gardzieli.

Siedział tak dość długo, rozglądając się nieprzytomnie, a niekiedy gmerząc palcami we świetle, jakby chcąc zebrać w garście ową rozmigotaną rzekę księżycowych brzasków, bijącą mu w oczy.

— Dnieje... pora... — zamamrotał wreszcie, stając na podłodze.

Wyrztał oknem i jakby się budził z ciężkiego snu, zdało mu się, że to już duży dzień, że zasnął, a jakieś pilne roboty czekają na niego...

— Pora wstawać, pora... — powtarzał, żegnając się wielekroć razy i zaczynając pacierz, rozglądał się zarazem za odzieniem, po buty sięgał, kaj zwykły były stoić, ale nie znalazłszy niczego pod ręką, zapomniał o wszystkim i błędził bezradnie rękoma dokoła siebie, pacierz mu się rwał, iż jeno poniektóre słowa mamlął bezdźwięcznie.

Skołtuniły mu się naraz w mózgu wspominki ja-

kichś robót, to sprawy dawne, to jakby odgłosy tego, co się dokoła niego działo przez cały czas choroby, prześląkało to w niego w strzępach nikłych, w bladych przypomnieniach, w ruchach zatartych, jak skiby na rżyskach i budziło się teraz nagle, kłębiło w mózgu i na świat parło, że porywał się co chwila za jakimś majakiem, lecz nim się go uczepił, już mu się rozłaził w pamięci, jako te zgniłe przedzie i dusza mu się chwiała, kiej płomień, nie mający się czem podsyć.

Tyle jeno teraz wiedział, co się może śnić o pierwszej zwieśnie drzewom poschniętym, że pora im przeknąć z drętwy zimowej, pora nabrane chlusty wypuścić ze siebie, pora zaszumieć z wichrami weselną pieśń życia, a nie wiedzą, że płone są ich śnienia i próżne poczynania...

Zaczem cokolwiek robił, czynił, jako ten koń po latach chodzenia w kieracie czyni na wolności, że ciągiem się jeno wkółko obraca z przywyku.

Maciej otworzył okno i wyrztał na świat, zajrzał do komory i po długim namyśle pogrzebał w kominie, zaś potem, jak stał, bosy i w koszuli, poszedł na dwór.

Drzwi były wywarte, całą sień zalewało księżycowe światło, przed progiem spał Łapa, zwinięty w kłębek, ale na szelest kroków przebudził się, zawarczał i poznawszy swojego, poszedł za nim.

Maciej przystanął przed domem i skrobiąc się w ucho, ciężko się głowił, jakie go to pilne roboty czekają?...

Pies radośnie skakał mu do piersi, pogładził go po dawnemu, rozglądając się frasobliwie po świecie.

Widno było, jak w dzień, księżyc wynosił się już nad chałupą, że modry cień zesuwał się z białych ścian, wody stawu polśniewały, kiej lustra, wieś leżała w głębokiem milczeniu, jedne ptaszyska, co się wydzierały zapamiętałe po gąszczach.

Znagła przypomniało mu się cosik, bo poszedł śpieszno w podwórze, drzwi wszystkie stały otwarte, chłopaki chrapały pod ścianami stodoły, zajrzał do stajni, poklepując konie, jaże zarżały, potem do krów wsadził głowę, leżały rzędem, że ino im zady widniały we świetle; to z pod szopy zachciał wóz wyciągnąć, już nawet porwał za wystający dyszel, ale dojrzawszy błyszczący pług pod chlewami, do niego pośpieszył i nie doszedłszy, całkiem zapomniał.

Staął w pośrodku podwórza, obracając się na wszystkie strony, bo mu się wydało, że skądciś wołają.

Zóraw studzienny wynosił się tuż przed nim, cień długi kładąc.

— Czego to? — pytał, nasłuchując odpowiedzi.

Sad, porznięty światłami, jakby zastąpił mu drogę, srebrzące się liście szemrały cosik cichuśko.

— Kto me woła? — myślał, dotykając się drzew.

Łapa, chodzący wciąż przy nim, zaskomlał cosik, że przystanął, westchnął głęboko i rzekł wesoło:

— Prawda, piesku, pora siać...

Ale w mig i o tem przepomniał; rozsypywało mu się wszystko w pamięci, kiej suchy piasek w garściach, jeno że wciąż nowe wspominki popychały go znów gdzieś naprzód; motał się w one złudy, jak to wrzecziono w nieć, uciekającą wiecznie, a ciągiem na jednym miejscu.

— Juści... pora siać... — powiedział znowu i ruszył raźnie kole szopy opłotkami, wiedzącymi na pole, natknął się na bróg ów nieszczęsny, spalony jeszcze zimą i już postawiony teraz na nowo.

Chciał go zrazu wyminąć, lecz nagle odskoczył, rozwidniło mu się na мгновение, błyskawicą rzucił się wstecz czasu, wyrwał z płota kolek i ujawszy go oburącz, kiej widły i z nasrożoną twarzą, rzucił się na słupy, gotowy bić i zabijać, lecz nim uderzył cobądź, wypuścił kolek bezradnie.

Za brogiem, od samej drogi a pobok ziemniaków, ciągnął się długi szmat podorówki, przystanął przed nim, wodząc zdumionemi oczyma.

Księżyc już był w pół nieba, ziemie pławiły się w przymglonych brzaskach i leżały operłone rosami, jakby zasłuchane w milczeniu.

Nieprzenikniona cichość biła z pól, zamglone dale łączyły ziemię z niebem, z łąk pełzały białawe tumany i wlekły się nad zbożami, kiej przędze, obtulając je, niby ciepłym, wilgotnym kożuchem.

Wyrosłe, zielonawe ściany żyta pochylały się nad miedzę pod ciężarem kłosów, zwisających, kieby te rdzawe dzioby piskląt, pszenice szły już w słup, stały hardo, lśniąc czarniawemi piórami, zaś owsy i jęczmiona, ledwie rozkrzewione, zieleniały, kiej łąki, w płowych przestonach mgieł i światła.

Drugie kury już piały, noc była późna, pola po-grążone w głęboki sen odpoczywania, jakby dychały niekiej cichuśkim chrzęstem i jakimś echem dziennych

zabiegów i trosk — jak dycha mać, kiej przylegnie wpośród dzieciątek, dufnie śpiących na jej łonie...

Boryna naraz przyklęknął na zagonie i jął w nastawioną koszulę nabierać ziemi, niby z tego wora zboże naszykowane do siewu, aż nagarnawszy tyla, iż się ledwie podźwignął, przeżegnał się, spróbował rozmachu i począł obsiewać...

Przychylił się pod ciężarem i zwolna, krok za krokiem szedł i tym błogosławiącym, półkolistym rzutem posiewał ziemię na zagonach.

Łapa chodził za nim, a kiej ptak jaki spłoszony zerwał się z pod nóg, gonił przez chwilę i znowu powracał na służbę przy gospodarzu.

A Boryna, zapatrzony przed się, w cały ten urokliwy świat nocy zwiesnowej, szedł zagonami cicho, niby widmo, błogosławiące każdej grudce ziemi, każdemu źdźbłu i siał — siał wciąż, siał niestrudzenie.

Potykał się o skiby, plątał we wyrwach, niekiedy się nawet przewracał, jeno że nic o tem nie wiedział i nic nie czuł, kromie tej potrzeby głuchej a nieprzepartej, by siał.

Szedł aż do krańca pól, a gdy mu ziemi zabrakło pod ręką, nowej nabierał i siał, a gdy mu drogę zastąpiły kamionki a krze kolczaste, zawracał.

Odchodził daleko, że już ptasie głosy się urywały i kajś w mglistych mrokach zginęła cała wieś, a obejmowało płowe, nieprzejrzone morze pól, ginął w nich, kiej ptak zabłąkany, lub kiej dusza, odlatująca ze ziemi — i znowu się wylaniał bliżej domów, w krąg ptasich świergotów powracał i w krąg zamilkłych na chwilę

trudów człowieczych, jakby wynoszony z nawrotem na krawędź żyjącego świata przez chrześliwą falę zbóż...

— Puszczaj, Kuba, brony a letko! — wołał niekiedy niby na parobka.

I tak przechodził czas, a on siał niezmordowanie, przystając jeno niekiedy, by odpocząć i kości rozciągnąć i znowu się brał do tej płonej pracy, do tego trudu na nic, do tych zbędnych zabiegów.

A potem, kiej już noc ździebko zmętniała, gwiazdy zbladły i kury zaczynały piąć przed świtaniem, zwolniał w robocie, przystawał częściej i zapomniawszy nabierać ziemi, pustą garścią siał — jakby już jeno siebie samego rozsiewał do ostatka na te praajcowe role, wszystkie dni przeżyte, wszystek żywot człowieczy, któren był wziął i teraz tym niwom świętym powracał i Bogu Przedwiecznemu.

I w oną żywota jego porę ostatnią cosik dziwnego zaczęło się dziać: niebo poszarzało, kiej zgrzebna płachta, księżyc zaszedł, wszelkie światłości pogasły, że cały świat oślepl nagle i zatonął w burych skołtunionych topielach, a coś zgoła niepojętego jakby wstało gdziesik i szło ciężkimi krokami wskroś mroków, że ziemia zdała się kolebać.

Przecięgły, złowrózby szum powiał od borów.

Zatrzęsły się drzewa samotne, deszcz poschniętych liści zaszemrał po kłosach, zakolysały się zboża i trawy, a z niskich, rozdygotanych pól podniósł się cichy, trwożny, jękliwy głos:

— Gospodarzu! Gospodarzu!

Zielone pióra jęczmion, trzęsły się, jakby w płaczu

i gorącymi całunkami przylegały do jego nóg utrudzonych.

— Gospodarzu! zdały się skamleć żyta, zastępujące mu drogę i trzęsły rosistym gradem lez. Jakieś ptaki zakrzyzczały żałośnie. Wiater załkał mu nad głową. Mgły owijały go w mokrą przędzę, a głosy wciąż rosły, olbrzymiały, ze wszystkich stron były jękliwie, nieprzerwanie:

— Gospodarzu! Gospodarzu!

Dosłyszał wreszcie, że, rozglądając się, wołał cicho:

— Dyć jestem, czego? co?...

Przygłuchło naraz dokoła, dopiero, kiej znowu ruszył posiewać ocieżalą już i pustą dłońią, ziemia przemówiła w jeden chór ogromny:

— Ostańcie! Ostańcie z nami! Ostańcie!...

Przystanął zdumiony, zdało mu się, że wszystko ruszyło naprzeciw, pełzały trawy, płynęły rozkolysane zboża, opasywały go zagony, cały świat się podnosił, i walił na niego, że strach go porwał, chciał krzyzczeć, ale głosu już nie wydobył ze ściśniętej gardzieli, chciał uciekać, zabrakło mu sił i ziemia chwyciła za nogi, plątały go zboża, przytrzymały brózdy, łapały twarde skiby, wygrażały drzewa, zastępujące drogę, rwały osty, ranily kamienie, gonil zły wiater, błakała noc i te głosy, bijące całym światem:

— Ostańcie! Ostańcie!

Zmartwiało naraz, wszystko przycichło i stanęło w miejscu, błyskawica otworzyła mu oczy z pomroki śmiertelnej, niebo się rozwarło przed nim, a tam w ja-

snościach oślepiających Bóg Ociec, siedzący na tronie ze snopów, wyciąga ku niemu ręce i rzecze dobrotliwie:

— Pódzi-że, duszo człowiecza do mnie. Pódzi-że, utrudzony parobku...

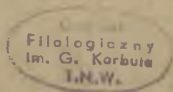
Zachwiał się Boryna, roztworzył ręce, jak w czas podniesienia:

— Panie Boże, zapłać! — odrzekł i runął na twarz przed tym majestatem przenaświętym.

Padł i pomarł, w onej łaski pańskiej godzinie.

.....
Świt się nad nim uczynił, a Łapa wył długo i żałośnie.

KONIEC CZĘŚCI TRZECIEJ.



INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63



K
907/4